Graeme Macrae Burnet

JEGO KRWAWE ZAMIARY

§

DOKUMENTY DOTYCZĄCE SPRAWY RODERICKA MACRAE

Finalista Nagrody Bookera 2016

WYDAWNICTWO STARA SZKOŁA

GRAEME MACRAE BURNET

JEGO KRWAWE ZAMIARY

Dokumenty dotyczące sprawy RODERICKA MACRAE

STARA

Wyrobione żarna mielą lepiej.

Przysłowie wyżynne

Przedmowa

Piszę to na prośbę mojego adwokata – pana Andrew Sinclaira, który traktował mnie tu, w Inverness, z uprzejmością, na jaką w żaden sposób nie zasługuję. Moje życie było krótkie i mało znaczące, a ja nie zamierzam uchylać się od odpowiedzialności za czyny, które ostatnio popełniłem. Swe słowa przelewam na papier jedynie po to, by odwdzięczyć się mojemu pełnomocnikowi za okazaną życzliwość.

Tak zaczyna się pamiętnik Rodericka Macrae, siedemnastoletniego chłopca oskarżonego o trzy brutalne morderstwa, dokonane w jego rodzinnej wiosce Culduie w hrabstwie Ross rankiem
10 sierpnia 1869 roku.

Nie zamierzam niepotrzebnie zanudzać Czytelnika, ale chciałbym dołączyć kilka własnych uwag do zebranego tutaj materiału. Ci Czytelnicy, którzy woleliby od razu przejść do dokumentów, mogą oczywiście to uczynić.

Wiosną 2014 roku podjąłem pewne starania, by dowiedzieć się czegoś na temat mojego dziadka, Donalda „Trampa" Macrae, urodzonego w 1890 roku w Applecross, dwie lub trzy mile na północ od Culduie. Kwerendę rozpocząłem w bibliotece w Inverness. Przejrzałem nagłówki gazet opisujących rozprawę Rodericka Macrae i z pomocą asystentki Anne O'Hanlon, pracującej tam jako archiwistka, natrafiłem na rękopis, który stanowi znaczną część niniejszej publikacji.

Pamiętnik Rodericka Macrae okazał się bardzo cennym dokumentem. Został spisany w areszcie zamku Inverness prawdopodobnie między 17 sierpnia a 5 września 1869 roku, gdy Roderick oczekiwał na proces. I właśnie dzięki temu pamiętnikowi cała sprawa stała się *cause célèbre*. Tekst, a przynajmniej jego najbardziej sensacyjne fragmenty, doczekał się niezliczonych wydań w tanich zeszytach i wzbudził wiele kontrowersji.

Wiele osób, szczególnie z literackich i dziennikarskich środowisk Edynburga, powątpiewało w jego autentyczność. Relacja Rodericka ożywiła wspomnienia skandalu związanego ze sprawą *Ossiana* z drugiej połowy XVIII wieku, kiedy to James Macpherson twierdził, że odkrył i przetłumaczył wielki epos poezji celtyckiej. *Ossian* szybko otrzymał status arcydzieła klasycznej literatury europejskiej, ale później okazał się fałszerstwem. Na temat pamiętnika z Inverness Campbell Balfour, dziennikarz „Edinburgh Review", napisał, iż jest *wprost niewyobrażalne, by prosty chłopak, w dodatku półanalfabeta, mógł stworzyć tak błyskotliwe i inteligentne dzieło… To falsyfikat, a ci, którzy rozsławiają tego najbardziej nieczułego mordercę jako szlachetnego dzikusa, okryją się kiedyś hańbą*[1]. Dla innych zarówno morderstwa, jak i pamiętnik są dowodami *okrutnego barbarzyństwa, które nieprzerwanie mnoży się w północnych regionach naszego kraju, i którego wzmożone wysiłki naszego kościoła oraz poprawa warunków życia*[2] *nie zdołały wyplenić w minionych dekadach*[3].

Lecz dla jeszcze innych obserwatorów zdarzenia opisane w rękopisie ukazują niesprawiedliwość systemu feudalnego, uciskającego rolników wyżynnych. John Murdoch, który później założył radykalną gazetę „Te Highlander", nie próbował usprawiedliwiać czynów Rodericka Macrae, ale widział w nim *postać doprowadzoną do granic wytrzymałości – czy wręcz do obłędu – przez okrutny system, zmieniający w niewolników ludzi*

pragnących jedynie prowadzić na wydzierżawionym skrawku ziemi uczciwe życie[4].

Jednoznaczna odpowiedź na pytanie o autentyczność pamiętnika jest dziś, po upływie półtora wieku, niemożliwa. Nie ma natomiast wątpliwości, że stworzenie takiego tekstu w tak młodym wieku było czynem wyjątkowym. Niemniej twierdzenie, iż Roderick Macrae był „prostym chłopakiem i półanalfabetą" uznać należy za efekt utrzymujących się w zamożnych miastach pasa centralnego uprzedzeń do północnej części kraju. Pochodzące z lat sześćdziesiątych XIX wieku raporty z wizytacji w szkole podstawowej w pobliskim Lochcarron odnotowują, że dzieci uczyły się tam łaciny, greki oraz wiedzy ogólnej. Roderick mógł otrzymać podobne wykształcenie w swojej szkole w Camusterrach. Jego pamiętnik to potwierdza. Potwierdza również, iż Roderick był niepospolicie zdolnym uczniem. Oczywiście – to, że Roderick *mógł* napisać takie dzieło, nie stanowi wystarczającego dowodu autentyczności tekstu. Lecz zachowały się także wspomnienia psychiatry, Jamesa Bruce'a Tomsona, twierdzącego, iż widział dokument w celi Rodericka. Sceptycy mogliby temu „dowodowi" zarzucić (i zarzucili), że Tomson nigdy nie widział Rodericka podczas pisania. Należy pamiętać, że w czasach nam współczesnych pamiętnik również nie zostałby potraktowany jako dowód w rozprawie sądowej. Podejrzenia, że tekst został napisany przez kogoś innego (głównym podejrzanym jest adwokat Rodericka – Andrew Sinclair), nie można całkowicie wykluczyć, lecz tylko zapalczywi zwolennicy teorii spiskowych mogliby bez zastrzeżeń uwierzyć w tę wersję zdarzeń. Ponadto dokument zawiera wiele szczegółów świadczących o tym, iż został spisany przez rdzennego mieszkańca Culduie. Co więcej, opis wydarzeń poprzedzających morderstwa dokonane przez Rodericka pokrywa się – prócz kilku drobnych wyjątków – z zeznaniami złożonymi przez świadków podczas procesu. Te

fakty oraz wykonane przeze mnie badanie rękopisu rozwiewają moje wątpliwości co do autentyczności tekstu.

Oprócz relacji Rodericka Macrae niniejszy wolumin zawiera także zebrane przez policję zeznania wielu mieszkańców Culduie, wyniki sekcji zwłok ofiar i, co być może jest najciekawsze, fragmenty wspomnień J. Bruce'a Tomsona pod tytułem P*odróże do granic obłędu*, w którym autor opowiada o przesłuchaniu Rodericka Macrae oraz o wyjeździe do Culduie w towarzystwie Andrew Sinclaira. Tomson był lekarzem w szkockim więzieniu ogólnym w Perth, gdzie przebywali ludzie uznani za niezdolnych do udziału w procesie z powodu niepoczytalności. Na podstawie doświadczenia zawodowego opublikował w „Journal of Mental Science" dwa przełomowe artykuły – *Dziedziczna natura zbrodni* oraz Psychologia *przestępców*. Posiadał rozległą wiedzę w zakresie teorii ewolucji i nowo powstałej dziedziny nauki: antropologii kryminalnej. Wprawdzie niektóre z jego poglądów dziś mogą wydać się czytelnikowi dziwne, lecz podczas lektury tekstu należy pamiętać o czasach, w których te prace powstawały, jak również o tym, że są one efektem wielkiego wysiłku związanego z przełamaniem teologicznego pojmowania zbrodni oraz próbą lepszego zrozumienia motywów jednostki prowadzących do popełnienia przestępstwa z użyciem przemocy.

Na końcu książki przedstawiam relację z rozprawy opartą na ówczesnych reportażach prasowych oraz Kompletnym raporcie *z rozprawy Rodericka Johna Macrae*, wydanym przez Williama Kaya z Edynburga w październiku 1869 roku.

Ustalenie dziś prawdy na temat opisanych tu wydarzeń sprzed niemal półtora wieku nie jest możliwe. Przedstawione relacje zawierają różne rozbieżności, sprzeczności i przeoczenia, ale jako całość tworzą tło jednego z najbardziej fascynujących przypadków w historii szkockiego

sądownictwa. Oczywiście mam swój własny pogląd na całą sprawę, ale moją powinnością jest umożliwienie Czytelnikowi wyciągnięcia własnych wniosków.

Notka do tekstu

Według moich ustaleń rękopis Rodericka Macrae jest obecnie po raz pierwszy publikowany w całości. Pomimo upływu czasu i wieloletniego przechowywania w nieodpowiednich warunkach pamiętnik zachował się w niezwykle dobrym stanie. Został spisany na luźnych kartkach, a następnie z jednej strony przewiązany skórzanym rzemykiem, co tłumaczy, dlaczego tekst na wewnętrznej krawędzi stron bywa ciemniejszy. Odręczne pismo jest nad podziw staranne i zawiera zaledwie kilka skreśleń. Przygotowując dokument do wydania, starałem się przez cały czas być wierny treści rękopisu. W żadnym miejscu nie próbowałem go poprawiać lub korygować dziwnych zwrotów, fraz lub składni. Takie ingerencje mogłyby jedynie, jak sądzę, rzucić cień wątpliwości na autentyczność. Zatem tekst jest – tak bardzo, jak było to możliwe – dziełem Rodericka Macrae. Należy zaznaczyć, że w pamiętniku prawdziwe nazwiska osób i ich przydomki są stosowane zamiennie – na przykład przydomek Lachlan Beczka dotyczy Lachlana Mackenziego. Użycie przydomków jest na Wyżynach Szkocji powszechne – przynajmniej w starszych pokoleniach. Przydomki są stosowane prawdopodobnie w celu rozróżnienia wielu gałęzi nazwisk rodowych. Wywodzą się na ogół od wykonywanych zawodów lub cech osobistych. Bywają także przekazywane z pokolenia na pokolenie, szczególnie w sytuacjach, gdy pochodzenie przydomka pozostaje tajemnicą nawet dla jego nosiciela.

Pozwoliłem sobie na drobne ingerencje edytorskie w kwestii interpunkcji i akapitów. Rękopis jest zapisany w formie nieprzerwanego strumienia, wstrzymywanego być może tylko wtedy, gdy Roderick urywał swoją myśl jednego dnia i kończył ją nazajutrz. Decyzję o wprowadzeniu niektórych akapitów podjąłem wyłącznie w celu lepszej czytelności. Analogicznie postępowałem w przypadku interpunkcji – oryginalny tekst traktuje ją bardzo swobodnie, co nadaje mu dość osobliwego charakteru. Zatem większość znaków interpunkcyjnych jest mojego autorstwa. Niemniej pragnę podkreślić, iż moją główną zasadą była wierność oryginałowi. Jeśli moje decyzje wydadzą się nietrafione, odsyłam Czytelnika do porównania z rękopisem, który pozostał w archiwum w Inverness.

GMB, lipiec 2015

---

[1] Campbell Balfour, *Nasze stulecie Ossianów*, „Edinburg review”, październik 1869, Nr CCLXVI.

[2] Wzmianka pochodząca z „Highland Clearances”.

[3] „The Editorial”, Scotsman, 17 września 1869.

[4] John Murdoch, Czego możemy nauczyć się z tej sprawy, „Inverness Courier”, 14 września 1869.

Zeznania mieszkańców Culduie i okolic

zebrane przez funkcjonariusza policji okręgu Wester Ross – Williama MacLeoda z Dingwall w dniach 12 i 13 sierpnia 1869 roku

Zeznanie pani Carminy Murchison (Carminy Dym), mieszkanki Culduie, 12 sierpnia 1869

Znam Rodericka Macrae, od kiedy był niemowlęciem. Zawsze uważałam, że to miły chłopiec, który wyrósł na uprzejmego i skorego do pomocy młodzieńca. Myślę, że duże piętno wywarła na nim śmierć matki – kobiety ujmującej i towarzyskiej. Nie chcę mówić źle o jego ojcu, ale John Macrae to człowiek nieprzyjemny i traktował Roddy'ego z surowością, na jaką moim zdaniem nie zasługuje żadne dziecko.

Tamtego poranka, gdy doszło do tego okropnego zdarzenia, rozmawiałam z Roddym, kiedy przechodził obok naszego domu. Nie pamiętam dokładnie treści rozmowy, ale wydaje mi się, że powiedział, że idzie pracować na polu należącym do Lachlana Mackenziego. Niósł jakieś narzędzia, które, jak wtedy sądziłam, miały mu służyć w tym celu. Wymieniliśmy również kilka uwag dotyczących pogody – był piękny i słoneczny dzień. Roderick wyglądał na spokojnego i nie przejawiał żadnych oznak zdenerwowania. Po jakimś czasie zobaczyłam, że Roddy wraca przez wioskę. Cały był umazany krwią. Na jego widok wybiegłam z domu, myśląc, że przydarzył mu się jakiś wypadek. Gdy podbiegłam bliżej, zatrzymał się, a narzędzie, które niósł, wypadło mu z ręki. Zapytałam, co się stało, a on odparł bez wahania, że zabił Lachlana Beczkę. Sprawiał wrażenie opanowanego i nic nie wskazywało na to, by zamierzał iść dalej. Krzyknęłam do najstarszej córki, by poszła po ojca, który pracował w stodole za domem. Kiedy ujrzała Roddy'ego zbroczonego

krwią, wrzasnęła. Mieszkańcy wioski, usłyszawszy ten krzyk, wybiegli na podwórza, a ludzie pracujący na polu podnieśli głowy. Bardzo szybko powstało ogólne zamieszanie. Przyznaję, że w tamtej chwili moim pierwszym odruchem było chronienie Roddy'ego przed krewnymi Lachlana Mackenziego. Dlatego gdy mój mąż podbiegł do nas, poprosiłam go, by wciągnął Roddy'ego do naszego domu, ale nie powiedziałam mu, co się wydarzyło. Roddy usiadł przy stole i spokojnie opowiedział nam, co uczynił. Mąż wysłał córkę po naszego sąsiada Duncana Gregora, który miał zadbać o nasze bezpieczeństwo, po czym sam pobiegł do domu Lachlana Mackenziego, gdzie zastał straszliwy widok.

Zeznanie pana Kennetha Murchisona (Kenny'ego Dyma), kamieniarza, mieszkańca Culduie, 12 sierpnia 1869

Tamtego ranka pracowałem w stodole za domem i nagle zauważyłem ogólne poruszenie w wiosce. Gdy wyszedłem na podwórze, ujrzałem najstarszą córkę w takim szoku, że nie mogłem dowiedzieć się od niej, co się stało. Pobiegłem w kierunku ludzi zebranych na drodze. W ogólnym zamieszaniu wciągnąłem z żoną Rodericka do naszego domu, sadząc, że coś mu się przytrafiło. Tam jednak żona wyjaśniła mi, co się wydarzyło, a gdy zapytałem Rodericka, czy to prawda, spokojnie przytaknął. Wtedy pobiegłem do domu Lachlana Mackenziego i odkryłem widok tak straszny, że nie da się tego opisać. Zamknąłem drzwi od wewnątrz i zbadałem ciała, szukając oznak życia, lecz na takie nie natrafiłem. W obawie przed wybuchem agresji ze strony krewnych Lachlana, po ujrzeniu tej straszliwej

sceny wyszedłem i zawołałem pana Gregora, by stanął na straży posiadłości. Wróciłem do swojego domu, przeprowadziłem Roddy'ego do stodoły i zamknąłem go tam. Nie stawiał oporu. Panu Gregorowi niestety nie udało się powstrzymać rodziny Lachlana Beczki przed wtargnięciem do domu krewnego i zobaczeniem zwłok. Gdy zamykałem Roddy'ego, oni zebrali się w żądny zemsty tłum, a uspokojenie ich kosztowało wiele czasu i wysiłku.

Jeśli chodzi o charakter Rodericka Macrae, nie ma wątpliwości, że to dziwny chłopiec, ale nie posiadam odpowiednich kwalifikacji, by ocenić, czy jest taki z natury, czy winne są temu cierpienia, jakich doświadczyła jego rodzina. Jednak jego ostatnie czyny wskazują, iż nie jest zdrowy psychicznie.

Zeznanie wielebnego Jamesa Galbraitha, pastora Kościoła Szkocji, Camusterrach, 13 sierpnia 1869

Obawiam się, że niegodziwe czyny, które zostały ostatnio popełnione w naszej parafii, tylko częściowo odzwierciedlają skalę wrodzonego barbarzyństwa mieszkańców tej osady; zdziczenia, które obecnie jest z powodzeniem zwalczane przez kościół. Mówi się, że historia tych stron jest naznaczona krwawymi i mrocznymi zbrodniami, a tutejsi ludzie charakteryzują się dzikością i obojętnością. Takie cechy rodzą się przez wiele pokoleń, a pomimo iż nauka kościoła ma na ludność dobroczynny wpływ, ukryte instynkty wciąż wypływają na powierzchnię.

Lecz mimo to niejeden człowiek mógłby być zaszokowany wieścią o tym, co zdarzyło się w Culduie. Spośród wszystkich mieszkańców parafii ja chyba najmniej jestem zaskoczony tym, że to Roderick Macrae okazał się sprawcą tych okrucieństw. Wprawdzie od dziecka uczęszczał do świątyni, ale zawsze miałem wrażenie, że ziarna moich słów trafiają u niego na kamienisty grunt. Muszę przyznać, że zbrodnie Rodericka wynikają w pewnym stopniu z mojego zaniedbania, ale czasem trzeba poświęcić baranka dla dobra trzody. W tym chłopcu zawsze tkwiło widoczne już na pierwszy rzut oka zło, które – co z żalem przyznaję – pozostawało poza moim zasięgiem.

Matka chłopca, Una Macrae, była kobietą frywolną i obłudną. Regularnie chodziła do kościoła, ale obawiam się, że myliła Dom Pana z miejscowym centrum życia towarzyskiego. Często słyszałem, jak podśpiewywała sobie w drodze do świątyni, a po nabożeństwie dołączała do grupy kumoszek i prowadziła z nimi niepowściągliwe rozmowy, którym towarzyszyły wybuchy śmiechu. Niejednokroć ją napominałem.

Czuję się zmuszony, by wspomnieć w kilku słowach również o ojcu Rodericka Macrae. John Macrae należy do ludzi najbardziej oddanych Pismu w całej parafii. Jego znajomość Biblii jest niezwykle gruntowna i trzeba podkreślić, że jest on solidny w posłudze. Jednak – podobnie jak w przypadku większości parafian – znajomość treści Ewangelii nie idzie u niego w parze z jej zrozumieniem. Po śmierci żony pana Macrae często odwiedzałem jego dom, oferując wsparcie i modlitwę. Zaobserwowałem wówczas wiele oznak zabobonów i przesądów, które nie powinny mieć miejsca w domostwie osoby wierzącej. Niemniej jednak – nikt z nas nie jest bez winy, toteż uważam Johna Macrae za dobrego i bogobojnego człowieka, który nie zasłużył sobie na tak zwyrodniałe potomstwo.

Zeznanie pana Williama Gilliesa, nauczyciela w Camusterrach, 13 sierpnia 1869

Roderick Macrae był jednym z najzdolniejszych uczniów, jakich uczyłem od przybycia do tej parafii. Z łatwością prześcigał swoich rówieśników w wiedzy z zakresu przyrody, matematyki czy języka, bynajmniej nie okazując przy tym większego wysiłku czy zainteresowania. Jeśli chodzi o jego charakter, mogę podzielić się jedynie swoimi bardzo powierzchownymi spostrzeżeniami. Z pewnością nie był zbyt towarzyski i niechętnie przebywał w otoczeniu kolegów, przez co oni darzyli go nieufnością. Roderick traktował rówieśników z lekceważeniem, graniczącym czasem z pogardą. Gdybym miał się nad tym głębiej zastanowić, musiałbym powiedzieć, że ten stosunek mógł mieć źródło w jego przewadze pod względem wiedzy. Zawsze uważałem go za uprzejmego i ułożonego ucznia, niepodatnego na niestosowne zachowanie. Gdy skończył szesnaście lat, postanowiłem w wyrazie uznania dla jego talentu złożyć wizytę jego ojcu, by zasugerować, że Roderick powinien kontynuować naukę i z czasem pełnić zadania bardziej odpowiadające jego umiejętnościom niż praca na roli. Muszę przyznać, że moja propozycja spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem ojca, którego uważam za małomównego i niezbyt rozgarniętego mężczyznę.

Od tamtej pory nie widziałem Rodericka. Słyszałem jakieś niepokojące pogłoski dotyczące jego znęcania się nad powierzoną mu owcą. Nie mam możliwości sprawdzenia ich, ale skłaniam się ku opinii, iż Roderick jest łagodnym chłopcem, niezdolnym do okrucieństwa, jakie widywałem u jego

rówieśników. Zatem trudno jest mi uwierzyć, że byłby zdolny do popełnienia zbrodni, o którą go oskarżono.

Zeznanie Petera Mackenziego, kuzyna Lachlana Mackenziego (Lachlana Beczki), mieszkańca Culduie, 12 sierpnia 1869

Roderick Macrae jest tak złym człowiekiem, że nikomu nie życzyłbym spotkania go na swojej drodze. Już w dzieciństwie unosił się nad nim zły duch; aura, której u dziecka nikt by się nie spodziewał. Przez wiele lat uważano, że jest niemową zdolnym jedynie do zagadkowego porozumiewania się z wiecznie żyjącą w innym świecie siostrą, która prawdopodobnie również była zamieszana w jego niegodziwe postępki. Generalnie miano go w parafii za imbecyla, ale według mnie był złą na wskroś istotą, a jego ostatnie czyny tylko ten pogląd potwierdziły. Od wczesnych lat bezwzględnie dręczył zwierzęta i ptaki, a w pobliżu wioski dopuszczał się licznych aktów wandalizmu. Przebiegły był jak sam diabeł. Kiedy miał jakieś dwanaście lat, w stodole mojego kuzyna Aeneasa Mackenziego ktoś podłożył ogień, który zniszczył mnóstwo wartościowych narzędzi i wiele ziarna. Chłopaka widziano w sąsiedztwie budynku, ale zarzekał się, że o niczym nie wie, a Czarny Macrae (jego ojciec, John Macrae) przysięgał, że w tamtym czasie nie spuszczał z syna oka. Dzięki temu łobuz uniknął kary, ale podobnie jak w wielu innych wypadkach, bez wątpienia to on był winny. Jego ojciec również jest osobą o wątłym umyśle,

skrywającą swoją głupotę za gorliwym przestrzeganiem Pisma i służalczym stosunkiem wobec pastora.

Nie było mnie w Culduie w dniu morderstw i słyszałem o nich jedynie z opowiadań po powrocie tamtego wieczora.

Mapa Culduie i okolic

Według mapy kapitana MacPhersona z 1875 roku, rycina z 1878 roku

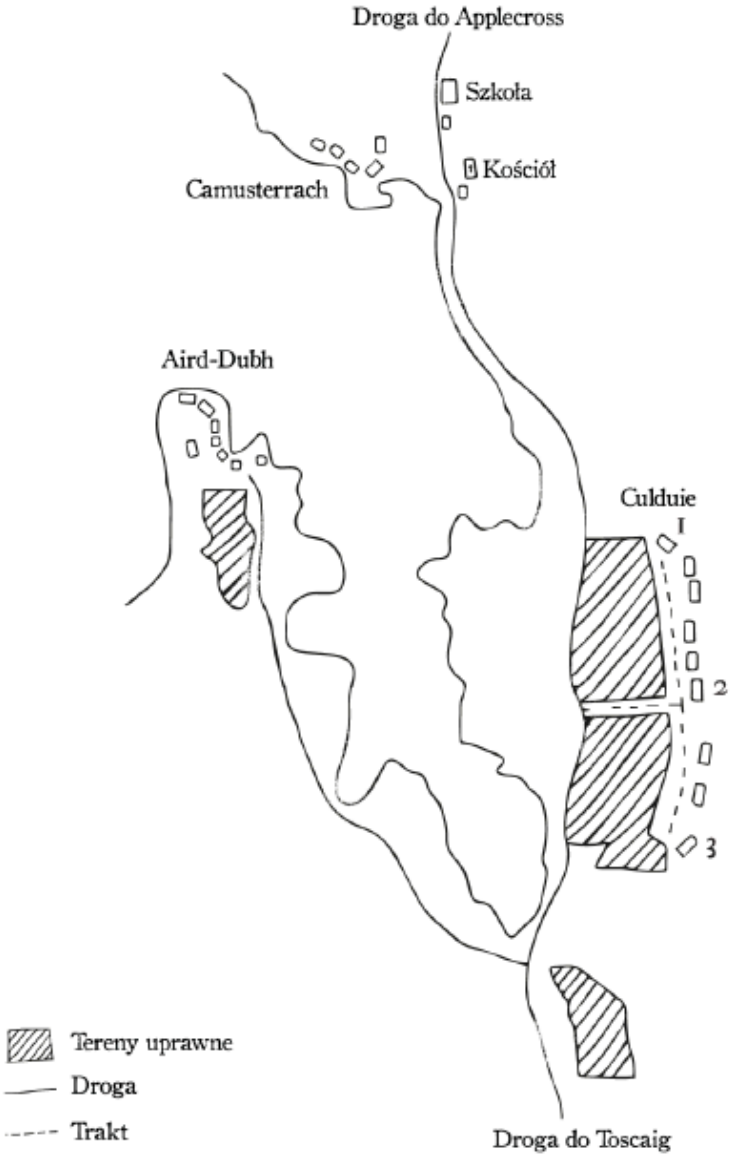

Realacja Rodericka Macrae

Piszę to na prośbę mojego adwokata – pana Andrew Sinclaira, który traktował mnie tu, w Inverness, z uprzejmością, na jaką w żaden sposób nie zasługuję. Moje życie było krótkie i mało znaczące, a ja nie zamierzam uchylać się od odpowiedzialności za czyny, które ostatnio popełniłem. Swe słowa przelewam na papier jedynie po to, by odwdzięczyć się mojemu pełnomocnikowi za okazaną życzliwość.

Pan Sinclair pouczył mnie, bym jak najklarowniej przedstawił okoliczności morderstwa Lachlana Mackenziego oraz pozostałych ofiar, a ja uczynię to najlepiej, jak potrafię, z góry przepraszając za ubóstwo słowne i prostacki styl.

Zacznę od tego, że dokonując tych czynów, chciałem jedynie wybawić mojego ojca od udręk, jakich ostatnio doświadczył. Ich źródłem był nasz sąsiad, Lachlan Mackenzie, a dla losu mojej rodziny wielką korzyścią było to, że usunąłem go z tego świata. Przyznaję, że już od narodzin nie byłem dla ojca niczym innym jak przekleństwem, a to, że opuszczę dom rodzinny, z pewnością przyniesie mu ulgę.

Nazywam się Roderick John Macrae. Urodziłem się w 1852 roku i całe dotychczasowe życie spędziłem w wiosce Culduie w hrabstwie Ross. Mój ojciec, John Macrae, jest dzierżawcą gruntu i ma dobrą opinię w naszej parafii. Nie zasługuje na to, by jego dobre imię zostało zszargane przez haniebne czyny, których się dopuściłem. Moja matka, Una, urodziła się w 1832 roku w miasteczku Toscaig, jakieś dwie mile na południe od Culduie. Umarła przy porodzie mojego brata Iaina w 1868 roku i to zdarzenie, moim zdaniem, stało się początkiem naszych problemów.

* * *

Culduie to miejscowość dzierżawcza, składająca się z dziewięciu domów, należąca do parafii Applecross. Położona jest mniej więcej milę na południe od Camusterrach, gdzie znajdują się kościół i szkoła, w której otrzymałem wykształcenie. Wioska Applecross posiada gospodę i targowisko, a to sprawia, że niewielu podróżnych zapuszcza się do Culduie. W zatoce Applecross stoi Wielki Dom. Mieszka w nim lord Middleton i zabawia swoich gości w porze wakacyjnej. W Culduie nie ma żadnych atrakcji ani rozrywek, które mogłyby zwabić przyjezdnych. Droga z naszej miejscowości prowadzi do Toscaig i nigdzie indziej, zatem mamy niewielki kontakt ze światem.

Culduie leży u podnóża Càrn nan Uiaghean, jakieś trzysta jardów od morza. Wioskę i drogę dzieli obszar żyznej gleby uprawianej przez mieszkańców. Nad wsią znajdują się letnie pastwiska, a także złoża torfu, dzięki którym mamy opał. Wychodzący daleko w morze półwysep Aird-Dubh stanowi naturalną przystań i chroni Culduie przed dokuczliwym klimatem. Wioska Aird-Dubh nie jest bogata w ziemię uprawną, a większość mieszkańców zajmuje się połowem ryb. Społeczności obu wsi prowadzą handel wymienny, ale znajomości nie wykraczają poza niezbędne kontakty i trzymamy się nawzajem na dystans. Zdaniem mojego ojca ludzie z Aird-Dubh są niechlujni i niemoralni, więc pomimo iż z konieczności prowadzi z nimi interesy, nie znosi ich. Jak to zazwyczaj bywa wśród handlarzy rybami, mężczyźni stamtąd nie mają umiaru w piciu whisky, zaś ich żony nie przebierają w słowach. Chodziłem z ich dziećmi do szkoły i mogę potwierdzić, że z wyglądu nie różnią się od innych, ale są podstępne i nie wolno im ufać.

Przy trakcie łączącym Culduie z drogą stoi dom Kenny'ego Dyma. Jest najpiękniejszy w wiosce, bo posiada niezwykły dach łupkowy. Pozostałe osiem domów zbudowano z kamienia wzmocnionego torfem i pokryto

strzechą. Każdy ma jedno albo dwa przeszklone okna. Mój dom rodzinny jest najbardziej wysunięty na północ i usadowiony tak jakoś na rogu, że podczas gdy inne domy mają widok na zatokę, od nas widać tylko wioskę. Dom Lachlana Beczki można dostrzec na przeciwległym końcu Culduie, i jest on drugim – po domu Kenny'ego Dyma – największym domem w naszej miejscowości. Pozostałe domy zamieszkują dwie kolejne rodziny z klanu Mackenziech, rodzina MacBeath, pani i pan Gillanders, którzy mieszkają sami, gdyż wszystkie ich dzieci wyjechały, nasz sąsiad McGregor z rodziną oraz pani Finlayson – wdowa. Poza tymi dziewięcioma domami są różne przybudówki, wiele z nich o dość szczególnej konstrukcji, w których trzyma się zwierzęta, przechowuje narzędzia itp. Tak wygląda nasza społeczność.

Nasz dom składa się z dwóch pomieszczeń. Większą część budynku zajmuje obora, a na prawo od jej drzwi jest nasze domostwo. Klepisko mamy nieco pochylone w kierunku morza, dzięki czemu moczówka nie spływa nam do izby. Obora jest przedzielona barierką z drewna zebranego na brzegu morza. Na środku izby stoi piec, a obok niego stół, przy którym jadamy posiłki. Oprócz stołu mamy dwie solidne ławki, fotel ojca i duży drewniany kredens, który matka wniosła do domu jako wiano. Śpię z młodszym bratem i siostrą na pryczy na końcu pokoju. W izbie na tyłach domu śpią ojciec i starsza siostra Jetta. Mój ojciec zrobił dla niej osobne łóżko. Zazdroszczę jej tego i często marzę, by leżeć tam razem z nią, ale tu u mnie jest cieplej, a w czarnych miesiącach, gdy zwierzęta są w domu, lubię słuchać delikatnych odgłosów, jakie wydają. Mamy dwie krowy mleczne i sześć owiec. Na tyle zezwala nam udział we wspólnych pastwiskach.

Na początku powinienem zaznaczyć, że między moim ojcem a Lachlanem Mackenziem były jakieś dawne zatargi, jeszcze zanim

przyszedłem na świat. Nie znam źródła tej wzajemnej niechęci, bo ojciec nigdy o tym nie mówił. Nie wiem także, po czyjej stronie leży wina i czy ta wrogość powstała za ich życia, czy też była skutkiem waśni ich przodków. W tych stronach często chowa się urazę nawet wtedy, gdy jej źródło dawno odeszło w niepamięć. Na szczęście mój ojciec nigdy nie wciągał w ten spór mnie ani innych członków naszej rodziny. Sądzę zatem, że musiał pragnąć zgody, bez względu na charakter tych zatargów.

Jako mały chłopiec obawiałem się Lachlana Beczki i nie zapuszczałem się poza zbieg dróg na końcu wioski, gdzie znajduje się skupisko członków klanu Mackenziech. Oprócz Lachlana Beczki mieszkają tam jeszcze rodziny jego brata Aeneasa i jego kuzyna, Petera, którzy są znani ze swoich hulanek i częstych awantur w gospodzie w Applecross. Wszyscy trzej są bardzo krzepkimi, silnymi ludźmi, którzy lubią patrzeć, jak inni ze strachu schodzą im z drogi. Pewnego razu, gdy miałem pięć czy sześć lat, puszczałem latawiec, który zrobił mi ojciec ze strzępów jakiegoś worka. Nagle latawiec wpadł na pole, a ja dość lekkomyślnie pobiegłem za nim, aby go odzyskać. Uklękłem i próbowałem rozwiązać sznurek wplątany w kukurydzę, gdy nagle poczułem, że chwyta mnie jakaś olbrzymia ręka i ciągnie z wielką siłą ku drodze. Wciąż ściskałem latawiec, ale Lachlan Beczka wyrwał mi go i rzucił na ziemię. Potem uderzył mnie otwartą dłonią w głowę i zwalił z nóg. Byłem tak przerażony, że straciłem kontrolę nad swoim pęcherzem, co naszego sąsiada bardzo rozbawiło. Podniósł mnie i ciągnął przez całą wioskę. Beczka zwymyślał mojego ojca za szkodę, jaką wyrządziłem na jego polu. Zamieszanie przyciągnęło uwagę matki. Podeszła do drzwi i w tym momencie Beczka wypuścił mnie z żelaznego uścisku. Wpadłem do domu jak wystraszony pies i schowałem się skulony w oborze. Jeszcze tego wieczoru Lachlan wrócił do nas i zażądał pięciu szylingów odszkodowania za stracone plony. Ukryłem się w tylnej izbie

i nasłuchiwałem. Moja matka odmówiła, tłumacząc, że szkody, jakich doznały jego zbiory, musiały powstać na skutek wleczenia mnie przez pole. Wtedy Beczka wniósł skargę do konstabla, ale została oddalona. Pewnego ranka kilka dni później ojciec odkrył, że znaczna część naszych upraw została w nocy stratowana. Nie wiedzieliśmy, kto to zrobił, ale nikt nie miał wątpliwości, że była to sprawka Lachlana i jego krewnych.

Gdy dorosłem, zawsze towarzyszyło mi jakieś złe przeczucie, gdy schodziłem do dolnej części wioski.

* * *

Mój ojciec urodził się w Culduie i dorastał w domu, w którym teraz żyjemy. Niewiele wiem o jego dzieciństwie, tylko tyle, że rzadko chodził do szkoły i cierpiał niedolę, o jakiej moje pokolenie nie ma pojęcia. Nigdy nie widziałem, by ojciec umiał napisać coś więcej niż własne nazwisko, i choć zarzekał się, że potrafi pisać, niewprawnie trzymał pióro w zaciśniętej dłoni. Tak czy inaczej, ta umiejętność nie była mu zbytnio potrzebna. Nie istniały żadne słowa, które musiałby przelewać na papier. Często przypominał nam, jakie mamy szczęście, że żyjemy w czasach, gdy luksusy takie jak herbata, cukier czy inne towary są dostępne.

Ojciec mojej matki był stolarzem, który robił meble dla kupców w Kyle na półwyspie Lochalsh i na wyspie Skye. Żeglował po wybrzeżu i sprzedawał swe wyroby. Przez jakiś czas mój ojciec posiadał jedną trzecią udziałów w kutrze rybackim, który cumował w Toscaig. Pozostałymi wspólnikami w interesie byli jego brat Iain i brat mojej matki, który również miał na imię Iain. Łódź nazywała się Morus, ale zawsze mówiło się o niej Dwaj Iainowie, co złościło ojca. Był bowiem z całej trójki najstarszy, przez co uważał się za szefa całego przedsięwzięcia. Gdy matka była młodą dziewczyną, lubiła chodzić na molo, by witać Dwóch Iainów.

Oficjalnie witała swojego brata, ale jej prawdziwym celem było obserwowanie ojca wychodzącego z łodzi. Unosił stopę nad wodą, czekając na odpowiednią chwilę do zacumowania kutra. Zarzucał wtedy linę na poler, po czym przymocowywał łódź do kei. Wykonywał to wszystko tak, jakby nie wiedział, że ktoś go obserwuje. Ojciec nie był przystojnym mężczyzną, ale nieśpieszny sposób uwiązywania łodzi wzbudzał w matce podziw. W jego ciemnych oczach było coś, co sprawiało, że jej serce biło szybciej. Lubiła nam o tym opowiadać. Jeśli ojciec był wówczas w pobliżu, zawsze kazał matce przestać trajkotać, ale mówił to tonem, który zdradzał, że słuchanie tego sprawia mu przyjemność.

Nasza matka była najpiękniejszą dziewczyną w całej parafii i mogła przebierać w kawalerach. To wywoływało u mojego ojca nieśmiałość i nigdy nie zdobył się na to, by odezwać się do niej choćby jednym słowem. Pewnego wieczoru, pod koniec sezonu na połów śledzia w 1850 roku, zerwał się sztorm i mały kuter roztrzaskał się o skały kilka mil na południe od przystani. Ojciec się uratował, ale obu Iainów zginęło. Nigdy nie mówił o tym wypadku i nigdy więcej nie postawił nogi na pokładzie łodzi. Żadnemu ze swoich dzieci również nie pozwolił tego uczynić. Ci, którzy nie wiedzieli o tym wydarzeniu z jego przeszłości, z pewnością odnosili wrażenie, że cierpi na irracjonalny lęk przed morzem. Wypadek spowodował, że wśród miejscowych pojawił się przesąd, jakoby złowróżbne było podejmowanie przedsięwzięć wraz ze swoim imiennikiem. Nawet ojciec, który drwił sobie z zabobonów, unikał robienia interesów z kimś, kto nosił jego imię.

Na stypie po pogrzebie mojego wuja ojciec podszedł do matki, by złożyć jej kondolencje. Była tak smutna, że powiedział jej, że gdyby było to możliwe, chętnie zamieniłby się z jej bratem. Były to pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek do niej skierował. Matka odparła, że cieszy się, że to właśnie

on przeżył, i modli się do Boga o odpuszczenie swych haniebnych myśli. Trzy miesiące później wzięli ślub.

Moja siostra Jetta urodziła się rok po ślubie rodziców, a ja przyszedłem na świat tuż po niej – tak szybko, jak natura na to pozwoliła. Dzięki niewielkiej różnicy wieku wytworzyła się między nami więź równie silna jak między bliźniętami. Lecz jeśli chodzi o wygląd, chyba nie moglibyśmy bardziej się od siebie różnić. Jetta ma pociągłą twarz matki i szerokie usta. Jej niebieskie oczy, podobnie jak u matki, mają kształt migdałów, a włosy są piaskowo żółte. Gdy wydoroślała, ludzie powiadali, że gdy matka patrzy na Jettę, musi mieć wrażenie, że spogląda w lustro. Natomiast ja odziedziczyłem po ojcu krzaczaste brwi, gęste czarne włosy i małe ciemne oczy. Mamy podobną posturę, wątlejszą niż przeciętna, wypukłe klatki piersiowe i szerokie ramiona.

Pod względem charakteru również byliśmy kopią rodziców, Jetta była dość wesoła i towarzyska, podczas gdy o mnie mawiano, że jestem małomówny i ponury. Oprócz podobnego wyglądu i usposobienia Jetta odziedziczyła po matce również wielką wrażliwość na zjawiska nadprzyrodzone. Nie wiem, czy urodziła się z tym darem, czy nabyła go wskutek tajemnych nauk matki, ale obie były podatne na wizje i bardzo zainteresowane wróżbami i urokami. Rankiem tamtego dnia, gdy zginęli Iainowie, matka ujrzała puste miejsce na ławie, gdzie brat siadywał przy śniadaniu. Obawiając się, że posiłek wystygnie, wyszła na dwór i zawołała go. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wróciła do domu i zastała brata przy stole spowitego w bladoszary całun. Zapytała, gdzie był, a on odpowiedział, że nie ruszał się z miejsca. Błagała go, by tego dnia nie wypływał w morze, ale wyśmiał jej prośby. Wiedząc, że z Opatrznością się nie pertraktuje, zamilkła. Matka często opowiadała nam tę historię, ale tylko wtedy, gdy

ojciec nie słyszał, bowiem nie wierzył w takie rzeczy i nie pochwalał tego, że nam o tym mówiła.

Na co dzień matka kierowała się wiarą w rytuały i uroki, których celem było odpędzenie demonów i złego losu. Drzwi i okna naszego domu przystrajała gałązkami jarzębiny i jałowca. Wplatała je także we włosy tak, by ojciec nie mógł ich dostrzec. Nosiła warkocz ozdobiony kolorową przędzą.

Od kiedy ukończyłem mniej więcej osiem lat, w czarnych miesiącach chodziłem do szkoły w Camusterrach. Każdego poranka szedłem tak ręka w rękę z Jettą. Naszą pierwszą nauczycielką była pani Galbraith, córka pastora. Była młoda, smukła, nosiła długie spódnice i białe koszule z kołnierzykiem pod samą brodę, spięte broszką przedstawiającą kobiecy profil. Wokół talii wiązała sobie fartuch, w który wycierała ręce po pisaniu kredą na tablicy. Miała bardzo długą szyję, a gdy się zamyślała, podnosiła oczy do góry i przechylała głowę na bok. Ta postawa przypominała kaschrom[5]. Jej włosy były upięte spinkami na czubku głowy. Podczas lekcji czasem rozpuszczała je, przez jakiś czas trzymała spinki w ustach, a potem wpinała je z powrotem. Robiła tak trzy albo cztery razy dziennie i lubiłem ją wtedy ukradkiem obserwować. Panna Galbraith była uprzejma i mówiła łagodnym głosem. Gdy starsi uczniowie rozrabiali, miała wielkie problemy z uciszeniem ich i udawało się jej to tylko wtedy, gdy groziła, że przyprowadzi swojego ojca.

Jetta i ja byliśmy niemal nierozłączni. Panna Galbraith często żartowała, że gdybym mógł, wskoczyłbym swojej siostrze do kieszeni fartucha. Przez pierwsze kilka lat nauki odzywałem się bardzo rzadko. Gdy panna Galbraith albo któryś z moich kolegów odzywał się do mnie, odpowiedzi udzielała im Jetta. Niezwykła była dokładność, z jaką wyrażała moje myśli. Panna Galbraith tolerowała ten zwyczaj i często pytała Jettę:

– Czy Roddy zna odpowiedź?

Nasza więź izolowała nas od rówieśników. Nie mogę mówić w imieniu Jetty, ale ja nie miałem ochoty okazywać życzliwości żadnemu dziecku i one również nie były mi życzliwe.

Czasami koledzy okrążali nas na boisku i śpiewali:

Tu stoją Czarni Macrae, brudni Czarni Macrae.

Tu stoją Czarni Macrae, flejtuchy Czarni Macrae.

„Czarni Macrae" to przezwisko, które nadano rodzinie mojego ojca z powodu – jak twierdził ojciec – śniadego odcienia skóry. Ojciec bardzo nie lubił tego określenia i nie odpowiadał, gdy ktoś zwracał się do niego w ten sposób. Lecz mimo to wszyscy znali go jako Czarnego Macrae. Źródłem uciechy w całej wiosce był też fakt, że mama była znana jako Czarna Una – pomimo płowych włosów.

Ja także nie lubiłem tego określenia, a za szczególnie niesprawiedliwe uważałem to, że jest ono przypisywane również mojej siostrze. Gdy śpiewu moich kolegów nie przerwał w odpowiedniej chwili dzwonek obwieszczający koniec przerwy, uderzałem tego, kto stał akurat najbliżej, co naszym dręczycielom sprawiało tylko jeszcze większą frajdę. Powalali mnie wówczas na ziemię i przyjmowałem kopniaki i ciosy innych chłopców – szczęśliwy, że odwróciłem ich uwagę od Jetty.

Niezła heca, niezła heca, głupi Czarny Roddy znów leży na plecach!

To, że znajduję się w centrum uwagi, sprawiało mi, ku mojemu zdumieniu, radość. Podświadomie przeczuwałem, że jestem inny niż moi rówieśnicy i pielęgnowałem w sobie cechy, które mnie od nich odróżniały. Podczas przerw, w celu uwolnienia Jetty od obelg, odłączałem się od niej

i stawałem albo kucałem w rogu boiska. Obserwowałem innych chłopców, brzęczących jak muchy, biegających za piłkami lub bijących się. Dziewczęta też się bawiły, ale ich zabawy były mniej brutalne i głupie niż chłopców. Nie miały też zwyczaju zaczynania zabaw natychmiast po wybiegnięciu na podwórze i nieprzerywania ich nawet po tym, jak panna Galbraith uderzała w dzwon, ogłaszając koniec przerwy. Czasami dziewczęta zachowywały się bardzo cicho. Gromadziły się w ustronnym zakątku, by nie robić nic innego, jak tylko rozmawiać przyciszonym głosem. Niekiedy próbowałem do nich dołączyć, ale byłem niezmiennie odrzucany. Podczas lekcji szydziłem w duchu z kolegów, gdy gwałtownie podnosili ręce do góry, by dać nauczycielce odpowiedź na najbardziej oczywiste pytania albo gdy dukali, czytając najprostsze słowa. Kiedy podrośliśmy, zacząłem nieco wyprzedzać siostrę w wiedzy na różne tematy. Pewnego dnia podczas zajęć z geografii panna Galbraith spytała, jak nazywa się półkula niebieska. Ponieważ wszyscy milczeli, zwróciła się do Jetty:

– Może Roddy wie?

Jetta popatrzyła na mnie i odparła:

– Przykro mi. Ani Roddy, ani ja nie wiemy.

Panna Galbraith wyglądała na rozczarowaną. Odwróciła się, by napisać odpowiedź na tablicy. Wtedy bez namysłu wstałem z krzesła i krzyknąłem:

– Hemisfera! – na co klasa zareagowała śmiechem. Panna Galbraith odwróciła się, a ja powtórzyłem to słowo, zajmując na powrót swoje miejsce. Nauczycielka skinęła głową i pochwaliła mnie. Od tamtego dnia Jetta przestała mówić za mnie, a ponieważ ja również nie mówiłem, zostałem bez głosu.

Panna Galbraith wyszła za mąż za człowieka, który przybył do posiadłości lorda Middletona na polowanie, a po ślubie szybko opuściła

Camusterrach i zamieszkała w Edynburgu. Niezmiernie lubiłem pannę Galbraith i było mi przykro, kiedy wyjechała. Po niej przyszedł pan Gillies. Był młodym mężczyzną, wysokim i szczupłym, o cienkich, jasnych włosach. Różnił się od mężczyzn z naszych stron, którzy są przeważnie niscy, krępi i mają gęste, czarne włosy. Na gładko ogolonej twarzy nosił owalne binokle. Pan Gillies był bardzo wykształconym człowiekiem, skończył studia w Glasgow. Uczył nas nie tylko czytania, pisania i rachunków, lecz także przyrody i historii, czasami też popołudniami opowiadał nam historie o potworach i bogach z mitologii greckiej. Każdy bóg nosił jakieś imię, niektórzy mieli żony i dzieci, a one także były bogami. Pewnego dnia zapytałem pana Gilliesa, jak to możliwe, że jest więcej niż jeden bóg, a on odpowiedział, że greccy bogowie nie byli tacy jak nasz Bóg. Byli po prostu istotami nieśmiertelnymi. Mitologia to słowo, które oznacza, że coś nie jest prawdziwe; były to tylko opowiastki dla rozrywki.

Ojciec nie lubił pana Gilliesa. Uważał go za przemądrzałka i twierdził, że nauczanie dzieci nie jest właściwą pracą dla mężczyzny. Wprawdzie nie umiem wyobrazić sobie pana Gilliesa tnącego torf lub kopiącego ziemię, lecz mimo to nauczyciela i mnie łączyła szczególna nić porozumienia. Wywoływał mnie tylko wtedy, gdy nikt z moich kolegów nie znał odpowiedzi – dobrze wiedział, że jeśli nie podnoszę ręki, to nie dlatego, że nie wiem, ale dlatego, że nie chcę sprawiać wrażenia, że jestem mądrzejszy od rówieśników. Pan Gillies często dyktował mi zadania inne niż pozostałym uczniom, a ja dokładałem wszelkich starań, by go zadowolić. Pewnego popołudnia pod koniec lekcji poprosił mnie, żebym jeszcze nie wychodził. Czekałem więc w swojej ostatniej ławce, podczas gdy inni hałaśliwie opuszczali salę. Wtedy przywołał mnie do swojego biurka. Nie przypominałem sobie, żebym dopuścił się nieodpowiedniego zachowania,

ale nie widziałem innego powodu do wyróżnienia mnie w ten sposób. Myślałem, że oskarży mnie o coś, czego nie zrobiłem. Postanowiłem niczemu nie zaprzeczać i zaakceptować każdy rodzaj kary, jaki miał zostać mi wymierzony.

Pan Gillies odłożył pióro i zapytał mnie o plany na przyszłość. Nie było to pytanie, jakie mogłaby zadać osoba z naszych stron. Czynienie planów było obrazą Opatrzności. Nie odpowiedziałem. Pan Gillies zdjął swoje małe okulary.

– Chcę przez to powiedzieć – wyjaśnił – co będziesz robił, gdy skończysz szkołę?

– Jedynie to, co jest mi pisane – odparłem.

Pan Gillies zmarszczył brwi.

– A co jest ci pisane?

– Nie wiem – odrzekłem.

– Roddy, pomimo twoich starań, by to ukryć, wiem, że Bóg obdarzył cię niezwykłym darem. Zmarnowanie go byłoby grzechem.

To sformułowanie mnie zaskoczyło, bowiem pan Gillies nie był raczej zbyt pobożny. Nie odpowiedziałem, więc podjął bardziej bezpośrednią próbę.

– Czy myślałeś o kontynuowaniu edukacji? Jestem pewien, że masz wyjątkowy talent i mógłbyś zostać nauczycielem, pastorem albo kimkolwiek zechcesz.

Oczywiście, że nie myślałem o niczym takim i powiedziałem mu to.

– Może powinieneś porozmawiać o tym z rodzicami – upierał się. – Przekaż im, że według mnie masz duże możliwości.

– Ale moim przeznaczeniem jest gospodarstwo – odrzekłem.

Pan Gillies westchnął głęboko. Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił. Poczułem, że go rozczarowałem. Rozmyślałem o tej sytuacji, wracając do domu. Nie mogę zaprzeczyć, że byłem bardzo przejęty rozmową. Przez całą drogę z Camusterrach do Culduie wyobrażałem sobie siebie w wytwornym salonie Edynburga czy Glasgow, w stroju dżentelmena, rozmawiającego na poważne tematy. Lecz sądzę, że pan Gillies żył złudzeniami. Mylił się, sądząc, że coś takiego leży w zasięgu dziecka z Culduie.

* * *

Pan Sinclair poprosił mnie, abym opisał coś, co on nazywa „łańcuchem zdarzeń" prowadzącym do zabójstwa Lachlana Beczki. Wnikliwie zastanawiałem się, co mogłoby być pierwszym ogniwem. Można by powiedzieć, że były nim moje narodziny albo nawet dzień, w którym moi rodzice poznali się lub pobrali, albo kiedy zatonęła łódź Iainów, bo właśnie to wydarzenie zbliżyło moich rodziców do siebie. Z całą pewnością należałoby uznać, że Lachlan Beczka żyłby do dzisiaj, gdyby którekolwiek z tych zdarzeń nie miało miejsca. A przynajmniej nie zginąłby z mojej ręki i wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Gdybym na przykład posłuchał rady pana Gilliesa, mógłbym opuścić Culduie, zanim doszło do opisywanych tu wydarzeń. W ten sposób próbowałem ustalić moment, w którym śmierć Lachlana Beczki stała się nieunikniona – czyli tę chwilę, która nie mogłaby doprowadzić do żadnego innego skutku. Sądzę, że tą chwilą była śmierć mojej matki jakieś półtora roku temu. To było źródło wszystkich kolejnych wydarzeń. Nie piszę o tym, by wzbudzić w kimś współczucie. Nie potrzebuję niczyjej litości.

Mama była wesołą kobietą o łagodnym usposobieniu. Robiła, co mogła, by zadbać o pogodną atmosferę w naszym domu. Lubiła śpiewać podczas

wykonywania codziennych obowiązków. Gdy któreś z dzieci zachorowało albo spotkała je krzywda, starała się przyjmować to z uśmiechem i nie rozpamiętywaliśmy takich wydarzeń. Nasi goście zawsze byli witani gorącą herbatą. Podczas wizyt ojciec zachowywał się uprzejmie, ale rzadko siadał przy stole. Wolał stać z boku, po chwili wymawiając się, że nawet jeśli oni mogą odpoczywać, to on ma jeszcze coś do zrobienia. Efekt najczęściej był taki, że goście się rozchodzili. Na zawsze pozostanie tajemnicą, dlaczego matka poślubiła takiego mruka jak John Macrae, mając w parafii tak ogromny wybór zalotników. Niemniej jednak dzięki jej staraniom sprawialiśmy wówczas wrażenie bardzo szczęśliwej rodziny.

Dla ojca było pewnym zaskoczeniem to, że matka zaszła w ciążę po raz czwarty. Miała wtedy trzydzieści pięć lat i od narodzin bliźniaków upłynęły dwa lata. Dobrze pamiętam wieczór, gdy zaczął się poród. Noc była niespokojna, a kiedy matka sprzątała naczynia po kolacji, odeszły jej wody i dała ojcu znak, że już czas. Posłano po położną, która mieszkała w Applecross, a ja wraz z bliźniakami musiałem przenieść się do domu Kenny'ego Dyma. Jetta została, by asystować przy porodzie. Zanim opuściłem dom, zawołała mnie do tylnej izby, abym ucałował matkę. Mama ścisnęła moją rękę i powiedziała, że mam być dobrym chłopcem i opiekować się rodzeństwem. Po tych słowach Jetta zbladła, a w jej oczach pojawił się strach. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że obie miały przeczucie, że tej nocy odwiedzi nas śmierć, ale nigdy nie rozmawiałem o tym z Jettą.

Przez całą tę noc ani na chwilę nie zmrużyłem oka, choć leżałem na bardzo wygodnym materacu, na który położono mnie, gdy udawałem, że zasnąłem. O poranku Carmina Dym, gorzko płacząc, powiedziała mi, że matka odeszła. Powodem śmierci były podobno jakieś komplikacje po porodzie. Dziecko przeżyło i zostało wysłane do rodziny mojej matki

w Toscaig, gdzie miała zająć się nim siostra matki. Nigdy nie widziałem brata i wcale tego nie pragnąłem. W naszej wiosce zapanowała ogólna żałoba, matka była promieniem słońca, który żywi plony.

To wydarzenie spowodowało wiele zmian w naszej rodzinie. Największą była ogólna atmosfera smutku, która spadła na nasz dom i wisiała nad nim jak dym. Ojciec zmienił się najmniej z nas, w dużym stopniu dlatego, że nigdy nie był zbyt wesoły. Zawsze, gdy przeżywaliśmy momenty wspólnej radości, to jego śmiech cichł jako pierwszy. Spuszczał oczy, jakby ten moment szczęścia go zawstydzał. Lecz po śmierci matki jego oblicze przybrało bardzo surowy wyraz, jak gdyby ściął je lód. Nie chcę przedstawiać ojca jako bezdusznego i nieczułego człowieka. Nie wątpię również, że śmierć żony bardzo go zraniła. Myślę, że był bardzo przywykły do nieszczęść i poczuł wyraźną ulgę, że nie musi już udawać na tym świecie radości.

W tygodniach i miesiącach po pogrzebie wielebny Galbraith często odwiedzał nasz dom. Pastor imponuje swoją posturą, ubrany niezmiennie w czarny płaszcz i białą koszulę ściągniętą przy kołnierzu, ale bez krawata czy fularu. Jego siwe włosy są przycięte, a bokobrody rosną gęsto na polikach i również są schludnie przystrzyżone. Ludzie często mawiali, że jego małe, ciemne oczy wyglądają, jakby należały do człowieka, który czyta w myślach. Ja sam unikałem jego wzroku, lecz byłem pewien, że i tak może przeniknąć złe wizje kłębiące się często w mojej głowie. Przemawiał dźwięcznym, donośnym głosem i chociaż jego kazania nierzadko wykraczały poza moje możliwości zrozumienia, przyjemnie się ich słuchało.

Podczas mszy żałobnej na pogrzebie matki długo rozprawiał na temat cierpienia.

– Człowiek – mówił – nie tylko jest winien grzechu, lecz jest również jego niewolnikiem. Oddaliśmy się w służbę szatana i okowy grzechu oplatają nas wokół szyi.

Pan Galbraith prosił, abyśmy przyjrzeli się światu i jego niezliczonym utrapieniom.

– Co jest przyczyną chorób i cierpienia, biedy, bólu i śmierci, jakich doświadczamy każdego dnia? – spytał. – To, że wszystkie utrapienia są owocami naszego grzechu. Człowiek jest zbyt słaby, by samodzielnie zrzucić z siebie jarzmo winy. Dlatego potrzebujemy odkupiciela i zbawcy, bez którego wszyscy zginiemy.

Po tym, jak trumna matki została oddana ziemi, ruszyliśmy przez wrzosowiska w uroczystej procesji do domu. Dzień, jak często bywa w tych stronach, był całkiem szary. Niebo, góry Raasay i woda w zatoce przybrały tę samą barwę. Ojciec nie uronił żadnej łzy ani podczas kazania, ani później. Jego twarz przybrała surowy wyraz, który odtąd rzadko się zmieniał. Nie mam wątpliwości, że bardzo wziął sobie do serca słowa pana Galbraitha. Jeśli chodzi o mnie, byłem przekonany, że to nie przez grzechy ojca matka odeszła, ale przez moje. Rozmyślałem o kazaniu pastora i poprzysiągłem sobie, mając za świadka szarą ziemię pod stopami, że gdy tylko nadarzy się okazja, stanę się wybawicielem ojca i uwolnię go od okropnego położenia, do jakiego doprowadziła go moja grzeszność.

Kilka miesięcy później pan Galbraith przyjął ojca do służby w kościele. Ojciec oswoił się z myślą, że dotychczasowe udręki zawsze wynikały z jego grzesznej natury. Zdaniem pastora cierpienie ojca mogło stać się pouczające dla reszty zgromadzenia, szczególnie dzięki temu, że było widywane codziennie. Czasem myślę, że śmierć matki była panu Galbraithowi na rękę, gdyż potwierdzała słuszność jego nauki.

Bliźniaki ciągle płakały za matką, i gdy wspominam ten czas, słyszę ich nieprzerwane zawodzenie. Z powodu dużej różnicy wieku nigdy nie czułem wobec młodszego rodzeństwa niczego poza obojętnością, ale wówczas wzbudzały we mnie prawdziwą nienawiść. Gdy jedno na chwilę milkło, drugie zaczynało płakać. Ojciec nie tolerował lamentów dzieci i próbował uciszyć je klapsami, lecz odnosiło to przeciwny skutek. Pamiętam dobrze, jak siedziały ściśnięte jedno obok drugiego na materacu z przerażeniem wymalowanym na twarzach, gdy ojciec zmierzał przez pokój, by znów złoić im skórę. Zostawiałem interwencje Jetcie i z łatwością mogłem sobie wyobrazić ojca tłukącego tych małych nieszczęśników na śmierć. W pewnym momencie padła propozycja, by odesłać bliźniaki do Toscaig, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć, upierając się, że Jetta jest już dość duża, by pełnić rolę matki.

Moja droga siostra Jetta zmieniła się w tym czasie tak bardzo, jakby w nocy zastąpił ją jakiś sobowtór. W miejsce wesołej i czarującej dziewczyny pojawiła się posępna, zamyślona postać, przygarbiona i odziana pod naciskiem ojca we wdowią czerń. Jetta została zmuszona do pełnienia obowiązków matki i żony. Przygotowywania posiłków i służenia ojcu tak, jak przedtem czyniła to matka. Musiała również przenieść się do tylnej izby. Jej nowa pozycja w rodzinie zasługiwała zdaniem ojca na inny stopień prywatności i intymności. Jednak ogólnie rzecz biorąc nie znosił jej, jakby z powodu podobieństwa do zmarłej żony patrzenie na nią sprawiało mu ból.

Jetta, jeszcze niedawno najweselsza z nas, najdotkliwiej odczuwała przygnębienie, które na wskroś przenikało cały dom. Nie wiem, czy przeczuwała śmierć matki, bo nigdy ze mną o tym nie rozmawiała, ale zamiast porzucić rytuały i obrzędy, które nie odpędziły złego losu, tym zapalczywiej się ich trzymała. Nie dostrzegałem żadnej ich skuteczności,

ale rozumiałem, że siostra jest w kontakcie z jakimś tajemnym światem, do którego ja nie mam dostępu. Natomiast ojciec poświęcał coraz więcej czasu lekturze Biblii i nie pozwalał już sobie nawet na niegdysiejsze skromne przyjemności, jakby wierzył, że Bóg ukarze go za okazjonalny kieliszek alkoholu. Według mnie śmierć matki pokazała, w jakie bzdury ci dwoje wierzą.

Dni mijały, a żadne z nas nie kwapiło się do ożywiania atmosfery ani żartem, ani śpiewem. Czas upływał, a my coraz bardziej pogrążaliśmy się w smutku i odrętwieniu.

* * *

Matka umarła w kwietniu. Kilka tygodni później byłem sam na pastwisku, gdzie pilnowałem owiec i bydła, które się tam pasło. Popołudnie było bardzo ciepłe, niebo czyste, a wzgórza nad zatoką mieniły się odcieniami purpury. Powietrze było tak spokojne, że słyszałem szum morza, a od czasu do czasu również krzyki dzieci bawiących się w dali poniżej wioski. Zwierzęta, których pilnowałem, były ospałe od upału i nie chciało się im ruszać. Młode byki leniwie machały ogonami, odganiając muchy końskie.

Leżałem na plecach we wrzosach, obserwując, jak chmury powoli przesuwają się po niebie. Byłem rad, że jestem daleko od pola i ojca, którego zostawiłem z kaschromem, kurzącego fajkę. Wyobrażałem sobie matkę siedzącą obok niego, pochyloną nad ziemią, pielącą chwasty, śpiewającą cicho, jak miała to w zwyczaju, z włosami opadającymi na twarz. Upłynęło kilka chwil zanim zdałem sobie sprawę, że już jej tam nie ma. Leżała w ziemi na cmentarzu w Camusterrach. Często widywałem szkielety zwierząt i zastanawiałem się, czy proces rozkładu jej ciała też już nastąpił. Uświadomiłem sobie boleśnie, że nie zobaczę jej nigdy więcej i zamknąłem oczy, by uchronić się przed wybuchem płaczu. Usiłowałem

skupić myśli na szeleście trawy i beczeniu owiec, ale nie potrafiłem pozbyć się wizji rozkładającego się ciała matki. Jakiś owad usiadł na mojej twarzy i to wyrwało mnie z rozmyślań. Odegnałem go ręką i oparłem się na łokciach, mrużąc oczy przed słońcem. Wtem na moim przedramieniu usiadł szerszeń. Nie strąciłem go, wręcz przeciwnie, powoli podnosiłem do poziomu oczu, przez co malutkie stworzenie wydawało się większe niż bydło w oddali. Pan Gillies pewnego razu z pomocą rysunku na tablicy uczył nas nazw części owadów, a ja teraz recytowałem te przyjemne słowa: tułów, przetchlinka, czułki, pokładełko, żuwaczki. Szerszeń ostrożnie pokonywał ciemne włosy na moim ramieniu, jakby niepewny gruntu, po którym stąpa. Z obojętnością badacza obserwowałem owada zatrzymującego się i kładącego żądło na moim ramieniu. Odruchowo uderzyłem go ręką i strzepnąłem na ziemię. Odwłok owada pozostawił w mojej skórze małe żądło, wokół którego po chwili pojawiło się opuchnięcie i różowy pęcherz.

Postanowiłem wspiąć się do wodospadu na górze Càrn, by obmyć użądlenie. Co raz spoglądałem za siebie, aby sprawdzić inwentarz. Wodospad huczał w skupisku brzóz, formując przy studni małe jeziorko. Wśród drzew panował przyjemny chłód. Wiele wieków przepływu wody wygładziło skały. Nabrałem w dłonie wody z jeziorka, aby się napić, potem zwilżyłem sobie twarz i włosy. Zdjąłem ubranie i zanurzyłem się. Zamknąłem oczy i położyłem się na plecach. Pomarańczowe światło migotało przez powieki. Słuchałem szumu wody na powierzchni i miałem wrażenie, że kiedy wyjdę z wody, Culduie, Aird-Dubh i wszystko inne zniknie, a ja będę na całym świecie całkiem sam. Marzyłem tylko o tym, by Jetta stała na skale, gdy otworzę oczy, by zdjęła ubranie i przyszła do mnie do wody. Rozchyliłem powieki i obserwowałem krople wzlatujące w górę niczym iskierki z ognia. Chętnie zostałbym tam przez resztę popołudnia, ale

byłem świadomy swoich obowiązków wobec zwierząt. Zanim się ubrałem, pozwoliłem, by słońce osuszyło mi skórę. Potem ruszyłem w dół zbocza.

Gdy zostawiłem za sobą szum wody, usłyszałem odgłosy owiec. Owce często się ze sobą porozumiewają, ale tamten dźwięk brzmiał jak bolesne beczenie osamotnionego zwierzęcia, podobny do tego, jaki wydaje owca, gdy straci jagnię. Stałem na pagórku i patrzyłem na zbocze, ale nie mogłem niczego dostrzec. Mniej więcej sto jardów stromo pod górę zbocze przechodziło w bagnistą równinę, niewidoczną z miejsca, gdzie wydobywamy torf. Wspinałem się w tamtym kierunku, beczenie robiło się coraz głośniejsze. Gdy stanąłem na grani, ujrzałem zrozpaczoną owcę, leżącą na boku, do połowy zanurzoną w bagnie. Nawet latem bagno pozostawało kleiste i zdradzieckie. Starsi ludzie w wiosce często ostrzegali dzieci, że gdy zabłąkają się w te strony, zostaną wessane do wnętrza ziemi i pożarte przez trolle. W dzieciństwie przyjmowałem to za pewnik i choć po jakimś czasie przestałem wierzyć w trolle, wciąż unikałem tej okolicy. Zwierzę bezsilnie wierzgało wolnymi kończynami, wcale sobie nie pomagając, a wręcz przeciwnie, pogrążając się coraz bardziej. Podszedłem bliżej po kępach wrzosu, po których można było bezpiecznie stąpać, i szeptałem łagodnie, próbując uspokoić owcę. Odwróciła się w moją stronę niczym stara, słaba kobieta, zbyt słaba, by podnieść głowę z poduszki. Nie czułem ani odrobiny współczucia, tylko pewną pogardę dla jej głupoty. Duża wrona usiadła na pobliskim pagórku i obserwowała nas z zainteresowaniem. Oceniłem swoje możliwości. Pierwszą myślą był powrót do wioski, przyniesienie liny i sprowadzenie kogoś, kto pomógłby mi wyciągnąć owcę z bagna, ale odrzuciłem ten pomysł, ponieważ nawet gdyby owca nie utopiła się do mojego powrotu, wrona i jej kompani z pewnością by się nią zajęli. Ta możliwość pociągałaby za sobą także ujawnienie, że zwierzę zabłąkało się, będąc pod moją opieką, a tej

ewentualności wolałem uniknąć. Nie było przeto innego wyjścia niż uratowanie jej samemu.

Bez dalszej zwłoki uklękłem na skraju bagna, i rozkładając swoją wagę najszerzej, jak było to możliwe, wyciągnąłem rękę w kierunku zadu owcy. Błoto miało kwaśny zapach. Chmary much wzlatywały w górę w oparach cuchnącej wody. Udało mi się złapać racicę, ale nie na tyle mocno, by przyciągnąć zwierzę do siebie. Sprawdziłem grunt pomiędzy nami i ostrożnie położyłem się na plecach – błoto sączyło mi się do spodni. Wrona obserwowała moje czyny z zainteresowaniem. Teraz mogłem uchwycić kręcony róg na głowie zwierzęcia. Odchyliłem się i pociągnąłem, czując, jak mięśnie moich ud napinają się. Owca wierzgnęła nogami ze zdwojoną siłą i zabeczała przerażona. Wtedy bagno zabulgotało i uwolniło zwierzę z uścisku. Upadłem na wrzosy, pochlapany czarnym błotem. Roześmiałem się głośno i poczułem ulgę. Lecz uwolnione zwierzę na próżno próbowało wstać. Spostrzegłem, że jego tylna noga, przed chwilą zanurzona w bagnie, jest złamana i wystaje z ciała pod całkowicie nienaturalnym kątem. Zwierzę przewróciło się na bok, machając w powietrzu zdrowymi kończynami. Nadal beczało z niesłabnącą siłą. Wrona zakrakała donośnie, jakby szydziła z moich wysiłków. Uformowałem garstkę błota w kulę i rzuciłem nią w kierunku złego ptaszyska, ale ono tylko patrzyło, jak kula znika w bagnie, po czym zaczęło świdrować mnie kpiącym i wyniosłym wzrokiem. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko szybko wybawić owcę od cierpień. Może przyjezdni dżentelmeni z łatwością radzą sobie z jeleniem albo z pardwą, pociągając za spust strzelby, ale całkowicie inną sprawą jest dobicie zwierzęcia własnymi rękami lub podręcznym narzędziem, które nigdy nie było stosowane do takiego celu. Zawsze wzdrygałem się przed zabiciem choćby kury i nie rozumiem, dlaczego ludzie wykształceni uważają zabijanie

żywych istot za rozrywkę. Niemniej w tych okolicznościach moim obowiązkiem było zakończenie życia zranionego zwierzęcia. Rozważałem możliwość objęcia go i skręcenia mu karku poprzez chwyt za rogi, ale nie wiedziałem, czy mam na taki czyn wystarczająco dużo siły. Wtedy dostrzegłem kawał żelaza wystający z przeciwległego brzegu bagna. Poszedłem poń, a wracając, przegoniłem nim wronę, która zatrzepotała przez chwilę w powietrzu i ponownie wróciła na swój punkt obserwacyjny.

– Wygodnie ci? – zapytałem.

Wrona skrzeknęła, sugerując, że powinienem pośpieszyć się z robotą, bo niecierpliwie czeka na posiłek.

Żelastwo miało odpowiednią wagę. Owca patrzyła na mnie. Spojrzałem na zbocze, ale nikogo nie dostrzegłem. Nie ociągając się, podniosłem żelazo nad głowę i uderzyłem nim z taką siłą, na jaką tylko mogłem się zdobyć. Zwierzę musiało się poruszyć albo ja źle wymierzyłem, gdyż mój cios trafił w pysk, a grot zaledwie ukruszył kość. Zwierzę parsknęło, dławiąc się krwią i odłamkami kości, i natychmiast poczyniło ponowne i żałosne wysiłki, by wstać. Zamachnąłem się po raz drugi i wbiłem żelazo w czubek głowy zwierzęcia z taką siłą, że straciłem grunt pod nogami. Krew trysnęła, obryzgując mi twarz. Grot zanurzył się w czaszce owcy i z trudem udało mi się go stamtąd wydobyć. Gdy już tego dokonałem, odwróciłem się i zwymiotowałem, podpierając się zakrwawionym narzędziem. Kiedy doszedłem do siebie, wrona już siedziała na czaszce martwego zwierzęcia i zabierała się do jego oczu. Dwóch jej towarzyszy dołączyło do niej i dumnie kroczyło wokół, dokonując metodycznych oględzin padliny.

Po znakach na runie poznałem, do kogo należała owca, i z wielkim strachem wracałem do wioski.

Tego samego wieczoru w domu Kennetha Murchisona zostało zorganizowane spotkanie. Pan Murchison był znany wszystkim jako Kenny Dym, ze względu na fakt, że nigdy nie widziano go bez cybucha w ustach. Był tęgim mężczyzną, który musiał pochylać się, aby przejść przez próg. Na jego szerokiej ładnej twarzy rosły czarne wąsy, gęste jak miotła. Miał donośny głos, a do kobiet zwracał się zawsze w głośny, rubaszny sposób, jakby rozmawiał z mężczyznami. Nigdy nie widziałem mojej matki tak ożywionej, jak podczas rozmów z Kennym Dymem. Był wybornym gawędziarzem i potrafił recytować z pamięci długie akapity poezji, a w czasie czarnych miesięcy to w jego domu ludzie gromadzili się na *ceilidh*[6]. Gdy byłem chłopcem, zachwycały mnie jego opowieści o duchach i zjawach. Ojciec obawiał się Kenny'ego Dyma, podobnie jak wszystkich innych ludzi, których umysły wypełniały wyłącznie sprawy doczesne.

Żona Kenny'ego, Carmina, była urodziwą kobietą o wytwornych rysach, dużych ciemnych oczach i smukłej figurze. Jej ojciec był kupcem w Kyle na półwyspie Lochalsh, a Kenny Dym poznał ją na tamtejszym targu. Nikt nigdy nie słyszał, żeby taka kobieta weszła przez małżeństwo do wioski takiej jak Culduie i często mawiano (choć nie rozumiałem, co to dokładnie znaczy), że Kenny Dym musiał posiadać olbrzymie atuty, skoro wywabił Carminę z jej metropolii.

Państwo Dymowie mieli sześć córek, co było uważane za wielkie nieszczęście. Wiele starowinek z parafii oferowało leki na tę udrękę, ale Kenny Dym odrzucał wszystkie, informując, że każda z jego córek jest więcej warta niż dziesięciu synów innego mężczyzny. Dom państwa Dymów był bardzo przestronny. Przy ścianie szczytowej znajdował się kominek, a Kenny Dym zbudował duże palenisko, wokół którego ustawił mnóstwo tapicerowanych krzeseł. Na kredensie zrobionym przez stolarza

w Kyle i przywiezionym do Culduie łodzią, stał szereg wytwornych naczyń z porcelany. Kenny Dym i jego żona spali w pokoju z tyłu domu, a dla córek przeznaczona była osobna izba. Po ślubie Kenny Dym wydzierżawił dodatkowy kawałek ziemi i zbudował oborę dla bydła, mówiąc, że nie pozwoli, by którakolwiek z jego dziewczynek żyła pod jednym dachem z inwentarzem. Żonę traktował jak jedną z córek, a w letnie wieczory często można było ich ujrzeć spacerujących pod rękę po drodze do Aird-Dubh. Ojciec na ich widok zawsze mamrotał, że „ona musi trzymać go za rękę, żeby powstrzymywać go przed wykonywaniem dzieła diabła".

Na środku izby stał długi stół, przy którym państwo Dymowie jedli posiłki. Tamtego wieczora wokół tego stołu zgromadziliśmy się: ja i ojciec, Lachlan Beczka, który był właścicielem zabitej owcy oraz jego brat, Aeneas. Sam Kenny Dym zasiadł u szczytu stołu. Po towarzyskiej atmosferze, jaka zazwyczaj panowała podczas spotkań w tym domu, nie było ani śladu. Beczka odrzucił propozycję Kenny'ego Dyma, żeby wypić po kieliszku, i usiadł wyprostowany z rękami splecionymi przed sobą na stole, prawą pięścią obejmując lewą, zaciskając i rozluźniając uścisk, jakby jego dłonie były bijącym sercem. Wzrok wbijał w kredens stojący za nami. Trzeba dodać, że Beczka był imponującym okazem gatunku ludzkiego. Mierzył sześć stóp, miał szerokie barki i wielkie mięsiste dłonie. Znany był z tego, że potrafi przenieść przez całą wioskę zewłok jelenia, który z trudem podniosłoby dwóch innych mężczyzn. Jego wąskie oczy były bladoniebieskie, a wielką ciężką głowę porastały gęste żółte włosy, sięgające do ramion. Mówiło się, że kolor tych włosów wywodził się z tego, że Beczka miał ze strony matki jakichś nordyckich przodków. Zdawał się nigdy nie odczuwać zimna i nawet w czarnych miesiącach chodził w rozpiętej koszuli. Do tego – jakby nie był wystarczająco charakterystyczny – miał w zwyczaju noszenie żółtego szalika pod szyją.

Jego brat był mniejszej postury, krępy, o rumianej cerze i małych ptasich oczkach. Zazwyczaj niewiele mówił, ale za to ryczał jak osioł przy każdej uwadze wypowiedzianej przez jego krewnych. Aeneas siedział ramię w ramię z bratem, jego lewa stopa spoczywała na prawym kolanie, i był pochłonięty usuwaniem z obuwia scyzorykiem błota przyniesionego z łodzi.

Kenny Dym cicho pykał z fajki. Kciukiem i środkowym palcem podkręcał końcówki swoich wielkich wąsów. Mój ojciec zostawił fajkę w kieszeni i oburącz trzymał czapkę na kolanach, wpatrując się w stół przed sobą. Czekaliśmy na przybycie Caluma Finlaysona, przewoźnika z Camusterrach, który wówczas piastował urząd konstabla parafii[7]. Na zewnątrz było jasno i słonecznie, co dodatkowo podkreślało ponurą atmosferę w domu. Wreszcie pojawił się pan Finlayson i powitał towarzystwo w radosny sposób. Kenny Dym wstał i serdecznie uścisnął jego dłoń, zadając przy tym kilka pytań o zdrowie rodziny. Konstabl przystał na propozycję herbaty, a Kenny Dym zawołał swoją żonę. Carmina Dym zajęła się przygotowaniem napoju i ustawianiem filiżanek oraz spodków przed każdym z nas, pomimo iż prosił o to tylko pan Finlayson. Lachlan Beczka przyglądał się jej bacznie, jakby szacował wartość inwentarza na targowisku.

Gdy herbata została podana i Carmina Dym wyszła do tylnej izby, Calum Finlayson rozpoczął spotkanie.

– Zobaczmy, czy możemy załatwić tę sprawę polubownie, panowie – powiedział.

Kenny Dym skinął poważnie głową i powiedział:

– W rzeczy samej.

Lachlan Beczka głośno wypuścił powietrze, a jego brat wydał z siebie ośli śmiech. Calum Finlayson zignorował te niegrzeczne odgłosy i łagodnie

spytał, czy mógłbym jak najdokładniej zrelacjonować popołudniowe wydarzenia. Czułem się trochę onieśmielony wobec zgromadzonych mężczyzn, ale opowiedziałem wszystko najlepiej, jak umiałem, pomijając jedynie epizod przy wodospadzie, który w sposób zrozumiały mógłby zostać odebrany jako zaniedbanie obowiązku pilnowania stada. Opowiedziałem o tym, jak użądlił mnie szerszeń, ponieważ liczyłem na to, że może to być uznane za przyczynę mojego roztargnienia w chwili, gdy zwierzę odłączyło się od stada. By podkreślić cierpienia zwierzęcia i mój brak wyboru w tej sytuacji, zapewniłem także, że gdy znalazłem owcę, jej oczy wychodziły z czaszki.

Kiedy skończyłem, pan Finlayson podziękował mi za relację. Przez cały czas miałem wzrok wbity w stół przede mną, ale w nadziei, że to może być już koniec męki, podniosłem go. Lachlan Beczka poprawił się na krześle i ponownie lekceważąco prychnął przez nos. Pochylił się do przodu, jakby chciał przemówić, ale pan Finlayson uniósł palec w jego kierunku, by go uciszyć.

– Czy twoim obowiązkiem, Roddy, nie było – zapytał – pilnowanie zwierząt przez całe popołudnie?

– Było – odpowiedziałem.

– I pilnowałeś?

– Tak, panie Finlayson.

Nagle przestraszyłem się, że ktoś widział, jak idę w stronę wodospadu. Czyżby ktoś mógł udowodnić mi kłamstwo?

– Zatem jak to możliwe – spytał pan Finlayson, wciąż spokojnym głosem – że owcy udało się przedostać aż do bagna?

– Nie potrafię tego wyjaśnić – odrzekłem.

– Może straciłeś czujność? – spytał.

– Skoro owca oddzieliła się od stada, gdy go strzegłem, rzeczywiście musiałem stracić czujność – odparłem. Poczułem ulgę. Wyglądało na to, że nie ma nikogo, kto świadczyłby przeciwko mnie. – Chcę powiedzieć, że jest mi przykro z powodu cierpienia owcy i jestem gotów uczynić, co należy, by wynagrodzić panu Mackenziemu tę stratę.

Pan Finlayson skinął głową, jakby spodobała mu się moja uwaga. Kenny Dym odsunął fajkę od ust i powiedział:

– Wszyscy wiemy, że nie sposób upilnować pięćdziesięciu owiec na zboczu. Chłopak powiedział, że mu przykro, czy nie powinniśmy na tym zamknąć sprawy?

Lachlan Beczka spojrzał na niego.

– Chciałbym zauważyć, że to nie pańska owca została zatłuczona na śmierć, panie Murchison, i choć oczywiście wszyscy doceniamy pańską gościnność, nie sądzę, aby pańska opinia wnosiła coś w tym temacie.

Jego brat zachichotał i rozparł się wygodniej.

Pan Finlayson podniósł rękę w celu stłumienia jakiejkolwiek dalszej dyskusji i zwrócił się do Lachlana Beczki:

– Lecz pan Murchison ma rację, twierdząc, że nie jest łatwo upilnować taki inwentarz i jeśli doszło do błędu pasterza, to stało się tak bez cienia złośliwości.

– Ten chłopak jest złośliwy – powiedział Beczka, wskazując na mnie grubym palcem.

Pan Finlayson oznajmił, że nie zebraliśmy się tu po to, by czynić obraźliwe uwagi, lecz jeżeli pan Mackenzie życzy sobie zadać mi jakieś pytania, może to teraz uczynić.

Beczka zadowolił się wymamrotaniem czegoś na temat niemożności wydobycia ze mnie choćby krzty prawdy.

Pan Finlayson pozwolił, by w pokoju zapanowała chwila ciszy, po czym oznajmił, że jeśli wszyscy są zadowoleni z tego, co usłyszeli, do niego należy określenie warunków zadośćuczynienia.

– Proponuję, żeby John Macrae zapłacił Lachlanowi Mackenziemu trzydzieści pięć szylingów za stratę owcy, co jest ceną targową za takie zwierzę.

– A zimowa pasza i robota wykonana podczas hodowli? – oburzył się Beczka.

Calum Finlayson rozważył tę kwestię.

– Jeśli sprzedałby pan zwierzę na targu, również nie odzyskałby pan tych kosztów. Ponadto w tym przypadku jako dodatek do trzydziestu pięciu szylingów ma pan także runo i ciało zwierzęcia.

– Tak… to, co zostało po wyżerce wron – powiedział Beczka.

Pan Finlayson zignorował tę uwagę i zwrócił się do mojego ojca z pytaniem, czy akceptuje taki werdykt. Ojciec potwierdził krótkim skinieniem.

– Mam wrażenie – nie ustępował Lachlan Beczka – że twój chłopak jest całkowicie bezkarny. Z pewnością przydałaby mu się jakaś dodatkowa kara.

– Co pan proponuje? – spytał konstabl. – Publiczną chłostę?

Kiedyś już dostałem solidne lanie na oczach rodzeństwa, ale uznałem, że nie jest to stosowna chwila, by to ujawniać. Ojciec także uważał, że nie wypada o tym wspominać.

– Istnieją gorsze kary – powiedział Beczka, świdrując mnie wzrokiem. – Może moglibyśmy wytłuc trochę prawdy z tego smarkacza.

– Ha, wytłuc trochę prawdy z tego smarkacza – powtórzył jak echo Aeneas Mackenzie.

Calum Finlayson wstał i pochylił się przez stół ku obu mężczyznom.

– Nie przyszedłem tu, by wysłuchiwać odrażającego języka i obelg – powiedział. – Chłopak przyznał się do swojego czynu i powinien zostać za to pochwalony. Zaproponowałem zapłatę na pańską rzecz. Jeśli nie akceptuje pan takiego rozwiązania, proponuję, by wniósł pan skargę na policję.

Lachlan Beczka spojrzał na niego spode łba. Propozycja była dość kłopotliwa, gdyż wiązała się z przebyciem siedemdziesięciu mil do Dingwall, a ponadto jakiekolwiek zastrzeżenia do wyroku konstabla z całą pewnością zostałyby źle odebrane przez społeczność. Beczka odparł:

– A może zarządca byłby zainteresowany wysłuchaniem tego, co się wydarzyło.

– Mogę pana zapewnić – powiedział pan Finlayson – że zarządca ma ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się stratą owcy. Ponieważ pan Macrae zaakceptował moją propozycję, proponuję, by pan uczynił to samo.

Lachlan Beczka machnięciem ręki dał do zrozumienia, że akceptuje wyrok. Ojciec, który dotychczas powiedział niewiele, teraz podniósł dłoń. Konstabl spytał, czy jest coś, co chciałby dodać.

– Kwestia zapłaty – odparł ojciec.

– Słucham – powiedział pan Finlayson.

Ojciec nie bez trudu wyjaśnił, że akceptuje wyrok, ale obecnie nie posiada trzydziestu pięciu szylingów.

To wielce ubawiło Lachlana Beczkę i jego brata.

– Przykro mi to słyszeć, Czarny Johnie – powiedział. – Może zamiast tego mógłbym wziąć pańską córkę? Jestem pewien, że przywrócę uśmiech na jej twarzy.

– Obaj byśmy mogli przywrócić uśmiech na jej ponurej twarzy – wtrącił Aeneas Mackenzie, chichocząc głupkowato.

Kenny Dym podniósł się i pochylił nad stołem.

– Nie życzę sobie takich słów w moim domu, Lachlanie Beczko.

– A może wolałby pan, żebym zaopiekował się którąś z pańskich dziewczyn? – odrzekł Beczka. – Najstarsza jest już całkiem do rzeczy.

Kenny Dym zrobił się na twarzy purpurowy i byłem pewien, że za chwilę rzuci się na Beczkę, ale Calum Finlayson wstał i uspokoił gospodarza, kładąc mu rękę na ramieniu.

Lachlan Beczka wybuchnął śmiechem i założył ręce na brzuchu. Kenny Dym przez kilka chwil stał, wpatrując się w jego złośliwy uśmieszek. Ojciec wbił wzrok w stół przed sobą. Pod blatem widziałem, jak wyciera spocone dłonie o spodnie.

W końcu Kenny Dym usiadł, a pan Finlayson, bez wątpienia bardzo zaniepokojony tym zajściem, kontynuował:

– Z uwagi na sytuację pana Macrae proponuję, żeby ustalona suma była wypłacana po jednym szylingu tygodniowo do momentu uiszczenia całej zapłaty.

Lachlan Beczka wzruszył ramionami.

– Niech tak będzie – powiedział szyderczym tonem. – Nie chciałbym stać się przyczyną jakichś trudności mojego biednego sąsiada.

I na tym spotkanie się skończyło. Lachlan Beczka odepchnął swoje krzesło i klepnął brata dwa razy po udzie na znak, że czas na nich. Gdy wyszli, Kenny Dym odetchnął głęboko i wydał z siebie przekleństwo nienadające się, by je tu przytoczyć. Pan Finlayson powiedział mi, że postąpiłem słusznie. Kenny Dym podszedł do kredensu, przyniósł butelkę whisky i cztery szklanki. Ustawił je na stole przed nami. Czułem się wyróżniony, że podał szklankę również mnie, ale zanim nalał whisky, ojciec wstał i podziękował panu Finlaysonowi za sprawiedliwy wyrok, choć nie mogłem powstrzymać się od myśli, że niewiele brakowało, by przystał na wysuniętą przez Lachlana Beczkę propozycję chłosty.Kenny Dym

namawiał ojca na kieliszek, ale on odmówił, szturchnął mnie w ramię i wyszliśmy. Obawiałem się lania, ale zostałem jedynie pozbawiony kolacji. Leżałem na pryczy, wyobrażając sobie Kenny'ego Dyma i Caluma Finlaysona pijących whisky i śmiejących się z dzisiejszych wydarzeń, a ojciec nabijał fajkę w zapadającym zmroku.

* * *

Moja cela tu w Inverness jest długa na pięć stóp i szeroka na dwie. Za łóżko służą dwie deski przymocowane do ściany i pokryte słomą. W kącie stoją dwa wiadra, w jednym z nich się myję, a w drugim załatwiam potrzeby fizjologiczne. Nieoszklone okienko wielkości ludzkiej dłoni znajduje się wysoko na ścianie naprzeciw wejścia. Ściany są grube i tylko opierając się plecami o drzwi, mogę ujrzeć mały prostokąt nieba. Okienko znajduje się tu, jak mniemam, raczej w celu wpuszczenia mieszkańcowi odrobiny powietrza niż ukazywania mu pięknych widoków. Niemniej zaskakujące jest, jak wiele radości – przy braku innych rozrywek – może dać obserwowanie powolnych zmian na niebie. Na jego malutkim wycinku.

Mój strażnik to olbrzymi chłop, musi nieźle się napocić, by przecisnąć się do mojej celi. Nosi skórzaną kamizelkę, brudną koszulę niewłożoną w spodnie i ciężkie buty, które robią mnóstwo hałasu, gdy zmierza w górę i w dół po kamiennych płytach korytarza. Spodnie ma wokół kostek przewiązane sznurkiem. To mnie dziwi, bo nie widziałem tu myszy ani innego plugastwa, ale nie pytałem go o powód. Nie pytałem też, jak ma na imię.

Strażnik nie traktuje mnie ani uprzejmie, ani z pogardą. Rankiem przynosi kawałek chleba i trochę wody, a kiedy moje wiadro jest pełne, opróżnia je. Przez pierwszych kilka dni próbowałem go zagadywać, ale nie odpowiadał. Gdy dostałem stolik i krzesło, przy których piszę te słowa, nie

skomentował tego. Ale nie jest niemową, bo czasem słyszę, jak rozmawia na korytarzu. Przypuszczam, że w ogóle go nie interesuję i nie różnię się niczym od mieszkańców innych cel. Zresztą i tak za bardzo nie miałby o czym z nami rozmawiać. Kiedy wychodzi, słyszę, że wykonuje te same czynności również u pozostałych więźniów. Nie mam kontaktu z innymi osadzonymi, ale też wcale go nie pragnę. Nie mam ochoty bratać się ze zbrodniarzami. W nocy mężczyźni często wykrzykują najbardziej wulgarne słowa albo walą pięściami w drzwi. Trzeba ich długo uspokajać. Rwetes trwa jakiś czas, a potem nastaje cisza i słychać tylko nikłe odgłosy nocy.

Co drugi dzień mogę wyjść z celi i rozprostować nogi na brukowanym spacerniaku. Gdy zaprowadzono mnie tam po raz pierwszy, nie wiedziałem, co mam robić. Ze względu na wysokość murów żadne światło słoneczne nie sięga tam ziemi. Bruk jest śliski i porośnięty mchem. Spostrzegłem, że wokół granicy podwórza została wydeptana ścieżka, więc zacząłem nią chodzić. Strażnik przez cały czas stoi przy wyjściu, ale nie odnoszę wrażenia, że mnie obserwuje. Trochę mu współczuję. Zdaje się, że jego życie tutaj nie jest bardziej przyjemne niż moje. Kiedy ja opuszczę to miejsce, on jeszcze długo tu pozostanie. Trasa wokół podwórza ma dwadzieścia osiem kroków długości i na ogół potrafię zrobić około sześćdziesięciu okrążeń w czasie, który jest mi przydzielony. To jest mniej więcej odległość między Culduie i Camusterrach, a ja próbuję sobie wyobrazić, że to właśnie tę trasę przemierzam.

Potem przynoszą mi miskę zupy z kawałkiem chleba albo placka. Większość czasu spędzam na pisaniu. Nie sądzę, by kogokolwiek interesowały moje słowa, ale cieszę się, że mam jakieś zajęcie.

W pierwszych dniach uwięzienia miałem niewiele czasu, by przyzwyczaić się do nowej rzeczywistości, bowiem liczne wizyty składali mi przedstawiciele prawa. Często zabierano mnie na przesłuchania do

pomieszczeń w innej części więzienia. Ponieważ przy każdej okazji zadawano mi wciąż te same pytania, przestałem zastanawiać się nad odpowiedziami. Często miałem wrażenie, że moich rozmówców ucieszyłoby, gdybym wymyślił jakąś inną wersję wydarzeń lub próbował w jakiś sposób oczyścić się z odpowiedzialności za to, co uczyniłem. Nie zrobiłem tego jednak. Wszyscy traktują mnie tu bardzo miło i chciałbym odwdzięczyć się za ich uprzejmość, ale nie widziałem żadnego sensu w kłamstwach. Często, gdy powtarzałem swoje zeznania po raz trzeci lub czwarty, przesłuchujący wymieniali takie spojrzenia, jakbym czymś ich rozbawił albo byłbym dla nich zagadką. Kiedy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że ci dżentelmeni przywykli raczej do przesłuchiwania przestępców nieprzyznających się do winy. W końcu powtórzyłem swoje zeznania w obecności protokolanta i po licznych pouczeniach, że nie muszę tego robić – złożyłem pod nimi swój podpis.

Teraz prócz wizyt adwokata – pana Sinclaira – mam niewielki kontakt z ludźmi. Lecz dzisiejszego poranka przerwał mi pracę lekarz więzienny. Był sympatycznym, błyskotliwym mężczyzną o rumianych licach i niesfornych bokobrodach. Przedstawił się jako doktor Munro i poinformował mnie, iż składa mi wizytę w celu określenia stanu mojego zdrowia. Powiedziałem, że czuję się całkiem dobrze, ale i tak poprosił, żebym zdjął koszulę, a gdy to zrobiłem, przeprowadził gruntowne badanie. Gdy zajmował się mną, czułem jego oddech, słodkawy jak smród świeżego gnoju, i odetchnąłem, gdy skończył i cofnął się. Potem zadał mi serię pytań dotyczących moich zbrodni, a ja udzielałem mu na nie takich samych odpowiedzi jak zawsze. Od czasu do czasu wyjmował z wewnętrznej kieszeni płaszcza cynową piersiówkę i brał z niej łyk. Zapisywał moje słowa w małym notesiku i w najmniejszym stopniu nie wydawał się być zbulwersowany tym, co mówiłem. Gdy skończył, założył ręce na brzuchu

i przyglądał mi się z zainteresowaniem. Zapytał, czy żałuję swoich czynów. Odpowiedziałem, że nie, a poza tym nie ma większego znaczenia, czy czegoś żałuję. Co się stało, to się nie odstanie.

– W gruncie rzeczy to prawda – powiedział. Po kilku chwilach dodał: – Jesteś dość osobliwy, Rodericku Macrae.

Odpowiedziałem, że moim zdaniem nie jestem osobliwy i że on dla mnie jest równie osobliwy, jak ja dla niego. Usłyszawszy to, zaśmiał się serdecznie, a mnie po raz kolejny zaskoczyła uprzejmość, z jaką mnie tu traktują – zupełnie jakby moje przewiny nie były większe niż kradzież osełki masła.

* * *

Pod koniec żółtych miesięcy pan Gillies złożył mojemu ojcu wizytę. Był wczesny wieczór, Jetta zmywała naczynia po kolacji. Ojca zdziwiło przybycie nauczyciela, który pojawił się w drzwiach, trzymając cugle swojego konia. Ojciec wysłał mnie na zewnątrz, żebym uwiązał kuca. Gdy to zrobiłem, postałem przy nim przez kilka minut, głaszcząc jego kark i mrucząc mu do ucha. Kiedy wróciłem do domu, pan Gillies siedział na ławie przy stole, a Jetta przygotowywała dla niego filiżankę herbaty. Na talerzu przed nim leżał placek. Ojciec stał zakłopotany na środku pokoju, kręcąc się ze swoją fajką – nie chciał siadać w obecności kogoś wykształconego. Pan Gillies zadawał różne pytania dotyczące Jetty i opowiadał ojcu, jaką radością było uczenie jej. Gdy zobaczył mnie w drzwiach, powiedział jowialnie:

– A oto nasz chłopiec!

Potem zapytał ojca, czy nie zechciałby usiąść, a ojciec usiadł na końcu stołu.

– Zauważyłem, że po zakończeniu poprzedniego semestru Roddy nie wrócił do szkoły.

Ojciec spokojnie zaciągał się fajką.

– Nie jest już dzieckiem – odpowiedział.

– To prawda, że obowiązek nauki już go nie obejmuje – powiedział pan Gillies – ale może Roddy wspomniał panu o rozmowie, jaką odbyłem z nim pod koniec semestru?

Ojciec odrzekł, że o niczym nie wie. Wtedy pan Gillies spojrzał na mnie i poprosił, abym przyłączył się do nich i usiadł przy stole.

Gdy zająłem miejsce, kontynuował:

– Nasza rozmowa dotyczyła przyszłości pańskiego syna, oczywiście pod względem kontynuowania jego edukacji. Nie mówił panu o tym?

– Nie – odrzekł ojciec.

Pan Gillies wtedy spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

– Cóż – powiedział śmiałym tonem – pański syn wykazuje w nauce znaczny potencjał. Potencjał, jaki moim zdaniem wstyd byłoby zmarnować.

Ojciec obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym popełnił jakiś zły czyn albo knułbym z nauczycielem za jego plecami.

– Zmarnować? – powtórzył, jakby to słowo było mu całkiem obce.

Pan Gillies rozejrzał się po naszej ciemnej izbie, świadomy pułapki, jaką mój ojciec na niego zastawił. Zanim odpowiedział, upił łyk herbaty.

– Chodzi mi po prostu o to, że jeśli syn będzie chciał kontynuować edukację, może mieć w przyszłości większą ilość dróg do wyboru.

– Jakich dróg? – mój ojciec wiedział bardzo dobrze, jakie drogi ma na myśli pan Gillies. Nie mam wątpliwości, że był świadomy moich szkolnych osiągnięć, ale nigdy nie okazywał im zainteresowania i nie chwalił mnie.

– Nie mam wątpliwości, że Roddy mógłby zostać… – pan Gillies wbił spojrzenie w sufit, jakby zastanawiał się nad tym po raz pierwszy – ...zostać pastorem albo nauczycielem. Albo kimkolwiek zechce.

– Zostać kimś takim jak pan? – zapytał nieuprzejmie ojciec.

– Mam na myśli jedynie to, panie Macrae, że otwierają się przed nim różne możliwości.

Ojciec poprawił się na ławie.

– Chodzi panu o to, że może zostać kimś lepszym niż chłop? – zapytał.

– Nie twierdzę, że lepszym, panie Macrae. Wspominam panu o tym tylko po to, by mieć pewność, że jest pan świadomy możliwości pańskiego syna.

– Tutaj nie ma pożytku z możliwości – odrzekł ojciec. – Chłopak ma pracować na roli i zarabiać w ten sposób na utrzymanie rodziny.

Pan Gillies odpowiedział, że może najlepiej byłoby spytać mnie, co chciałbym robić. Na te słowa ojciec wstał.

– Nie zrobię tego – odparł.

Pan Gillies nadal siedział.

– Jeśli to kwestia pieniędzy – powiedział – można coś zorganizować.

– Nie mamy tu miejsca na pańską wspaniałomyślność, panie nauczycielu.

Pan Gillies otworzył usta, by coś powiedzieć, ale potem zamyślił się. Skinął głową, jakby akceptując fakt, że sprawa została zamknięta, i wstał. Podszedł do ojca i podał mu rękę, ale ojciec nie wyciągnął doń dłoni.

– Nie miałem zamiaru pana obrazić, panie Macrae.

Ojciec nie odpowiedział, a pan Gillies, życząc miłego wieczoru mnie i Jetcie, która przez całą rozmowę była zajęta zmywaniem naczyń, wyszedł. Odprowadziłem go pod pretekstem pomocy z kucem. Chciałem, żeby

wiedział, że jestem wdzięczny za jego wizytę. Gdybym jednak został zapytany o swoją przyszłość, zgodziłbym się z ojcem, że teraz moim obowiązkiem jest praca na utrzymanie rodziny i potwierdziłbym, że rzeczy, o których mówił pan Gillies, nie są dla ludzi naszego pokroju. W naszej parafii żaden chłopak w moim wieku nie chodził już do szkoły i głupio bym się czuł, siedząc wśród dzieci. Nie chciałbym też zostać człowiekiem takim jak pan Gillies, z jego delikatną cerą i różowymi, wiotkimi dłońmi. Nauczyciel podziękował mi za uwiązanie konia i powiedział, że gdybym zechciał wrócić do szkoły, będę mile widziany i zawsze znajdą się pieniądze na moje czesne. Jestem pewien, iż nie wierzył już, że jeszcze mnie tam zobaczy. I miał rację. Patrzyłem, jak wdrapuje się na kuca i powoli wyjeżdża z wioski. Jego nogi prawie sięgały ziemi i wyglądało to dość komicznie. Koń stąpał ciężko charakterystycznym krokiem kuca wyżynnego, jakby w każdej chwili spodziewał się, że uderzy o coś łbem.

Lecz plany ojca, abym wnosił swój wkład w utrzymanie gospodarstwa, również się nie ziściły. Krótko po wizycie u nas pan Gillies znalazł mi posadę na czas trwania sezonu myśliwskiego. O świcie miałem zgłosić się do domku łowczego i tak zrobiłem. Łowczy był wysokim mężczyzną o wąskich oczach i gęstej, sztywnej, przetykanej siwizną brodzie. Miał na sobie tweedowe bryczesy, grube wełniane getry oraz wielkie buty. Jego kamizelka nie była zapięta na guziki. W lewej ręce trzymał fajkę z cybuchem w kształcie litery S. Zapytał, jak się nazywam, więc odpowiedziałem, że jestem Roderick Macrae z Culduie. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i kazał mi zaczekać na dziedzińcu za Wielkim Domem.

Wszedłem na teren posiadłości. Pomimo wydanego mi wyraźnego polecenia czułem się tam nieswojo. Nikt mnie po drodze nie zatrzymał. Na dziedziniec wchodziło się z prawej strony przez kamienną bramę.

Znalazłem się na wybrukowanym podwórzu. Z jednej strony były stajnie, a z drugiej okna kuchenne domu. Nie chciałem przyciskać nosa do szyby, ale wyglądało na to, że wewnątrz panuje spore zamieszanie. Oparłem się o ścianę przy drzwiach kuchennych i ze wszystkich sił próbowałem sprawiać wrażenie, że do tego miejsca należę. Słyszałem ciche ruchy koni i rżenie dochodzące z boksów. Domyślałem się, że są rasowe i bardzo chciałem zajrzeć do stajni, by na nie popatrzeć. Nie zrobiłem tego z obawy, że dostanę reprymendę. Po chwili przybył inny chłopak, trochę starszy ode mnie. Nic nie mówił, ale uporczywie mi się przypatrywał. Oparł się o ścianę stajni, umieszczając podeszwę swojego prawego buta na niej tak, że noga utworzyła ze ścianą trójkąt. Ta postawa nadawała mu swobodnego wyglądu, więc stanąłem tak samo. Po kilku chwilach chłopak wyjął z kieszeni swojej kurtki małą fajkę. Obracał ją uważnie w palcach, a potem włożył cybuch do ust. Zaczął głośno cmokać. W główce nie było tytoniu, a nawet jeśli był, chłopak nie próbował go zapalić. Niemniej uznałem ten pokaz za potwierdzenie jego światowych manier i byłem pod dużym wrażeniem. Później, gdy szliśmy wąwozem i zaczęliśmy rozmawiać, wyjaśnił, że nie zawsze trzeba zapalać fajkę, by zebrać korzyści z tytoniu. Jeżeli fajka była niedawno używana, można ją tylko intensywnie ssać.

Jakiś czas później przybyli jeszcze dwaj mężczyźni i weszli do stajni. Słyszałem, jak siodłają konie. Gdy je wyprowadzili, ku mojemu rozczarowaniu okazało się, że nie były to ogiery, ale zwykłe krępe perszerony o ciężkich, nisko osadzonych głowach, popularne w okolicznych wsiach. W tym samym czasie przyniesiono różne zapasy i sprzęty z kuchni i ułożono je na dziedzińcu. Chłopakowi z fajką i mnie polecono osiodłać pierwszego kuca. Drugiego pozostawiono bez siodła, jako luzaka, żeby mógł wieźć upolowaną zwierzynę. Gdy wszystko przygotowano, tęga kobieta w bezrękawniku i fartuchu wyszła z kuchni

z ustawionymi na tacy czterema filiżankami herbaty. Była to żona Lachlana Beczki, Mimi, która pracowała dla lorda Middletona w czasie żółtych miesięcy. Przywitała się ze mną tak, jakby moja obecność wcale jej nie zaskoczyła. Zazwyczaj nie pijam herbaty, gdyż mój ojciec uważa, że przystoi to tylko kobietom, ale nie chcąc odstawać od grupy, przyjąłem zaproponowaną mi filiżankę. I rzeczywiście, wspólne picie zdawało się tworzyć koleżeństwo pomiędzy naszą czwórką. Herbata była posłodzona cukrem i mniej niesmaczna, niż się spodziewałem. Gdy piliśmy, jeden z mężczyzn zagadnął mnie.

– Więc to ty jesteś synem Czarnego Macrae?

Odpowiedziałem, że jestem synem Johna Macrae z Culduie, a dwóch mężczyzn wymieniło spojrzenia, których znaczenie pozostało dla mnie zagadką. Byłem zaskoczony, że tych dwóch nieznajomych zna imię mojego ojca i najwyraźniej wydaje sądy o mnie na podstawie jakichś wyobrażeń, jakie mieli o nim.

Mimi Beczka wróciła, by zebrać nasze filiżanki, i zapytała, czy mam ze sobą coś do jedzenia, ponieważ mieliśmy spędzić cały dzień w górach. Powiedziałem, że Jetta dała mi dwa ziemniaki, a Mimi skinęła głową w sposób, który sugerował, że dobrze zrobiłem, że tak się przygotowałem. Kuce zaprowadzono po bruku przed dom, gdzie czekaliśmy na grupę myśliwych. Jeden z mężczyzn wskazał na duży drewniany kufer, który miałem nieść. Był szeroki na trzy stopy i głęboki na dwie, a jego przeciwległe rogi opinał ciężki skórzany pas szerokości ludzkiej dłoni. W środku znajdowało się coś ciężkiego i jeden z parobków musiał podnieść kufer nad moją głowę i zabezpieczyć go pasem na moim ramieniu. Wtedy powiedział mi, że ważne jest, by o nic kufrem nie zawadzić i nie pozwolić mu się przechylić, ponieważ zawartość mogłaby się uszkodzić. Nie pytałem, co jest w środku, ale czułem, że powierzono mi zadanie wielkiej

wagi i postanowiłem dobrze je wykonać. Gdy łowczy dołączył do nas, pas zaczynał mi już sprawiać lekki dyskomfort, ale ze wszystkich sił starałem się to ukryć. Łowczy pobieżnie skontrolował kuce. Rzucił jedną czy dwie uwagi. Na jego ramieniu spoczywała broń. Kilka minut później czterech dżentelmenów pojawiło się w drzwiach domu, wszyscy byli ubrani w tweedy i trzymali broń w taki sam sposób jak łowczy. Mężczyźni w ogóle nie wyglądali jak rdzenni mieszkańcy naszych stron. Byli wysocy i wyprostowani, o jasnych włosach i różowej cerze, takiej jak cera mojego nauczyciela. Łowczy podał rękę najstarszemu z nich, w którym poznałem lorda Middletona. Potem kolejno powitał pozostałych i oświadczył, że jest piękny poranek i że nie wątpi, że dziś wrócimy z gór z jeleniem. W kilku prostych zdaniach opisał plan i wydał kilka instrukcji dotyczących sposobu, w jaki powinno się obchodzić z bronią palną oraz jak zachowywać się w górach. Mężczyźni słuchali uważnie i byłem pod wielkim wrażeniem tego, iż łowczy, wprawdzie wytwornie ubrany, zwraca się do osób z wyższych sfer bez cienia respektu. Kiedy skończył krótką przemowę, lord Middleton poklepał go po ramieniu, i obracając się do swoich towarzyszy, powiedział:

– Nie bójcie się. Pies, który głośno szczeka, nie gryzie.

To niezmiernie rozbawiło wszystkich z wyjątkiem samego łowczego, który wyjął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek i oświadczył, że już czas wyruszać w drogę. Wówczas wyruszyliśmy w kierunku wąwozu. Na czele szedł łowczy i lord Middleton, za nimi trzech dżentelmenów, potem stajenny prowadzący dwa kuce, a na końcu my - dwaj chłopcy. Poranek był ciepły i pochmurny. Wkrótce kufer zaczął boleśnie obijać mi tył kolan. Mój towarzysz, który dźwigał podobny, choć wyraźnie lżejszy bagaż, pokazywał mi, jak układać ręce wzdłuż boków, by uchronić się przed wstrząsami. Ta krótka wymiana zdań przełamała barierę między nami i powiedział mi

wtedy, że nazywa się Archibald Ross i jest najstarszy z sześciorga rodzeństwa. Odparłem, że moja matka zmarła niedawno przy porodzie mojego najmłodszego brata i że to przysporzyło naszej rodzinie niemało trudności. Archibald Ross skwitował, że jedynym losem ludzi naszego pokroju jest los nieubłagany. Byłem pod wielkim wrażeniem tej odpowiedzi i pomyślałem, że mój nowy przyjaciel to najmądrzejsza osoba, jaką kiedykolwiek poznałem.

Gdy opuściliśmy szlak prowadzący przez środek wąwozu i zaczęliśmy wspinać się na zbocze, nie mogłem już uchronić kufra przed ciągłym kołysaniem i powoli godziłem się z ryzykiem uszkodzenia zawartości i ściągnięcia na siebie gniewu łowczego. Archibald Ross ciągnął nieustający monolog, w zabawny sposób opowiadając o swoim rodzeństwie i sąsiadach w Applecross. Dość otwarcie mówił o swoim ojcu, uważającym, że ludzie z okolic Aird-Dubh są leniwymi i podlejszymi istotami. Archibald bardzo starał się akcentować, że nie podziela poglądu ojca, ale mimo to kilkakrotnie przypominałem mu, że jestem z Culduie, a nie z Aird-Dubh.

Archibald twierdził, że kiedy tylko zaoszczędzi trochę pieniędzy, zamierza wyemigrować do Kanady. Tam, jak mówił, młodzi ludzie jak my mają duże możliwości rozwoju. Wielkie obszary żyznej ziemi czekają na nas i w ciągu jednego roku można zarobić więcej pieniędzy niż nasi ojcowie na roli przez całe swoje życie. Jego kuzyn, który wyjechał tylko z workiem nasion, teraz mieszka w domu dwa razy większym niż dom lorda Middletona. Archibald zaproponował, żebyśmy wyjechali razem i zarobili fortunę. Byłem bardzo podekscytowany tą myślą. Potem Archibald zdradził konfidencjonalnym szeptem, że jeśli ci panowie będą ze mnie szczególnie zadowoleni, to pod koniec dnia mogą rzucić mi pensa albo nawet szylinga. Perspektywa takiego zarobku umoc niła moje postanowienie ignorowania bólu sprawianego przez kufer.

Po upływie około dwóch godzin dotarliśmy na wielki płaskowyż i zatrzymaliśmy się. Nigdy nie miałem powodu, by wędrować tak daleko w góry. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na całą zatokę Applecross, a także szczyty Raasay i Skye. Stajenni zdjęli dwa duże koce z pierwszego kucyka i rozłożyli je na ziemi. Wzięto ode mnie kufer i wyjęto z niego porcelanowe naczynia, kieliszki i butelki wina. Na tacy położono szeroki wybór zimnych mięs, warzyw, przypraw i pieczywa. Mężczyźni oświadczyli, że są pod wrażeniem menu i zaczęli biesiadować, nie modląc się nawet przed jedzeniem. Kiedy parobkowie skończyli szykować posiłek, zaczęli krzątać się przy koniach. Usiadłem na pagórku i powoli zabrałem się za swojego pierwszego ziemniaka. Miałem ochotę zjeść drugiego, ale wiedząc, że spędzę dziś jeszcze w górach sporo czasu, postanowiłem zachować go na później. Archibald usiadł nieopodal i żuł powoli placek, który wyjął z kieszeni kurtki. Chciał mnie poczęstować, ale odmówiłem, gdyż nie chciałem dzielić się swoim ziemniakiem. Łowczy jadł z dżentelmenami, ale nie włączał się do rozmowy. Nie przyjął też proponowanego kieliszka wina. Natomiast mężczyźni popijali bez umiaru i rywalizowali ze sobą w jak najwznioślejszych opisach widoku rozpościerającego się przed ich oczami. Jeden z panów potarł skronie i zażartował na temat przesadnego korzystania z gościnności lorda Middletona poprzedniej nocy. Jego towarzysz podniósł kieliszek i oświadczył:

– Klina klinem!

Te słowa zastanowiły mnie. Lord Middleton wziął mały kieliszek i ściszonym głosem mówił coś do łowczego. Ten zauważył słusznie, że mężczyźni nie ustrzelą zbyt wielu jeleni po wypiciu tak dużej ilości wina, a choć powiedział to w dowcipny sposób, zrozumiałem, że mówił całkiem

poważnie i że nie pochwalał takiego zachowania. Lecz dżentelmeni zdawali się nie zważać na jego dezaprobatę i opróżnili trzy butelki.

Gdy wreszcie oświadczyli, że są syci, zapakowano zastawę i prowiant, ale ku mojej uldze zostałem poinformowany, że nie muszę nieść kufra dalej, bo mogę zabrać go stąd w drodze powrotnej. Zatem w radosnym nastroju kontynuowałem wędrówkę. Poczułem się jeszcze lepiej, gdy jeden z parobków, chcąc napełnić fajkę, poprosił mnie, abym poprowadził jego konia. Byłem bardzo dumny z tego awansu i poczułem się przez to bardziej akceptowany przez mężczyzn. Skręciliśmy na południe pomiędzy dwa szczyty, a ja wyobraziłem sobie, że jesteśmy grupą badaczy zapuszczających się na nieodkryte lądy. Goście lorda Middletona byli w szampańskich nastrojach i głośno rozmawiali. Łowczy musiał zwrócić im uwagę, by ściszyli głosy, gdyż w przeciwnym razie nici z polowania. Byłem zaskoczony, widząc, że zwraca się on do nich w tak szorstki sposób, ale lord Middleton nie wyglądał na choćby odrobinę oburzonego. Natomiast dżentelmeni wyglądali na dość zawstydzonych i dalej szli w milczeniu. Teraz to łowczy prowadził całą grupę i mniej więcej co sto jardów zatrzymywał nas gestem dłoni. Przystawaliśmy, z trudem łapiąc oddech, gdy on lustrował zbocze i wydawało się, że głęboko wdycha powietrze, by następnie bez słowa wskazać nam gestem dłoni dalszy kierunek. Mniej więcej po godzinie doszliśmy do grani, a łowczy nakazał nam pochylić głowy. Leżałem na brzuchu we wrzosach. Nastrój naszej grupy był teraz dość poważny. W dole pasło się stado trzydziestu czy czterdziestu jeleni. Łanie były zwrócone w jedną stronę, z opuszczonymi głowami szły przed siebie jak grupka kobiet siejących ziarno. Byliśmy tak blisko, że widzieliśmy powolne ruchy ich szczęk. Na czele stada stał jeleń, którego poroże przypominało parę kamiennych rąk uniesionych ku niebu. Zwierzęta były całkowicie nieświadome naszej obecności.

Łowczy cicho polecił jednemu z dżentelmenów, by się do niego przysunął. Ów spokojnie i zaskakująco sprawnie załadował broń i skierował ją w stronę jelenia. Jego głowa spoczęła na kolbie strzelby. Była to chwila pełna powagi. Leżałem wystarczająco blisko, by dostrzec palec zbliżający się do cyngla. Przeniosłem wzrok na jelenia i poczułem okropny żal, że ma umrzeć po to, by ten człowiek mógł umocować jego głowę na ścianie swojego salonu. Palec dżentelmena spoczął na cynglu. Zerwałem się bez namysłu i zacząłem skakać wzdłuż grani, trzepocząc ramionami jak wielki ptak i piejąc jak kogut. Jeleń uciekł w dół, a dżentelmen oddał strzał w powietrze. Łowczy poderwał się, chwycił mnie za ramię i powalił brutalnie na ziemię. W tym momencie zdałem sobie sprawę ze swego czynu i natychmiast go pożałowałem. Łowczy rzucił w moją stronę wiązkę dosadnych przekleństw, a ja w obawie, że rozprawi się ze mną za pomocą swojej broni, nakryłem głowę rękami. Jednak nie uczynił tego i zostawił mnie leżącego we wrzosach. Czułem się strasznie głupio. Dwóch parobków śmiało się głośno, ale łowczy skarcił ich surowym spojrzeniem. Twarz lorda Middletona zrobiła się purpurowa, nie umiem powiedzieć, czy na skutek górskiego powietrza, czy od gniewu. Trzech dżentelmenów wpatrywało się we mnie ze zdumieniem. Wyobraziłem sobie, że łowczy wyśle mnie w dół wąwozu, by goście mogli strzelić mi w plecy i w ten sposób powetować sobie stratę. Lecz nic takiego się nie wydarzyło. Lord Middleton wystąpił naprzód i zapytał łowczego, jak się nazywam.

– To Roderick Macrae, syn Johna Macrae z Culduie – odpowiedział.

Lord Middleton skinął głową i odparł:

– Dopilnuj, żeby już nigdy więcej nie pracował w mojej posiadłości.

Potem odwrócił się i przeprosił swoich gości. Gdybym miał taką możliwość, również bym to uczynił, ale zostałem odesłany do Wielkiego Domu i przypomniano mi, że mam zabrać kufer i zanieść go do kuchni.

Byłem wdzięczny lordowi Middletonowi za pobłażliwość dla mojego czynu. Gdy odłączałem się od grupy, Archibald Ross odwrócił wzrok, pokazując, że nie chce zadawać się z takim imbecylem.

Wieczorem po powrocie do domu nie powiedziałem nic o tym, co stało się w górach. Następnego ranka wyszedłem z dwoma ziemniakami w kieszeni, jakby poprzedniego dnia nie wydarzył się żaden nieszczęsny incydent, i przez cały dzień wałęsałem się wśród małych jezior na Càrn. Gdy wróciłem wieczorem, ojciec już wiedział o moim wybryku i otrzymałem zasłużone i porządne lanie.

* * *

Jakiś czas po incydencie z owcą pojawiły się pogłoski, że Lachlan Beczka złożył wizytę zarządcy. Źródło pogłosek było niejasne. Część mieszkańców Applecross twierdziła, że widziała Lachlana Beczkę zmierzającego do domu zarządcy, ale to samo w sobie nie stanowiło jeszcze dowodu. Niewyobrażalną zuchwałością byłoby odwiedzenie zarządcy z własnej woli, natomiast gdy ktoś jest przez zarządcę wzywany, jest to ogłaszane za pośrednictwem konstabla, a Calum Finlayson niczego przecież nie ogłaszał. Ojciec mamrotał pod nosem, że najbardziej prawdopodobnym źródłem tych plotek był sam Lachlan Beczka. Tak czy inaczej, domysły były powtarzane tak długo, że niebawem zostały uznane za fakt.

Pewne jest to, że wkrótce po tej rzekomej wizycie Calum Finlayson został wezwany do zarządcy. Kadencja urzędu piastowanego przez pana Finlaysona miała dobiec końca za kilka miesięcy i wszystko wskazywało na to, że konstabl dotrwa do końca tej niepopularnej roli, nie zrażając do siebie sąsiadów – co w przypadku tej funkcji nie było bynajmniej rzeczą oczywistą. Jako człowiek od wszystkiego, konstabl miał pracę nie do pozazdroszczenia. Jeśli nie udawało mu się wyegzekwować przepisów,

narażał się na gniew zarządcy, natomiast jeśli działał zbyt stanowczo, napotykał sprzeciw społeczności. Tego ostatniego udało się panu Finlaysonowi uniknąć dzięki dyskretnemu zwracaniu uwagi na wykroczenia i nieśpieszeniu ze wszystkimi problemami do zarządcy. Gdy było to możliwe, zachęcał najemców do rozwiązywania sporów polubownie, a w przypadku konieczności arbitrażu zawsze zachowywał się bezstronnie. Zdecydowana większość mieszkańców chciała, aby nadal pełnił swoją funkcję, zwłaszcza, że miarą jego dobrego charakteru było to, że on sam wcale tego nie pragnął.

Po odwiedzinach u zarządcy Calum Finlayson obwieścił, iż powiedziano mu, że nie pełnił swojej roli z wystarczającym zaangażowaniem. Czy zarządca zwrócił na to uwagę za sprawą Lahlana Beczki, było kwestią sporną, ale w konsekwencji tego zajścia konstabl przez resztę swojej kadencji został zobowiązany do egzekwowania przepisów z większą surowością. W celu zmuszenia go do tego, zarządca nakazał mu wystawienie określonej liczby grzywien podczas miesięcy pozostających do końca kadencji. Nieosiągnięcie wyznaczonej kwoty skutkowałoby koniecznością pokrycia brakującej różnicy z własnej kieszeni. Pana Finlaysona niezmiernie to przygnębiło.

Spotkanie, w którym wzięła udział zdecydowana większość mieszkańców naszej miejscowości, odbyło się w domu Kenny'ego Dyma. Postanowiono, że w celu uchronienia pana Finlaysona przed obowiązkiem nakładania na sąsiadów kar, będzie się przestrzegać przepisów z największą skrupulatnością. Postanowiono również, że w celu uzbierania sumy wymaganej przez zarządcę, rodziny zamożne wpłacą do ogólnego funduszu po pięć szylingów. Ubożsi mogli wpłacić datki stosowne do swoich możliwości. Pomimo żalu wynikającego z przymusu do – jak to ujął Kenny

Dym – nabijania kabzy zarządcy, ludzie byli w dobrych nastrojach, dużo śpiewano i pito whisky.

Lachlan Beczka i jego krewni nie przyszli, a potem odmówili dołożenia się do zbiórki. Wprawdzie mój ojciec również jej nie pochwalał, gdyż zakładała oszustwo i nieposzanowanie władzy, lecz dołożył swojego szylinga jako symbol poważania dla Caluma Finlaysona. Ponieważ nikt nie chciał mieć przy swoim nazwisku czarnego znaku z powodu naruszenia przepisów, ustalono, że wszystkie rodziny w parafii otrzymają równorzędne kary. Dzięki temu żadna rodzina ani osoba nie mogła uniknąć sankcji. Było lato i pomimo niezadowolenia z dodatkowego, niechcianego wydatku, cała historia stała się dla ludzi źródłem niemałej uciechy. Grzywny zostały bowiem nałożone za niezwykle błahe wykroczenia. Wpłata mojego ojca została zarejestrowana jako kara za pozwalanie kogutowi na pianie w godzinach nocnych. Kenny Dym został ukarany za niedopytywanie się o zdrowie zarządcy, a Ślepa Maggie, wdowa z Camusterrach, za wyruszenie do kościoła lewą nogą. Gdy nadszedł czas przekazania pieniędzy przez pana Finlaysona, zarządca zapewne pojął, że sytuacja nie rozwinęła się po jego myśli, lecz konstabla mógł oskarżyć jedynie o przesadną drobiazgowość w wykonywaniu swoich obowiązków. Natomiast ludzie byli niezmiernie uradowani powodzeniem i postrzegali je jako małe zwycięstwo nad władzą. Jednak mój ojciec był zdania, że nikt nie powinien się cieszyć z dostarczania pieniędzy zarządcy, a ja podzielałem ten pogląd.

Pod koniec lata Lachlan Beczka ogłosił, że będzie kandydować na stanowisko konstabla w przyszłej kadencji. Było rzeczą niesłychaną, że ktoś chce ubiegać się o tę niewdzięczną posadę. Nawet ci, którzy ze sprawowania władzy czerpali radość, nigdy by się do tego nie przyznali. Wszyscy wiedzieli, że Lachlan Beczka będzie się delektować władzą nad sąsiadami i z tego powodu potajemnie szukano innego kandydata. Mój

ojciec, choć niezbyt lubiany, był w społeczności szanowany. Toteż pewnego wieczoru do naszego domu przyszła grupa mężczyzn, wśród których znajdował się Kenny Dym. Zaczęli przekonywać ojca do startu w wyborach. Natomiast ojciec zapytał każdego z nich, dlaczego sami tego nie zrobią i dlaczego sami nie chcą zmierzyć się z Lachlanem Beczką. Każdy z mężczyzn miał jakąś wymówkę, a w momencie, gdy ostatni z nich zamilkł, ojciec nie musiał nawet mówić, że on też nie zamierza kandydować. Faktem było, iż spotkanie Lachlana Beczki z zarządcą, prawdziwe czy zmyślone, sprawiło, że postrzegano go jako faworyta zarządcy. Właśnie z tego powodu nikt nie chciał stawać z nim w szranki. W końcu jedyną osobą, która dała się do tego przekonać, był Murdo Kogut, głupek mieszkający w chatce w Aird-Dubh. Mówiono o nim, że żywi się tylko chwastami i małżami.

Głosowanie odbyło się na plebanii w Camusterrach. Tamtego wieczora ludzie z trzech wiosek weszli do środka, z czapkami wetkniętymi w kieszenie kurtek lub ściskanymi na kolanach. Wielebny Galbraith witał przy wejściu każdego z mężczyzn, zapytując ogólnie o ich rodziny i czyniąc uwagi dotyczące nieobecności w kościele. Wyczuwało się powagę chwili. Zarządca stojący między dwoma kandydatami przemówił krótko do zebranych ludzi. Podziękował wszystkim za obecność i przypomniał o wpływie konstabla na szczęśliwe zarządzanie posiadłością. Nie wyróżnił żadnego z kandydatów, zaakcentował tylko znaczenie poczucia obywatelskiego obowiązku i wyraził wiarę, że mężczyźni wybiorą lepszego kandydata. Następnie wielebny Galbraith zainicjował wspólną modlitwę. Gdy nadszedł czas głosowania, wszyscy jak jeden mąż podnieśli rękę na znak aprobaty wobec Lachlana Beczki.

Beczka szybko oswoił się z nowo nabytą władzą. Pewnego wieczoru, wkrótce po nominacji, złożył nam wizytę. Jetta właśnie sprzątnęła naczynia

po posiłku i zajęła się robieniem na drutach. Ojciec siedział na krześle przy oknie. Ja zostałem przy stole. Wciąż było jasno, a ja wyglądałem przez drzwi od kilku minut, obserwując zbliżającego się Lachlana Beczkę i jego brata. Dopiero gdy mijali dom naszego sąsiada, zdałem sobie sprawę, że zmierzają do nas, i było za późno, by zaalarmować ojca. Wielka postać Lachlana przesłoniła światło w drzwiach. Nie powiedział nic na powitanie i sądzę, że to zmiana oświetlenia kazała ojcu podnieść wzrok znad książki. W tym momencie nowy konstabl pożyczył nam dobrego wieczoru. Ojciec wstał, ale nie okazał nawet pozoru radości z wizyty. Aeneas Mackenzie pozostał za progiem, z założonymi rękami, jakby strzegł naszego domu przed ewentualnymi intruzami. Lachlan Beczka postąpił jeden albo dwa kroki i oznajmił, że w związku z niedawno objętym stanowiskiem odwiedza wszystkie domy znajdujące się pod jego jurysdykcją.

Ojciec odparł kąśliwym tonem:

– Zatem teraz jesteśmy pod pańską jurysdykcją, tak?

Lachlan Beczka odpowiedział:

– Jest pan pod jurysdykcją dziedzica, a ponieważ dziedzic powierzył zarządcy zarządzanie posiadłością i ponieważ obecnie to ja reprezentuję zarządcę w tej miejscowości, jest pan pod moją jurysdykcją.

Potem zrobił prawą ręką gest w kierunku stołu i powiedział:

– Czy nie jestem mile widziany w pańskim domu?

Ojciec wskazał mu, żeby usiadł, i polecił Jetcie, by dokończyła robótkę gdzie indziej, ale nie zaproponował Beczce niczego do picia, jak uczyniłby w przypadku innych gości. Lachlan Beczka przyglądał się Jetcie, kiedy wycofywała się do tylnej izby, po czym usiadł na ławie i przywitał się ze mną. Odpowiedziałem mu najuprzejmiej, jak potrafiłem. Gdybym powiedział to, co naprawdę myślałem, z pewnością nałożyłby na nas jakąś karę.

Kiedy ojciec zajął miejsce na końcu stołu, Lachlan Beczka zaczął od stwierdzenia, że czuje się wyróżniony, iż zdobył poparcie całej społeczności w powierzeniu mu funkcji konstabla. Potem rozprawiał szczegółowo o odpowiedzialności za nieprzestrzeganie warunków dzierżawy. Przepisy – jak twierdził – nie służą zachciankom ani wzbogaceniu się dziedzica, lecz zostały ustanowione dla dobra wszystkich mieszkańców społeczności.

– Gdyby nie było przepisów – powiedział – żylibyśmy w anarchii, nieprawdaż?

Mówiąc to, bębnił w stół trzema środkowymi palcami prawej dłoni. Brzmiało to jak odległy galop kuca. Miał grube i obdarte palce, a w postrzępione paznokcie wrósł mu brud. Gdy mówił, jego wzrok pozostawał utkwiony gdzieś między wierzchołkiem komody a sufitem, jakby przemawiał do zgromadzenia parafialnego. Na kilka chwil przerwał, by dać ojcu możliwość powiedzenia czegoś, ale nie usłyszawszy ani słowa, ciągnął dalej.

Powiedział, że ostatnio nasza społeczność wyrobiła sobie złą opinię z powodu nieprzestrzegania przepisów oraz niedbałego ich egzekwowania. Zachowujemy się – wyjaśniał – jak uczniowie, gdy nauczyciel jest odwrócony. Podkreślił, że takie zachowanie było tolerowane przez jego poprzednika, który przesadnie pragnął być lubiany, co skutkowało tym, że źle służył swojej społeczności. Lecz teraz to Beczka został wybrany na konstabla i był to znak, że ludzie chcą zmienić swoje postępowanie. Ma teraz możliwość przypomnienia wszystkim dzierżawcom o ich obowiązkach związanych z warunkami najmu. Rzekł, że jeśli niektóre sprawy nie ulegną poprawie, trzeba będzie przedsięwziąć pewne środki. Na chwilę umilkł, po czym dodał, jakby po pewnym namyśle, że przemawia z pełnego upoważnienia zarządcy.

Wyraz twarzy ojca nie zmienił się od początku przemowy Beczki. Ale teraz ojciec wyjął fajkę z ust i jął ją ponownie napełniać. Uczyniwszy to, zapalił i zaciągnął się kilka razy.

– Nie ma pan podstaw, by przypominać mi o moich obowiązkach, Lachlanie Mackenzie. Nigdy nie przekroczyłem prawa, a moje nazwisko nigdy nie zostało oznaczone czarnym znakiem.

– Przykro mi to mówić, panie Macrae, ale pańska odpowiedź tylko potwierdza stan anarchii, w jaki niedawno popadliśmy. Do tego stopnia zlekceważyliśmy już przepisy, że sami nie wiemy, kiedy je łamiemy. – Potem dodał: – Tak czy inaczej, ani pan, ani nikt inny nie może wiedzieć, czyje nazwisko zostało oznaczone czarnym znakiem.

Ojciec wciąż spokojnie palił fajkę. Rzadko można było odgadnąć, co myśli, ale wówczas wywnioskowałem z pewnej hardości w jego oczach, że był niezadowolony. Lachlan Beczka przestał bębnić palcami i swoją lewą rękę, która dotychczas spoczywała na kolanie, położył płasko na stole. Zinterpretowałem ten gest jako znak, że chciał wstać i wyjść, ale nie uczynił tego. Okazało się natomiast, że jego uwagi aż do tego momentu były zaledwie wstępem do prawdziwego celu wizyty.

– Poza tymi ogólnikami – powiedział – jest pewna kwestia, która dotyczy w sposób szczególny pańskiego domu.

Znów zaczął bębnić palcami w stół. Przypuszczałem, że podejmie na nowo temat zabicia owcy i użyje swojej nowo nabytej mocy, by znów otworzyć temat wysokości kary albo przynajmniej zażądać jej natychmiastowego uiszczenia. Ale myliłem się.

– Zdecydowano – kontynuował – że pańskie pole powinno zostać zmniejszone.

Wyraz twarzy ojca nie zmienił się.

– Od śmierci pańskiej żony w pańskim gospodarstwie jest mniej osób. Zakładam, że nie planuje pan ponownego ożenku, więc ta redukcja ma charakter trwały. Pański przydział ziemi zostanie przeto zmniejszony o jedną piątą. Są inne, większe rodziny, których pola są mniejsze niż pańskie, zatem pańska ziemia zostanie przydzielona jednej z nich.

– A konkretnie pańskiej – powiedział ojciec.

Lachlan Beczka cmoknął lekko i potrząsnął głową, jakby ta sugestia go uraziła.

– Z pewnością nie mojej, panie Macrae. To byłoby nadużycie władzy. Ziemia zostanie przydzielona odpowiedniej rodzinie.

– Nikt z moich sąsiadów jej nie przyjmie – powiedział ojciec.

Lachlan Beczka zacisnął usta.

– Zobaczymy – powiedział. – W niczyim interesie nie jest, by ziemia leżała odłogiem.

– Przede mną tę ziemię uprawiał mój ojciec i dziadek.

– Zgadza się – powiedział Beczka – ale nie należała ona do nich i nie należy do pana. Należy do dziedzica i to dzięki jego decyzji ma pan ten przywilej, by ją uprawiać.

– A wysokość dzierżawy?

W duchu przeklinałem ojca, gdyż jego pytanie jasno wskazywało, że zamierza pogodzić się ze zmniejszeniem pola. Gdyby żyła moja matka, natychmiast wyrzuciłaby Lachlana Beczkę z domu z gradem obelg, ale ojciec był inny.

– Co z nią? – odparł Beczka.

– Jeśli ziemia ma zostać zredukowana, opłaty również powinny być niższe.

Konstabl parsknął przez nos, by dać ojcu do zrozumienia absurdalność tego pomysłu.

– Pański czynsz jest, jak sądzę, niepłacony od kilku lat – powiedział. – Jeśli mogę udzielić panu jakiejś rady, nie prowokowałbym władzy prośbą o obniżenie go.

Ojciec wstał i opierając się knykciami o stół, pochylił się w kierunku Lachlana Beczki.

– Poproszę o spotkanie z zarządcą w tej sprawie – powiedział.

Beczka nie ruszył się z miejsca i tylko rozłożył ręce.

– W zasadzie może pan to uczynić – zaczął – ale muszę panu przypomnieć, że rozmawia pan z jego przedstawicielem. Przypuszczam, że nie zależy panu na reputacji człowieka wzbudzającego niepokój społeczności. Zarządzanie, przypomnę panu, ma na celu raczej dobro ogółu niż jednostki. Jak pan już wspomniał, nie chciałby pan mieć kolejnych czarnych znaków przy swoim nazwisku.

Po tych słowach Lachlan Beczka wstał i powiedział bardzo oficjalnie:

– Zmiana powierzchni nastąpi na wiosnę, zatem będzie pan miał możliwość zebrania tegorocznych plonów. Może pan zdecydować, którą część ziemi chce pan oddać, i oznajmić mi to we właściwym czasie.

Potem polecił nam, byśmy w przyszłości zwracali się do niego *panie konstablu Mackenzie* albo po prostu *panie konstablu*, i abyśmy nie zapominali, że działa z mocy urzędu.

Ojciec nie odwiedził zarządcy i na wiosnę część ziemi położona najdalej od domu została oddana naszemu sąsiadowi Duncanowi Gregorowi, mieszkającemu ze swoją starą matką, żoną i czwórką dzieci. Pan Gregor przyszedł do mojego ojca, aby zapewnić go, że nigdy nie poczynił żadnych starań o te grunty i nie miał zamiaru osiągać korzyści kosztem ojca. Zaproponował, aby dwie rodziny uprawiały tę rolę wspólnie

i dzieliły się plonami. Ojciec odrzucił tę wielkoduszną propozycję, mówiąc, że nie ma zamiaru uprawiać ziemi, która nie należy do niego, i że zgadza się z tym, że jego potrzeby są mniejsze niż sąsiada. Pan Gregor przez jakiś czas usiłował jeszcze przekonać ojca, ale on pozostał niewzruszony. Nie przyjął także żadnej innej rekompensaty za swoją stratę.

* * *

Natura władzy sprawowanej przez Lachlana Beczkę szybko stała się jasna. W poprzednich latach wszyscy konstablowie wykonywali swoje obowiązki niechętnie i tylko wtedy, gdy przyparto ich do muru. Tymczasem Lachlan Beczka czuł się w nowej roli doskonale niczym lis w kurniku. Paradował dumnie po wioskach będących pod jego jurysdykcją z notesem w ręku i ołówkiem za uchem, zazwyczaj w towarzystwie swojego przygłupiego brata albo kuzyna – lub ich obu. Utrzymanie stanu pól, ścieżek, rowów i dróg podlegało jego szczegółowej kontroli. Swoich inspekcji nie ograniczał bynajmniej do obszarów wspólnych. Nie wahał się przed wchodzeniem bez zapowiedzi do domów sąsiadów, gdzie bazgrał coś w notesie, a jego zawartości nikomu nie ujawniał. Te zapiski oczywiście nie skutkowały natychmiastowymi grzywnami. Ludzie wiedzieli tylko, że konstabl coś notował i że w przyszłości może to zostać użyte przeciwko nim. Przeto Lachlan Beczka spotykał się z przychylnością mieszkańców, gdy pytał, czy mogą popracować na jego roli albo wykonać inne zadania, których on nie może się podjąć z powodu rzetelnego wykonywania obowiązków służbowych.

Lachlan Beczka stwierdził, że drogi i ścieżki łączące nasze domy i wioski są w opłakanym stanie i że jest to nie do przyjęcia. Nakreślono ogólny plan działań i wszystkich mężczyzn z parafii wezwano na dziesięciodniowe roboty. Odważniejsi z nich kwestionowali konieczność

wykonania pracy za darmo. Zostali jednak poinformowani, iż na mocy warunków dzierżawy jesteśmy zobligowani do utrzymywania dróg w dobrym stanie. W ten sposób konstabl wyjaśnił nam, że jedynie prosi mieszkańców, by wykonywali obowiązki, które wcześniej lekceważyli. W przeciwnym razie będzie zmuszony ukarać nas grzywną za zaniedbanie. Pomimo narzekań na rygor Lachlana Beczki powszechnie akceptowano fakt, że naprawy, które zarządził, będą służyć dobru ogółu.

W podtrzymaniu dobrego imienia konstablowi pomagało wielu krewnych mieszkających w wioskach objętych jego władzą. Podobnie jak inne klany, klan Mackenziech również był gotów do stawania w obronie każdego ze swoich członków i szybko stało się jasne, że nieprzychylne uwagi na temat Beczki dotrą do jego uszu. Zatem ludzie woleli zachowywać swoje przemyślenia na temat konstabla dla siebie.

Pewnego wieczora ojciec wyszedł przed dom i usiadł na ławce, aby odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Dołączył do niego Kenny Dym i obaj siedzieli długo w ciszy, zaciągając się fajkami. Wtedy na drodze prowadzącej do naszej wioski pojawił się Lachlan Beczka, wykonujący pobieżną kontrolę rowów. Kenny Dym wyjął fajkę z ust, pochylił się ku mojemu ojcu i wymamrotał:

– Lachlan Beczka to wrzód na dupie, ale nie można zaprzeczyć, że dobrze zajmuje się naprawami i utrzymaniem całej okolicy.

Ojciec nie odpowiedział. Nie pochwalał takiego języka.

Wkrótce Lachlan Beczka zdobył wpływ na wszystkie aspekty życia wioski. Na koniec czarnych miesięcy przypada w naszych stronach czas cięcia i suszenia torfu, o ile pogoda na to pozwoli. Jest to zadanie wykonywane wspólnie przez całą wioskę, gdyż nie ma sensu, aby rodziny cięły torf tylko dla siebie. To żmudna praca, ale ogólnie rzecz biorąc, przebiega w miłej atmosferze, przy śpiewie i wspólnych posiłkach. Jednak

tego roku, pomimo iż cięcie torfu przebiegało sprawniej niż kiedykolwiek wcześniej, konstabl postanowił nadzorować pracę. Sporządzono grafik, a zastępcy Beczki (zawsze był to jeden z jego krewnych) zostali wyznaczeni do doglądania robót we wszystkich wioskach należących do jego jurysdykcji. Zastępcy nie pracowali, tylko spędzali dzień na wałęsaniu się po bagnach, wydawaniu rozkazów i wyznaczaniu pory na odpoczynek. Budziło to wielkie wzburzenie, bo wyglądało to tak, jakby zadanie, którego mieszkańcy wioski wcześniej podjęli się z własnej woli, było obecnie wykonywane wyłącznie na rozkaz władzy. Przeto niechętnie śpiewano i prysł dobry humor, jaki zazwyczaj tej pracy towarzyszył. Byłem przedmiotem szczególnej obserwacji, gdyż od wypadku z owcą mówiono, że nie można powierzać mi ciężkich narzędzi. Dlatego zostałem odesłany do pracy w pewnej odległości od innych, a kiedy robiłem sobie przerwę na otarcie spoconego czoła, Aeneas Mackenzie wrzeszczał na mnie, bym przestał próżnować. Przyznaję, że z chęcią rozwaliłbym mu czaszkę jakimś ciężkim narzędziem, ale nie chcąc przysparzać ojcu kolejnych problemów, pracowałem tak ciężko, jak mogłem. Co wieczór wracałem z gór do domu z obolałymi od wysiłku ramionami i łydkami.

Pewnego ranka podczas cięcia torfu zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o plackach, które Jetta dla mnie uszykowała. Nie mówiąc nic towarzyszom odpoczywającym na brzegach bagna, ruszyłem w dół. Był ciepły, słoneczny dzień, a poranna praca sprawiła, że się spociłem. Gdy schodziłem żwawym krokiem po zboczu, pomyślałem, że może mógłbym na kilka minut usiąść na ławce przed naszym domem z kubkiem mleka i odpocząć. W wiosce było cicho. Większość mężczyzn pracowała w górach, a kobiety zajmowały się obowiązkami domowymi. Mój ojciec, który nie miał wtedy czasu i siły, by spędzać cały dzień na torfowisku, pracował na roli, orząc pługiem, a ja, patrząc na jego żmudne wysiłki,

zdałem sobie sprawę, że gdy skończymy ciąć torf, będę musiał zastanowić się nad wprowadzeniem nowych metod uprawy pola, które nam pozostało.

Przez chwilę stałem na progu domu. Moje oczy, oślepione blaskiem słońca, potrzebowały trochę czasu, by przywyknąć do mroku panującego wewnątrz. Blada poświata emanowała od tlącego się ognia, a wąski snop światła wdzierał się przez okno. Byłem zaskoczony, widząc postać stojącą plecami do drzwi przy naszym stole. Moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy dostrzegłem po jej kształtach i po żółtym szalu owiniętym wokół szyi, że jest to Lachlan Beczka. Wyglądało to tak, jakby usiłował przesunąć stół. Jego ręce chwytały deski po bokach, a nogi i ciało napinały się. Zdumiało mnie to, gdyż nie umiałem wyobrazić sobie żadnego powodu, dla którego konstabl miałby przesuwać nasze meble; ponadto nasz stół nie jest aż tak ciężki, by mężczyzna pokroju Lachlana Beczki musiał się mozolić, by ruszyć go z miejsca. Już miałem zdradzić swoją obecność, gdy ujrzałem dwie nogi wystające z każdej strony bioder Lachlana. Te nogi wisiały w powietrzu, lekko zgięte w kolanach, mniej więcej równolegle do klepiska. Po czarnych butach na obu stopach poznałem, że należą do mojej siostry. Tuż potem w połowie długości stołu dostrzegłem drugą parę rąk, mocno ściskających deski. Stałem cicho w drzwiach i przez parę minut obserwowałem, jak Lachlan Beczka napina się przy stole coraz intensywniej. Zaczął wydawać zwierzęce odgłosy i wtedy, zupełnie nagle, przerwał i przestał przesuwać nasz mebel. Odszedł od stołu i zwrócił się ku oknu. Widziałem jego członek, bardzo nabiegły krwią i sztywny jak kij od miotły. Wziął go do ręki i wcisnął do spodni. Ciężko sapał z wysiłku i był bardzo spocony. Nie wydałem z siebie żadnego odgłosu, ale on zwrócił swoją głowę w moim kierunku, jakby przez cały czas był świadomy mojej obecności. Powitał mnie, jakby nie było nic niezwykłego w tym, że przebywa w naszym domu. Potem odwiązał szal, użył go do otarcia czoła

i szyi, po czym nieśpiesznie wygładził zarost na twarzy. Popatrzył na Jettę, której dłonie na deskach stołu już się rozluźniły, i ruszył ku mnie. Odsunąłem się, by pozwolić mu wyjść.

Zatrzymał się u drzwi i powiedział:

– Czy nie powinieneś być teraz na torfowisku, chłopcze?

Nigdy nie lubiłem, gdy nazywano mnie chłopcem, bo tak zwracał się do mnie ojciec, gdy był niezadowolony, i wyrwało mi się:

– Nie jestem pańskim chłopcem, panie Mackenzie!

Natychmiast pożałowałem tej hardości. Pomyślałem, iż konstabl zaraz opowie ojcu, że zwracam się do niego bez szacunku, i karze nam zapłacić szyling grzywny. Lecz on zamiast tego uderzył mnie w potylicę, zbliżył swoją twarz do mojej i powiedział:

– Jak podrośniesz, zrozumiesz, że mężczyzna musi gdzieś załatwiać swoje potrzeby. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma już z nami twojej drogiej matki.

Po tych słowach zarechotał i wyszedł. Widziałem, jak wałęsa się po wiosce, szalik powiewał mu w prawej dłoni, a ja poczułem do niego ogromną odrazę.

Jetta wciąż leżała na stole z falującymi piersiami, a mój wzrok padł na ciemny obszar między jej udami. Nie wstając z krawędzi stołu, opuściła w dół spódnice i halki, owinięte wokół talii. Potem usiadła i siedziała tak przez kilka minut, machając nogami nad podłogą. Jej twarz była czerwona, a na czole miała krople potu. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem. W końcu wstała i wygładziła ubranie. Spytała, co tu robię, a ja powiedziałem, że zapomniałem o plackach. Podeszła do kredensu i podała mi je. Jej policzki pałały rumieńcem, jakby dopiero co biegła lub tańczyła. Powiedziała, że mam nie mówić ojcu o tym, co widziałem. Skinąłem głową i zapytałem, czy mogę dostać garnuszek mleka.

Wziąłem placki i usiadłem na ławce przed domem. Jetta przyniosła mi garnuszek i bez słowa wróciła do środka. Ojciec był zwrócony tyłem do domu i wpatrywał się w glebę przed sobą. Patrzyłem, jak zmaga się z pługiem, a jego stopy często ześlizgują się z koleśnicy. Pracował żmudnie, ledwo radząc sobie z ziemią. Nie potrafię określić, czy widział, jak Lachlan Beczka wchodził albo opuszczał nasz dom. Z pewnością przez czas, kiedy go obserwowałem, nie podniósł oczu znad swojej pracy.

Gdy wróciłem na torfowisko, Aeneas Mackenzie wezwał mnie do siebie i kazał mi zawiadomić konstabla o tym, że opuściłem swoje stanowisko. Odparłem, że nie ma takiej potrzeby, gdyż już go spotkałem, i nigdy więcej do tej sprawy nie powrócono.

* * *

Mniej więcej w tym czasie poznałem Florę Mackenzie, najstarszą córkę Lachlana Beczki. Co prawda chodziliśmy razem do szkoły, ale jako że z natury nie byłem zbyt towarzyski, można rzec, że właściwie dopiero teraz poznaliśmy się po raz pierwszy. Była ode mnie młodsza mniej więcej o rok i z tego względu, jak również z powodu zatargów między naszymi rodzinami, mieliśmy ze sobą słaby kontakt. W szkole Flora siedziała zazwyczaj w pierwszej ławce i nigdy nie miałem okazji, by przyjrzeć się z bliska jej twarzy. Sprawiała wrażenie bardzo skupionej na każdym temacie. Zawsze zgłaszała się pierwsza, aby zmazać tablicę dla pana Gilliesa i była niezmiernie dumna, gdy otrzymywała ten przywilej. Jeśli z tego okresu jakoś ją wspominam, to jako głupią dziewczynę, nadgorliwą w zadowalaniu tych, którzy mieli jakąkolwiek władzę.

Pewnego popołudnia zostałem wezwany do pracy na polu Lachlana Beczki. Flora zamiatała obejście, jednocześnie zajmując się swoim młodszym braciszkiem Donaldem. Choć byłem zwrócony do niej plecami,

czułem, że mi się przygląda. Nie przerywałem pracy, cały czas świadomy, że jej oczy są we mnie utkwione. W pewnym momencie stanąłem i obróciłem się w jej stronę. Opierała się o miotłę i wcale nie próbowała ukrywać, że mnie obserwuje. Oparłem się na kiju od szpadla, naśladując jej postawę, i też na nią patrzyłem. Staliśmy tak przez kilka chwil, jakbyśmy w coś grali. Potem otrząsnęła się i wbiegła do domu, jakby nagle przypomniała sobie o jakimś pilnym zadaniu. Po chwili wróciła i przyniosła mi garnuszek mleka.

– Pomyślałam, że chce ci się pić – powiedziała, podając mi go.

Wziąłem od niej garnuszek i opróżniłem go jednym haustem.

– Dziękuję – powiedziałem. Otarłem usta brzegiem dłoni. Zabrała puste naczynie i wróciła do domu, kołysząc biodrami, jakby szła po świeżo zaoranym polu.

Wieczorem kilka dni później, poszedłem do stodoły za naszym domem. Popchnąłem drewniane drzwi i przywiązywałem linę do butwiejącej ościeżnicy, gdy wyczułem czyjąś obecność. Skończyłem wiązać linę, niczego po sobie nie okazując. Nie wiem, dlaczego nie przerwałem tej czynności. Może jedynie dlatego, że nie chciałem, aby ta osoba myślała, że robię coś niecnego po kryjomu. W pierwszej chwili sądziłem, że to Jetta, choć w zasadzie nie miała powodów, by mnie ukradkiem obserwować. Wiedziałem, że nie jest to mój ojciec, ponieważ po kolacji zazwyczaj rzadko ruszał się ze swojego miejsca przy oknie, a stamtąd szedł już prosto do łóżka. Z pewnością nie spodziewałem się, że za węgłem domu Gregora ujrzę Florę Beczkę. Moja mina musiała zdradzać kompletne zaskoczenie, bowiem dziewczyna zachichotała i zakryła usta dłonią, jakby od samego początku zamierzała mnie przestraszyć, a teraz cieszy się, że osiągnęła swój cel.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc po prostu patrzyłem na nią. Od czasów szkolnych Flora znacznie się zmieniła. Miała mniej dziecięce kształty, a nos i usta większe. Dziewczęce warkocze zastąpiła kobieca fryzura. Figura stała się krąglejsza, a piersi wypełniały gorset w sposób miły dla oka. Spódnica unosiła się cal lub dwa nad kostkami, a ozdobiony falbanką rąbek halki wystawał zza wierzchniego ubioru. Na nogach miała parę schludnych czarnych trzewików. Pomyślałem, czy zostały kupione za szylingi, które zapłaciliśmy jej ojcu za owcę. Przyglądała mi się z głową przechyloną na bok, jakbym był jakimś objazdowym dziwolągiem.

Potem przywitała się i zapytała, co robię. Odparłem, że to nie jej sprawa i że mógłbym ją spytać o to samo. Powiedziała, że jeśli nie powiem jej, co robię w stodole, to będzie zmuszona pomyśleć, że coś tam broję. Potem dodała, że jej ojciec nazwał mnie łobuzem i polecił trzymać się ode mnie z daleka. Nie byłem zdziwiony słysząc, że Lachlan Beczka ma o mnie taką opinię, ale zaskoczyło mnie, że Flora nie chciała mnie tymi słowami obrazić, tylko zapewnić, że świadomie sprzeciwia się woli ojca.

– A co powiedziałby twój ojciec, gdyby dowiedział się, że teraz ze mną rozmawiasz? – zapytałem.

Flora wzruszyła ramionami i otworzyła szeroko oczy, jakby to było dla niej bez znaczenia.

– Gdybym był twoim ojcem, spuściłbym ci solidne lanie – powiedziałem.

– A może on spuściłby lanie tobie – odparła. – Nie wątpię, że byłaby to dla niego nie lada przyjemność.

Flora zachichotała, jakby ta wizja wyjątkowo ją rozbawiła. Potem spytała mnie po raz drugi, co robię w stodole. Czując, że między nami pojawia się jakaś nić sympatii, powiedziałem, że opiekuję się pisklęciem, które przed dwoma czy trzema dniami znalazłem w trawie, dokładnie

w tym samym miejscu, w którym teraz stoi ona. Wskazałem na gniazdo nad jej głową, z którego wypadł mały ptaszek.

– Dlaczego nie włożyłeś go z powrotem? – spytała.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Chciałem jedynie uratować małego ptaszka. Nagle pojąłem, że odłożenie go do gniazda rzeczywiście byłoby najprostszym rozwiązaniem. Wcześniej często opiekowałem się zranionymi ptakami lub zwierzętami, ale ukrywałem to przed ojcem, ponieważ uznałby to za stratę czasu albo, co gorsza, za sprzeciw wobec woli Boga. Tym bardziej, że na ogół moi podopieczni umierali. Jednak dwa lata temu wyhodowałem pisklę, które znalazłem, znosząc torf ze zbocza. Kiedy wyrosły mu pióra, zdałem sobie sprawę, że to wrona i nazwałem ją Czarnuszka. Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do stodoły, aby ją nakarmić, okazało się, że zniknęła i wtedy zrozumiałem, że widocznie urosła na tyle, by pójść własną drogą. Nie wiem, czy te ptaki pozostają w pobliżu miejsca swoich narodzin, ale zawsze, gdy patrzyłem na wronę kroczącą dumnie po ściernisku czy sadowiącą się na miedzy przy drodze do Toscaig, zastanawiałem się, czy to Czarnuszka i czy w jej oku nie pojawia się błysk oznaczający, że mnie rozpoznaje.

W tych stronach wrony nie są mile widziane, gdyż uważa się, że przynoszą nieszczęście. Ludzie z Aird-Dubh, zajmujący się przeważnie rybołówstwem, są szczególnie nieprzychylnie nastawieni do tych ptaków i widok wrony siedzącej na kutrze wywołuje u nich wielkie przerażenie. Kiedyś widziałem, jak rybacy ciskali kamieniami pokaźnych rozmiarów w złowieszczego ptaka, nie bacząc na uszkodzenia łodzi, jakie mogli spowodować. Wierzyli, że odganiając symbol katastrofy, unikną jej. Lecz nigdy rdzenni mieszkańcy Aird-Dubh czy innej miejscowości nie zmieniali swoich planów pod wpływem ostrzeżeń przed niebezpieczeństwem. Panował wśród nich przesąd, że nie należy przerywać zaplanowanej

wyprawy w morze, gdyż taki czyn też może przynieść pecha. Mogłoby się zdarzyć, że któremuś z nich później, a nawet może tego samego dnia, spadnie na głowę dachówka. Ponieważ nie da się przewidzieć, jaką formę przybrałby pech, przeto daremne jest podejmowanie jakichkolwiek innych działań niż te już rozpoczęte. To sprawiało, że obrzucanie zwiastuna nieszczęścia kamieniami stawało się jeszcze bardziej niezrozumiałe. W tych stronach oczywiście jest wiele wron i można stracić dużo czasu na odpędzanie ich. Kiedy kogoś dotyka pech, jest dość prawdopodobne, że ta osoba zawsze przypomni sobie, że tego dnia rano widziała wronę siedzącą na jej rydlu. To jednak nie jest rozsądny powód, by wierzyć, że między tymi zdarzeniami istnieje jakieś powiązanie.

Spytałem Florę, czy chciałaby zobaczyć zranionego ptaka, a ona przytaknęła. Rozejrzałem się dookoła, by podkreślić, że to, co zamierzamy zrobić, jest tajemnicą, którą tylko ona ma prawo poznać. Odwiązałem linę i Flora weszła za mną do środka. Zamknąłem za nami drzwi. Skąpe światło sączyło się przez szpary między deskami w ścianie i z małego okienka wysoko w górze. Przez moment miałem ochotę wziąć Florę za rękę i poprowadzić ją do krokwi, gdzie ukryłem pisklę, ale nie uczyniłem tego. Zamiast tego staliśmy blisko siebie, pozwalając, by nasze oczy przyzwyczaiły się do mroku. Słyszałem łagodny oddech Flory. Poszedłem do kąta, wyciągnąłem stołek do dojenia i postawiłem go pod krokwią. Wskazałem Florze, że powinna wejść na niego, by zobaczyć pisklę. Podeszła bliżej i podała mi rękę, żeby się podeprzeć. Stanęła na czubkach swoich małych trzewików, zasznurowanych starannie wokół kostek. Jej palce pozostały na chwilę w mojej dłoni, zanim położyła obie ręce na krokwi. Zbudowałem prowizoryczne gniazdo z gałązek i trawy i podścieliłem je kurzymi piórami. Oprócz tego przykryłem pisklaka strzępami tkaniny, aby w ten sposób stworzyć mu wrażenie ciepła matki.

Flora westchnęła cichutko, ujrzawszy małą główkę wystającą z kłębka szmat, i pozostała bez ruchu przez kilka minut, choć ptaszek spał i nie było na co patrzeć.

– Czym go karmisz? – spytała szeptem.

– Owadami – odpowiedziałem. – I robakami z ziemi.

Wyciągnęła rękę, bym mógł pomóc jej zejść ze stołka. Potem ruszyła w stronę drzwi. Odstawiłem stołek w kąt stodoły, aby ojciec nie zastanawiał się, dlaczego ktoś postawił go pod krokwią. Chętnie zostałbym z Florą dłużej w stodole, ale nie potrafiłem wymyślić żadnego sensownego pretekstu. Popchnąłem drzwi i wytknąłem głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie widział, jak wchodziliśmy do środka.

– Dziękuję, że mi go pokazałeś – powiedziała.

– Cieszę się, że miałem tę możliwość – odrzekłem.

Odstąpiła ode mnie na krok.

– Powinnam już iść. Ojciec będzie się zastanawiać, gdzie mnie poniosło.

– Spierze cię na kwaśne jabłko.

– Jeśli powiem mu, gdzie byłam, to spierze ciebie – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Potem zniknęła za rogiem domu. Zabezpieczyłem ponownie linę wokół ościeżnicy i poszedłem przed dom. Usiadłem na ławce i obserwowałem Florę idącą przez wioskę. Miała taki chód, jakby całe jej ciało śpiewało. O tej porze zaczynał zapadać zmrok, a mgła wisiała ciężko nad wodą. Chwilę później Jetta wyszła z domu i usiadła obok mnie ze swoją robótką. Przysłuchiwałem się miłemu dźwiękowi, jaki wydawały jej druty w stygnącym powietrzu, i zapytałem, co robi. Zignorowała to i zapytała, z kim rozmawiałem w stodole. Poczułem, że się czerwienię, i odpowiedziałem:

– Z nikim.

Położyła robótkę na kolanach i popatrzyła na mnie z poważną miną.

– No, Roddy – powiedziała – dobrze wiesz, że z kimś rozmawiałeś i wiesz dobrze, że ja też o tym wiem.

– Więc musisz też wiedzieć, kto to był.

– Ale wolałabym, żebyś to ty mi o tym powiedział.

Rzuciłem spojrzenie na drzwi domu i szepnąłem:

– Z Florą Beczką.

– Z Florą Beczką?! – wykrzyknęła Jetta, jakby to była dla niej niezwykła wiadomość. – Z małą śliczną Florą Beczką!

Uciszyłem ją.

– Ojciec cię usłyszy – powiedziałem.

– Więc teraz uganiasz się za Florą Beczką – mówiła dalej. – Jetta już ci nie wystarcza?

– Nie uganiam się za nią – powiedziałem.

– Ale musiałeś dostrzec, że jest bardzo ładna i że ładnie się teraz stroi.

– Nic takiego nie zauważyłem – powiedziałem, czerwieniąc się po raz drugi.

Jetta się roześmiała. Ucieszyło mnie to, gdyż w ciągu ostatnich miesięcy nie śmiała się zbyt często. Ale zaraz potem spochmurniała. Działo się tak zawsze, kiedy przeczuwała coś złego.

– Biedny Roddy – powiedziała. – Wiem, że nie masz złych zamiarów, ale muszę ci to powiedzieć. Z tego nie będzie nic dobrego. Trzymaj się od niej z daleka.

Spuściłem wzrok, przerażony tym, że tak szybko zmienił się nastrój naszej rozmowy. Nie wątpię, że jej rada opierała się na jakichś przesłankach

z Innego Świata, ale nie miałem żadnego wpływu na bieg wydarzeń i w tym momencie nawet nie chciałem mieć.

* * *

Kilka dni później ojciec i ja wstaliśmy wcześnie, by zdążyć przed przypływem. Był wilgotny, spokojny poranek. Dym z kominów spowijał ziemię niczym całun. Duże krople rosy leżały na skibach zaoranej ziemi. Zamierzaliśmy tego ranka wyłowić wodorosty, które zmieszane z nawozem zwierząt nawodniłyby naszą rolę. Udaliśmy się na brzeg morza, ślizgając się często po pokrytych mułem skałach. Ojciec cierpiał na reumatyzm, przeto mi przypadło odcinanie wodorostów od skał. Była to żmudna praca. Ostrze mojego noża było tępe i odcięcie każdej garści wodorostów od skał wymagało wielkiego wysiłku. Ojciec stał oparty o swój rydel, często radząc mi, jak powinienem zmieniać sposób trzymania noża i jak mam prostować plecy podczas pracy. Nic nie odpowiadałem na te jego rady. Gdy uzbierałem sporą ilość, ojciec zaczął przerzucać ją powyżej linii przypływu. Połowa wodorostów przelatywała za każdym razem przez zęby jego wideł, ale nie zatrzymywał się i nawet nie próbował ich pozbierać. Nieraz całkowicie tracił równowagę, przez co cały ładunek fruwał w powietrzu, a ojciec wpadał w stosy ości na skałach. Choć niweczyło to nasze wysiłki, nie mogłem powstrzymać się w tych chwilach od śmiechu. Zanim ojcu udało się podnieść, przypominał przewróconego kraba z kończynami wymachującymi bezradnie w powietrzu.

Z upływem dnia wpadliśmy w odpowiedni rytm pracy. W miarę nadciągania przypływu przesuwałem się coraz bardziej w stronę lądu, więc trasa ojca stawała się coraz krótsza. Ojciec nawet zaczął sobie po cichu podśpiewywać. Był to dziwny śpiew, bardziej recytacja niż melodia. Słowa rozumiał tylko on, ale wciąż śpiewał to samo i miło się tego słuchało. Do

południa uzbieraliśmy kopiec o wysokości czterech stóp, wystarczająco duży, by pokryć połowę pozostawionego nam pola. Można było przewieźć go stamtąd wózkiem, co nie było trudnym zadaniem. Ojciec usiadł na skale obok naszej zdobyczy, wyjął fajkę z kieszeni i zapalił ją. Uznałem to za znak, że na dziś praca skończona. Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu, czując wspólną satysfakcję z osiągniętego celu. Potem ojciec kazał mi wrócić do domu i przynieść trochę mleka i placków.

Gdy schodząc ze zbocza, znów zbliżałem się do plaży, ujrzałem Lachlana Beczkę i jego brata, idących drogą w kierunku naszych wodorostów. Przystanęli i przywitali się z ojcem, lecz on nie odpowiedział im ani słówkiem albo przynajmniej ja tego nie słyszałem. Był zwrócony do mnie plecami i widziałem cienką smużkę dymu wydobywającą się z jego fajki. Ponieważ nie było wiatru, utrzymywała się wokół jego czapki, jak często smród utrzymywał się w pobliżu domów. Bałem się, że Lachlan Beczka zamierza sprzeciwić się mojej znajomości z jego córką, i pośpieszyłem ku nim, jakby to mogło go powstrzymać. Podałem ojcu kubek mleka.

– Widzę, że zbieracie wodorosty – powiedział Lachlan Beczka.

Ojciec nic nie odrzekł.

– Czy mogę spytać, w jakim celu?

– A w jakim celu mógłbym to robić? – odparł ojciec. Wzrok miał utkwiony w dal, ponad zatoką. Foka wynurzyła głowę z wody i obserwowała tę scenę przez kilka chwil, po czym cicho zniknęła pod powierzchnią.

Lachlan Beczka zrobił ręką gest, który miał oznaczać, że jest wiele powodów, dla których ktoś może zbierać wodorosty. Jeszcze przez chwilę milczał, a potem znów przemówił:

– Nie zamierza pan odpowiedzieć na moje pytanie?

– Znam tylko jeden powód zbierania wodorostów – odrzekł ojciec. – Dlatego nie wiem, co tu tłumaczyć.

Nieco zaskoczony konstabl zwrócił się do swojego brata, mówiąc, że nie rozumie, dlaczego ojciec jest taki oporny. W odpowiedzi Aeneas Mackenzie zarżał jak koń.

– Ponieważ pańskie zachowanie zmusza mnie do zgadywanek – kontynuował Lachlan Beczka – przypuszczam, że zbiera pan wodorosty, by następnie rozrzucić je na swojej ziemi?

– Jest pan bardzo bystry, konstablu – powiedział ojciec, w szczególny sposób akcentując ostatnie słowo.

Lachlan Beczka zacisnął usta i lekko skinął głową, jakby ta odpowiedź zbiła go z tropu.

– Zapewne jest pan świadom – odezwał się w końcu – że dary morza, w tym także wodorosty, są własnością dziedzica?

Ojciec odsunął fajkę od ust, ale nie odrzekł nic. Lachlan Beczka nie ustępował.

– Czy jest pan tego świadomy, panie Macrae?

Ojciec podniósł kubek z mlekiem do ust i opróżnił go jednym haustem. Biały płyn pozostawił ślady na wąsach i utrzymywały się tam one do końca rozmowy.

– A do czego dziedzicowi jest potrzebne kilka garści wodorostów? – zapytał. Przez cały czas patrzył na horyzont. Lachlan Beczka potrząsnął głową, jakby ojciec źle go zrozumiał albo jakby sam nie dość jasno się wyraził.

– Nie chodzi mi o to, co zrobiłby dziedzic z wodorostami, lecz o to, że są one jego własnością. – Zamilkł na chwilę. – Jestem pewien, że nie muszę pouczać tak bogobojnego mężczyzny jak pan, iż nie wolno zabierać czegoś, co do nas nie należy.

Ojciec rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

– Jak pan zapewne wie, panie Beczka, ludzie od zawsze zbierali wodorosty, by nawadniać swoją ziemię. Również pan i pański ojciec czyniliście podobnie.

– W zasadzie ma pan rację. Lecz czyniliśmy tak wyłącznie z łaski dziedzica. Zgodnie z przepisami nie ma pan prawa korzystać z darów natury, nie uzyskawszy najpierw pozwolenia.

Ojciec wstał ze skały, na której siedział, i zrobił krok w kierunku Beczki.

– Sądzę, że nie otrzymał pan takiego pozwolenia? – zapytał konstabl.

Ojciec był niższy od Beczki o dobre sześć cali, ale sposób, w jaki stanął naprzeciwko niego, zdradzał siłę i hardość. Piersią niemal dotykał torsu Lachlana. Aeneas Mackenzie podszedł zlękniony do brata i wydał z siebie głupkowaty chichot. Lachlan zacisnął pięści. Nie miałem wątpliwości, że jeśli ojciec posunie się jeszcze o krok, Beczka powali go na ziemię.

Pomimo wzbierającej furii konstabl zdawał się być niewzruszony bliskością ojca.

– Panie Macrae – powiedział – kiedy zostałem wybrany na konstabla tych wiosek, zauważyłem, że przestrzeganie przepisów regulujących nasze życie zostało zaniedbane w sposób haniebny. A ponieważ, o ile dobrze pamiętam, nie miał pan nic przeciwko mojej kandydaturze, przypuszczam, że jest pan tego samego zdania.

– Nic nie wiem o przepisach, które tak pana zaślepiły – odrzekł ojciec.

Beczka parsknął śmiechem.

– Moim zdaniem wszyscy jesteśmy świadomi tych przepisów. Nie przystoi panu udawać, że ich pan nie zna.

Ojciec westchnął głęboko. Ściskał fajkę w dłoni tak mocno, że jego knykcie zrobiły się białe.

– Przykro mi, że zmarnował pan tyle cennego czasu dzisiejszego ranka – powiedział Beczka – ale żądam, by zaniósł pan wodorosty z powrotem tam, skąd je pan wziął.

– Nie uczynię tego – odrzekł ojciec.

Lachlan Beczka powoli wypuścił powietrze i mlasnął językiem.

– Jako konstabl pańskiej wioski radzę panu uczynić to, co każę. Daję panu szansę naprawienia tego postępku bez konieczności uiszczenia grzywny, gdyż jak wiem, nie mógłby pan jej zapłacić. A jestem pewien, że wolałby pan dojść do porozumienia w tej sprawie bez konieczności interwencji zarządcy. – Powiedziawszy to, cofnął się o krok, poklepał ojca po ramieniu i dodał: – Zostawiam to panu do przemyślenia. Nie wątpię, że podejmie pan słuszną decyzję.

Po tych słowach skinął na brata i obaj udali się w drogę powrotną do wioski. Ojciec złamał fajkę na dwie części, cisnął je na piasek i rozgniótł obcasem. Potem kazał mi wrzucić wodorosty do morza i smętnym krokiem udał się w stronę domu.

Tego samego dnia wieczorem Lachlan Beczka odwiedził nas. Ojciec siedział w fotelu i wyglądał przez okno. Musiał widzieć zbliżającego się Beczkę, ale gdy konstabl przestąpił próg domu, ojciec gapił się w okno i udawał, że go nie dostrzega. Jetta na widok gościa zamarła i otworzyła szeroko oczy. Oddychała ciężko i rozchyliła wargi. Lachlan Beczka przyjrzał się jej uważnie, ale nie przywitał się z nią. Potem zapukał do drzwi, by zwrócić na siebie uwagę ojca, i spytał, czy może z nim chwilę porozmawiać. Ojciec udawał zagłębionego w lekturze. W końcu jednak wstał i postąpił kilka kroków w kierunku Beczki.

– Nie wątpię, że gdybym nie wpuścił pana do mojego domu – powiedział – wykazałby pan, że jest on również własnością dziedzica, więc nie mam prawa zabraniać panu wstępu.

Lachlan Beczka roześmiał się serdecznie, jakby ojciec opowiedział jakiś wyborny dowcip.

– Wierzę, że nie jesteśmy jeszcze na etapie zabraniania sobie odwiedzin.

Powiedziawszy to, klepnął ojca po ramieniu, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, i z ręką na jego ramieniu, zaprowadził ojca do stołu.

– Mam wielką nadzieję, że nasza poranna rozmowa nie popsuła naszych dobrych relacji.

Ojciec nie odrzekł nic, ale nie opierał się Beczce. Dwaj mężczyźni usiedli przy stole: ojciec na miejscu głowy rodziny, Beczka na ławie, zwrócony plecami do drzwi tak, że jego twarz oświetlała tylko pomarańczowa poświata ognia. Dokładał wszelkich starań, aby ożywić atmosferę. Ja stałem tyłem do kredensu. Konstabl zapytał mnie o zdrowie, a ja, nie chcąc go urazić, odpowiedziałem, że mam się całkiem dobrze. Zapytał, czy nie chciałbym usiąść z nimi przy stole. Popatrzyłem na ojca, a ponieważ nie ujrzałem na jego twarzy sprzeciwu, uczyniłem to. Wtedy Beczka wykonał gest w kierunku mojej siostry i w przesadnie jowialny sposób zapytał:

– Jetto, czy nie znajdzie się tu herbata, by powitać strudzonego wędrowca?

Jetta spojrzała na ojca, który nie zareagował w żaden sposób. Przeto zajęła się przygotowaniem napoju, a gdy go parzyła, Beczka zadawał jej mnóstwo pytań, wszystkie bardzo przyjaznym tonem. Jetta odpowiadała grzecznie, choć zwięźle, i ani razu nie spojrzała w jego stronę. Jednak gdy stawiała filiżankę herbaty przed gościem, zauważyłem, że jej policzki stały się purpurowe. Potem na polecenie ojca wycofała się do tylnej izby. Beczka upił łyk herbaty i wydał z siebie pełne rozkoszy westchnienie, jakby naprawdę przebył dużą odległość, by do nas dotrzeć.

– Drogi Johnie – zaczął, pochylając się do przodu – obawiam się, że incydent na brzegu mógł wywołać u pana jakieś poczucie krzywdy. Dlatego uznałem, że powinienem dogłębniej zaznajomić pana z moim spojrzeniem na zdarzenia z dzisiejszego poranka. Chciałem, by pan zrozumiał, że nie mogłem zachować się inaczej.

Ponieważ ojciec nie odpowiedział, Beczka kontynuował:

– Proszę tylko o rozważenie konsekwencji, jakie pociąga za sobą zbieranie wodorostów.

– Wiele rodzin zbiera wodorosty od niepamiętnych czasów – powiedział ojciec – i nie przypominam sobie żadnych związanych z tym, jak to pan nazywa, konsekwencji.

– To oczywiście prawda – powiedział Beczka – ale chyba nie wyraziłem się jasno. Nie chodzi o zbieranie wodorostów samo w sobie. Kwestią zasadniczą jest tutaj brak pozwolenia. Gdybym dzisiejszego ranka zgodził się, by kontynuował pan swą pracę, osoby mniej rozsądne niż pan mogłyby pomyśleć, że wodorosty wolno zbierać w sposób całkowicie dowolny. Gdybym zbagatelizował to i uczyniłbym dla pana wyjątek, to czy nazajutrz mógłbym żądać od pana Gregora, aby zaprzestał wyłowu darów morza? Słusznie by się mi sprzeciwiał, bo jeśli pozwoliłem zbierać wodorosty panu, to dlaczego on nie miałby robić tego samego? Przepisy, z pewnością się pan ze mną zgodzi, muszą obowiązywać wszystkich jednakowo.

Tu rozłożył swoje wielkie ręce, jakby chciał zaznaczyć, że to, co powiedział, było niepodważalne.

– Cóż, zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest rzeczą miłą wrzucanie wodorostów z powrotem do morza, ale ufam, że rozumie pan, iż gdybym się tak nie zachował, jednocześnie wyraziłbym zgodę na zbieranie wodorostów bez zezwolenia. Jak słusznie pan zauważył, ten proceder ma długą historię. Lecz podczas gdy pan sądzi, iż nie niesie to za sobą żadnych

konsekwencji, to ja podtrzymuję, że jest to wyłącznie skutek ogólnego lekceważenia przepisów, do którego wspólnie doprowadziliśmy. Zostałem wybrany na stanowisko konstabla i postawiłem sobie za cel przywrócenie porządku. Gdybym zlekceważył pańskie wykroczenie z dzisiejszego poranka, zakpiłbym ze swojej funkcji.

Zrobił przerwę na łyk herbaty i odłożył filiżankę delikatnie na spodek. Oczy mojego ojca śledziły ruch jego ręki. Nastała chwila ciszy. Widać było, że ojciec nie zamierza jej przerywać. Lachlan Beczka odwrócił się do mnie i powiedział:

– Twój ojciec to człowiek z zasadami, Roddy. Obawiam się, że nie przekonałem go o moich dobrych intencjach.

Nie odpowiedziałem i wbiłem wzrok w stół, aby uniknąć spojrzenia konstabla. Potem Beczka zwrócił się znów do mojego ojca, a jego ton zdradzał rozdrażnienie.

– Być może myśli pan, że mój stosunek do przepisów jest zbyt fanatyczny lub że otrzymuję jakąś dodatkową gratyfikację za drobiazgowe wykorzystywanie swoich uprawnień. Zapewniam pana jednak, że prawda jest zgoła inna. Zbieranie wodorostów istotnie samo w sobie może wydać się błahostką. Ale jeśli będzie wolno zabierać wodorosty z brzegu, to czy ludzie nie wyciągną logicznych wniosków, że dozwolone jest także zabieranie ryb z rzeki albo jeleni ze zbocza?

– Myślę, że tych rzeczy nie można porównywać – powiedział ojciec.

– Oczywiście, że można – odparł Beczka, unosząc palec wskazujący, aby podkreślić swą stanowczość. – Nie przypuszczałem, że tak pobożnego człowieka jak pan trzeba pouczać w kwestiach religijnych. Mniemam, iż siódme przykazanie nie rozróżnia między kradzieżą dużej i małej rzeczy.

– Oskarża mnie pan o kradzież? – zapytał cicho ojciec.

– O nic pana nie oskarżam – powiedział Beczka i machnął ręką – ale trudno zrozumieć, jak inaczej można interpretować zabranie czegoś, co do pana nie należy.

Ojciec rozważał to przez jakiś czas, po czym oznajmił, że jeśli Beczka powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, to kontynuowanie tej wizyty nie ma sensu.

Lecz konstabl nie ruszył się z miejsca. Dopił resztkę herbaty i przejechał po wargach wierzchem dłoni. Palce przez kilka chwil pozostały na jego twarzy, wygładzając wąsy.

– Johnie, nie przyszedłem tu, by wysuwać zarzuty – powiedział. – Proszę wybaczyć, jeśli niezręcznie się wyraziłem. Przybyłem tu w całkowicie odmiennym celu: w poszukiwaniu pojednania. Według normalnych stawek grzywna za wykroczenie z dzisiejszego poranka wynosiłaby dziesięć szylingów. Jednak w świetle faktu, że, jak słusznie pan zauważył, wodorosty były zbierane z brzegu od niepamiętnych czasów, i że gdy zwróciłem uwagę na pański błąd, bez sprzeciwu wrzucił je pan z powrotem do wody, jestem gotów odstąpić od kary.

Jeśli Lachlan Beczka myślał, że ojciec podziękuje mu za ten akt wielkoduszności, mylił się.

– Wolę zapłacić dziesięć szylingów, niż być pańskim dłużnikiem.

Lachlan Beczka skinął głową.

– Szanuję to, ale myślę, że nie dysponuje pan taką kwotą. Proszę nie sądzić, iż z powodu tej przysługi ma pan u mnie jakikolwiek dług.

Jednocześnie zabębnił palcami w stół, jakby dla podkreślenia satysfakcjonującego rozwiązania sprawy. Zbierał się do odejścia, lecz zawahał się, jakby nagle inna myśl przyszła mu do głowy.

– Oczywiście – zaczął – rozumiem, że te wodorosty są panu potrzebne.

– Nie muszę zabierać czegoś, co nie należy do mnie – odparł ojciec.

– Już raz próbowałem wyjaśnić – powiedział Beczka – że tu nie chodzi o kwestię zabierania tego, co nie należy do pana, a jedynie o kwestię przestrzegania odpowiednich procedur.

– W ciągu ostatnich miesięcy słyszałem o procedurach i przepisach wystarczająco dużo.

– To możliwe, ale przepisy istnieją i trzeba ich przestrzegać. W tym wypadku musi pan jedynie napisać podanie do zarządcy z prośbą o zezwolenie na wyłów wodorostów w celu rozrzucenia ich po polu. Takie podanie może być złożone za pośrednictwem przedstawiciela zarządcy.

– Czyli pana – powiedział ojciec.

Beczka przytaknął lekkim skinieniem, że tak jest w istocie.

– Zważywszy na porozumienie, jakie udało nam się osiągnąć dzisiejszego wieczora – ciągnął – nie widzę powodu, by nie przyjąć podania w formie ustnej i mogę pana zapewnić, że takie podanie zostanie rozpatrzone pozytywnie.

Wąskie wargi ojca lekko drgnęły, ale nic nie odpowiedział. Po kilku chwilach pojawiła się na progu tłusta kura i wcisnęła głowę przez próg, jakby szukała swoich towarzyszy. Jej lewa noga zwisała w powietrzu, zgięta pod piersią niczym zwiędła dłoń. Potem, nie znajdując tego, czego szukała, kura wycofała się i zniknęła. Lachlan Beczka wzruszył ramionami i powiedział:

– Rozumiem więc, że nie chce pan złożyć podania?

Potem pożegnał się z nami w sposób sugerujący, iż spędziliśmy miły wieczór w swoim towarzystwie, i wyszedł. Nie mam wątpliwości, że był z siebie bardzo zadowolony i w tym momencie czułem do niego okropną nienawiść. Z pewnością był inteligentnym człowiekiem, a mój nierozgarnięty ojciec nie mógł się z nim równać.

Ojciec pozostał przy stole i resztę wieczoru spędził na bezmyślnym wpatrywaniu się w pustą oborę. Ponieważ nie miałem nic do powiedzenia na temat tego, co się wydarzyło, wyszedłem przed dom i usiadłem na ławce. Kura, która niedawno pojawiła się na progu, teraz dziobała ziemię między domami. Kilka minut później Lachlan Beczka wyłonił się z domu pana Gregora i nie patrząc w moją stronę, ruszył dalej i zapukał do drzwi Kenny'ego Dyma.

Następnego ranka w czasie odpływu zbierano wodorosty z brzegu, a wieczorem zostały rozrzucone po wszystkich polach oprócz naszego. Ojciec nie skomentował tych wydarzeń i zajął się swoimi sprawami, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Kilka dni później słyszałem, jak rozmawiał z Kennym Dymem. Palili fajki na ławce przed naszym domem i zastanawiali się, czy wodorosty rzeczywiście przynoszą jakieś korzyści plonom, czy może jest to tylko coś, co ludzie robią z przyzwyczajenia, ponieważ ich ojcowie i dziadkowie postępowali kiedyś tak samo. Kenny Dym odpowiedział, że to samo można by powiedzieć o wielu naszych zwyczajach.

* * *

Pan Sinclair odwiedza mnie tu dość często i polubiłem jego wizyty. Gdy po raz pierwszy wszedł do mojej celi, zaproponowałem mu, by usiadł na łóżku, ale spojrzał na nie z pewną pogardą, nie ruszając się spod drzwi. Poprosił, bym czuł się w jego towarzystwie swobodnie, ale ponieważ siedzenie w obecności mojego przełożonego uznałem za nietaktowne, stanąłem w kącie pod oknem. Pan Sinclair miał na sobie tweedowy garnitur i brązowe skórzane półbuty, niezbyt pasujące do tego ponurego otoczenia. Jego cera była świeża, a ręce różowe i delikatne. Myślę, że ma około

czterdziestu lat[8]. Mówi w sposób wyważony i elegancki, godny dżentelmena.

Pan Sinclair oznajmił mi, że został wyznaczony na mojego adwokata i że jego obowiązkiem jest reprezentowanie mnie najlepiej, jak umie. Potem powiedział, że jest mu niezwykle miło mnie poznać. Sposób, w jaki ów dżentelmen zwracał się do nieszczęśnika mojego pokroju, wydał mi się tak komiczny, że zacząłem się niekontrolowanie śmiać. Poczekał, aż się uspokoję, a potem poinformował mnie, że cokolwiek mu powiem, pozostanie to poufne, po czym wyjaśnił znaczenie słowa „poufny" w sposób taki, w jaki nauczyciel zwraca się do ucznia opóźnionego w rozwoju.

Powiedziałem, że nie musi wyjaśniać mi znaczenia każdego słowa a ponadto nie potrzebuję jego usług. Odpowiedział, że jeśli chcę mieć innego adwokata, można to łatwo zorganizować. Wytłumaczyłem, że nie chodzi o tożsamość tej czy innej osoby. Chodzi raczej o to, że w ogóle nie potrzebuję obrońcy, gdyż nie mam zamiaru zaprzeczać postawionym mi zarzutom. Pan Sinclair patrzył na mnie długo z poważnym wyrazem twarzy, po czym zapewnił, że rozumie moje położenie, ale prawo wymaga, by ktoś reprezentował mnie w sądzie.

– Nie interesuje mnie, czego wymaga prawo – odrzekłem. – Prawo nic dla mnie nie znaczy.

Nie wiem, co mnie opętało, żeby rozmawiać z nim tak opryskliwym tonem, zgoła odmiennym od tego, jakim on informował mnie o zasadach postępowania sądowego. Czułem się też zażenowany faktem, że w trakcie wizyty tego mężczyzny zawartość moich jelit leżała w wiadrze u moich stóp. Pragnąłem z całego serca, by już sobie poszedł.

Pan Sinclair ściągnął usta i skinął głową.

– Niemniej jednak – powiedział – moim obowiązkiem jest poinformowanie pana, że rezygnacja z adwokata może być sprzeczna z pańskimi interesami.

Usiadł na mojej pryczy i przyjął mniej oficjalny ton. Wyjaśnił, że oddałbym mu przysługę, gdybym był tak dobry i pozwolił zadać sobie kilka pytań. Czując pewną skruchę, oświadczyłem, że nie mam nic przeciwko temu. Wyglądał na bardzo ucieszonego. Ów dżentelmen całkowicie bezinteresownie okazywał mi dużą uprzejmość. Nie miałem powodu, by utrudniać mu życie.

Potem pan Sinclair przystąpił do ogólnych pytań dotyczących mojej rodziny i warunków życia, tak jakbyśmy byli rówieśnikami poznającymi się wzajemnie. Na pytania odpowiadałem szczerze, ale dość ogólnie, gdyż nie mogłem pojąć, dlaczego szczegóły mojego życia w Culduie mogłyby stanowić przedmiot zainteresowania mojego adwokata lub kogokolwiek innego. Pan Sinclair miał łagodny, miły sposób bycia i jego obecność powoli zaczynała mnie cieszyć. Nasza rozmowa pozwoliła przełamać monotonię dnia. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej miałem wrażenie, że rozmawia ze mną, jakby okoliczności naszego spotkania były całkowicie normalne. Zaskakujące było, iż dżentelmen angażował się w taką dyskusję z niewykształconym mordercą. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że jeszcze nie poinformowano go o moich zbrodniach lub że nie jesteśmy w więzieniu, tylko w jakimś przytułku, a pan Sinclair jest jednym z moich towarzyszy niedoli. Jednak w miarę upływu czasu adwokat zaczął przechodzić do prawdziwego powodu swej wizyty.

– Wiesz, Roderick – powiedział – kilka dni temu w waszej wiosce doszło do okropnej zbrodni.

– Owszem – przerwałem mu, pragnąc, by nie mówił dalej. – Zabiłem Lachlana Beczkę.

– A pozostałe ofiary?

– Też – potwierdziłem.

Pan Sinclair z namysłem skinął głową.

– Czy nie mówisz tego w celu wzięcia na siebie winy za inną osobę? – spytał.

– Nie – odparłem.

– Czy ktoś ci pomagał?

– Nie – powiedziałem. – Działałem sam, a ponieważ nie mam zamiaru zaprzeczać czemukolwiek, nie potrzebuję usług adwokata. Nie żałuję swoich czynów i jest mi całkowicie obojętne, co mnie teraz czeka.

Po moim krótkim przemówieniu pan Sinclair wpatrywał się we mnie przez kilka chwil. Nie potrafiłem wyczuć, o czym myśli, ponieważ nie spędzałem zbyt wiele czasu w towarzystwie ludzi wykształconych i inteligentnych, a wiem, że ich zachowanie bywa całkiem odmienne od naszego.

W końcu powiedział, że docenia moją szczerość, i poprosił mnie o zgodę na to, by odwiedził mnie również nazajutrz. Odparłem, że może mnie odwiedzać, kiedy tylko zechce, bo lubię z nim rozmawiać. Odrzekł, że on również lubi rozmawiać ze mną. Potem otwartą dłonią uderzył dwa razy w drzwi, a strażnik, który najwyraźniej czekał na zewnątrz przez cały ten czas, przekręcił klucz w zamku i wypuścił go.

Pan Sinclair odwiedzał mnie codziennie. Muszę przyznać, że wyczekiwałem jego towarzystwa i żałowałem, że tak niegrzecznie potraktowałem go tamtego pierwszego dnia. Znakiem jego wyższego pochodzenia było to, że potrafił puścić tamto zajście w niepamięć. Na prośbę pana Sinclaira moja cela została wyposażona w stół i krzesło do pisania, dzięki czemu nasze spotkania stały się trochę wygodniejsze. Pan Sinclair siedział na rozklekotanym krześle przy biurku, a ja na pryczy lub

na podłodze pod oknem. Często przyglądał się zapisanym przeze mnie kartkom. Podczas drugiej albo trzeciej wizyty zasugerował, bym opisał wydarzenia prowadzące do moich zbrodni, i wydawał się zadowolony, że tak bardzo wziąłem sobie jego prośbę do serca. Pewnego popołudnia, gdy przekartkował mój pamiętnik, powiedział, że bardzo go ciekawi, co on zawiera. Byłem nieco zawstydzony tym, że wykształcony człowiek tak poważnie traktuje mój niewprawny tekst. Powiedziałem, że piszę to na jego prośbę i że może zabrać te kartki, kiedy zechce. Odpowiedział, że woli zaczekać, aż skończę, i poprosił, bym nie pisał tego z myślą, że będzie to czytać on lub ktokolwiek inny.

Pan Sinclair zdaje się być człowiekiem o anielskiej cierpliwości. Każdego dnia zaczyna rozmowę od zadawania mi tych samych pytań dotyczących mojego ogólnego samopoczucia i jakości posiłków. Kilka razy mówił, że może przynieść mi coś z pobliskiej gospody, choć zapewniałem, że jestem przywykły do prostego wiktu i nie ma potrzeby, by się mną kłopotał. Lecz tego ranka nasza rozmowa przybrała całkiem inny obrót. Pan Sinclair zazwyczaj unikał dyskusji na temat szczegółów morderstw. Jednak dziś naciskał, bym powiedział, o czym myślałem, gdy je popełniałem. Odparłem, że moją jedyną myślą było wybawienie ojca od niesprawiedliwości, jakich doświadczał ze strony Lachlana Mackenziego. Pan Sinclair drążył temat przez jakiś czas, wielokrotnie formułując swoje pytania na różne sposoby, aż poczułem, że stara się przyłapać mnie na jakimś kłamstwie, ale nie udało mu się to.

Potem zapytał, co sądzę o tym, by w trakcie rozprawy złożyć wniosek o moje uniewinnienie. Odpowiedziałem, że to absurdalny pomysł, gdyż jest zupełnie oczywiste, że ponoszę całkowitą winę i nigdy nie próbowałem tego ukrywać. Wtedy pan Sinclair wyjaśnił mi, że w świetle prawa są w celu stwierdzenia winy brane pod uwagę czynniki fizyczne i psychiczne.

Czynnika fizycznego oczywiście analizować nie trzeba, ale w tym drugim kontekście należałoby zbadać moje intencje. Inaczej mówiąc, była to kwestia – jak wyjaśnił – dotycząca treści moich myśli. Z grzeczności wysłuchałem całego tego poważnego wywodu, nabierając coraz mocniejszego przekonania, iż mój obrońca, wiedziony manią korzystania z inteligencji, zaczynał całkiem lekceważyć oczywiste fakty. Odpowiedziałem jednak tylko, że nie rozumiem, w jaki sposób jego rozważania mogą mieć zastosowanie w obecnej sytuacji.

Wtedy pan Sinclair przybrał ton, który sugerował, że nie chce zranić moich uczuć.

– A jeśli wyraziłbym przypuszczenie, że to, co według ciebie działo się wówczas w twoim umyśle, nie było tym, co tak naprawdę się w nim działo?

Kiedy usłyszałem tę bzdurę, roześmiałem się dość niegrzecznie. – Jeśli w moim umyśle działoby się coś innego, z pewnością bym o tym wiedział – odparłem. – W przeciwnym razie nie byłby to mój umysł.

Pan Sinclair uśmiechnął się, słysząc moją odpowiedź, i przechylił głowę na bok, jakby przyznawał mi rację. Stwierdził, że jestem bardzo inteligentnym młodzieńcem. Przyznaję, że te słowa mi schlebiły i rumienię się, przytaczając je tutaj.

Pan Sinclair kontynuował:

– Czy myślisz, Roddy, że to możliwe, aby szaleniec myślał, że jest przy zdrowych zmysłach?

To pytanie z początku zabrzmiało równie absurdalnie jak poprzednie, ale nagle pomyślałem o Murdo Kogucie – głupku z Aird-Dubh, o którym często mówiono, że sypia w swoim kurniku i pieje jak kogut. Czy gdyby ktoś zapytał go, czy jest wariatem, potwierdziłby to? Pojąłem, że pan Sinclair delikatnie sugerował, że ja na swój sposób byłem właśnie jak Murdo Kogut. Namyślałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem,

ponieważ wiedziałem, że jeśli odpowiem zbyt stanowczo, mogę naprawdę być postrzegany jako wariat.

– Mogę pana zapewnić – powiedziałem opanowanym tonem – że jestem w pełni władz umysłowych.

– Właśnie to, że wierzysz, że tak jest, sugeruje coś dokładnie odwrotnego – odparł. Musiałem wydać się bardzo obrażony tym zdaniem, gdyż natychmiast dodał: – Musisz zrozumieć, Rodericku, że moim obowiązkiem jest zbadanie wszelkich możliwych dróg twojej obrony.

– Ale ja nie chcę się bronić! – krzyknąłem, natychmiast żałując tego nieuprzejmego wybuchu.

Pan Sinclair skinął lekko głową i wstał. Wyglądał na nieco zasmuconego. Poczułem, że zraniłem jego uczucia i chciałem to jakoś naprawić.

– Mimo wszystko – powiedział – zastanawiam się, czy zgodziłbyś się na badanie wykonane przez człowieka, któremu bardzo zależy na znajomości z tobą.

Po raz kolejny poczułem absurdalność sytuacji: to, że zostałem mordercą, sprawiło, że dżentelmeni pragną teraz mojego towarzystwa. Odpowiedziałem panu Sinclairowi, że jeśli to go uszczęśliwi, porozmawiam, z kimkolwiek zechce.

– Dobrze – odrzekł i dał swój zwykły znak strażnikowi, aby go wypuścił.

* * *

Kilka dni po incydencie z wodorostami ponownie spotkałem Florę Beczkę. Siedziałem na miedzy oddzielającej pole od drogi i drażniłem kilka wron sznurkiem z przywiązaną myszą. Wioskę miałem za plecami, więc nie zauważyłem nadejścia Flory. Musiała widzieć, że jestem zajęty zabawą, bo gdy pojawiła się obok mnie, spytała, co robię. Moja dziecinna zabawa mnie zawstydziła, wypuściłem sznurek z palców i powiedziałem, że nie robię nic.

– Zdaje się, że często jesteś zajęty robieniem niczego – odrzekła. – Diabeł zawsze znajdzie zajęcie dla bezczynnych rąk.

– A jakie zajęcie miałoby to być? – spytałem.

Flora wzruszyła ramionami i utkwiła oczy w niebie. Usiadła na miedzy obok. Na kolanach położyła sobie koszyk okryty kraciastą chustą. Jej spódnice łaskotały mnie w nogę. Kilka chwil później sznurek, który upuściłem, zaczął wić się w trawie, a potem wrona odfrunęła ze zdobyczą w dziobie.

– Nie boisz się, że twój ojciec może nas zobaczyć? – zagaiłem.

– To ty powinieneś się bać – odparła – bo to nie ja dostanę lanie.

Ale spojrzała przez ramię w kierunku domu.

– Niosę jajka do pani MacLeod w Aird-Dubh – powiedziała, unosząc płótno, by pokazać mi zawartość koszyka. Ród Mackenziech hodował bardzo dużo kur, tak dużo, że mogli zaopatrywać w jaja gospodę w Applecross. Pani MacLeod była starą wdową znaną jako Cebula ze względu na liczne warstwy noszonych ubrań. Mówiło się, że od śmierci męża ani razu nie zdjęła odzienia.

Flora spytała, czy chciałbym jej towarzyszyć, a ja powiedziałem, że z przyjemnością. Szła tak powoli, że musiałem przystawać co kilka jardów, żeby mogła mnie dogonić. Gdy dotarliśmy do skrzyżowania z drogą

wiodącą do Aird-Dubh, Flora spytała, czy mógłbym ponieść koszyk. Wziąłem go od niej i od tego momentu szła trochę szybciej, jakby to waga jajek tak ją spowalniała.

– Jak się miewa pacjent? – spytała.

Tego ranka znalazłem pisklę martwe na klepisku w stodole pod krokwią. Flora posmutniała i powiedziała, że jej przykro.

– To jedna z tych rzeczy, jakie Bóg na nas zsyła, aby nas wypróbować – powiedziała śpiewnym głosem.

Spojrzałem na nią z ukosa. Był to pogląd często wyrażany w naszych stronach.

– Jakoś nie wydaje mi się, żeby Bóg nie miał żadnych większych zmartwień, tylko wystawianie nas na próby – powiedziałem.

Flora spojrzała na mnie dość poważnie.

– Więc dlaczego dzieją się takie rzeczy?

– Jakie? – spytałem.

– Złe.

– Pastor powiedziałby, że po to, by ukarać nas za nasze niegodziwości – powiedziałem.

– A co powiedziałbyś ty?

Zawahałem się przez chwilę, a potem odparłem:

– Powiedziałbym, że zdarzają się one bez powodu.

Flora nie wyglądała na zbytnio poruszoną moimi słowami, co zachęciło mnie, by dodać:

– Nie zauważyłem, żeby Bóg jakoś szczególnie zajmował się w takich sprawach mną lub kimkolwiek innym.

Wtedy moja towarzyszka powiedziała, że nie powinienem mówić takich rzeczy, ale czułem, że nie chodzi o to, że się ze mną nie zgadza, tylko o to,

że nie należy głośno wyrażać takich myśli.

– Może Bóg to tylko bajeczka podobna do tych, które opowiada nam w szkole pan Gillies – powiedziałem, spoglądając na Florę kątem oka. Bryza bawiła się kosmykiem jej włosów na czole, a Flora podniosła rękę, aby wsunąć go za ucho. Patrzyła przed siebie i dalej szliśmy w ciszy.

Gdy dotarliśmy do Aird-Dubh, Flora wzięła ode mnie koszyk i zajrzała przez próg do domu pani Cebuli. Po chwili przygarbiona staruszka pojawiła się w drzwiach. Jej szyja była tak wykręcona, że musiała przekrzywiać głowę na bok jak kura, żeby ujrzeć nasze twarze. Był ciepły wieczór, a z pieca buchał żar, lecz ona miała na sobie gruby płaszcz zapięty pod szyją i przewiązany długim sznurkiem wokół talii. Chyba ucieszyła się na widok Flory, bo zaprosiła ją do domu. Flora powiedziała, że przynosi trochę jajek, i wręczyła jej koszyk.

– A kto przyszedł z tobą? – spytała kobieta.

– To syn Czarnego Johna – powiedziała Flora.

– A jak ma na imię? – jej głos był piskliwy jak u mewy.

– Roddy – odparła Flora.

Cebula przez chwilę przyglądała mi się badawczo, a potem powiedziała, że przykro jej z powodu śmierci mojej matki, choć od jej odejścia upłynął już ponad rok. Wzięła koszyk i zniknęła w zadymionym mroku domu. Gdy czekaliśmy, aż wróci, Flora nuciła pod nosem piosenkę, a mnie przypomniał się śpiew matki na polu. Staruszka przyniosła pusty koszyk i podziękowała Florze za jajka.

W drodze powrotnej do Culduie ponownie zaproponowałem, że poniosę koszyk, ale Flora wyjaśniła, że pusty jej nie przeszkadza. Tak czy inaczej, bez ciężaru jajek nasza rozmowa była swobodniejsza. Flora poczyniła kilka pogardliwych uwag na temat zapachu pani MacLeod, na co odparłem, że

mój ojciec nie lubi mieszkańców Aird-Dubh, bo są brudni i jedzą małże. Flora roześmiała się wesoło. Gdy jej śmiech ucichł, powiedziała:

– Czasem myślę, że twój ojciec nie lubi nikogo.

– Bo tak jest – odrzekłem.

Potem pochyliłem się i zacząłem naśladować ojca kuśtykającego o lasce:

– Możesz być pewna, że twoje grzechy cię odnajdą – bełkotałem, machając zgiętym palcem Florze przed nosem. – Jesteś na drodze do wiecznego ognia piekielnego, młoda damo!

Flora zatrzymała się i przyłożyła wolną rękę do ust, by ukryć uśmiech. Wtedy wyprostowałem się, bo nagle ogarnął mnie wstyd, że w ten sposób szydziłem z ojca.

– Zrób tak jeszcze raz – poprosiła, ale ja poczułem się głupio i ruszyliśmy dalej.

Gdy dotarliśmy do skrzyżowania, przy którym wcześniej się spotkaliśmy, powiedziałem Florze, że dalej pójdę sam, aby nikt nas nie widział. Nie protestowała. Staliśmy, patrząc na siebie przez kilka chwil. Wtedy powiedziała, że któregoś wieczora znów możemy się spotkać, po czym obróciła się i ruszyła ścieżką w górę, wymachując pustym koszykiem. Ja poszedłem drogą i wszedłem na miedzę u stóp naszego pola, czując się tak lekko, jakbym nagle zrzucił z siebie kosz pełen torfu. Gdy przedzierałem się przez nasze mizerne uprawy, ujrzałem Jettę śpieszącą do domu od strony domu Lachlana Beczki z szalikiem na włosach i przygarbioną jak wdowa. Nie domyślałem się, jakie sprawy ściągnęły ją na ten kraniec wioski, i czekałem na nią przed progiem, ale ona przemknęła obok, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Ojciec siedział w fotelu, paląc wieczorną fajkę. Spodziewałem się, że będzie wypytywał, gdzie byłem, i zgodnie z moimi przewidywaniami tak

właśnie zrobił. Jego fotel stał tym razem nieco dalej od okna, dzięki czemu oświetlała go smuga światła sącząca się przez drzwi. Ponieważ bez trudu mógł dostrzec, jak żegnaliśmy się na rozstajach, powiedziałem mu od razu, że pomogłem Florze Beczce zanieść jajka do Aird-Dubh. Ojciec zapytał, dla kogo one były. Nie rozumiałem, dlaczego jest to dla niego istotne, ale na to pytanie również udzieliłem prawdziwej odpowiedzi. Nie zareagował na moje słowa, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że doskonale wiedział, gdzie byłem, i pytał tylko po to, by sprawdzić, czy powiem prawdę. Zaciągnął się kilka razy. Jetta wzięła swoją robótkę i udawała, że nie zważa na naszą rozmowę.

To wypytywanie sprawiło, że poczułem się pokrzywdzony, bo Jetta nigdy nie musiała tłumaczyć się ze swojej nieobecności. Ojciec odsunął fajkę od ust i powiedział, że nie życzy sobie, abym zadawał się z Florą Beczką albo kimkolwiek z jej rodziny. Nie miałem w zwyczaju sprzeciwiać się ojcu, ale tym razem postąpiłem inaczej. Powiedziałem, że Flora niczym mu nie zawiniła i była wdzięczna, że poniosłem jej koszyk. Nie oczekiwałem, że ojciec będzie ze mną o tym dyskutować i rzeczywiście tego nie zrobił. Przypomniał mi natomiast, że nie jestem jeszcze za stary na lanie. Wbiłem wzrok w podłogę, udając skruchę, ale nie miałem zamiaru stosować się do jego zakazu. Po raz pierwszy od dawna poczułem, że mój ojciec jest nadmiernie surowy względem mnie oraz mojego rodzeństwa i po raz pierwszy postanowiłem się mu przeciwstawić. Z perspektywy czasu muszę jednak przyznać, że byłoby rozsądniej słuchać jego rad.

Wyszedłem na dwór i usiadłem na ławce w nadziei, że siostra do mnie dołączy, ale nie stało się tak. Następnego ranka, gdy ojciec był poza domem, spytałem Jettę, gdzie była poprzedniego wieczora. Nie podnosząc wzroku znad swoich obowiązków, odparła, że odwiedziła Carminę Dym. Wiedziałem, że to nieprawda, bo widziałem ją za domem Dymów, ale nie

wspomniałem o tym. Zamiast tego spytałem, czy Kenny Dym był w domu. Jetta przerwała pracę i wbiła we mnie poważne spojrzenie.

– Mam już jednego ojca – powiedziała. – Nie potrzebuję drugiego. Są rzeczy, które ciebie nie dotyczą, Roddy.

Potem podała mi placek i powiedziała, żebym nie zajmował się nie swoimi sprawami. Posmutniałem, gdyż nigdy nie znałem Jetty z tej strony. Nie przypuszczałem, że ma przede mną jakieś tajemnice, ale gdyby rzeczywiście miała, raczej bym się o nich nie dowiedział. Być może taiła przede mną wiele sekretów.

Po tych wydarzeniach nie widziałem Flory Beczki przez kilka dni. Byłem zajęty pracą i wypełnianiem poleceń Lachlana Beczki, a wieczorami ojciec wymyślał mi dodatkowe zadania, nawet gdy nie było nic do roboty. Nie wiem, czy miała to być kara, czy może sposób na uniemożliwienie mi spotkania się z Florą. Tak czy inaczej, ojciec osiągnął swój cel. Gdy wreszcie przestał mnie nękać, przez trzy wieczory siedziałem na miedzy, mając nadzieję, że Flora będzie tamtędy przechodzić w jakiejś sprawie lub ujrzy mnie i celowo znajdzie pretekst, żebyśmy mogli się zobaczyć. Nie przyszła jednak, a ja przyznaję, że pomimo małej ilości czasu, jaki razem spędziliśmy, zdałem sobie sprawę, że tęsknię za jej towarzystwem.

Mniej więcej w tamtym okresie zacząłem nocami wymykać się z domu. Z trudem ostatnio zasypiałem, a jeśli już mi się udało, budziły mnie nawet najdelikatniejsze ruchy bliźniaków lub zwierząt na dworze. Z rozżarzonych polan i ryku młodego byka rodziły się w ciszy nocnej najróżniejsze wizje. Czasami wyobrażałem sobie, że widzę postaci powstające z dymu i słyszę głosy z zewnątrz szepczące do mnie, a ja leżę na łóżku zlękniony, oczekując nadejścia jakiejś tragedii. Potem zacząłem opuszczać łóżko i wędrować po wzgórzach. Wyobrażałem sobie, że jestem niewyraźnym kształtem w mroku, dojrzanym kątem oka tuż przed tym, zanim się rozpłynie.

Przemykałem pomiędzy domami, wspinałem się na Càrn i spoglądałem w dół na wioskę. W żółtych miesiącach noce nigdy nie są tam całkiem ciemne. Zamiast tego świat zdaje się być pozbawiony wszystkich kolorów, a kiedy księżyc wisi wysoko, wszystko robi się srebrne niczym akwaforta. Gdybym znalazł się blisko okien sąsiadów, z zazdrością patrzyłbym na śpiące ciała. Celem moich wycieczek było jedynie oczyszczenie umysłu od niechcianych myśli i udawało mi się to osiągnąć przez wędrowanie po wzgórzach do wyczerpania. Nie chcąc, by ktokolwiek wiedział o moich nocnych eskapadach, starałem się wracać, zanim ojciec lub siostra się obudzą. Kolejny dzień zawsze witałem z jasnym umysłem niezmąconym złymi myślami. Raz czy dwa zdarzyło mi się zasnąć przy pracy. Jetta myślała, że zemdlałem, i śpieszyła mi z pomocą.

Postanowiłem wykorzystać jedną z nocnych wędrówek, by sprawdzić, czy Flora wróciła do Wielkiego Domu. Pomyślałem, że znów została zatrudniona u lorda Middletona i unika mojego towarzystwa nie z własnej woli. Tamtej nocy księżyc przesłaniały chmury, a jego poświata była wyjątkowo nikła. Przeszedłem pomiędzy stodołami i wspiąłem się trochę w kierunku Càrn. Natura mojej misji sprawiała, że bardziej niż zwykle niepokoiłem się, iż ktoś może mnie zauważyć. Bezgłośnie stawiałem stopy i pochylałem plecy, dopóki nie znalazłem się poza zasięgiem wioski. Potem szedłem po zboczu, aż znalazłem się nad domem Beczki. Podczas moich nocnych wycieczek nie spotkałem nigdy żywej duszy, nawet zabłąkanej owcy, lecz mimo to tamtej nocy krew pulsowała mi w skroniach. Nawet za dnia bałem się zapuszczać na posiadłość Lachlana Beczki, ale chodzenie po niej pod osłoną nocy było jeszcze straszniejsze. Gdyby mnie zauważono, nie potrafiłbym wyjaśnić powodu swej obecności w tym miejscu. Już w dzieciństwie zrozumiałem, że trudno takie rzeczy ukryć. Pewnego razu, gdy miałem pięć czy sześć lat, posłano mnie do stodoły po jajka.

Zapomniałem wziąć miskę, której używaliśmy w tym celu, ale zamiast zawrócić do domu, postanowiłem, że obędę się bez niej. Zebrałem jajka, a gdy wychodziłem ze stodoły, niosąc zdobycz w dłoniach, jakiś spłoszony ptak poderwał się do lotu. Przestraszył mnie, a jajka wypadły mi z rąk. Patrzyłem na mieszaninę białek i żółtek na klepisku i wtedy przyszła mi do głowy myśl, aby powiedzieć w domu, że udaremniłem jakiemuś łobuzowi kradzież naszych jaj. Jednak gdy mama, szukając mnie, weszła do stodoły, wybuchnąłem tylko płaczem i wyznałem jej od razu, że upuściłem jajka, bo zapomniałem wziąć miskę. Ona ulitowała się nade mną, otarła moje łzy i powiedziała, że nic się nie stało i że jutro będą następne jajka. Później, gdy zasiedliśmy do posiłku, oznajmiła mojemu ojcu, że dziś kury nie niosły, i mrugnęła do mnie. Jednak w obecnej sytuacji nie mogłem liczyć na to, że Lachlan Beczka się nade mną ulituje, jeśli przyłapie mnie na zakradaniu się pod osłoną nocy do jego domu.

Lecz powziąwszy swój zamiar, czułem się zmuszony doprowadzić go do końca. Gdy schodziłem ze zbocza, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Słyszałem opowieści o tych, którzy nieświadomie wstają w nocy podczas snu, chodzą po świecie i wyglądają na całkiem przytomnych, ale gdy ktoś zwraca się do nich, nic nie widzą, jakby mieli przed oczami inną rzeczywistość. Nazywa się ich lunatykami i postanowiłem, że jeśli zostanę schwytany, to właśnie to będzie moją obroną: jestem lunatykiem. Z tym przeświadczeniem dość nierozważnie zbliżyłem się do zagrody. Nie byłem obeznany z rozkładem domu, ale ponieważ w tylnej ścianie znajdowały się dwa małe okienka, przypuszczałem, że tam musi być sypialnia. Ku mojemu zaskoczeniu w drugim oknie lśniła blada poświata i wyobraziłem sobie Florę w nocnej koszuli, czekającą na mnie przy świetle świecy.

Przylgnąłem do muru i cicho posuwałem się w kierunku pierwszego okna. Czułem omszałe i wilgotne ściany domu pod moimi dłońmi.

Zawahałem się, ale potem, wstrzymując oddech, powoli przysunąłem głowę w kierunku szyby. Izba była ciemna. Po kilku chwilach dostrzegłem łóżko i kontury ciał przykrytych kocami. Nikt się nie poruszył. Obok stało łóżeczko dziecięce i dostrzegłem jasne włosy młodszego braciszka Flory. Od mojego oddechu zaparowało szkło. Zrobiłem kolejne trzy kroki. Porzucając wszelką ostrożność podszedłem wprost do okna trzeciej izby. Świeca migotała, a w ciężkim fotelu, spowita w koce, siedziała nie Flora, ale starsza kobieta, kaleka matka Lachlana Beczki, która od lat nie wychodzi z domu. Miała otwarte oczy skierowane w stronę okna, ale zdawała się nie dostrzegać mojej obecności. Sprawiała wrażenie martwej, na jej widok włosy zjeżyły mi się na głowie. Po prawej stronie stało małe puste łóżko, które, jak sądziłem, należało do Flory. Przez kilka chwil obserwowałem staruszkę, aż dostrzegłem nieznaczne, miarowe unoszenie się i opadanie jej okrycia. Nagle zamrugała powiekami, jak gdyby chciała otworzyć oczy, a kościsty palec wyłonił się spod koców i wskazał na mnie. Jej wargi poruszały się bezgłośnie. Odwróciłem się i zacząłem biec w górę zbocza. Gdzieś zaczął szczekać pies, a ja wyobraziłem sobie Lachlana Beczkę, budzącego się i błądzącego po omacku w poszukiwaniu przyczyny rwetesu. Rzuciłem się na wilgotną trawę za pagórkiem porośniętym wrzosem i leżałem tam przez chwilę, czekając, aż odzyskam oddech. W budynkach na dole nikt się nie ruszał, a ja niezauważony wróciłem do domu. Resztę nocy spędziłem w półśnie na łóżku, myśląc o pustym łóżku Flory i czując niezwykłe zadowolenie z udanego przedsięwzięcia.

* * *

Nasze plony tego lata były marne. Nie potrafię powiedzieć, czy stało się tak przez brak wodorostów na naszej ziemi, czy z jakiegoś innego powodu. Mój ojciec stwierdził, że będziemy mieć kiepskie zbiory, więc nie musimy

pracować tyle, co zazwyczaj. Gdy Kenny Dym skomentował chwasty rosnące na naszych bruzdach, ojciec wzruszył ramionami i powiedział:

– A jakie to ma znaczenie? Ziemia i tak jest wyczerpana.

Wydawało mi się, że to nie ziemia była wyczerpana, tylko mój ojciec. Wiele dni spędziłem na pracach wykonywanych z polecenia Lachlana Beczki. Czułem się zobowiązany do wykonania ich jak najszybciej. Stan zdrowia ojca wskazywał, że nie może już podołać ciężkiemu wysiłkowi. Pracowałem więc zamiast niego. W dodatku czasem za pół szylinga dziennie zastępowałem tych, którzy mieli lepiej opłacane zajęcia. Dawałem ojcu wszystko, co zarobiłem, i cieszyłem się, że mogę zasilić rodzinny budżet. Lecz praca dla Lachlana Beczki była niezwykle nieprzyjemna. Konstabl lub jego brat zazwyczaj przechadzali się dumnie niczym wielkie koguty, sprawdzając, czy nikt z nas nie robi sobie przerwy na zaczerpnięcie tchu czy otarcie potu z czoła. Nawet pod nieobecność Beczki harowaliśmy nieustannie w obawie, że nagle się pojawi i narzuci nam dodatkową pracę jako karę za nasze próżniactwo. Ten stały trud spowodował, że miałem mało czasu, by doglądać naszego pola. A to skutkowało zgromadzeniem zbyt małej ilości zapasów na zimę.

Pewnego wieczora Lachlan Beczka złożył nam wizytę, by poinformować nas, iż nie umknęło jego uwadze, że nasza rola wpadła w stan zaniedbania. Jego ulubionym wyrażeniem stało się powiedzenie, że taka czy inna rzecz „nie umknęła jego uwadze". To utrwalało pogląd, że ktokolwiek cokolwiek zrobił lub powiedział, zostanie to przez konstabla odnotowane lub mu zrelacjonowane. To ogólne przeświadczenie zapewniało wysoki stopień przestrzegania wszelkich wydanych rozporządzeń. Sprawiało także, że ludzie patrzyli na swych sąsiadów podejrzliwie i traktowali się wzajemnie z wrogością dotychczas w naszych stronach nieznaną. Beczka ukarał ojca grzywną w wysokości dziesięciu

szylingów i przypomniał mu, że właściwe utrzymanie pola jest warunkiem dzierżawy. Jeśli ojciec nie zacznie starannie wypełniać swoich obowiązków, zarządca będzie zmuszony odebrać nam nasze grunty. W celu zdobycia funduszy na zapłacenie tej kary musiałem podjąć dodatkową pracę na drogach i w obejściach. W konsekwencji pole wpadło w jeszcze bardziej zawstydzający stan.

Kilka dni po wizycie konstabla ojciec pozostał na swoim miejscu, kiedy Jetta posprzątała ze stołu. Miałem wrażenie, że chciał coś ogłosić i nie myliłem się. Po napełnieniu i zapaleniu fajki poinformował nas, że zamierza przeprowadzić rozmowę z zarządcą. Zapytałem go, w jakim celu. Ojciec zignorował moje pytanie i oznajmił, że chce, bym mu towarzyszył, gdyż jestem inteligentnym chłopcem i nie dam się omamić słowami zarządcy. Poczułem żal, że ojciec tak bezceremonialnie przyznaje się do swoich ograniczeń i przekonywałem go, że pod tym kątem w niczym nie ustępuje zarządcy ani komukolwiek innemu. Ojciec potrząsnął głową i powiedział:

– Rodericku, obaj wiemy, że to nieprawda.

Potem dodał, że zamierza wybrać się do Applecross w ciągu najbliższych dwóch dni i że jeżeli zgodziłem się pracować dla Lachlana Beczki, powinienem znaleźć kogoś, kto mnie zastąpi, lub z wyprzedzeniem zgłosić swoją nieobecność. Po tych słowach wstał i usiadł jak zwykle w fotelu przy oknie.

Od początku czułem, że z planu ojca nie wyniknie nic dobrego. Nikt z naszej parafii nigdy nie dążył do spotkania z zarządcą, a gdy on wzywał ludzi do siebie, szli tam z duszą na ramieniu. Ojciec liczył na to, że nasz los gorszy już być nie może, ale ja nie wątpiłem, że gdyby taka wizyta została zauważona przez Lachlana Beczkę, nie zawahałby się przed zemstą.

Ojciec i ja wyruszyliśmy do Applecross wczesnym rankiem. Lachlan Beczka, jak się okazało, poszedł z jakiegoś nieznanego powodu do Kyle na półwyspie Lochalsh, a ja zrozumiałem, że ojciec świadomie wybrał ten dzień. Pogoda była bardzo zmienna, ale w naszych stronach jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Gdy dotarliśmy do Camusterrach, zmoczył nas szkwał. Potem niebo nagle się rozjaśniło, a słońce zaczęło suszyć nasze ubrania. Lecz gdy zbliżaliśmy się do Applecross, znów zebrały się chmury, a deszcz zaczął padać wielkimi, ciężkimi kroplami. Ojciec nie reagował na te zmiany. Wręcz przeciwnie – można by śmiało powiedzieć, że nawet ich nie zauważał. Wciąż szedł miarowym krokiem z ramionami sztywno po bokach, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę kilka jardów przed nim. Nie omawialiśmy niczego po drodze, więc nie miałem właściwie żadnej wiedzy na temat tego, co ojciec zamierza powiedzieć zarządcy, ani tego, jaką rolę sam miałem w tym wszystkim odgrywać. W duchu pragnąłem, by zarządcy nie było w domu albo by odmówił przyjęcia nas i żebyśmy mogli wrócić do Culduie bez dalszych prowokacji wobec przedstawicieli władzy.

Dom zarządcy stał za Wielkim Domem. Poszliśmy okrężną drogą wokół pól. Ojciec bez wątpienia chciał uniknąć problemów mogących wynikać z wchodzenia na posiadłość dziedzica. Gdy dotarliśmy do dwupiętrowego domu z szarego kamienia, ojciec zastukał miedzianą kołatką z nieśmiałością, która nie wróżyła naszym planom nic dobrego. Niebawem pojawiła się gospodyni. Popatrzyła na nas jak na łobuzów i zapytała, czego chcemy. Ojciec zdjął czapkę, choć ta kobieta była służącą i nikim lepszym od niego, po czym odparł, że nazywa się John Macrae z Culduie i chce rozmawiać z zarządcą. Gospodyni zapytała wówczas, czy jesteśmy umówieni. Była chudą kobietą o ściągniętych ustach i długim nosie. Najwyraźniej wierzyła, że jej zatrudnienie w domu zarządcy czyni ją lepszą od chłopa. Ojciec odpowiedział, że umówieni nie jesteśmy. Kobieta

bez słowa zamknęła drzwi i zostawiła nas przed progiem. Ponieważ wciąż padało, schroniliśmy się na małym ganku. Trudno powiedzieć, jak długo tam staliśmy. Z pewnością na tyle długo, by zrodziła się we mnie nadzieja, że zarządcy nie ma w domu. Już miałem podzielić się tą myślą z ojcem, gdy drzwi otworzyły się ponownie i zostaliśmy zaproszeni do środka. Służący zaprowadził nas do wyłożonego boazerią gabinetu i kazał zaczekać. Ogień buzował w piecu, ale żaden z nas nie odważył się podejść bliżej, by osuszyć ubranie. Zamiast tego zostaliśmy na środku podłogi, na której nasza obecność wydawała się najmniej obraźliwa. Na ścianach po obu stronach kominka wisiały obrazy przedstawiające wybitnych dżentelmenów odzianych niezwykle wytwornie. Na jednym z nich rozpoznałem lorda Middletona, siedzącego w fotelu z psem myśliwskim u stóp. Przed nami stało duże biurko z ciężkiego, ciemnego drewna. Na jego blacie leżały przybory do pisania i mnóstwo grubych, oprawionych w skórę ksiąg. Ścianę po naszej lewej stronie w całości pokrywały półki z książkami.

Zarządca przybył i ku mojemu zaskoczeniu powitał ojca dość ciepło. Ojciec skłonił się z uniżeniem, nerwowo mnąc czapkę w dłoniach. Przez kilka chwil stałem u jego boku, ściskając swoją czapkę i starając się wyglądać tak swobodnie, jak tylko było to możliwe. Zarządca w rzeczywistości był niższy, niż go pamiętałem, ale miał miłą, jasną twarz z gęstymi bokobrodami porastającymi policzki. Włosy na czubku głowy miał rzadkie, a to, co z nich pozostało, było szorstkie i rozczochrane, inaczej niż u innych wykształconych mężczyzn, jakich dotychczas spotykałem.

– A któż to taki? – spytał, wykonując gest w moim kierunku.

Mój ojciec przedstawił mnie, a zarządca przez jakiś czas przyglądał mi się z ciekawością, jakby już słyszał o mnie coś, czego zdecydowanie wolałbym, żeby nie słyszał. Potem zajął miejsce za biurkiem i patrzył na

mojego ojca, oczekując od niego wyjaśnienia powodu naszej wizyty. Ponieważ ojciec nic nie mówił, zarządca skierował swój wzrok na mnie. Ja jednak nie mogłem się odezwać w imieniu ojca, gdyż on nie poinstruował mnie, co zamierza. Nastała dłuższa chwila ciszy. Kątem oka ujrzałem, jak ojciec nieśmiało spogląda na zarządcę.

– Panie Macrae – zaczął zarządca wciąż jowialnym tonem – ufam, że nie przebył pan całej drogi z Culduie, aby korzystać z ciepła mojego kominka. – Roześmiał się z własnego żartu, po czym podjął na nowo: – Choć bardzo lubię gry salonowe i wszelkiego rodzaju kalambury, nie mam pojęcia, co pana tu sprowadza, więc muszę pana poprosić o objaśnienie swojej sprawy.

Ojciec spojrzał na mnie. Pomyślałem, że stracił pewność siebie albo nie zrozumiał, o co go pytano, ale on odchrząknął i powiedział niskim głosem:

– Być może słyszał pan o problemach, jakie mamy w Culduie?

– Problemach? – zapytał zarządca. – Nic nie słyszałem. Jakież to problemy?

– Różnej natury, proszę pana.

– Nie słyszałem o żadnych problemach. Wprost przeciwnie, słyszę tylko dobre relacje o poprawach, jakie mają miejsce w pańskiej miejscowości. Czy rozmawiał pan z konstablem o tych *problemach*?

To ostatnie słowo wymówił z dziwnym akcentem, jakby pochodziło ono z jakiegoś obcego języka.

– Nie.

Zarządca zmarszczył brwi i popatrzył na ojca z ukosa.

– Jeśli doświadcza pan jakichś uciążliwości, musi pan o nich porozmawiać z panem Mackenziem. Wyobrażam sobie, że z pewnością poczułby się urażony, gdyby wiedział, że przyszedł pan do mnie, nie szukając najpierw pomocy u niego. Rolą konstabla jest rozwiązywanie

problemów, jakie pan ma. Nie mogę zajmować się drobiazgami… – jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu wraz z lekceważącym gestem ręki.

Ojciec nie powiedział nic. Zarządca bębnił palcami w stół.

– No więc?

Ojciec podniósł wzrok znad swoich stóp.

– Nie rozmawiałem z panem Mackenziem o tych problemach, ponieważ to pan Mackenzie jest ich źródłem.

Po tych słowach zarządca wybuchł śmiechem, który wydawał mi się nieco sztuczny i był raczej sposobem odpowiedzi na absurdalność słów mojego ojca. Gdy śmiech ucichł, gospodarz wydał z siebie głębokie westchnienie.

– Czy może pan podać szczegóły? – spytał.

Ojciec, ku mojemu zaskoczeniu, nie przestraszył się wybuchu śmiechu zarządcy.

– Wprawdzie relacje między mną i panem Mackenziem są napięte, ale nie pozwoliłbym sobie nigdy, by wciągać pana w takie rzeczy.

– I słusznie, panie Macrae. Jak wiem, pan Mackenzie wykonuje swoje obowiązki z poświęceniem, jakiego w ostatnich latach wielu osobom brakuje. A ponieważ, jeśli dobrze pamiętam, został wybrany jednogłośnie, mogę tylko przypuszczać, że wypełnia swoje obowiązki przy pełnym poparciu społeczności. Jeśli między panem a konstablem dochodzi do jakichś zatargów… – wyrzucił ręce w górę i głośno wypuścił powietrze.

– Zgadza się – powiedział mój ojciec.

– Zatem jeśli nie przybył pan, aby poskarżyć się na osobiste krzywdy, proponuję, aby powiedział mi pan, co pana sprowadza.

Jowialny sposób bycia zarządcy zaczął zamieniać się w zniecierpliwienie.

Ojciec miął swoją czapkę w dłoniach, a potem, jakby zdając sobie sprawę, że ta czynność nie sprawia dobrego wrażenia, nagle przestał i ułożył ręce po bokach.

– Chciałbym zobaczyć przepisy – powiedział.

Zarządca przez jakiś czas patrzył na niego z ciekawością, a potem skierował swój wzrok na mnie, jakbym mógł wyjaśnić słowa ojca.

– Chciałby pan zobaczyć przepisy? – wycedził powoli, gładząc ręką bokobrody.

– Tak – powiedział ojciec.

– O jakich przepisach pan mówi?

– O przepisach, których musimy przestrzegać – powiedział.

Zarządca oschle potrząsnął głową.

– Proszę mi wybaczyć, panie Macrae, chyba nie nadążam.

Ojciec bardzo się zmieszał. Najwyraźniej był zaskoczony takim brakiem zrozumienia i w naturalny sposób uznał, iż to on jest temu winien, ponieważ nie potrafił się jasno wyrazić.

– Mój ojciec ma na myśli przepisy dotyczące naszej dzierżawy – powiedziałem.

Zarządca spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Rozumiem – odparł. – A dlaczego, jeśli mogę spytać, chciałby pan zobaczyć te, jak to pan nazywa, „przepisy"?

Przeniósł wtedy wzrok ze mnie na ojca i miałem wrażenie, że bawi go nasz widok.

– Abym mógł wiedzieć, kiedy je łamię – odważył się w końcu ojciec.

Zarządca skinął głową.

– Ale po co?

– Abyśmy mogli uniknąć czarnych znaków przy naszym nazwisku oraz kar za wykroczenia – powiedział mój ojciec.

Po tych słowach zarządca rozparł się w fotelu i głośno cmoknął.

– Cóż, jeśli dobrze pana zrozumiałem – powiedział, łącząc ręce pod brodą – chciałby pan zapoznać się z przepisami, by móc łamać je bezkarnie?

Ojciec spuścił wzrok i odniosłem wrażenie, że oczy zaszły mu łzami. Przeklinałem go w duchu za to, że postawił się w takiej sytuacji.

– Panie Macrae, pochwalam pańską śmiałość – kontynuował zarządca, rozkładając ręce.

– Mój ojciec chciał powiedzieć, że chce przestrzegać przepisów, ale tylko dzięki dokładnemu zapoznaniu się z nimi może uniknąć ich łamania.

– A mnie się wydaje – nie ustępował zarządca – że osoba, która chce zapoznać się z przepisami, może mieć na celu wyłącznie określenie tego, na jak duże wykroczenia może sobie pozwolić.

Mój ojciec pogubił się już całkiem i aby położyć kres jego mękom, powiedziałem zarządcy, że nasza wizyta była błędem i że w przyszłości nie będzie już z nami żadnych problemów. Zarządca jednak odrzucił moje próby zakończenia rozmowy.

– Nie, nie, nie – odparł – to bynajmniej nie wystarczy. Przyszliście tutaj przede wszystkim po to, by oskarżyć wioskowego konstabla, a także po to, by uniknąć kary za łamanie przepisów. Nie możecie spodziewać się, że tak to zostawię.

Zarządca widząc, że ojciec nie jest zdolny do dalszej dyskusji, zaczął zwracać się tylko do mnie. Przysunął krzesło do biurka, wyjął jedną z wielkich ksiąg i otworzył ją. Przewrócił parę kartek i palcem przejechał na dół kolumny. Przeczytawszy kilka linijek, znów spojrzał na mnie.

– Powiedz mi, Rodericku Macrae – powiedział – jakie są twoje ambicje życiowe?

Odrzekłem, że moją jedyną ambicją jest pomaganie ojcu na roli i opieka nad rodzeństwem.

– Bardzo chwalebne. Obecnie zbyt wielu ludzi w twoim wieku ma ambicje daleko wyższe niż ich pozycja społeczna. Niemniej jednak, z pewnością rozważałeś opuszczenie tych okolic. Nie zamierzasz poszukać szczęścia gdzie indziej? Młody i inteligentny człowiek taki jak ty musi rozumieć, że tu nie czeka go żadna przyszłość.

– Nie chcę łączyć swojej przyszłości z jakimkolwiek innym miejscem niż Culduie – odparłem.

– Ale co, jeśli tu nie ma przyszłości?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Rodericku, powiem ci szczerze jedną rzecz – powiedział. – Tu nie ma przyszłości dla agitatorów ani przestępców.

– Nie jestem ani jednym, ani drugim – odrzekłem. - Mój ojciec również.

Zarządca popatrzył wymownie na dolną część otwartej strony i przechylił głowę na bok, po czym głośno zamknął księgę.

– Zalegacie z czynszem – powiedział.

– Podobnie jak wszyscy nasi sąsiedzi – odparłem.

– Owszem – przyznał zarządca – ale twoi sąsiedzi nie przychodzą tu, by skarżyć się na swoje krzywdy. Tylko dzięki naszej wyrozumiałości nie odebrano wam ziemi.

Wziąłem to ostrzeżenie za znak, że męka została zakończona i szturchnąłem ojca, który przez ostatnie kilka minut stał osłupiały. Zarządca wstał.

Zbierałem się do odejścia, ale ojciec nie zamierzał się ruszać.

– Czy mam rozumieć, że nie możemy obejrzeć przepisów? – spytał.

Zarządca zdawał się być raczej rozbawiony niż rozgniewany pytaniem ojca. Zrobił trzy albo cztery kroki spoza swojego wielkiego biurka i podszedł do nas na odległość zaledwie kilku stóp.

– Przepisy, o których pan mówi, są przestrzegane od niepamiętnych czasów – powiedział. – Nikt nigdy nie miał potrzeby, by je *oglądać*, jak to pan ujął.

– Ale i tak… – zaczął ojciec. Podniósł wzrok i spojrzał zarządcy prosto w oczy.

Zarządca potrząsnął głową i wydał ciche parsknięcie.

– Chyba się nie rozumiemy, panie Macrae – powiedział. – Jeśli nie zabiera pan plonów z ziemi swojego sąsiada, to nie dlatego, że zabrania tego przepis. Nie kradnie pan jego plonów, ponieważ to byłoby niewłaściwe. Powód, dla którego nie może pan *obejrzeć* przepisów, jest taki, że one nie istnieją, a przynajmniej nie w takim sensie, w jakim pan to rozumie. Równie dobrze mógłby pan zechcieć zobaczyć powietrze, którym oddychamy. Oczywiście istnieją przepisy, ale nie może ich pan zobaczyć. One istnieją, ponieważ my wszyscy akceptujemy to, że istnieją, a bez nich zapanowałaby anarchia. Rolą wioskowego konstabla jest ich interpretacja i wcielanie w życie według uznania.

Potem lekceważącym ruchem ręki wskazał drzwi. Nagle poczułem, że skoro już ojciec nas tu zaciągnął, wyjście bez precyzyjnego wyrażenia naszej skargi byłoby kompletnie bez sensu.

– Jeśli pan pozwoli, wrócę do problemów, o których mówił mój ojciec – zacząłem. – Tak naprawdę miał na myśli to, że Lachlan Beczka wykorzystuje egzekwowanie przepisów do nękania naszej rodziny.

Zarządca spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Nękania? – powtórzył w taki sposób, jakby to słowo sprawiło mu przyjemność. Podszedł do biurka i oparł się o nie. – To poważny zarzut, młody człowieku, bardzo poważny. Ludzie będący u władzy nie mają prawa jej nadużywać, prawda? Podobnie jak innym nie wolno pozwalać na nieuzasadnione zarzuty. Przeto lepiej będzie, gdy pan dokładnie opowie, na czym całe to nękanie polega.

Poczułem się zachęcony słowami zarządcy do tego stopnia, że nawet postąpiłem mały krok w kierunku biurka. Potem dość szczegółowo zrelacjonowałem, jak Lachlan Beczka przy pierwszej sposobności zabrał część naszej ziemi, zabronił nam zbierania wodorostów do użyźniania, gdy pole było w marnym stanie, a następnie ukarał nas grzywną za słabe doglądanie plonów.

Zarządca słuchał uważnie, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Czy jeszcze coś? – zapytał.

Chciałem opowiedzieć także o ogólnej atmosferze ucisku, w jakiej żyliśmy, ale nie potrafiłem tego wyrazić. Nie uważałem natomiast za stosowne opisywanie incydentu z moją siostrą, którego byłem świadkiem, choćby z tego powodu, że była to tajemnica, a ojciec nie mógł się o niej dowiedzieć.

Zarządca wyglądał na rozczarowanego, że nie mam do powiedzenia nic więcej.

– I to nazywasz *nękaniem*? – spytał.

– Tak, proszę pana – odrzekłem.

– Zatem prawdziwym celem waszej wizyty tutaj jest rzucanie oszczerstw. Bezpodstawne szkalowanie urzędnika, który, wnioskując z tego, co opisujesz, nie robi nic innego, jak tylko sumiennie wypełnia swoje obowiązki. Sporządzę protokół z tego, co powiedziałeś, i gdy

następnym razem spotkam się z panem Mackenziem, pogratuluję mu sposobu pracy.

Poczułem okropny ucisk w żołądku, ale wiedziałem, że protesty na nic się nie zdadzą.

Potem zarządca zwrócił się do ojca.

– Mam nadzieję, że już nie będzie pan zwracać się do mnie w tej sprawie. Przypominam, że przedłużenie pańskiej dzierżawy zależeć będzie od decyzji lorda Middletona. I opinii jego podwładnych.

Potem potrząsnął głową i wyprosił nas z gabinetu.

Przez całą drogę do domu ojciec milczał i nie zdradzał, o czym myśli. Deszcz ustał. Tego wieczora zostałem w domu, oczekując przybycia Lachlana Beczki, ale nie zjawił się. Nie przyszedł także żadnego z kolejnych wieczorów, a ja pomyślałem, że omijał nas, by dręczyć oczekiwaniem na jego zemstę. Kilka dni później pracowałem w rowach przy drodze do Aird-Dubh, gdy nagle nadszedł konstabl. Zatrzymał się, przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem, ale nie powiedział ani słowa. Po naszej wizycie wyobrażałem sobie, że zarządca wykorzysta pierwszą sposobność, aby zdać konstablowi relację z tego, co się wydarzyło. Ponieważ jednak nic złego się nie działo, uświadomiłem sobie, że dla tych ważnych ludzi nasze działania były po prostu bez znaczenia.

* * *

Kilka dni później wyszedłem po kolacji z domu, żeby uciec przed ponurą atmosferą, jaka panowała w naszej rodzinie. Nastrój mojego ojca w tamtym czasie był tak posępny, jakby całe nasze gospodarstwo okryto całunem. Od wielu dni, a nawet tygodni, nie widziałem, żeby Jetta się śmiała. Wyglądała, jakby co dzień bardziej kurczyła się w sobie. Ruszała się jak staruszka. Dzieci, jeśli w ogóle się bawiły, robiły to dziwnie cicho, w sposób

niezrozumiały dla nikogo oprócz nich samych. Gdy Jetta zwracała się do nich, robiła to szeptem, nie chcąc przypominać ojcu o ich istnieniu. Natomiast ja bardzo pragnąłem ujrzeć Florę Beczkę, a tęsknota niezmiernie mnie przygnębiała, co tylko potęgowało ogólny smutek.

Wychodząc wtedy z domu, nagle się rozpromieniłem. Ujrzałem Florę siedzącą na miedzy przy skrzyżowaniu z drogą do Toscaig. Kusiło mnie, by od razu ku niej pobiec, ale po chwili namysłu zrezygnowałem z pójścia przez wioskę. Zamiast tego zszedłem na łąki i tamtędy dotarłem do miedzy. Wspiąłem się na nią i znalazłem się na drodze jakieś dwieście czy trzysta jardów od Flory. Przyjąłem postawę sugerującą komukolwiek, kto by mnie obserwował, że jedynie przechadzam się to tu, to tam, bez określonego celu. Wyobrażałem sobie, że gdy podejdę do Flory, nasze spotkanie będzie wyglądać na zbieg okoliczności. Flora nie podniosła wzroku ani razu, gdy się do niej zbliżałem, i wyglądała na zajętą czymś, co znajdowało się na jej kolanach. Gdy podszedłem bliżej, uderzyła mnie delikatność jej rysów. Jej loki lekko tańczyły na wietrze wokół twarzy. Zrobiłem jeszcze kilka kroków, ale Flora była – a może tylko to udawała – całkowicie pochłonięta metodycznym niszczeniem mlecza. Żółte płatki leżały rozrzucone na jej spódnicach.

Przywitałem się, a ona podniosła wzrok znad kwiatka.

– Cześć, Roddy – powiedziała.

Nie potrafiłem powstrzymać się od szczerości.

– W ostatnich dniach ciągle cię wypatrywałem – wyznałem. – I było mi smutno, że nigdzie cię nie ma.

– Naprawdę? – spytała.

Blady uśmiech przemknął przez jej usta. Spuściła wzrok ku płatkom na spódnicy, jakby moje słowa ją ucieszyły.

– Pracowałam w Wielkim Domu – powiedziała.

Było mi miło, że Flora uznała za stosowne wyjaśnienie swojej nieobecności.

Skinąłem głową i zbliżyłem się do niej.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Donikąd – odrzekłem.

– Zatem bardzo dobrze się składa, że przechodziłeś tędy donikąd akurat, gdy tu siedzę.

– Owszem – powiedziałem. – Niezwykle dobrze się złożyło.

– Może mogłabym pójść razem z tobą donikąd? – spytała. Zsunęła się z miedzy i strzepnęła płatki z ubrania. Krótki kawałek szliśmy w ciszy i bez słowa skręciliśmy w stronę Aird-Dubh. Ucieszyło mnie, że ten zwyczaj zdawał się być między nami ustalony, jakbyśmy byli małżeństwem z długim stażem. Bryza ucichła, a woda w zatoce szumiała bardzo spokojnie. Szliśmy tak blisko siebie, że wystarczał nam szept, a ja miałem wrażenie, że kroczymy przez świat, który na chwilę odłożył narzędzia i zatrzymał się. Gdybym teraz w jakiś magiczny sposób mógł przenieść się do domu, Jetta i mój ojciec staliby bez ruchu, a dzieci siedziałyby zastygnięte w swej zabawie. Po jakimś czasie zapytałem Florę, co robiła w Wielkim Domu. Opowiadała, że na wystawne przyjęcie po polowaniu potrzebne były dodatkowe ręce w kuchni i na sali balowej. Mówiła o mięsiwach, warzywach i słodkościach, które podawano gościom, a także o ogromnych ilościach wina, które tam wypito. Był to, jak mówiła, niezwykły widok. Potem opisała wytworne suknie dam, z których jedna była piękniejsza od drugiej. Widziała tam niezwykle przystojnego mężczyznę o rozwianych, ciemnych włosach, który przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet, i który wiódł prym we wznoszeniu toastów za gościnność lorda Middletona. Dla Flory był to wspaniały tydzień, a za swoją pracę otrzymała dwa szylingi. Potem ja, czując, że między nami nie

powinno być żadnych tajemnic, opowiedziałem Florze o mojej stosunkowo krótkiej pracy w służbie lorda Middletona. Nie śmiała się, ale spojrzała na mnie dość poważnie i powiedziała:

– To nie było zbyt mądre, Roddy.

– Rzeczywiście – odrzekłem – szczególnie, że ojciec spuścił mi wtedy najtęższe lanie, jakie kiedykolwiek dostałem.

Flora znów nie uznała tego za zabawne, a jej zmarszczone brwi spowodowały, że poczułem niepokój. Miałem wrażenie, że nie spodobało się jej moje zachowanie. Wyjaśniłem, że postąpiłem tak, ponieważ nie chciałem patrzeć, jak piękny jeleń jest zabijany dla uciechy bogaczy. Flora odrzekła, że górskie polowania na jelenie to ważna sprawa i że są one bardzo istotne dla utrzymania lorda Middletona. Powiedziałem, że nie obchodzi mnie utrzymanie lorda Middletona, na co Flora stwierdziła, że powinno mnie to obchodzić, gdyż jego posiadłość zatrudnia ludzi.

– Bez dobrodziejstwa lorda Middletona wszyscy musielibyśmy wydzierać plony z gleby, by przeżyć.

Jej odpowiedź sprawiła, że poczułem się dość głupio. Nie chcąc psuć atmosfery między nami, nie powiedziałem na ten temat nic więcej. Szliśmy dalej w ciszy do Aird-Dubh i poczułem, że nasza więź uległa nieznacznemu pogorszeniu. Przechodziliśmy przez zaniedbaną plątaninę domów i stodół. Cebula siedziała na ławce przed drzwiami, głośno pociągając małą fajkę. Flora przystanęła i przywitała się.

– Nie masz dla mnie jajek? – zapytała staruszka.

Flora potrząsnęła głową i odparła, że niestety nie ma. Zapytała ją o zdrowie. Pani MacLeod zignorowała pytanie, a zamiast odpowiedzi wyjęła fajkę z ust i zwróciła wzrok ku mnie, przez cały czas wydając zwiotczałymi wargami dźwięk przypominający fale uderzające o skały.

– A to jest syn Czarnego Macrae? – spytała.

– Tak – powiedziała Flora.

Starucha dalej przyglądała się mi z dezaprobatą.

– Diabeł odgryzł ci język, Czarny Roddy? – zapytała mnie w końcu.

Nie potrafiłem wymyślić rozsądnej odpowiedzi na to pytanie, więc po prostu stałem i na nią patrzyłem. Znów wetknęła niezapaloną fajkę do ust i ssała ją głośno.

– Widziałam niedawno twoją siostrę – powiedziała.

Odparłem, że nie znam powodów, dla których moja siostra miałaby chodzić do Aird-Dubh.

– Ale była tu. Albo jej duch. Ładna dziewczyna, bardzo podobna do matki. – Te ostatnie słowa zabrzmiały dość kąśliwie, jakby zostały wypowiedziane po to, by mnie rozgniewać, i ten cel został osiągnięty. Gdyby Flora nie stała obok, powiedziałbym tej starusze, że jest złośliwą jędzą, ale ugryzłem się w język.

– A ty jesteś bardzo podobny do ojca – powiedziała.

– Nie zna pani mojego ojca – odrzekłem.

– Znam go dość dobrze – powiedziała. – Jak własną kieszeń.

Potem zaczęła mamrotać coś do siebie. Nie chcąc słyszeć nic więcej, ruszyłem dalej, a Flora poszła za mną, lecz jeszcze przedtem powiedziała tej wiedźmie, że życzy jej miłego wieczoru.

– Powiedz siostrze, że mam nadzieję, że jej stan się poprawi – wołała za nami starucha.

Udałem, że tego nie słyszę, ale gdy nieco się oddaliliśmy, Flora spytała, co ona mogła mieć na myśli. Odrzekłem, że to tylko stara, szalona kobieta i nie powinniśmy zwracać na jej słowa uwagi.

Mijaliśmy chatę Murdo Koguta, a odgłos naszych kroków sprowadził go do drzwi. Gapił się na nas z tak dziwnym grymasem, że widać było jego

jedyny ząb sterczący z dziąsła. Potem skrzeknął i zniknął wewnątrz jak zwierzę w norze. Flora zadygotała. Przysunąłem się bliżej i musnąłem grzbietem dłoni jej rękaw, mając nadzieję, że ją przytrzyma, ale nie zrobiła tego, więc cofnąłem się na wcześniejszą odległość. Dotarliśmy do zatoki i usiedliśmy na skałach. Wiele łodzi kołysało się łagodnie na spokojnej wodzie. Opowiedziałem Florze o kutrze rybackim mojego ojca i o wypadku, w którym utonęło dwóch Iainów. Mówiłem, jak moja matka chodziła na molo w Toscaig i wypatrywała ojca, czekając, aż przybije do brzegu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, może dlatego, że chciałem wywołać we Florze współczucie, dzięki któremu bardziej by mnie polubiła. Gdy skończyłem, powiedziała, że to bardzo smutna historia, a ja pożałowałem, że ją jej opowiedziałem.

Aby przerwać milczenie, jakie zapadło między nami, zapytałem, czy wkrótce znów będzie pracować w Wielkim Domu.

– Jeśli będą mnie potrzebować i jeśli uznają, że dobrze się spisałam – odparła.

Przypomniałem sobie wtedy dziewczynkę, którą obserwowałem w szkole, zawsze pełną obaw, czy zadowoli pana Gilliesa, i poczułem, że może nie zmieniła się jednak tak bardzo. Potem Flora powiedziała, że w następnym roku, gdy skończy szesnaście lat, zostanie odesłana na służbę do kupca w Glasgow. Jej matka załatwiła tę posadę przez gospodynię w Wielkim Domu. Flora spytała, czy kiedykolwiek byłem w Glasgow, a ja odpowiedziałem, że ze względu na lęk mojego ojca przed wodą nie byłem nigdy dalej niż w Kyle na półwyspie Lochalsh. Opowiedziała mi wiele historii o wielkich miejskich ulicach, domach towarowych i kamienicach. Spytała, czy nie zamierzam nigdy opuścić Culduie, a ja odparłem, że ojciec potrzebuje mnie na roli i że nie mam zamiaru wyjeżdżać, ponieważ Culduie jest miejscem, z którego pochodzę i w którym chcę spędzić życie. Flora

wyraziła opinię, że świat jest o wiele większy niż Culduie i z pewnością muszę chcieć choć trochę go poznać. Nie odpowiedziałem, gdyż od kiedy znam Florę, pragnę jedynie jej. Flora powiedziała, że ma nadzieję, iż w Glasgow wpadnie w oko jakiemuś wytwornemu młodzieńcowi, który poprosi ją o rękę. Odrzekłem, że w Culduie z pewnością również jest mnóstwo młodzieńców, którzy o niczym innym nie marzą.

Flora spojrzała na mnie z poważną, zakłopotaną miną.

– Chyba nie masz na myśli siebie, prawda? – spytała.

Odwróciłem wzrok ku morzu.

– Jeśli nie masz na myśli siebie, to kogo? – dopytywała się figlarnym tonem.

Spojrzałem na nią i bez namysłu przysunąłem swoją twarz ku jej. Przez moment moje wargi muskały jej lico. Flora odskoczyła gwałtownie.

– Czarny Roddy! – krzyknęła. Potem zachichotała głupawo, a ja również się roześmiałem, by pokazać, że to były tylko żarty.

Po kilku chwilach znów usiadła obok mnie. Żadne z nas nic nie mówiło. Pragnąłem uciec i wybuchnąć płaczem.

Flora szturchnęła mnie wesoło w ramię i powiedziała, że po prostu jestem głuptasem, który nic nie wie o świecie. Że w Culduie jest sześć córek Kenny'ego Dyma, za którymi mogę się swobodnie uganiać. Nie zdradziłem jej swoich myśli, gdyż nie chciałem wystawiać się na dalsze pośmiewisko.

To, że Flora zamierzała opuścić wioskę, bardzo mnie zasmuciło. Zrozumiałem, że niczym szaleniec wyobrażałem sobie przyszłość, w której ona i ja bylibyśmy razem. Nie wiem, kiedy po raz pierwszy przyszło mi to do głowy, ale z pewnością do naszego spotkania w stodole ani razu nie pomyślałem, że mógłbym pojąć Florę za żonę. Swoje życie do tego momentu spędzałem z ojcem i Jettą, a dopóki nie poznałem Flory, nie

pragnąłem żadnego innego towarzystwa. Przeklinałem siebie za moment, w którym ta wizja pojawiła się w mojej głowie. Zrozumiałem, że dla Flory nie byłem niczym więcej niż zabawną rozrywką, o której zapomni, gdy zamieszka w mieście.

Flora zauważyła moje przygnębienie. Próbowała zagaić rozmowę o przyziemnych sprawach i trącała mnie żartobliwie w ramię, ale ja wepchnąłem ręce głęboko w kieszenie spodni i milczałem.

* * *

Nikogo w naszej rodzinie nie cieszył zbliżający się jarmark, ale Jetta zrobiła na drutach pokaźną ilość szali do sprzedania, więc nie było mowy o tym, by nie wziąć w nim udziału. Ojciec nie chciał nam towarzyszyć i ograniczył się do wymamrotania ostrzeżenia, żebym nie wpakował się w żadne kłopoty. Zapewniłem go, że nie mam takiego zamiaru. Jego rezygnacja z udziału w jarmarku sprawiła, że gdy wyruszaliśmy, nasze nastroje nieco się poprawiły.

Towary Jetty ułożyliśmy na wózku, a na nich usadowiły się zachwycone bliźniaki. Droga była zatłoczona i zewsząd dochodził śpiew i atmosfera święta. Przez wzgląd na dzieci Jetta dołączyła do wspólnego śpiewania, a w oczach przechodniów musieliśmy wyglądać na bardzo szczęśliwą rodzinę. Ja wciąż pozostawałem w stanie głębokiego przygnębienia po spotkaniu z Florą Beczką, ale dla dobra rodzeństwa postanowiłem przemóc w sobie uczucie melancholii. Gdy zbliżaliśmy się do Camusterrach, minęliśmy Cebulę, idącą bardzo powolnym krokiem. Zażartowałem, że musiała wyjść z domu dwa dni temu. Jetta przyspieszyła, gdy ją mijaliśmy, a potem zatkała sobie nos i skrzywiła się. Roześmiane bliźniaki zaczęły naśladować jej gest. Potem wpadliśmy na państwa Dymów. Jetta rozmawiała szeptem z ich najstarszą córką. Carmina Dym zapytała

o mojego ojca, a ja odpowiedziałem, że został, by zająć się polem. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, ale nie powiedziała nic więcej. Przez resztę podróży wlokłem się z tyłu towarzystwa, nie odzywając się do nikogo.

Wzdłuż drogi między wybrzeżem a rzędem chatek w Applecross rozstawiono stragany zastawione serami, drewnianymi rzeźbami, fajkami, świecidełkami i garderobą. Jetta znalazła miejsce na końcu wioski i wyłożyła szaliki z wózka, po czym usiadła na niskim nabrzeżnym murku. Bliźniaki bawiły się u jej stóp. Kręciłem się tam przez jakiś czas, po czym powędrowałem z powrotem wzdłuż wioski. Zdawało się, że ludzie z całej parafii zostali wtłoczeni w tę wąską uliczkę. Kobiety miały na sobie swoje najpiękniejsze suknie. Włosy dziewcząt były starannie upięte i przyozdobione kwiatami. Zastanawiałem się, czy mógłbym tu spotkać Florę Beczkę, ale byłem pewny, że nie zainteresowałaby się mną. Chłopi mieszali się tu z gośćmi z Wielkiego Domu, rozmawiającymi głośno, pokazującymi sobie wystawione towary i czyniącymi przy tym niewybredne uwagi.

Utknąłem za dwoma dobrze ubranymi dżentelmenami i podsłuchałem ich rozmowę. Pierwszy oznajmił dobitnie:

– Nie da się ukryć, że w naszym kraju wciąż nie brakuje prymitywów.

Jego towarzysz skinął poważnie głową i zastanawiał się głośno, czy można zrobić dla nas coś jeszcze. Wówczas pierwszy dżentelmen wyraził pogląd, iż trudno jest wspierać ludzi, którzy są tak niezdolni do zrobienia czegokolwiek dla samych siebie. Przerwali na moment, by łyknąć z piersiówki i popatrzeć na przechodzącą grupkę dziewcząt. Nie czekałem, aż usłyszę kolejne komentarze, i ruszyłem dalej wzdłuż ulicy.

Dostrzegłem Archibalda Rossa opierającego się o ścianę u progu gospody. Miał na sobie wytworny tweedowy garnitur, brązowe półbuty

i bryczesy włożone w pończochy. Gapiłem się na niego przez kilka chwil. W każdym calu wyglądał jak dżentelmen na balu myśliwskim. Choć stałem tylko kilka jardów od niego, zdawał się mnie nie poznawać. Uświadomiłem sobie, że od momentu, kiedy się poznaliśmy, minął prawie rok, i postąpiłem krok lub dwa w jego stronę. W prawej ręce trzymał fajkę, która była napełniona i zapalona. Pomyślałem, że może ze względu na mój wybryk onegdaj na zboczu nie będzie chciał ze mną rozmawiać, ale jego twarz nagle się rozpromieniła. Wyciągnął rękę, krzycząc:

– Roddy, stary kumplu!

Uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie. Ucieszyło mnie, że zdawał się nie żywić do mnie żadnej urazy.

– Myślałem, że jesteś już w Kanadzie – powiedziałem.

– W Kanadzie? – spytał.

– Z twoim kuzynem.

Wykonał zamaszysty gest fajką.

– Teraz nie ma tam czego szukać. Jest gorzej niż tutaj. Poza tym teraz jestem tu z łowczym.

Skinąłem głową i powiedziałem, że bardzo dobrze wygląda w tym stroju. Znów ostentacyjnie machnął fajką, jakby bagatelizując mój komentarz, po czym włożył ją do ust i porządnie się zaciągnął. W tym momencie bardzo zapragnąłem posiadać własną fajkę. Wziął mnie za ramię i poprowadził do gospody. Spojrzałem za siebie w obawie, czy któryś z moich sąsiadów mnie nie widzi. Nigdy wcześniej nie byłem w gospodzie. Mój ojciec uważał ją za siedlisko rozpusty i często mawiał, że ci, którzy ją odwiedzają, kroczą drogą ku wiecznemu ogniowi piekielnemu. Wewnątrz siedziało wielu mężczyzn w samych koszulach. Wszyscy ściśnięci razem, krzyczący donośnie jeden przez drugiego. Archibald przedarł się ze mną przez całą tę ciżbę i zaprowadził mnie do małego stolika w kącie. Tęga

kobieta w kraciastej sukni natychmiast postawiła przed nami dwa kamienne kufle wypełnione piwem. Archibald porwał jeden z nich i głośno stukając nim o drugi, krzyknął:

– Zdrowie tych, co nas lubią!

Podniosłem swój kufel, którego waga mnie zaskoczyła. Był tak ciężki, że prawie go upuściłem. Powtórzyłem toast i napiliśmy się. Piwo smakowało ohydnie i gdybym był u siebie w domu, wyplułbym je na klepisko. Archibald wziął drugi długi łyk i dał mi kuksańca łokciem między żebra, bym uczynił to samo.

– I za spotkanie, stary byku – oświadczył. – Z ciebie jest niezłe ziółko, mam rację?

Byłem tak zachwycony, mogąc przebywać w towarzystwie tak wytwornego chłopaka jak Archibald Ross, że podniosłem kufel do ust i opróżniłem go do połowy. Pomyślałem, co powiedziałby ojciec, gdyby zobaczył mnie w takim miejscu, ale zanim piwo dotarło do żołądka, już przestało mnie to obchodzić. Dwóch tęgich mężczyzn, stojących po naszej lewej stronie i obejmujących się ramionami, śpiewało serdecznie:

Gdy w Coille Mhuiridh przebywaliśmy,
To nie z ludźmi nizin wstawaliśmy,
Lecz budził nas młody jeleń i sarna,
Kukułka i ptaków melodia poranna.

Wkrótce cała kompania dołączyła do śpiewu. Archibald podniósł się ze stołka i fałszując, zawtórował:

Nasz kraj, choć taki wyżynny,
Jest jasny, rozległy, gościnny.

Jeleń przybiega na zawołanie,
Spotkasz tu pardwę, łososia i łanię.

W tym momencie dwóch kołyszących się po lewej stronie mężczyzn wylądowało na moich kolanach, rozlewając resztę mojego piwa. Archibald szorstko odepchnął ich i krzyknął do kelnerki, by przyniosła jeszcze dwa. Pieśń zniknęła z ust splątanych na ziemi ludzi. Teraz słychać było tylko głośny śmiech. Podano nam dwa pełne kufle, a Archibald rozsiadł się, wyglądając na wielce zadowolonego z siebie.

– No, panie Macrae, za tych, co nas lubią!

– Za tych, co nas lubią! – powtórzyłem.

Drugie piwo smakowało znacznie lepiej niż poprzednie i wywnioskowałem, że to pierwsze musiało być zepsute. Archibald wówczas opowiedział, jak pod koniec poprzedniego sezonu łowczy zaoferował mu praktykę u siebie. Teraz mieszkał w kwaterze za Wielkim Domem. Zarabiał szylinga dziennie, a czasem nawet więcej, jeśli załatwiał sprawy gości lorda Middletona. Powiedziałem mu, że dla mnie to mnóstwo pieniędzy.

– Dowiem się, czy nie ma przypadkiem posady dla ciebie – odparł – ale obawiam się, że łowczy nie ma o tobie najlepszej opinii.

Zaczął wymachiwać ramionami i głośno skrzeczeć, naśladując moje szalone popisy w górach, i śmiał się przy tym na całe gardło. Chyba zauważył, że mnie to nie bawi, bo szybko stłumił swój rechot i zapytał o moje plany na przyszłość. Powiedziałem, że pracuję przy naprawie dróg oraz na roli mojego ojca i że jestem z tej pracy zadowolony. Archibald przybrał surową minę i spytał, czy jest to szczyt moich ambicji. Nie chcąc go rozczarować powiedziałem, że to tylko krótkoterminowy plan i że gdy tylko zaoszczędzę wystarczająco dużo pieniędzy, poszukam szczęścia

w Glasgow. Usłyszawszy moje łgarstwo, Archibald skinął głową z aprobatą.

– Słyszałem, że są tam duże możliwości dla ambitnych ludzi – powiedział.

Zgodziłem się z nim i odetchnąłem, że nie wypytywał o nic więcej, on natomiast krzyknął, że chce kolejne piwo. Byliśmy już w doskonałych nastrojach. Opowiedział mi wiele historii o dżentelmenach, którzy odwiedzali posiadłość lorda. W imponujący sposób naśladował ich maniery i sposób mówienia. Twierdził, że łowczy nie jest nawet w połowie tak gburowaty, na jakiego wygląda na pierwszy rzut oka, i często pod wieczór zaprasza Archibalda do swojego domku. Siadują razem przy piecu, palą fajki i wspominają wydarzenia dnia. Gdy nie ma przyjezdnych myśliwych, łowczy uczy Archibalda tropić zwierzynę. Dzięki temu mój kompan potrafi rozpoznać, czy w pobliżu są jelenie, a na podstawie złamanych źdźbeł trawy lub niedostrzegalnych dla niewprawnego oka śladów umie określić, w którym kierunku zmierza stado. Archibald chełpił się tym, że teraz zna wzgórza i wąwozy jak własną kieszeń, i przyznaję, że zazdrościłem mu jego nowej pozycji. Zajął się ponownym napełnianiem fajki i zapytał, dlaczego nie mam swojej. Odpowiedziałem, że oszczędzam wszystkie pieniądze na podróż do Glasgow i nie chcę marnować ich na tytoń. Archibald stwierdził, że takie zwyczaje zrobią ze mnie bogatego człowieka. Przez chwilę wyobraziłem sobie siebie jako bogatego kupca siedzącego przy piecu w Wielkim Domu. A przy moim boku Florę z robótką w rękach.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w gospodzie, i nie wiem też, ile kufli piwa wychyliliśmy, ale w pewnej chwili tłum wysypał się z gospody na ulice miasta. Nadchodził moment wielkiego wydarzenia – meczu shinty[9] pomiędzy parafami Applecross i Point. Archibald uregulował nasz wspólny rachunek, szczęśliwie dla mnie, bo nie miałem własnych pieniędzy. Przy

tym ruchem dłoni wykonał znak wyjaśniający mi, że skoro mnie zaprosił, to okazałby się szubrawcem, gdyby pozwolił mi płacić.

Zataczałem się od piwa, ale nie wstydziłem się tego. Szedłem chwiejnym krokiem, kołysany przez tłum, nie zwracając uwagi na pogardliwe spojrzenia przechodniów. Archibald objął mnie ramieniem, obaj zdjęliśmy czapki i tak idąc, czuliśmy się jak młodzieńcy z wyższych sfer. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie Jetta wystawiła swoje towary. Wyglądała na dość przerażoną moją nietrzeźwością.

– Przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że nikt nie powie ojcu, do jakiego stanu się doprowadziłeś – powiedziała ściszonym głosem.

Zignorowałem jej uwagę i wskazując na mojego towarzysza, powiedziałem:

– Pozwól, że przedstawię ci mojego przyjaciela, pana Archibalda Rossa.

Archibald skłonił się wytwornie.

– Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać, panno Macrae – przywitał się. – W naszej parafii nie ma piękniejszej dziewczyny.

Potem wziął ją za rękę, której mu nie podała, i pocałował ją. Jetta gapiła się nań ze zdumieniem, zastanawiając się zapewne, jak jej brat mógł poznać tak czarującego kawalera. Archibald cofnął się, by obejrzeć towary Jetty. Z miną konesera brał w dłonie kolejne przedmioty i mruczał pod nosem z uznaniem. Jetta wydawała się zadowolona z poświęcanej jej uwagi i wyznała nam, że nie więcej niż dziesięć minut temu sprzedała pewnej pani z Wielkiego Domu szal za szylinga.

– Za szylinga?! – wykrzyknął Archibald. – Umniejszasz wartość swych pięknych wyrobów, moja droga!

Następnie oświadczył, że szal, który trzyma w ręku, kupuje dla swojej matki, i dał za niego mojej siostrze dwa szylingi. Jetta ucieszyła się niezmiernie i wylewnie mu podziękowała. Gdy Archibald odchodził od

stoiska, dała mi szylinga i szepnęła, żebym ani słówkiem nie wspominał ojcu o jej utargu. Włożyłem monetę do kieszeni i jąłem przedzierać się przez tłum za Archibaldem, zadowolony, że będę mógł później zaprosić swego kompana do gospody na jeszcze jeden kufel piwa. Udaliśmy się za wioskę w stronę Wielkiego Domu, gdzie odbywał się mecz.

– Twoja siostra jest niczego sobie, ale ubiera się jak stara baba – powiedział Archibald uprzejmym tonem. – Nigdy nie znajdzie męża w tak niedbałym stroju. Gdy chłopak widzi dziewczynę owiniętą w worek pokutny, ma pełne prawo przypuszczać, że są powody, by chciała ukryć to, co jest pod spodem, ha ha.

Machnął fajką, jak to miał w zwyczaju, co tym razem oznaczało, że jego opinia jest niepodważalna. Musiałem przyznać, że w tych słowach było trochę prawdy. Kiedy patrzyłem na Jettę bezstronnym okiem, widziałem, że miała nieco mniej pociągającą sylwetkę niż pozostałe dziewczęta we wsi. Inaczej mówiąc – odstawała od naszych atrakcyjnych sąsiadek ubranych w ładne sukienki, z włosami upiętymi tak pięknie, że można było dostrzec gładką, bladą skórę ich szyi.

Potem Archibald wyjął szal, który kupił od mojej siostry, zwinął go i wyrzucił w krzaki. Zamarłem w przerażeniu i zapytałem, co ten czyn ma znaczyć. Archibald wzruszył ramionami i popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Stary, takiej szmaty nie dałbym nawet psu do spania. Kupiłem ją tylko dlatego, żeby twoja siostra miała trochę pieniędzy na jakieś weselsze odzienie.

Pomyślałem o wielu godzinach, które Jetta spędziła, pracując nad tym szalem, i poczułem się bardzo dotknięty bezdusznością mojego przyjaciela. W obawie, by Jetta nie ujrzała później swojego szala w krzakach, pobiegłem tam i wyciągnąłem go. Był zniszczony, rozdarty kolcami, i trochę czasu zajęło mi zdjęcie go z gałęzi, ale potem złożyłem go tak

ostrożnie, jak umiałem, i wcisnąłem za pazuchę. Archibald obserwował mnie z rozbawieniem.

– Co teraz zamierzasz z tym zrobić? – zapytał, gdy go dogoniłem. – Jest całkiem porwany.

Nie miałem ochoty odpowiadać. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Mecz shinty, zorganizowany z polecenia dziedzica, miał odbyć się na boisku naprzeciwko Wielkiego Domu. Granice pola gry wytyczono przy pomocy trocin. Widzowie zaczęli gromadzić się wokół oznaczonych linii. Po kilku minutach moja złość na Archibalda opadła. Musiał to wyczuć, bo znów zaczął mówić przyjaznym tonem.

– Ja sam nie zamierzam szukać żony przez najbliższych kilka lat. Dlaczego tacy młodzi mężczyźni jak my mieliby ograniczać się do jednego dania, skoro jest ich do spróbowania tak wiele? – powiedział, spoglądając na grupkę dziewcząt. – Jeżeli twoja siostra rozsądnie wyda pieniądze, mógłbym rozważyć obrócenie jej na tyłach gospody. Zresztą po tym, jak dałem jej dwa szylingi, bez wątpienia będzie się czuła wobec mnie jakoś zobowiązana.

Dał mi łokciem kuksańca w żebra, a ja z zaledwie mglistymi domysłami, co tak właściwie miał na myśli, skinąłem na znak zgody. Goście lorda Middletona siedzieli na krzesłach ustawionych przy jednym z krańców boiska. Ten teren był zarezerwowany wyłącznie dla wyższych sfer, więc mieszkańcy wioski ustawili się przy trzech pozostałych liniach. Wzniesiono duży namiot, a ponieważ mecz jeszcze się nie rozpoczął, większość mężczyzn wałęsała się obok jego wejścia. Archibald również pokierował mnie do środka, gdzie kupił dwie porcje whisky. Wznieśliśmy toast, wypiliśmy do dna, a kiedy zaszumiało mi w głowie, całkowicie zapomniałem o incydencie z szalem. Drużyny wyszły na trawę, a my

przeciskaliśmy się przez tłum, który teraz tak szczelnie otaczał boisko, że linie z trocin nie były już potrzebne. Ze wszystkich stron rozlegał się krzyk.

Oczywiście Lachlan Beczka był kapitanem naszej drużyny. Grubiańsko poklepywał swoich kolegów po barkach, by zagrzać ich do boju. Wyglądał imponująco, gdy maszerował na środek boiska z wysuniętą klatką piersiową i płaskim kijem spoczywającym na ramieniu jak siekiera. Pozostali członkowie naszej drużyny, z wyjątkiem Kenny'ego Dyma, byli przemoczeni i smutni, a większość z nich wyglądała, jakby z całego serca pragnęła znajdować się teraz zupełnie gdzie indziej. Kiedy byłem małym chłopcem, nigdy nie lubiłem tych wszystkich gier, a shinty uważam za szczególnie brutalne i niedorzeczne widowisko. W szkole błąkałem się na skraju boiska, a gdy piłka zbliżała się do mnie, uciekałem w przeciwnym kierunku. Pomimo braku krzepkich młodych mężczyzn w naszej parafii, nigdy nie zostałem zgłoszony do żadnych rozgrywek.

Mecz zaczął się od stuknięcia kijów na środku boiska. Dwóch mężczyzn natychmiast upadło i zostało zniesionych, a gra toczyła się dalej bez nich. Lachlan Beczka przejął piłkę w środku pola i posłał ją mocno w kierunku bramki Applecross. Potem podbiegł do linii bocznej, by zgromić Dunkiego Gregora, który miał zaledwie dwanaście lat, za to, że nie przyjął jego podania. Tymczasem piłka zaczęła zbliżać się do naszej bramki i pośród trzasku kijów i kości przeleciała między słupkami. Lachlan Beczka ku uciesze tłumu pchnął Dunkiego Gregora na ziemię i pobiegł zbesztać resztę swojej drużyny. Gracze z Applecross opijali za bramką swój sukces whisky z drewnianych miseczek. Z biegiem czasu mecz stawał się coraz brutalniejszy, a tłum coraz gwałtowniej zagrzewał do atakowania graczy drużyny przeciwnej. Dżentelmeni siedzący na odległym końcu boiska zdawali się uważać widowisko za niezmiernie zabawne i z entuzjazmem kibicowali graczom obu drużyn. Archibald także z rosnącym zapałem bił

brawo przy każdej kolejnej akcji. Tłum osiągnął szczyt zachwytu, gdy jakaś starsza kobieta oberwała mocno kijem w bok głowy i upadła nieprzytomna na ziemię. W końcu całkiem zapomniano o piłce, tłum wtargnął na trawę, utworzył ciasny krąg wokół graczy, a oni zaczęli się wzajemnie okładać kijami po nogach i głowach. A potem nagle mecz został zakończony, bitwa ustała i obie drużyny zostały ogłoszone zwycięzcami przez własnych kibiców. Najbardziej zakrwawionych graczy znoszono na rękach, a w przeciwnym kierunku wędrowały miseczki z whisky. Archibald i ja ruszyliśmy ich śladem, a mój przyjaciel zachwycał się aktami szczególnej brutalności. Ktoś wcisnął nam w ręce miseczki, a my piliśmy, ile się dało. Tłum zaczął wirować wokół mnie i zaproponowałem Archibaldowi powrót do gospody na piwo. On jednak upierał się, żebyśmy postali przy namiocie, ponieważ były tam wszystkie wioskowe dziewczęta i moglibyśmy, jak to ujął, spróbować z nimi szczęścia.

Utorowawszy sobie drogę do namiotu i zakupiwszy kolejne piwo, Archibald zaczął oceniać dziewczęta stojące wokół falującego tłumu mężczyzn, nachylające się ku sobie i szepczące, z twarzami płonącymi od ekscytacji wywołanej widowiskiem. W tym momencie dostrzegłem Florę Beczkę, spacerującą na skraju boiska. Była w towarzystwie wysokiej koleżanki, której nie znałem, i wyglądała na pochłoniętą rozmową z dwoma młodymi dżentelmenami. Nie podobało mi się, że z takim uwielbieniem patrzy na tych zalotników. Palcami prawej ręki bawiła się kosmykiem włosów, które na dzisiejszą okazję były odświętnie upięte. Nie chciałem w tych okolicznościach odnawiać naszej znajomości i próbowałem pociągnąć Archibalda dalej w tłum, ale ponieważ ruszył w kierunku grupki dziewcząt stojących po przeciwnej stronie boiska niż Flora, chętnie ruszyłem za nim. Z pewnym trudem stawiałem nogę za nogą, a gdy dogoniłem Archibalda, przedstawiał się on w czarujący sposób trzem

młodym pannom w haftowanych białych sukienkach. Potem przedstawił mnie w najbardziej pochlebnych słowach. Zdjąłem czapkę i ukłoniłem się, co sprawiło, że dziewczyny zachichotały.

– A dlaczego nie braliście udziału w meczu? – zapytała najwyższa z nich.

Archibald pomachał fajką.

– Należymy do kawalerów, którzy wolą pokonywać swoich przeciwników raczej inteligencją, niż pałkami – oświadczył.

Dał mi kuksańca w żebra, bez wątpienia chcąc, abym potwierdził jego pogląd jakąś inteligentną uwagą, ale ja potrafiłem zdobyć się jedynie na głupawy uśmiech. Lecz Archibalda to nie zniechęciło i zaczął objaśniać dziewczętom, że wkrótce będę zbijać fortunę jako kupiec w Glasgow.

– Ale czy to nie jest syn Czarnego Macrae? – zapytała najwyższa dziewczyna, wysuwając w moją stronę palec wskazujący.

– Rzeczywiście, pochodzi z rodziny Czarnych Macrae, ale chciałbym zwrócić uwagę, że nikt z nas nie jest niewolnikiem reputacji naszych przodków – powiedział Archibald uroczyście.

Czułem, że powinienem włączyć się do rozmowy, ale udało mi się tylko złapać w palce powietrze i zachwiać się w kierunku dziewcząt tak, że Archibald musiał złapać mnie za łokieć, bym nie upadł pomiędzy nie.

Potem zapytał, czy dziewczęta nie zechciałyby przejść się z nami wokół terenów posiadłości, gdyż, jak stwierdził, trudno dyskutować wśród wielkiego tłumu pijaków. Dziewczęta uprzejmie odmówiły, a Archibald, kłaniając się lekko, odprowadził mnie za ramię. Zdawał się nie być ani odrobinę zasmucony tą odmową. Upierał się, że potrzebuję po prostu więcej piwa, by mój język się rozwiązał i żeby zneutralizować działanie wypitej whisky. Gdy wróciliśmy do namiotu, z kuflem piwa w ręku wyznałem Archibaldowi, że nie interesują mnie te dziewczyny, bo moje

serce należy do innej. Archibald zapytał, kim ona jest, a ja opowiedziałem mu, co wydarzyło się między mną i Florą Beczką. Gdy skończyłem, mój kompan przez jakiś czas ssał swoją fajkę, jakby zastanawiał się poważnie nad całą sytuacją. Potem chwycił mnie za marynarkę i przyciągnął do siebie.

– Jeśli mogę ci coś doradzić – zaczął – to czy nie byłoby lepiej, gdybyś wyjechał do Glasgow i uwolnił się od wszystkiego, co przywiązuje cię do tego miejsca? Gdy wkrótce będziesz otoczony bogactwem, jakie ma do zaoferowania miasto, zapomnisz o tej dziewczynie.

Odparłem, że nie mogę o niej zapomnieć i że wcale tego nie chcę.

Archibald lekko skinął głową. Potem wypuścił dym i ze zdecydowaną miną oświadczył:

– W takim razie musisz wyznać jej swoje uczucia.

Wtedy powiedziałem mu o naszej wymianie zdań w Aird-Dubh, pomijając najbardziej upokarzające szczegóły.

– Jeśli twoje uczucia są tak głębokie, jak twierdzisz – upierał się Archibald, obejmując mnie ramieniem – musisz je jakoś jej wyznać. Przynajmniej będziesz wtedy wiedział, na czym stoisz. I bez względu na wszystko nie powinieneś łatwo się zniechęcać. Odrzucanie zalotów kawalera jest u dziewczyn dość typowe. Ale tych odmów nie traktuje się poważnie. Tak naprawdę należy przyznać takim dziewczynom szacunek, że nie ulegają przy pierwszej okazji. Ona zapewne tylko sprawdza twoją determinację. Z pewnością widziałeś koguta w kurniku. Musisz pokazać swoje pióra na ogonie. Młoda kobieta jest jak kura, trzeba o nią zabiegać. Musisz trochę się dla niej napuszyć, Rodericku.

Potem zaczął naśladować koguta, trzepotał łokciami niczym skrzydłami i odrzucając głowę do tyłu, piał. Kilku mężczyzn wokół nas przestało pić

i przyglądało się mu ze zdziwieniem. Gdy zakończył swój pokaz, wskazał na mnie palcem.

– Chcesz być kogutem czy rogaczem? – zapytał, wyraźnie dumny ze swojej maksymy.

Wtedy wyjaśniłem, że nawet gdyby moje uczucia zostały odwzajemnione, między naszymi rodzinami istnieje wiele waśni, a mój ojciec nigdy nie zgodziłby się na taki związek.

– Wydaje mi się – powiedział Archibald – że zbudowałeś tak wiele przeszkód w swojej głowie, że całkowicie się poddałeś, zanim zacząłeś walczyć.

Potem klepnął mnie w czoło i powiedział, że powinienem mniej korzystać z tego, co jest między uszami, a więcej z tego, co między nogami. W tym momencie ujrzałem przez ramię Archibalda, jak Flora opuszcza adoratorów i idzie pod rękę z przyjaciółką wokół opustoszałego już boiska. Nie odpowiedziałem nic na radę swojego towarzysza, a on musiał zauważyć, że się speszyłem.

– Po kolorze twoich polików wnioskuję, że wypatrzyłeś dziewczynę, o której mówisz – powiedział, wskazując cybuchem swojej fajki w kierunku dwóch postaci. – Rozwiążmy tę sprawę raz na zawsze.

Nie miałem ochoty na rozwiązywanie żadnych spraw i bardzo żałowałem, że ujawniłem swoje myśli dotyczące Flory, ale Archibald już ruszył dziarskim krokiem, obejmując mnie mocno ramieniem. Gdy zbliżyliśmy się do dziewcząt, zaprotestowałem jeszcze, twierdząc, że chyba nie czuję się teraz na siłach do rozmowy.

Archibald odrzucił moje wątpliwości.

– Nonsens – oświadczył. – Twoja sytuacja wynika właśnie z tego, że nie potrafisz wyrazić swoich uczuć. Jeśli teraz dzięki piwu twój język jest swobodniejszy, to tylko ci pomoże.

Szliśmy w poprzek boiska, więc gdy Flora i jej towarzyszka okrążyły jego narożnik, wyglądało to tak, jakbyśmy natknęli się na siebie przypadkowo. Dziewczęta były tak pochłonięte rozmową, że nie widziały nas, dopóki nie zbliżyliśmy się do nich na odległość zaledwie kilku jardów. W tym momencie nie dało się już uniknąć spotkania. Archibald zaczął głośno rozprawiać na temat potęgi przyrody i naszej bezsilności wobec niej, a nagle udał ogromne zaskoczenie, gdy niemal zderzyliśmy się z dziewczętami.

– Witaj, Roddy – powiedziała Flora.

W najmniejszym stopniu nie zdawała się być zaniepokojona naszą obecnością, a ja nagle poczułem, że może nie wszystko między nami było stracone, i że może widząc mnie w towarzystwie tak wytwornego młodzieńca jak Archibald Ross, mogłaby zmienić swoje zdanie na mój temat.

Archibald wyraził zdumienie, że Flora i ja się znamy, i gorąco prosił mnie, abym go przedstawił. Zrobiłem to, a wtedy Flora przedstawiła swoją przyjaciółkę jako Ishbel Farquhar. Mój towarzysz wykonał taki sam niski ukłon jak wobec mojej siostry i oświadczył, że gdyby wiedział, że w Culduie kwitną tak piękne kwiaty, już dawno by tam zamieszkał. Dziewczyny spojrzały na niego i wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Wówczas Archibald zapytał, czy moglibyśmy towarzyszyć dziewczętom w spacerze po okolicy, a one nie miały nic przeciwko temu. Następnie przedstawił się jako łowczy, opowiedział o Wielkim Domu i w zabawny sposób opisał niektóre aspekty toczącego się tam życia. Flora odrzekła, że latem jej matka pracowała tam w kuchni i że ona sama również była tam zatrudniona. Irytowało mnie, że Flora ma z Archibaldem tyle wspólnego. Obydwoje zaczęli dyskutować na temat różnych członków rodziny lordowskiej, a Flora była bardzo ubawiona

opisami i anegdotami opowiadanymi przez mojego przyjaciela. Ishbel i ja podążaliśmy za nimi w ciszy, a im bardziej Flora chichotała podczas rozmowy z Archibaldem, w tym bardziej ponury wpadałem nastrój. Gdy dotarliśmy do linii końcowej boiska, Archibald przerwał swą opowieść i zaproponował, abyśmy poszli dalej w kierunku potoku, który, jak oświadczył, jest o tej porze roku najbardziej malowniczy. Zgodziliśmy się i szliśmy dalej wzdłuż rzędu stodół w kierunku lasów rosnących nad rzeką. Wtedy Archibald spytał, jak długo się znamy. Flora odrzekła, że przez całe życie jesteśmy sąsiadami, ale ponieważ zawsze byłem wyjątkowym samotnikiem, bliżej poznaliśmy się dopiero w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Archibald odpowiedział coś w stylu, że jestem wyjątkową postacią, bo w odróżnieniu od wielu młodych mężczyzn uwielbiających słuchać tylko własnego głosu, ja posiadam niezwykle refleksyjną naturę. Potem wyraził ubolewanie, że z powodu mojego rychłego wyjazdu do Glasgow Flora i ja nie będziemy mieć możliwości, by lepiej się poznać. Florę zaskoczyła ta uwaga.

– Przecież miałeś zająć się polem twojego ojca – powiedziała.

– Niedawno zmieniłem decyzję – mruknąłem.

Flora spojrzała na mnie z ukosa.

– A co zamierzasz robić w Glasgow?

Archibald odpowiedział w moim imieniu:

– Dla tak przedsiębiorczego młodzieńca jak Roddy możliwości są nieograniczone.

Po tych słowach Flora i Ishbel wymieniły spojrzenia i wybuchły śmiechem. Dotarliśmy do kamiennego mostu prowadzącego na drugą stronę potoku. Blask słońca przenikał przez baldachim drzew i skrzył się na wodzie. Zatrzymaliśmy się i stojąc we czworo na ścieżce, patrzyliśmy na siebie bez słowa przez kilka chwil. Potem Archibald dość niespodziewanie

wziął Ishbel za rękę i poprowadził ją na most, mówiąc, że chciałby jej coś pokazać. Pochylili się nad wodą, ich ciała znajdowały się dość blisko siebie, a Archibald wskazywał palcem coś w wodzie i mówił do Ishbel przyciszonym głosem. Flora i ja wciąż staliśmy, patrząc na siebie. Byłem straszliwie zakłopotany i świadomy swojej nietrzeźwości. Ponad ramieniem Flory widziałem Archibalda patrzącego na mnie. Ruchem głowy zachęcał mnie do działania.

Spytałem Florę, czy zechciałaby przespacerować się ze mną jeszcze kawałek. Nie opierała się i ruszyliśmy ścieżką wzdłuż potoku. Gdy uszliśmy kilka jardów, nie mogłem oprzeć się pokusie, by spojrzeć przez ramię na Archibalda, który w tym czasie znajdował się tak blisko Ishbel, że jego usta niemal muskały jej szyję. Flora także oglądała się za siebie, jakby nie chciała znaleźć się poza zasięgiem wzroku przyjaciółki. Wprawdzie spędzaliśmy czas sam na sam już wcześniej, lecz teraz zawisło między nami napięcie, jakiego przedtem nie było. Oczekiwałem, że Flora wypowie jakąś uwagę lub coś w tym rodzaju, ale ona nic takiego nie czyniła, a ponieważ ja także nie wiedziałem, co powiedzieć, cisza między nami gęstniała. Ścieżka była wąska, więc byliśmy zmuszeni iść tak blisko siebie, że rękaw Flory łaskotał mnie w ramię. Pamiętając o radzie Archibalda, powiedziałem mojej towarzyszce, że ma niezwykle twarzową sukienkę. Kiedy ścieżka dotarła do błotnistego zagłębienia, Flora skorzystała z okazji, by zaproponować, abyśmy wrócili.

Natomiast ja spytałem, czy moglibyśmy na chwilę usiąść. Przy potoku znajdował się duży głaz, którego użyliśmy jako ławki.

Ponieważ nie chciałem, aby między nami znów zapadła niezręczna cisza, powiedziałem, że Archibald i ja byliśmy wcześniej w gospodzie i wychyliliśmy kilka kufli piwa.

– Widzę, że piłeś – powiedziała Flora – i potrafię sobie wyobrazić, co zrobi twój ojciec, gdy się o tym dowie.

Odrzekłem, że ojciec nigdy się o tym nie dowie, i że tak czy owak warto było zaryzykować, by spędzić trochę czasu w towarzystwie tak wytwornego chłopaka jak Archibald.

Flora powiedziała, że on wcale się jej nie podoba i że według niej nie jest on dla mnie odpowiednim kompanem. W imieniu przyjaciela poczułem się tym nieco dotknięty, ale nie okazałem tego i ponownie zapadła między nami cisza. Być może Flora wyczuła, że zraniła moje uczucia, bo to ona odezwała się jako pierwsza.

– A więc zmieniłeś zdanie? – spytała, odnosząc się do naszej wcześniejszej rozmowy. – Myślałam, że już wziąłeś ślub z Culduie.

Możliwe, że słowo „ślub", rozwiązało mi język, bo nagle zacząłem spontanicznie wyznawać jej swoje uczucia.

– To nie z Culduie chciałbym wziąć ślub, tylko z tobą – powiedziałem. – Pojechałbym do Glasgow, do Kanady, czy gdziekolwiek indziej, jeśli dzięki temu byłbym z tobą.

Flora wyglądała na dość zaskoczoną. Zaczerwieniłem się i natychmiast pożałowałem swojej odwagi.

– Roddy – powiedziała – jestem pewna, że gdy dorośniesz, znajdziesz sobie żonę, ale nie będę nią ja.

Poczułem, że łzy cisną mi się do oczu, i żeby Flora ich nie widziała, chwyciłem ją za ramiona i zanurzyłem twarz w jej włosach. Przez chwilę dotykałem ustami jej szyi i wdychałem jej zapach. Poczułem silne napięcie w kroczu. Flora wbiła mi łokieć w pierś i dość zdecydowanie mnie odepchnęła. Potem wymierzyła mi mocny policzek, a ja zaskoczony ześlizgnąłem się z głazu i wylądowałem plecami w mchu. Flora wstała i uciekła między drzewami. Leżałem przez jakiś czas z ręką przyłożoną do

lica. W końcu wyprostowałem się, otarłem rękawem łzy z twarzy i ruszyłem z powrotem wzdłuż ścieżki. Archibald czekał na mnie przy moście, paląc fajkę. Ku mojej uldze, Flory i Ishbel już z nim nie było.

Czułem się okropnie przygnębiony z powodu tego, co się wydarzyło, lecz Archibald najwyraźniej uważał to za bardzo zabawne. Gdy wracaliśmy w stronę wioski, opowiadał o tym incydencie w kółko, coraz bardziej go ubarwiając, aż w końcu zacząłem srogo żałować, że się mu zwierzyłem. Wbiłem wzrok w drogę pod naszymi stopami. Flora miała rację, popełniłem sporo głupstw. Najwyraźniej Archibald dostrzegł, że jestem przygnębiony, bo przestał się ze mną przekomarzać i objął mnie ramieniem.

– Daj spokój, stary – powiedział – tym lepiej dla ciebie, że wyruszysz do Glasgow wolny i niczym nieskrępowany.

Nie byłem w nastroju na wysłuchiwanie jego współczucia, nie tylko dlatego, że jego słowa zdawały się dość puste, ale także dlatego, że czułem, iż odegrał świadomą rolę w moim odrzuceniu. Próbowałem odepchnąć jego ramię, ale trzymał mnie w mocnym uścisku. Łzy piekły mnie w oczy. Archibald zatrzymał się nagle i stanęliśmy twarzą w twarz. Odwróciłem głowę, spodziewając się, że będzie ze mnie szydził, ale nie stało się tak. Zamiast tego zaczął mnie przepraszać za swoje grubiaństwo wobec, jak to nazwał, moich „najdelikatniejszych uczuć". Poczułem się trochę udobruchany i otarłem łzy grzbietem dłoni.

– Tym, czego potrzebujesz, mój przyjacielu – powiedział, klepiąc mnie po ramieniu – jest duży kufel piwa.

Zmusiłem się do uśmiechu i znów wyruszyliśmy w kierunku gospody. Wyjąłem z kieszeni szylinga, którego dała mi Jetta, i podałem mu.

– Urżniemy się jak lordy – oświadczył Archibald.

Gospoda była jeszcze bardziej zatłoczona niż przedtem, ale Archibald przeciskał się przez ciżbę bez trudu, ciągnąc mnie za rękaw. W kąciku

skrzypek i akordeonista grali skoczne piosenki ludowe. Wkrótce usadowiliśmy się przy stole z kuflami w dłoniach, a mój humor znacznie się poprawił.

– Za tych, co nas lubią! – wykrzyknął Archibald.

Wszyscy mężczyźni wokół nas podnieśli swoje kufle i powtórzyli toast Archibalda, a ja poczułem się dumny, że jestem w towarzystwie takiego chłopaka. Żałowałem, że powiedziałem mu o wyjeździe do Glasgow, gdyż teraz zapragnąłem zostać jego przyjacielem i spotykać się z nim co wieczór w gospodzie, aby wychylać wielkie ilości piwa. Wkrótce zaczęliśmy śpiewać, popijając ze smakiem. Nie miałem pojęcia, ile kosztuje kufel. Nie wiedziałem też, czy mój szyling pokryje koszty, ale było mi to zupełnie obojętne. Archibald wspiął się na krzesło i zaintonował pieśń, a wszyscy mu zawtórowali. Był niezwykle rozochocony. Pełne kufle pojawiały się w naszych rękach bardzo często, a ja poczułem przypływ sympatii wobec swoich krajanów. Incydent z Florą i nieszczęścia mojej rodziny całkowicie odeszły w niepamięć. Odkryłem męską jedność. Aby wyrazić swoje wzniosłe uczucia, wszedłem na stół i wylałem sobie piwo na głowę. Potem zacząłem tańczyć do żywiołowej melodii skrzypka, podnosząc ręce w górę i kręcąc się jak bąk. Mężczyźni pode mną tupali i wystukiwali rytm na stołach, dopóki nie straciłem równowagi i nie upadłem na podłogę. Podniosłem się ku wielkiej uciesze ciżby i tańczyłem dalej. Wtem ujrzałem Lachlana Beczkę, stojącego przede mną z kilkoma swoimi krewnymi. Nagle zrobiło mi się głupio i przestałem wywijać. Stukanie, które mi akompaniowało, również ucichło. Krzyczano do mnie, bym nie przerywał, ale nie chciałem wystawiać się na pośmiewisko. Moja koszula była przemoczona piwem, a włosy kleiły mi się do głowy.

Lachlan Beczka zrobił krok w moim kierunku.

– No dalej, Roddy, nie krępuj się moją obecnością.

Krzyknął do muzykantów, by zaintonowali melodię. Mężczyźni wokół zachęcali mnie klaskaniem, ale ja stałem jak wryty. Lachlan Beczka wziął od jednego ze swoich krewnych kufel piwa i ku wielkiej uciesze gawiedzi chlusnął mi nim w twarz.

– Tańcz, chłopcze! – ryknął. Aeneas Mackenzie zaczął wystukiwać rytm, tupiąc w podłogę i chrumkając jak świnia. Lachlan Beczka podniósł ramiona w górę, by zachęcić tłum do jeszcze głośniejszych krzyków.

Rzuciłem się na niego. Uderzył mnie otwartą dłonią w twarz i mocno odepchnął. Wylądowałem na plecach wśród plątaniny nóg. Czyjeś ręce podniosły mnie i popchnęły z powrotem w kierunku Beczki. Tym razem uderzył mnie pięścią w twarz z całej mocy. Upadłem na podłogę, potem znów wstałem i zacząłem dziko wymachiwać w jego kierunku zaciśniętymi dłońmi. Słyszałem głośny śmiech i ryki aprobaty. Konstabl zadał mi cios w brzuch, a gdy zgiąłem się w pół, kopnął mnie butem między nogi. Leżałem bezsilnie na podłodze, z trudem łapiąc oddech. Archibald stanął przy moim boku, ale Lachlan odepchnął go zdecydowanym ruchem. Potem ukląkł przy mnie i szepnął mi do ucha:

– Do końca roku pogonię twojego starego z jego ziemi, ty obmierzły czarny gnoju.

Potem podniósł mnie i chwytając za marynarkę, cisnął mną gwałtownie przez salę. Upadłem plecami na stół, wymiotując piwem na wszystkie strony. Zwlokłem się i oczekiwałem, że Beczka ponownie do mnie podejdzie, ale już się nasycił. Odwrócił się do swoich krewnych, którzy wznieśli głośny toast za klan Mackenziech i opróżnili swoje kufle.

Następnego ranka obudziłem się w rowie przy drodze w pobliżu Applecross. Miałem przemoczone ubranie i boleśnie pulsowało mi w skroniach. Leżałem tak przez jakiś czas, ale nie mogłem sobie

przypomnieć z tamtego wieczoru nic oprócz tego, co już opowiedziałem. Wrona obserwowała mnie znad rowu.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Pomyślałam, że mogłabym zrobić sobie śniadanie z twoich oczu – rzekła.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem – odparłem.

Wygramoliłem się z rowu na drogę i stanąłem na nogi. Wrona obserwowała moje poczynania z uwagą, jakby jeszcze nie traciła nadziei na ucztę. Rzuciłem w nią butem, a ona poderwała się na stopę czy dwie w powietrze, po czym wróciła na miejsce. Musiało być bardzo wcześnie rano, gdyż rosa gęsto okrywała trawę, a ciszy nie mąciły żadne odgłosy. Ruszyłem w stronę Culduie. Było mi całkowicie obojętne, jak zostanę przyjęty po powrocie. Ranek nie był zimny, ale ponieważ byłem przemoczony, cały drżałem. Gdy przypomniałem sobie o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia, poczułem okropny wstyd i postanowiłem przyjąć od ojca każdy rodzaj kary bez słowa skargi. Po drodze nie spotkałem żywej duszy, a gdy zbliżałem się do Culduie, nikt nie pracował jeszcze w polu. Pomyślałem, że może mój ojciec jeszcze śpi i uda mi się wrócić do domu niepostrzeżenie, ale tak się nie stało. Gdy szedłem wzdłuż drogi u podnóża pól, poczułem coś pod ramieniem. Rozpiąłem marynarkę i znalazłem szal Jetty wciąż tam upchnięty. Zmienił się w rozmoknięte strzępy wełny. Zboczyłem ku brzegowi i rozejrzawszy się, czy nikt mnie nie widzi, wrzuciłem go do morza. Rozplątał się w wodzie i utkwił wśród falujących wodorostów.

Gdy przekroczyłem próg domu, ojciec jadł śniadanie. Nie spojrzał w moją stronę i nie odezwał się ani słowem. Jako że nie miałem nic do roboty, położyłem się na łóżku i pozostałem w nim przez cały dzień.

* * *

Dzisiejszego poranka po zwyczajowych pytaniach o moje samopoczucie pan Sinclair spytał, czy mógłbym spotkać się z pewnym dżentelmenem, który, jak twierdził pan Sinclair, przebył długą drogę, by się ze mną zobaczyć.

– Czy moje zbrodnie tak mnie uwzniośliły, że dżentelmeni pragną teraz mojego towarzystwa?

W odpowiedzi na moją uwagę pan Sinclair uśmiechnął się lekko i zapewnił, że znajomość z tym człowiekiem może wyjść mi na dobre. Oczywiście zgodziłem się, nie chcąc zrobić przykrości mojemu adwokatowi, ale także dlatego, że więzień raczej nie ma prawa wybierać sobie gości. Pan Sinclair zdawał się być zadowolony z mojej decyzji i wyszedł na korytarz, gdzie najwyraźniej oczekiwał ów dżentelmen. Obaj mężczyźni weszli razem, a ponieważ nikt nie chciał zająć miejsca przy moim stole, wszyscy trzej staliśmy, ja pod okienkiem, pan Sinclair przy stole, a dżentelmen u wezgłowia mojej skromnej pryczy na prawo od drzwi. Pan Sinclair przedstawił gościa jako pana Tomsona i wyjaśnił, że jest on najwybitniejszym znawcą w swojej dziedzinie, choć nie doprecyzował, o jaką dziedzinę chodzi. Przyznaję, że oblicze tego dżentelmena wydało mi się dość odrażające, a jego odczucia wobec mnie chyba były podobne, bo wpatrywał się we mnie z niekrytym wstrętem. Był wysokim mężczyzną – musiał pochylić się, by przejść przez drzwi – o ostrych rysach i małych niebieskich oczach. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę opinającą szyję tak ciasno, że fałdy zwisającej skóry wylewały się zza kołnierza. Nie nosił kapelusza, a jego włosy były rozwiane i szare. Szczyt czaszki pokrywała łysina. Ręce miał założone na piersi, a środkowym palcem prawej dłoni cały czas pocierał wielki pierścień z zielonym kamieniem, tkwiący na serdecznym palcu lewej dłoni.

Po chwili zwrócił się do pana Sinclaira:

– Jego stan fizyczny jest gorszy, niż można się było spodziewać. Czy kiedy pan tu przychodzi, on zawsze czuwa? Czy dużo śpi?

Dla pana Sinclaira pytania te wydawały się lekko kłopotliwe.

– Wydaje mi się, że jest niezwykle pobudzony i nie przypominam sobie, bym kiedyś zastał go śpiącego.

Gość cicho cmoknął.

– Prawdopodobnie budzi go zgrzyt klucza w zamku.

Po tej uwadze zrobił dwa niepewne kroki w moją stronę, jakby bał się, że mogę się na niego rzucić. Przechylił głowę i przez kilka minut przyglądał się mojej twarzy i reszcie ciała. Stałem spokojnie, wierząc, że musi istnieć jakiś nieznany mi powód, uzasadniający to niegrzeczne zachowanie. Lecz czułem się jak zwierzę łowne. W końcu gość cofnął się i podszedł do stołu. Palcami lewej ręki bębnił w leżący tam stos kartek.

– To są zapewne te zapiski, o których pan wspominał?

– W istocie – odrzekł pan Sinclair. – Pracuje nad nimi bez wytchnienia.

Pan Tomson prychnął lekko przez nos.

– Szczerze wątpię, że znajduje się w nich coś interesującego. Podejrzewam, panie Sinclair, że jest pan trochę naiwny w stosunku do pańskiego klienta, ale przypuszczam, że to dobrze o panu świadczy.

Potem przejrzał kilka stron. Miałem wielką chęć, by przejść przez celę i wyrwać mu je, gdyż nie chciałem, by czytał moje słowa, bo byłem pewien, że jeśli je przeczyta, zrobi to jedynie w celu drwienia sobie z moich źle skonstruowanych zdań. Jednak powstrzymałem się od tego, gdyż nie chciałem potwierdzać negatywnego wrażenia, jakie ten dżentelmen odniósł na mój widok.

Potem przyłożył do siebie koniuszki palców obu rąk i zapytał adwokata, czy mógłby zostawić nas samych na kilka minut. Pan Sinclair wyraził

zgodę i zbierał się do wyjścia, ale pan Tomson powstrzymał go jeszcze ruchem ręki.

– Czy według pana więzień może być niebezpieczny? – zapytał ściszonym głosem.

Pan Sinclair uśmiechnął się na te słowa i odrzekł, że nie. Lecz pan Tomson i tak przywołał strażnika i zażądał, by stał przy drzwiach. Potem powoli i ostrożnie odsunął krzesło od mojego biurka i usiadł. Jedną stopę postawił na pryczy, a łokieć oparł o kolano.

– No, Roderick – zaczął – wygląda na to, że świetnie się spisałeś, mydląc oczy panu Sinclairowi.

Nic nie odpowiedziałem, ponieważ stwierdziłem, że nie oczekuje na te słowa żadnej odpowiedzi.

– Muszę z przykrością powiadomić cię, że jestem z całkiem innej gliny niż twój uczony adwokat. Przesłuchiwałem setki, tysiące przestępców takich jak ty, i obawiam się, że wiem dokładnie, jaki jesteś. Myślę, że mnie tak łatwo nie oszukasz.

Poczułem się znieważony, słysząc, jak pan Tomson obraża pana Sinclaira, ale nie uznałem za stosowne wdawanie się z nim w jakąkolwiek dyskusję.

– Niemniej jednak – ciągnął dalej – przebyłem kawał drogi, by cię przesłuchać, zatem powinniśmy zabrać się do pracy.

Dżentelmen wstał i przeprowadził drobiazgowe badanie mojej osoby. Przez cały czas zapisywał coś w małym notesie i raz po raz mruczał coś do siebie pod nosem. Żadnego zwierzęcia nie oglądano nigdy na targowisku tak skrupulatnie, ale ja poddawałem się jego różnorakim poleceniom i pytaniom bez sprzeciwu.

Zakończywszy badanie, przyjął poprzednią pozycję, ponownie kładąc nogę na mojej pryczy.

– Pozwól proszę, że teraz zadam ci kilka pytań. Odpowiedz na nie tak wyczerpująco, jak zdołasz – powiedział. – Pan Sinclair zapewnił mnie, że posiadasz bogate słownictwo i jesteś w stanie wyrażać się dość zrozumiale, zatem przekonajmy się, czy tak jest w istocie, dobrze?

Moje spojrzenie powędrowało na strażnika, który stał za panem Tomsonem i nie okazywał cienia zainteresowania naszą rozmową. Jego oczy były skierowane na małe okienko wysoko na ścianie nade mną, a ja znów pomyślałem, że dla strażnika uwięzienie w tych ścianach musi być równie nieprzyjemne jak dla mnie. Mój wzrok błądził po celi od okna do drzwi i po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że wcale nie słucham pytań, które zadaje mi pan Tomson. Spojrzałem na niego. Zdjął nogę z mojej pryczy i siedział sztywno, jakby miał problemy z plecami. Zamilkł, potem wstał, minął strażnika i wyszedł bez pożegnania. Strażnik zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Poczułem wówczas, że chyba potraktowałem tego pana dość nieuprzejmie. Nie miałem jednak wyrzutów sumienia, gdyż od początku nie czułem do niego sympatii. Poczucie winy związane było tylko w jakimś stopniu z panem Sinclairem, gdyż nie chciałem go rozczarować.

* * *

Po jarmarku ojciec nie odzywał się do mnie przez kilka dni. Nie wiem, czy słyszał o moich wybrykach w gospodzie, ale w naszej społeczności niewiele rzeczy pozostawało niezauważonych. Jetta także zwracała się do mnie tylko w razie pilnej potrzeby, a gdy już to robiła, mówiła mrukliwym tonem, jakiego dotychczas nie znałem. Nie umiem powiedzieć, czy było to spowodowane niezadowoleniem z mojego zachowania, czy może jakimiś jej własnymi problemami. Posiłki jedliśmy w milczeniu, a atmosfera

w domu była posępniejsza niż kiedykolwiek. Panowało poczucie niepokoju, jakbyśmy wszyscy byli świadomi, że niebawem coś się wydarzy.

Co noc oczekiwałem zjawienia się Lachlana Beczki w naszych progach, ale nie nadchodził. Świadomość skutków naszej wizyty u zarządcy i moich głupich, nieodwzajemnionych zalotów do córki konstabla wisiały nade mną jak chmura burzowa. To nie sam cios powoduje ból, lecz oczekiwanie nań. Mój lęk narastał z każdym dniem. Nie zostałem wezwany do żadnej pracy pod kierownictwem Lachlana Beczki i ani on, ani nikt z jego krewnych nie zapuszczał się za skrzyżowanie w nasze rejony. Intuicyjnie czułem, że nie czeka nas jakaś drobna grzywna, lecz kulminacja kampanii konstabla przeciwko nam.

W domu bywałem tak rzadko, jak było to możliwe. Spędzałem dni na wyrywaniu chwastów i próbach zwiększenia plonów, ale robiłem to bez większego przekonania i gdybym porzucił narzędzia i odszedł, ojciec nie zapytałby mnie o nic ani nie ukarał. Wieczorami chadzałem na wzgórza i siedziałem tam, patrząc w dół na Culduie. Widziana z góry wioska wyglądała jak zabawka. Ludzie i zwierzęta nie byli więksi niż drobinki popiołu i trudno było wyobrazić sobie, że dzieje się tam cokolwiek godnego uwagi. Myślałem o tym, co znajdowało się za górami, o wielkich miastach na południu i na zachodzie oraz o Atlantyku i o Kanadzie. Zacząłem się zastanawiać, czy jednak mimo wszystko nie mógłbym rozpocząć nowego życia. W jednym Flora miała całkowitą rację – w Culduie nikogo nie czekała żadna przyszłość. A zatem dlaczego miałbym tu zostać? Musiałbym po prostu wyruszyć pewnego ranka i nigdy nie wrócić. Początkowo była to tylko przelotna myśl, ale podczas godzin spędzonych na Càrn zaczęła ona we mnie kiełkować. Nie byłem jeszcze więźniem. Nie było żadnych ścian mogących powstrzymać mnie przed wyruszeniem w drogę. Jedyne, co trzeba było zrobić, to stawiać nogę za nogą. Najpierw udać się do

Camusterrach, potem dalej do Applecross, a potem przez przełęcz do słynnego Jeantown[10].

Stamtąd mógłbym popłynąć łódką albo po prostu iść dalej piechotą. Nie pożegnałbym się z nikim. Nie sporządziłbym też żadnego planu, gdyż nie znam świata za przełęczą. Ten pomysł z upływem czasu narastał we mnie, aż nabrał niepowstrzymanej siły.

I tak pewnego zupełnie zwyczajnego poranka opuściłem dom, wszedłem na miedzę i wyruszyłem w drogę. Nie przyznawałem się sam przed sobą, że odchodzę. Mówiłem sobie, że tylko wyruszam w stronę Camusterrach. Stamtąd mogę iść dalej albo zawrócić. Nie wziąłem ze sobą żadnych bagaży ani nawet jedzenia, by samemu przed sobą nie przyznać swych zamiarów. Nie powiedziałem nic Jetcie, a gdy patrzyłem, jak miesza kaszę nad ogniem, nie myślałem o tym, że już nigdy jej nie zobaczę. Kiedy dotarłem do krawędzi wzgórza przesłaniającego Culduie, oparłem się pokusie spojrzenia wstecz. Aby nie myśleć o smutnych sprawach, liczyłem kroki na głos i w ten sposób przebyłem milę do Camusterrach. Minąłem pastora Galbraitha. Nie odpowiedział na moje przywitanie i zastanawiałem się, czy później, gdy stanie się jasne, że już nie wrócę, będzie pamiętał, że mnie widział.

Z początku szedłem nieśpiesznie, ale gdy minąłem Camusterrach, moje kroki robiły się coraz szybsze. Odległość dzieląca mnie od Culduie wciąż rosła. Gdy docierałem do Applecross, zdałem sobie nagle sprawę, że biegnę, toteż aby nie zwracać na siebie uwagi, zwolniłem. Moje przejście przez wioskę obserwowało kilka wron siedzących na ławkach przed domami. Gdy zbliżałem się do gospody, dostrzegłem Archibalda Rossa pochłoniętego rozmową z wielkim mężczyzną o bujnym zaroście, w którym rozpoznałem kowala. Wokół nich biegał pies. Nie chcąc spotkać się z moim przyjacielem, ukryłem się między domami. Po kilku chwilach wysunąłem

głowę zza węgła. Archibald zbliżał się do mnie, a pies szedł za nim. Nie mogłem uciec na tyły domu, więc aby nie zostać przyłapanym na czajeniu się między budynkami, wyszedłem z ukrycia, poprawiając spodnie, jakbym dopiero co sobie ulżył. Archibald w najmniejszym stopniu nie wydawał się być zaskoczonym tym, że mnie tu spotyka.

– No, no, pięściarz powrócił! Niezłe manto wtedy dostałeś – powiedział, śmiejąc się. – Ale nie ma się czego wstydzić. Facet był od ciebie dwa razy większy.

Nic nie odpowiedziałem.

– Co cię sprowadza do Applecross?

Odrzekłem, że załatwiam pewną sprawę dla ojca.

– Sprawę? – powtórzył. – Cóż to za sprawa?

– Rodzinna – odparłem.

– Rozumiem – rzekł poważnie. – I nie wtajemniczysz przyjaciela w szczegóły? Cóż, mniejsza z tym. Jestem pewien, że nie odmówisz mi przyjemności zaproszenia cię na szklaneczkę piwa – kciukiem wskazał na gospodę.

Wiedziałem bardzo dobrze, że jeśli wejdę do gospody, moje postanowienie pryśnie jak bańka mydlana, więc podziękowałem za zaproszenie, ale odmówiłem.

– Nie mogę uwierzyć – zaprotestował Archibald – że twoja sprawa jest tak pilna, że pozwolisz swojemu przyjacielowi umrzeć z pragnienia.

– Muszę iść do Jeantown – powiedziałem.

– Przecież to osiemnaście mil stąd! – wykrzyknął Archibald. – Chyba nie wybierasz się tam piechotą?

– Zamierzam spędzić tam noc – odrzekłem.

– Ale najpierw musisz się tam dostać – przez chwilę rozważał ten dylemat, a potem wziął mnie pod ramię i poprowadził przez wioskę. – Załatwię ci konia – powiedział, podekscytowany swoim pomysłem. – Możesz pojechać na nim do Jeantown i odprowadzić go w drodze powrotnej. Wracasz jutro?

Głupio przytaknąłem.

– To świetnie! – rzekł.

– Ale nie mam pieniędzy, by zapłacić za konia – odparłem.

Uspokoił mnie natychmiast.

– Zostaw to Archibaldowi Rossowi – powiedział. – Nie wątpię, że kiedyś w przyszłości mi się odwdzięczysz.

Wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, że następnego wieczora, gdy odstawię konia, moglibyśmy napić się piwa w gospodzie.

– Może wówczas będziesz skłonny opowiedzieć mi o swojej tajemniczej wyprawie – powiedział.

Nie mając wyboru, poszedłem z Archibaldem aż na dziedziniec za Wielkim Domem, gdzie kiedyś się poznaliśmy. Kroczył dumnie po bruku z wielką pewnością siebie i zajrzał do stajni. Nagle przed kamienną bramą pojawił się parobek.

– Osiodłaj konia dla pana Macrae – powiedział Archibald, nie wdając się w wyjaśnienia.

Parobek, który miał może pięćdziesiąt lat, popatrzył na mnie z ukosa, ale nie zaprotestował. Gdy czekaliśmy na dziedzińcu, Archibald nabił fajkę i zapalił ją. Pies siedział u jego stóp i patrzył na swojego pana z wielkim oddaniem. Przypomniałem sobie nagle, że Flora może pracować w kuchni, więc oparłem się o ścianę, by nie ujrzała mnie przez okno. Archibald poprosił, bym upewnił się przed drogą powrotną, czy koń jest dobrze nakarmiony i napojony. Po kilku minutach parobek wyprowadził starego

srokatego konia. Archibald klepnął go mocno po zadzie i kazał mi go dosiąść, co uczyniłem z pewnym trudem. Wszelka radość, jaką mógłbym w tej chwili poczuć (bowiem niczego nie pragnąłem nigdy bardziej niż przejażdżki konnej), została całkowicie przyćmiona przez sytuację, w jakiej się znajdowałem. Archibald zaprowadził mnie przed front Wielkiego Domu i wysłał mnie w drogę kolejnym solidnym klapsem w zad konia, wołając za mną, że jutrzejszej nocy opróżnimy gospodę do sucha.

Koń leniwie sunął naprzód stępem. Usiłowałem spiąć go po bokach, jak widziałem to u innych jeźdźców, ale koń nie przyspieszał kroku. Gdy człapaliśmy w kierunku wsi, rozważałem, jakie mam obecnie możliwości. Moją pierwszą myślą było uwiązanie konia przy drodze wiodącej ku przełęczy i pokonanie reszty trasy pieszo. Pozostawiony koń jednak szybko przykułby uwagę i wyobraziłem sobie zbiegowisko ludzi naradzających się, jak mnie schwytać. Powtarzałem sobie w duchu, że nie jestem uciekinierem. Czyż nie miałem prawa pójść tam, dokąd chcę? Nie naruszałem żadnego prawa czy przepisu i jeśli chciałem pojechać do Jeantown na koniu pożyczonym przez przyjaciela, nic do tego nie było władzy ani komukolwiek innemu. Zresztą moje zniknięcie byłoby dla Lachlana Beczki bez wątpienia czymś satysfakcjonującym. Prawdopodobnie nawet mój ojciec uznałby to za błogosławieństwo. Moja obecność nie ustrzegła nas przed niedolami, jakie na nas spadły. Szczerze powiedziawszy, to właśnie moje działania i głupota przysporzyły nam mnóstwa problemów, a moje dalsze życie w Culduie nie odwróciłoby nadchodzących nieszczęść. Z tymi myślami posuwałem się dalej na końskim grzbiecie, mijając kolejne rozstaje dróg, i zacząłem powoli wjeżdżać na przełęcz.

Okazało się, iż Archibald Ross miał całkowitą słuszność. Pokonanie pieszo osiemnastu mil przez przełęcz byłoby rzeczą kompletnie

nierozsądną, nie tylko z powodu ogromnej odległości, ale także dlatego, że idąc, zwracałbym na siebie o wiele większą uwagę. Jadąc na koniu, nawet tak starym i kulawym jak mój, zyskiwałem większe uznanie. Ludzie, których mijałem na drodze, kłaniali mi się albo nawet zdejmowali na powitanie czapki. Nikt nie wypytywał mnie (choć bałem się, że tak będzie) o cel mej podróży ani nie oskarżał o kradzież konia. Im wyżej się wspinaliśmy, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że pomysł Archibalda był zrządzeniem Opatrzności; że to było mi pisane. Droga robiła się coraz bardziej opustoszała, a ja pozwoliłem sobie na rozmyślania o tym, co mogłoby zdarzyć się w Jeantown. Nie wątpiłem, że – jak mówił Archibald – w miastach na południu możliwości były nieograniczone. Mógłbym znaleźć tam jakieś zatrudnienie i w ten sposób dowieść sobie, że dużo bardziej jestem swojej rodzinie przydatny tam niż w Culduie. Może nawet byłbym w stanie co jakiś czas wysyłać pieniądze, aby wyciągnąć rodzinę z nędzy. Kiedy trochę bym się usamodzielnił, Jetta dołączyłaby do mnie i żylibyśmy wygodnie i szczęśliwie. Jednak te myśli wkrótce mnie opuściły.

Im bliżej byłem przełęczy, tym powietrze robiło się coraz zimniejsze. Wiatr uderzał o kępy brunatnej trawy na zboczach. Łeb konia zniżył się, a jego chód stał się jeszcze bardziej ociężały. Przy potoku zszedłem z umęczonego zwierzęcia, by pozwolić mu się trochę napić. Było mi zimno i męczył mnie głód. Przeklinałem siebie za to, że nie napełniłem kieszeni plackami przed opuszczeniem domu. Naciągnąłem czapkę na czoło i szedłem dalej pieszo, prowadząc konia za uzdę. Kilka godzin upłynęło, zanim dotarłem do szczytu przełęczy. Usiadłem na kamieniu i patrzyłem na ponury widok przede mną. Droga wiła się w dół przez skalisty wąwóz. Za nim lśnił wielki bezkres wody. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć, ale to, co ujrzałem, napełniło moje serce lękiem. Zdałem sobie sprawę z tego, że nie mam pojęcia, dokąd zmierzam, i że nawet jeśli kiedykolwiek

dotrę do Jeantown, nie wiem, co tak właściwie będę tam robić. Z pewnością szyling w mojej kieszeni nie zapewni mi dobrobytu. Może mógłbym znaleźć jakąś szopę, w której bym się przespał, i jakieś ochłapy do zjedzenia, ale ta perspektywa nie napawała mnie radością. Bez względu na to, jak mizerne było moje życie w Culduie, nie miałem ochoty żyć jak żebrak. Pomyślałem też o Jetcie, która teraz z pewnością za mną tęskni, i wyobraziłem sobie, jak bardzo moja ucieczka musiała ją zasmucić. Nagle boleśnie poczułem, jak podła była moja myśl o ucieczce. Niczym uwiązany pies osiągnąłem granice swoich możliwości. Wdrapałem się na konia i ścisnąłem go piętami, ale wyczerpany odmówił dalszej wędrówki. Zszedłem więc i z niemałym wysiłkiem nakłoniłem go, aby ruszył ze mną w drogę powrotną. Gdy dotarliśmy do Applecross, było późne popołudnie.

Pragnąc uniknąć spotkania z Archibaldem Rossem, zbliżałem się do Wielkiego Domu z jeszcze większą niepewnością niż zwykle. Żeby wyjaśnić, dlaczego wracam tak wcześnie, zmyśliłem historyjkę, że człowieka, którego miałem odwiedzić w Jeantown, spotkałem po drodze, i dzięki temu zaoszczędziłem mnóstwo czasu. Nie miało dla mnie większego znaczenia, czy Archibald uwierzy w tak absurdalną bajeczkę, ale nie natknąłem się na niego. Dźwięk podków na bruku sprowadził parobka ze stajni. Bez słowa wziął ode mnie uzdę, a ja podziękowałem mu za pożyczenie konia.

Gdy zbliżałem się do Culduie, czułem się okropnie zmęczony, zarówno z powodu trudów dnia, jak i pewności, że teraz nie było już ucieczki od tego, co przygotował dla mnie los. To, co na temat mojej nieobecności powie ojciec, było mi całkowicie obojętne. Pragnąłem tylko położyć się w łóżku i zasnąć. Gdy przestąpiłem próg, stanąłem jak wryty, ujrzawszy ubraną na czarno postać siedzącą przy stole plecami do drzwi. Po przyciętych włosach rozpoznałem pastora Galbraitha. Mój ojciec siedział za

stołem. Jetta krzątała się przy kredensie niczym czarny duch. Nawet w słabym świetle widać było bladość jej twarzy. Przypuszczałem, że pastor przyszedł, aby donieść o mojej obecności w Camusterrach tego ranka, ale nie o to chodziło. Na stole leżała kartka złożona na trzy części, z rozdartą pieczęcią woskową.

Pastor kazał mi usiąść, a potem powiedział:

– Twój ojciec otrzymał dziś to pismo.

Sięgnął przez stół i czubkami palców podsunął kartkę w moją stronę. Jego knykcie były powykręcane i opuchnięte. Wziąłem pismo i rozłożyłem je. Ponieważ światło było zbyt słabe do czytania, podszedłem do ognia. Tekst został spisany wprawną ręką, a podkreślony nagłówek głosił: *Zawiadomienie o eksmisji*. Nie pamiętam dokładnej treści, ale na początku znajdował się zwrot do ojca (*dzierżawca*) i określone w nim były wymiary pola, domu i przybudówek. Następnie informowano, że zarządca z upoważnienia nadanego mu przez dziedzica niniejszym zawiadamia dzierżawcę o konieczności opuszczenia wspomnianej nieruchomości do 30 września 1869 roku. Do tego dnia wolno było dzierżawcy zebrać plony. Następnie wymienione zostały powody eksmisji: niemożność utrzymania gruntów we właściwym stanie; niemożność odpowiedniego utrzymania domów i zabudowań gospodarczych; przywłaszczanie sobie własności dziedzica; agitacja przeciwko wioskowemu konstablowi; zaleganie w płaceniu czynszu oraz grzywny. Potem zostały wyszczególnione różne kwoty, których suma dalece przekraczała wartość wszystkich naszych zwierząt i dóbr materialnych. Pismo zostało podpisane i oznaczone datą przez zarządcę.

Wróciłem do stołu i odłożyłem kartkę. Ojciec wciąż wbijał wzrok w ścianę.

– Objaśniłem twojemu ojcu treść pisma – powiedział do mnie pastor. – Jestem zdumiony, że dopuścił, aby jego sprawy popadły w taki nieład i zmusiły zarządcę do zastosowania najdrastyczniejszych środków. Nie sądziłem, że potrzebujecie aż takiej sumy.

– Zmusiły? – powtórzyłem.

Pastor spojrzał na mnie z bladym uśmiechem.

– Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za zarządzanie naszymi sprawami. Nie można oczekiwać od dziedzica, że będzie pozwalał dzierżawcom na użytkowanie ziemi bezpłatnie lub na łamanie warunków dzierżawy – potrząsnął głową i cmoknął przez zęby z dezaprobatą.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znajdował przyjemność w przyglądaniu się naszej sytuacji i nie widziałem sensu proszenia go o jakąkolwiek interwencję w naszym imieniu. Potem oznajmił, że przez ostatnich kilka miesięcy nie widział w kościele ani mnie, ani mojej siostry.

– Może gdybyście poświęcili większą uwagę trosce o sprawy duchowe – powiedział – nie znaleźlibyście się w takiej sytuacji.

– Nie widzę związku pomiędzy tymi dwiema sprawami – odrzekłem.

– I właśnie tu tkwi problem – powiedział pastor. – Przynosicie wstyd swemu ojcu.

Następnie zakomunikował nam, że zrobi, co w jego mocy, by znaleźć mieszkanie zastępcze. Ojciec podziękował, a pastor wyszedł. Gdy zamknęły się za nim drzwi, ojciec chwycił pismo i podarł je na strzępy. Uderzał pięściami w stół tak mocno, że skrawki papieru podskakiwały w powietrzu. Obserwowałem go tak, jak patrzy się na ranne zwierzę, walczące w pułapce. Bliźniaki zbudziły się na swoim łóżku, a Jetta poszła je uspokoić. Wtedy ojciec wstał i podszedł do niej. Chwycił ją za kark, pociągnął do stołu i pchnął brutalnie na ławę obok mnie. Bliźniaki podreptały za nią niezdarnie, głośno płacząc.

– To twoje grzechy to na nas ściągnęły – powiedział cicho ojciec.

Jetta pochyliła głowę i złożyła ręce na kolanach, wijąc palcami warkoczyk z kolorowych nitek.

– To nieprawda – odparła.

Uważałem za niemądre sprzeciwianie się ojcu, gdy był w takim stanie, ale Jetta upierała się przy swoim zdaniu. Wówczas ojciec poderwał się i ze zdumiewającą szybkością chwycił Jettę gwałtownie za włosy z tyłu głowy. Przyciągnął jej twarz do swojej.

– Myślisz, że opatulona jak staruszka możesz ukryć przede mną swój stan? Nie jestem ślepy.

Jetta potrząsnęła głową tak mocno, jak pozwalał jej na to uścisk ojca.

– Jesteś dziwką.

Potem przyciągnął głowę mojej siostry do stołu i zaczął uderzać nią o blat. Jetta nie płakała. Chwyciłem ojca za nadgarstek i próbowałem rozluźnić uścisk, ale jego palce były mocno wplecione we włosy. Gdy walczyłem z nim, Jetta miotała się między nami jak łódź rybacka na wzburzonym morzu.

– Chcę wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny – syknął.

Jetta zacisnęła usta. Jej oczy zalały się łzami. Błagałem ojca, aby ją puścił. Pomimo moich wysiłków uderzył w pewnym momencie głową Jetty o blat z taką siłą, że straciła równowagę.

– Kto jest za to odpowiedzialny? – warknął, a krople śliny wyleciały z jego ust. Krew ściekała po nogach stołu, a Jetta pokręciła głową na znak, że nie odpowie. Obawiałem się o jej życie i krzyknąłem:

– To sprawka Lachlana Beczki.

Ojciec spojrzał na mnie wściekle, a jego małe oczy rzucały szybkie spojrzenia. Wykorzystałem tę chwilę, by rzucić się na niego przez stół. Oderwałem jego rękę od Jetty, wyszarpując przy tym z jej głowy wielki

kołtun włosów. Wszyscy troje upadliśmy na podłogę. Usiadłem na ojcu. Przez kilka chwil walczył bez przekonania, ale gdy objąłem go ramionami, zdałem sobie sprawę, że została z niego tylko skóra i kości. Nie miał siły i wkrótce przestał się szamotać. Jetta wybiegła z domu. Bliźniaki wyły jak psy. Ojciec wciąż leżał na plecach, ja postawiłem stół, który przewrócił się podczas szamotaniny. Podniosłem z podłogi rozrzucone przedmioty i ustawiłem je na swoich miejscach. Ojciec wstał z trudem i powoli otrzepał ubranie ze śladów walki. Potem usiadł w swoim fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Wyszedłem poszukać Jetty.

Znalazłem ją w stodole. Siedziała na stołku do dojenia, którego niedawno używałem, aby dosięgnąć gniazda zbudowanego dla mojego pisklęcia. Włosy na lewej skroni miała umazane krwią, jej lewe oko było zakrwawione i spuchnięte. Obracała w palcach długą linę leżącą na jej kolanach. Gdy wszedłem, podniosła wzrok, a jej nabiegłe krwią oko zadrżało.

– Cześć Roddy – powiedziała smutno.

– Cześć – odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co dodać, więc podszedłem bliżej i przyklęknąłem obok niej. Uniosła rękę do głowy i dotknęła jej łagodnie opuszkami palców. Potem przyjrzała się bacznie krwi na swojej dłoni, jakby nie była to jej krew. Klęczałem na klepisku obok niej. Spojrzała na mnie, a ruch szyją spowodował, że na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Nasz los w tym życiu nie jest szczęśliwy, prawda, Roddy? – spytała.

– Tak.

– Obawiam się, że ojciec nie chce, bym wróciła i mieszkała pod jego dachem.

– Żadne z nas długo tam już nie pomieszka – odparłem.

Lekko skinęła głową.

– Pojedziesz do Toscaig? – spytałem.

– W moim obecnym stanie raczej nie będę tam mile widziana – odrzekła.

– Więc co zrobisz?

Ułożyła wargi w smutny uśmiech i potrząsnęła głową na znak, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Dopiero wtedy spostrzegłem, że nos ma całkowicie spłaszczony. Jej widok w takim stanie sprawiał mi ból.

– Dla mnie to już koniec – powiedziała. – Boję się o ciebie. Powinieneś stąd wyjechać. Musisz zrozumieć, że nie masz tu czego szukać.

Nie powiedziałem nic o mojej nieszczęsnej wyprawie na przełęcz, bo wstydziłem się próby ucieczki.

– A co z ojcem? – zapytałem.

– Nasz ojciec nigdy nie jest tak szczęśliwy, jak wtedy, gdy cierpi – odrzekła. – Nie wolno ci przywiązywać się do jego masztu.

– A bliźniaki?

Wielka łza spłynęła po nieuszkodzonej stronie twarzy Jetty.

– Ktoś się nimi zajmie – powiedziała.

– To Lachlanem Beczką powinien się ktoś zająć – odparłem.

– To nie on tak mnie załatwił – powiedziała Jetta, wskazując dłonią zmasakrowaną twarz.

– To wszystko jest dziełem Lachlana Beczki – rzekłem. – Chciałbym mu za to odpłacić.

W tamtej chwili były to puste słowa, rzucone z czystej brawury. W ogóle nie myślałem wówczas o zemście i nie miałem pojęcia, jak jej dokonać.

Jetta stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie wolno mówić ci takich rzeczy, Roddy. Gdybyś wiedział więcej o świecie, zrozumiałbyś, że Lachlan Beczka nie jest za to odpowiedzialny. To Opatrzność zesłała nam ten los. Jest to w takim samym stopniu dzieło Lachlana Beczki, jak twoje, moje czy ojca.

– A co by było, gdybym nie zabił owcy albo gdyby mama nie umarła. Albo gdyby dwaj Iainowie nie zatonęli? – sprzeciwiłem się.

– Ale to wszystko się wydarzyło.

– Gdyby Lachlana Beczki nie było… – zacząłem, nie mając pojęcia, do czego przywiedzie mnie ta myśl.

– Ale on żyje i tak jak ty czy ja, on również nie przyszedł na ten świat z własnej woli.

– Więc również nie z własnej woli go opuści – odparłem.

Jetta westchnęła ciężko.

– Nic, co leży w twych siłach, Roddy, nie doprowadzi do żadnej zmiany. Ale nie musisz przejmować się Lachlanem Beczką – ściszyła głos do szeptu. – Już długo nie pożyje.

Odchyliłem głowę, aby lepiej widzieć jej twarz. Gestem dłoni nakazała mi przysunąć się bliżej.

– Dwa razy widziałam całun wokół niego.

Przez moment usiłowałem zrozumieć znaczenie słów mojej siostry. Gdy je pojąłem, ogarnęła mnie euforia. Poczułem, że zejście Lachlana Beczki z tego świata uwolniłoby nas od problemów. Podzieliłem się tą myślą z Jettą.

Zganiła mnie za znajdowanie radości w czymś, co sprawiłoby, że żona konstabla zostałaby wdową, a dzieci sierotami. Odrzekłem, że wolałbym zostać sierotą, niż być wychowywanym przez Lachlana Beczkę.

– Nie masz racji – powiedziała Jetta. – Niezależnie od tego, co spotka Lachlana Beczkę, nie zmieni to mojego stanu. Ani nie unieważni pisma

zarządcy.

Wstałem, nie zgadzając się z tymi słowami, i wzburzony obszedłem stodołę. Zażądałem więcej szczegółów na temat jej wizji zbliżającej się śmierci Lachlana Beczki, ale nie chciała o tym mówić. Los konstabla nie miał znaczenia dla naszej sytuacji.

Jettę nagle ogarnęło znużenie. Zamknęła oczy i pozwoliła głowie opaść na piersi. Ukląkłem obok niej i objąłem dłońmi tył jej głowy. Nie posiadałem dostępu do tego, co działo się w jej umyśle, ale wyraźnie przeczuwałem jej zamiary i sam też nie widziałem dla niej żadnego innego wyjścia. Ściskała moją rękę w swoich dłoniach. Nagle otworzyła oczy i poprosiła, żebym zostawił ją samą. Łzy pociekły mi po policzkach. Pożyczyłem jej dobrej nocy i zostawiłem ją tam na stołku do dojenia. Szybko zamknąłem za sobą drzwi i przywiązałem linę do murszejącej ościeżnicy. I w ten sposób pożegnałem się z siostrą.

Ponieważ nie miałem ochoty wracać do domu, udałem się w dół przez pola w stronę nabrzeża. Wieczór był spokojny, a niebo nad wyspami przybrało różowy odcień zachodzącego słońca. O tej porze roku w naszej części świata noce są tak krótkie, że przyjezdni często cierpią na zaburzenia snu. Przez jakiś czas obserwowałem czaplę, która stała nieruchomo na brzegu, po czym cicho wzbiła się w powietrze, bez wdzięku, w sposób charakterystyczny dla tego gatunku. Przeleciała nisko ponad zatoką i usiadła na cyplu przy Aird-Dubh. Zacząłem rozmyślać o tym, co powiedziała Jetta. Nie miała zwyczaju dzielenia się ze mną swoimi wizjami, ale często widziałem cień przemykający po jej twarzy i wiedziałem, że w tych chwilach doświadczała jakiejś cichej jedności z Innym Światem. W pewnym sensie Jetta nigdy w pełni nie mieszkała w Culduie, tylko przemieszczała się między dwoma światami. Jeśli miałaby

teraz odejść, byłaby to mniejsza śmierć niż śmierć tych z nas, którzy żyją tylko w świecie realnym.

Gdy siedziałem na brzegu, patrząc na powolne fale przypływu, po raz pierwszy pomyślałem o zabiciu Lachlana Beczki. Odsunąłem tę myśl, a przynajmniej próbowałem to zrobić, ale nie dawała mi spokoju, a im bardziej próbowałem skupić się na innych sprawach, z tym większym uporem do mnie powracała. Świadomość, że Lachlan Beczka miał wkrótce umrzeć, uwalniała mnie od wyrzutów sumienia. Skoro los zrządził, że nie miał żyć długo na tym świecie, jakie znaczenie miało to, w jaki sposób z niego odejdzie? Pokusa, że mógłby zginąć z mojej ręki, stawała się nie do odparcia. Ten pomysł mnie ekscytował. Zostałbym zbawcą, o którym pastor Galbraith mówił na pogrzebie mojej matki. Ponadto miałbym świadomość, że zabijając Lachlana Beczkę, przyśpieszam jedynie to, co i tak miało wkrótce nastąpić.

Wizja Jetty o całunie nie mówiła nic o rodzaju śmierci Lachlana Beczki, a nawet jeśli mówiła, to Jetta zachowała to dla siebie. Niełatwo byłoby znaleźć w naszej parafii równie krzepkiego i odpornego na choroby człowieka jak obecny konstabl. Trudno było wyobrazić sobie również wypadek, w którym mógłby zginąć. Czyż zatem możliwym było, iż Lachlan Beczka nie tylko zbliżał się do swego kresu, ale również to, że ten kres spoczywał w moich rękach? Ta myśl pochłonęła mnie, a gdy się ocknąłem, słońce zniknęło już za horyzontem, a mnie spowiło to, co o tej porze roku uznaje się za ciemność.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec chrapał. Bliźniaki też spały mocno w swoich łóżkach, a ja zazdrościłem im spokoju. Mój sen tamtej nocy był nerwowy, często się budziłem, a za każdym razem w mojej głowie płonęły myśli wzniecane wizją Jetty. Pragnąłem ugasić je snem, ale wschodzące słońce o poranku uniemożliwiło mi to.

* * *

Wyszedłem z domu, zanim ojciec wyłonił się ze swojego pokoju. Ze względu na wydarzenia poprzedniego wieczora obawiałem się, że będzie w złym humorze, a po tym, jak potraktował moją siostrę, nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Wziąłem dwa placki i zjadłem je powoli u stóp naszego pola. Pas ziemi był porośnięty chwastami – w porównaniu z ziemią naszych sąsiadów przedstawiał żałosny widok. Powietrze było wyjątkowo spokojne, a smugi chmur zwisały nisko nad wodą jak kosmyki wełny. Nigdzie nie widziałem żywej duszy, a jedynymi dźwiękami były krzyki ptaków i odległe odgłosy zwierząt na pastwiskach.

Miałem nadzieję, że tak, jak człowiek budzi się ze snu, myśl o morderstwie Lachlana Beczki mogłaby odejść w zapomnienie, ale ona zaczynała we mnie kiełkować. Lecz nawet w tamtym momencie pozostawała jedynie próżną możliwością, której nie zamierzałem wprowadzać w czyn. Gdy rozważałem zabicie Lachlana Beczki, czułem się jak matematyk stojący przed równaniem arytmetycznym. Mój nauczyciel, pan Gillies, kiedyś tłumaczył nam, jak powinien postępować naukowiec, gdy chce rozwiązać jakieś zagadnienie: najpierw powinien wysunąć hipotezę, a potem sprawdzić ją poprzez obserwację lub eksperyment. I właśnie w ten sposób postępowałem.

Z całą pewnością zabicie tak wielkiego i silnego mężczyzny jak Lachlan Beczka nie byłoby zadaniem prostym. Gdy wyliczyłem różne sposoby, jakimi można uśmiercić człowieka, okazało się, że każdy z nich wiązał się z różnymi trudnościami. Można na przykład zabić uderzeniem siekierą w głowę, ale to wymagałoby leżenia w ukryciu na czatach w nadziei, że ofiara przejdzie obok. Można dźgnąć nożem, ale nie miałbym odwagi podejść do Lachlana Beczki wystarczająco blisko, by zadać mu cios poważniejszy niż niegroźna rana. Człowieka można zabić bronią palną. Ma

to tę zaletę, że strzela się z odległości, ale nawet gdybym mógł zdobyć taką broń – na przykład z Wielkiego Domu – nie wiedziałbym, jak ją nabić i jak wystrzelić. Można otruć swoją ofiarę, ale to wiązałoby się z zasięgnięciem języka u starych kobiet w parafii, mających wiedzę na ten temat, a następnie ze znalezieniem sposobu na podanie trucizny. Rozważając ostatnią z wymienionych metod, zdałem sobie sprawę, że nie spełnia warunku, którego dotychczas sobie nie uświadamiałem. Moim celem było bowiem nie tylko odejście Lachlana Beczki z tego świata, bo to tak czy inaczej miało wkrótce nastąpić, nawet bez mojej interwencji. Zależało mi na tym, aby był świadomy, że to ja, Roderick Macrae, jestem tym, który kładzie kres jego życiu, i że czynię to, by odpłacić mu za nieszczęścia, jakich przysporzył mojej rodzinie.

Ojciec wyszedł przed dom. Nie wiem, jak długo byłem pogrążony w rozmyślaniach. Zauważyłem motykę u swych stóp i zacząłem pielić chwasty rosnące na bruzdach. Ojciec zszedł w dół pola, do miejsca, gdzie pracowałem, i spytał, co robię. Jego twarz była zabiedzona i szara, a sylwetka jeszcze bardziej zgarbiona niż zwykle. Odpowiedziałem, że wciąż mamy plony do zebrania i jeśli nie będziemy uprawiać roli odpowiednio, w zimie nie będzie jedzenia nawet dla bliźniaków. Ojciec mruknął coś w rodzaju, że jeśli Bóg zechce się o nas zatroszczyć, zrobi to, ale powiedział to bez przekonania i bez dalszych komentarzy zostawił mnie przy pracy. Jestem całkowicie pewien, że obaj wiedzieliśmy, że w tym roku plonów nie będzie.

Tymczasem nasi sąsiedzi pojawili się przed swoimi domami i wykonywali codzienne czynności. Poranek wyglądał całkiem zwyczajnie i gdyby nie to, co wydarzyło się później, raczej nie odróżniliby go od jakiegokolwiek innego poranka. W istocie pod każdym względem – prócz złowieszczych myśli w mojej głowie – dzień był taki sam jak każdy inny.

Ale gdy rozejrzałem się wokół po naszej wsi, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że usunięcie Lachlana Beczki zdjęłoby brzemię, które od dawna ciążyło nad naszą osadą.

Wstałem z kolan i wróciłem do domu. Moje poprzednie myśli o sposobach zabicia Lachlana Beczki były jedynie odwlekaniem czynu. Nie miało znaczenia, co myślałem lub zamierzałem zrobić. Jeśli los nakazywał, by Lachlan Beczka zginął z mojej ręki, to tak musiało się stać. Na to, czy moje przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, nie miałem wpływu. Rozumując w ten sposób, stwierdziłem, że jeśli mam zabić Lachlana Beczkę, muszę najpierw wejść do jego domu. Ponadto konieczne jest zaopatrzenie się w broń, którą mógłbym wykonać to zadanie. Co mogło być lepszego niż motyka, którą los właśnie włożył mi w rękę? Gdy dotarłem do szczytu roli, natknąłem się jeszcze na oparty o ścianę szpadel do torfu z trzema ostrzami i jego także zabrałem. Wtedy ruszyłem przez wioskę. Mówiłem sobie, że nie idę zabić Lachlana Beczkę, ale jedynie sprawdzić, co się stanie, gdy złożę mu wizytę tak uzbrojony.

Normalnym tempem szedłem przez wieś. Carmina Dym wyjrzała przed dom i przywitała się ze mną. Ponieważ nie chciałem wzbudzać jej podejrzeń, zatrzymałem się, by jej odpowiedzieć. Dostrzegła szpadel w mojej ręce i spytała, czy nie za późno już w tym roku na kopanie. Odparłem bez namysłu, że zamierzam oczyścić kawałek ziemi za domem Lachlana Beczki, gdzie ma zostać wykopany nowy rów. Łatwość, z jaką przyszło mi to kłamstwo, kazała mi wierzyć, że mojemu planowi pisane jest powodzenie. Carmina Dym odparła, że nic jej o nowym rowie nie wiadomo, ale nie wypytywała o szczegóły. Pożyczyłem jej dobrego dnia i ruszyłem dalej wzdłuż wioski. Czułem, że mnie obserwuje, ale nie obejrzałem się, by nie wzbudzać podejrzeń. Przechodząc obok pozostałych domów, nie rozmawiałem z nikim więcej. Przeszyło mnie uczucie dawnego

niepokoju, jakiego doświadczałem zawsze, gdy wkraczałem na terytorium Mackenziech. Zdarzenie z latawcem przemknęło mi przez głowę, a moje serce zaczęło bić szybciej. Zatrzymałem się przed domem Beczki i oparłem się na stylisku szpadla, jakbym szacował pracę do wykonania, co w pewnym sensie rzeczywiście robiłem. Kruk usiadł na wimperdze domu. Mały Donnie Beczka bawił się w kałuży kilka jardów od progu. Spojrzał na mnie, przywitałem się z nim jak zawsze, a on wrócił do swojej niewinnej zabawy. Spojrzałem na wioskę za swoimi plecami. Carmina Dym już zniknęła. Wielu mieszkańców było pochylonych nad polem, nikt nie przeczuwał wydarzeń, jakie miały wkrótce nastąpić. Cienka smuga dymu unosiła się z komina Beczek. Minąwszy Donniego, stanąłem na progu.

Wewnątrz było ciemno, a moje oczy potrzebowały trochę czasu, by przyzwyczaić się do mroku. Słońce rzucało prostokąt światła na klepisko i obrysowywało cień moich nóg. Flora siedziała przy stole, obierała ziemniaki i wkładała je do garnka z wodą. Gdy wszedłem, podniosła wzrok. Zdawała się zaskoczona moim widokiem i spytała, co tam robię. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu. Podniosła prawą rękę, by odgarnąć kosmyk włosów opadających jej na twarz. Nie mogłem wymyślić żadnego sensownego powodu, który mnie tam sprowadził. Nie czułem też potrzeby uciekania się do kłamstwa, więc odrzekłem, że przyszedłem zabić jej ojca. Odłożyła obieranego ziemniaka i powiedziała, że to nie jest zbyt zabawne. Przypuszczam, że mogłem udawać, że to żart, ale nie zrobiłem tego i od tej chwili zacząłem działać bardzo konsekwentnie. Spytałem, gdzie jest jej ojciec. Oczy Flory rozszerzyły się, a oddech przyśpieszył. Postąpiłem kilka kroków do pokoju. Przesunęła się na drugi koniec stołu, który teraz stał między nami. Powiedziała, że powinienem wyjść, zanim wróci ojciec, bo w przeciwnym razie będę mieć straszne kłopoty. Odparłem, że już mam straszne kłopoty, właśnie za jego sprawą. Powiedziała, że ją przerażam.

Odrzekłem, że mi przykro, ale nawet gdybym chciał, nie da się już niczego zmienić.

Wtedy dość niespodziewanie Flora rzuciła się w lewo i pobiegła do drzwi. Gdy mijała koniec stołu, zamachnąłem się szpadlem i uderzyłem ją na wysokości kolan. Upadła jak marionetka, której odcięto sznurki. Cios musiał całkowicie ją zaskoczyć, bo nie krzyknęła ani nie wydała żadnego odgłosu prócz cichego łkania. Odłożyłem narzędzia i ukląkłem przy niej. Podniosłem jej spódnice i ujrzałem zranione kolano, nienaturalnie wygięte. Oczy Flory poruszały się szybko jak oczy zwierząt schwytanych we wnyki. Przez chwilę głaskałem ją po głowie, by ją uspokoić, a potem, ponieważ nie chciałem, by cierpiała, sięgnąłem po szpadel i ustawiłem swoje stopy po obu stronach jej bioder. Uniosłem szpadel nad głowę i pomny owcy w bagnie, wymierzyłem cios bardzo starannie. Flora nie próbowała się poruszyć, a ja z całej siły zagłębiłem ostrza w jej czaszce. Ciężkie groty przeszyły kość, jakby nie była grubsza niż skorupka jajka. Kończyny Flory drgały przez kilka chwil, po czym przestała się ruszać, a ja poczułem ulgę, że nie muszę zadawać kolejnych ciosów.

Odstąpiłem od ciała i patrzyłem na nie przez kilka chwil. Spódnice Flory były rozrzucone wokół nóg. Ramiona leżały bezładnie po bokach, a gdyby nie rozłupana czaszka, mogłoby się wydawać, że Florę raził piorun. Ponieważ jej ciała nie oświetlały promienie wpadające przez okno, ktoś wchodzący do domu mógłby się o nie potknąć. Aby uniknąć tej sytuacji, oparłem szpadel o ścianę i zaniosłem ciało na stół, przy którym niedawno obierała ziemniaki. Nie była ciężka, ale gdy ją podniosłem, mózg wymieszany z krwią wyciekł na podłogę. Położyłem ją na plecach z nogami zwisającymi u końca stołu i potrąciłem przy tym garnek z ziemniakami. Woda wylała się i utworzyła kałużę na podłodze. Pozbierałem ziemniaki

i włożyłem je z powrotem do garnka. Wziąłem szpadel spod ściany i trzymając go w ręku, ukryłem się w mroku domu.

Po kilku minutach na progu pojawił się Donnie Beczka. Wołał siostrę, ale oczywiście nie otrzymał odpowiedzi. Wszedł do pokoju i ujrzał nogi Flory zwisające na końcu stołu. Zaczął ostrożnie iść w tamtym kierunku, ale poślizgnął się na tym, co wypłynęło z czaszki, i upadł twarzą na podłogę. Zaczął płakać. Postąpiłem naprzód i uderzyłem go szpadlem w bok głowy. Nie planowałem robić temu małemu krzywdy, ale nie mogłem pozwolić, by wszczął alarm. Nie wiedziałem wtedy, czy go zabiłem, czy tylko ogłuszyłem, bo uderzyłem go z niedużą siłą, ale leżał nieruchomo i po jakimś czasie wywnioskowałem, że musi być martwy. Zostawiłem go tam, gdzie upadł, i wróciłem do cienia.

Nie wiem, ile czasu tam spędziłem. Prostokąt światła słonecznego na podłodze powoli się wydłużał, jakby jego róg naciągała niewidzialna nitka. Zacząłem się niepokoić. Byłoby mi smutno, gdybym zabił Florę i chłopca na darmo.

Nagle usłyszałem szczekanie przed domem, a to oznaczało przybycie Lachlana Beczki. Pojawił się w progu, jego wielkie cielsko całkowicie zasłaniało łatę światła pełzającego po podłodze. Nie wiem, czy zatrzymał się z powodu ciemności w pokoju, czy dlatego, że zobaczył ciała przed sobą. Ponieważ był zwrócony tyłem do światła, nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy. Tak czy inaczej, po kilku chwilach postąpił trzy albo cztery kroki i stanął przy zwłokach syna. Ukląkł, obrócił ciało, a widząc, że chłopiec jest martwy, rozejrzał się wściekle po izbie. Pozostałem w mroku, bojąc się zaczerpnąć powietrza. Beczka wstał i podszedł do stołu, na którym leżało ciało Flory. Widząc, że ona także opuściła ten świat, przyłożył pięść do ust i wydał zduszony krzyk, przypominający odgłos zarzynanego zwierzęcia. Oparł się na łokciach o blat. Wielkie spazmy

wstrząsnęły jego ciałem, ale potem opanował się i odszedł od stołu. Obrócił się i postąpił dwa albo trzy kroki w stronę drzwi. W tym momencie wyszedłem z mroku, a on się zatrzymał. Nie staliśmy dalej niż trzy kroki od siebie. Uderzyła mnie jego wielkość i miałem poważne obawy, czy uda mi się zabić go tak, jak poprzednie ofiary. Zdawało się, że przez jakiś czas próbuje rozpoznać, kto przed nim stoi. Potem wyprostował się i powiedział spokojnym tonem:

– Czy to twoja robota, Czarny Roddy?

Potwierdziłem i dodałem, że przyszedłem wysłać go na tamten świat w ramach odpłaty za cierpienie, jakie sprowadził na mojego ojca. Nie rzekł na to nic. Postąpił o krok i rzucił się na mnie. Bez wahania zaparłem się prawą nogą i cisnąłem przed siebie szpadlem. Ostrze trafiło Lachlana Beczkę w żebra, ale jego waga ciągnęła go do przodu i obaj upadliśmy na podłogę. Zamachnąłem się i uderzyłem go w skroń płaską częścią szpadla. Dotknął dłonią trafionego miejsca, a potem wstał i ryknął przeraźliwie. Obawiałem się, że tylko go rozwścieczyłem i że nie zdołam go pokonać. Przeczołgałem się pod ścianę i wstałem. Lachlan Beczka rozglądał się wokół, prawdopodobnie w nadziei, że znajdzie jakąś broń. Rzuciłem się na niego, wymachując szpadlem. Jednak tym razem on wyprzedził mój cios i podniósł ramię, aby go odeprzeć. Chwycił trzonek i wyszarpnął szpadel z mych rąk. Przez kilka chwil patrzył na mnie dziko. Cienka strużka krwi sączyła się z rany na jego skroni. Trzymał trzonek w mięsistych dłoniach, mierząc we mnie ostrzami, a potem rzucił się do ataku. Odsunąłem się szybko, a on minął mnie z impetem. Niezdarnie się obrócił, może wciąż oszołomiony ciosem, który wcześniej mu zadałem. Stałem plecami do drzwi i wiedziałem, że mogę uciec, ale nie zrobiłem tego, ponieważ nie chciałem odchodzić, nie osiągnąwszy swojego celu.

Lachlan Beczka przypuścił drugi atak. Przypomniałem sobie, że gdy byłem małym chłopcem, byczek Kenny'ego Dyma wpadł w szał, biegał po wiosce i trzeba było sześciu mężczyzn, by go ujarzmić. Kiedy Beczka zamachnął się szpadlem, chwyciłem motykę i łapiąc lewą ręką jego ramię, zadałem mu cios w potylicę. Ostrze nie wbiło się w czaszkę, ale siła uderzenia była wystarczająca, by powalić Beczkę na kolana. Upuścił szpadel i oszołomiony zastygł na czworakach. Stanąłem nad nim okrakiem, jakbym dosiadał kuca. Podniosłem motykę i by zakończyć sprawę bez dalszego przeciągania, obiema rękami wymierzyłem cios. Uderzenie powaliło Beczkę na podłogę, ale nie naruszyło kości, a mnie zdumiała wytrzymałość jego ciała. Leżał z twarzą na klepisku, z oczyma szeroko otwartymi i piersią dyszącą jak u ryby wyciągniętej z wody. Teraz miałem czas, by właściwie wymierzyć cios, i po raz kolejny opuściłem swoją broń. Ostrze porządnie zanurzyło się w czaszce z niemiłym dźwiękiem przypominającym podeszwę uderzającą o torf. Wyszarpnięcie motyki z głowy kosztowało mnie sporo wysiłku.Ręce Beczki drgały po bokach ciała, ale nie potrafiłem określić, czy jeszcze oddychał, czy już nie. Na wszelki wypadek zadałem jeszcze jeden cios, ostatecznie rozłupując czaszkę.

Wówczas odstąpiłem od ciała i spojrzałem na efekty swych czynów. Krew pulsowała mi w skroniach, byłem kompletnie oszołomiony, ale czułem pewną satysfakcję z pomyślnej realizacji zamiarów. Dla postronnego widza scena w domu musiała wyglą dać dość przerażająco i przyznaję, że ja też musiałem odwrócić wzrok od martwego dziecka.

To właśnie wtedy zauważyłem starą panią Mackenzie, siedzącą w fotelu w mroku z tyłu pokoju. Była całkowicie spokojna i zastanawiałem się, czy ona również odeszła z tego świata. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji i nie miałem pojęcia, czy postradała zmysły, czy też nie była świadoma

tego, co dzieje się wokół niej. Słyszałem wiele opowieści o starych ludziach, którzy mieli w zwyczaju przywoływanie osób od dawna martwych lub gubienie się kilka jardów od swoich własnych drzwi. Podszedłem do niej, wciąż trzymając szpadel w prawej ręce. Jej rozbiegane oczy były pełne łez, możliwe, że z powodu sceny, której przed chwilą była świadkiem. Wyciągnąłem rękę i pomachałem jej przed twarzą, ale nie zareagowała. Nie było powodu, by robić jej krzywdę. Poza tym, że wydała na świat Lachlana Beczkę, nie uczyniła mi nic złego. Nie była bardziej odpowiedzialna za czyny jej syna, niż mój ojciec za moje. Dokonałem tego, co zaplanowałem, a ponieważ nie zamierzałem wypierać się odpowiedzialności, zabicie jej w niczym by mi nie pomogło. Uśmiercenie bezbronnej starej kobiety byłoby czynem bezlitosnym i nie miałem serca tego zrobić.

---

[5] Zakrzywiona łopata służąca do prac rolnych na wyżynach szkockich, używana do obracania ziemi w kamienistych miejscach niedostępnych dla pługu.

[6] Wieczór tradycyjnej muzyki i tańca w Irlandii i Szkocji.

[7] Konstabl wioskowy lub parafialny był urzędnikiem wybieranym przez członków społeczności, by służyć jako pośrednik między zarządcą a mieszkańcami. Jego rolą było egzekwowanie warunków dzierżawy pól i rozstrzyganie konfiktów. Natomiast zarządca był ekonomem bądź przedstawicielem zarządzającym posiadłością w imieniu dziedzica. Ogólnie rzecz biorąc, zarządca był postacią niepopularną, której się obawiano.

[8] Andrew Sinclair miał wówczas 62 lata.

[9] Dziewiętnastowieczna gra szkocka przypominająca hurling lub hokej na trawie.

[10] Jeantown jest dawną nazwą wioski Lochcarron.

Raporty medyczne

z oględzin ofiar, sporządzone przez doktora medycyny Charlesa MacLannana zamieszkałego w Jeantown oraz J.D. Gilchrista, chirurga z Kyle na półwyspie Lochalsh

Applecross, 12 sierpnia 1869

Na wniosek wielmożnego szeryfa Williama Shawa i wielmożnego Johna Adama – oskarżyciela publicznego, zbadaliśmy dziś ciało Lachlana Mackenziego, chłopa i konstabla wioskowego z Culduie w hrabstwie Ross. Wiek denata: 38 lat. Ciało zostało nam udostępnione w stodole sąsiada, pana Kennetha Murchisona. Według zeznań pana Murchisona zostało tam przeniesione zaraz po jego odkryciu. Ciało zostało położone na stole i okryte włosiennicą.

Twarz ofiary była bardzo blada i pokryta dużą ilością zakrzepłej krwi. Prawa strona twarzy, od kości policzkowej po skroń, została całkowicie zdeformowana, a nos złamany. Potylica z licznymi złamaniami, niekompletna, brakuje również dużej części masy mózgowej. Zostaliśmy poinformowani przez pana Murchisona, iż fragmenty czaszki i resztki mózgu zostały zebrane z klepiska domu, w którym zmarł denat, i umieszczone w misce. Przebadaliśmy jej zawartość i stwierdziliśmy, że znajdujące się w niej fragmenty kości są tymi, których brakuje w czaszce. Zewnętrzne ucho po prawej stronie uległo niemal całkowitemu oderwaniu. W pozostałych częściach czaszki fragmenty roztrzaskanej kości uległy wciśnięciu do tkanki mózgowej. Naszym zdaniem te obrażenia spowodowane zostały ciosami zadanymi ciężkim, tępym przedmiotem lub narzędziem uderzającym z dużą siłą.

Stwierdzono również dużą ilość sińców na klatce piersiowej, szczególnie po lewej stronie mostka. Między niższymi żebrami, z których dwa były złamane, znajduje się rana o średnicy sześciu cali. Organy wewnętrzne nie zostały naruszone. Według naszej oceny ta rana została

zadana szerokim narzędziem z tępym ostrzem, prawdopodobnie szpadlem do torfu, który odnaleziono na miejscu zdarzenia i pokazano nam.

Na zewnętrznej stronie prawego przedramienia, sześć cali poniżej łokcia, znajduje się duży siniec. Dłonie obu rąk noszą wiele pomniejszych ran szarpanych, a na ich wewnętrznej stronie znajdują się liczne drzazgi. Palec serdeczny lewej ręki jest złamany.

Na pozostałych częściach ciała nie stwierdziliśmy żadnych obrażeń.

Orzekamy, iż cios lub ciosy zadane w potylicę były wystarczające, by spowodować natychmiastowy zgon i były jego przyczyną.

Raport sporządzili zgodnie z przekonaniem i sumieniem
doktor medycyny Charles MacLennan
J. D. Gilchrist

* * *

Applecross, 12 sierpnia 1869

Na wniosek wielmożnego szeryfa Williama Shawa i wielmożnego Johna Adama – oskarżyciela publicznego, zbadaliśmy dziś ciało Flory Mackenzie, córki Lachlana Mackenziego, mieszkanki Culduie w hrabstwie Ross. Wiek denatki: 15 lat. Ciało zostało nam udostępnione w stodole pana Kennetha Murchisona, gdzie zostało przeniesione z miejsca zgonu. Ciało zostało położone na noszach i przykryte całunem.

Potylica jest całkowicie wklęsła, a fragmenty kości głęboko spenetrowały tkankę miękką. Włosy splątane, z dużą ilością zaschniętej krwi. Twarz nienaruszona. W naszej ocenie uszkodzenie czaszki zostało

spowodowane pojedynczym silnym ciosem zadanym ciężkim przedmiotem lub narzędziem.

Stwierdziliśmy liczne rany szarpane oraz sińce w obszarze łonowym. Zewnętrzne tkanki miękkie zostały niemal całkowicie zdarte, a kość łonowa została złamana po lewej stronie.

Lewa noga złamana w kolanie, zewnętrzna strona kolana mocno posiniaczona. Oceniliśmy, że do zranienia doszło wskutek silnego ciosu zadanego przedmiotem zgodnym z pokazanym nam szpadlem. Po odniesieniu tych obrażeń ofiara nie była zdolna do samodzielnego chodzenia.

Na żadnej innej części ciała nie stwierdziliśmy obrażeń.

Orzekamy, że cios w czaszkę był przyczyną śmierci, choć nie możemy stwierdzić, czy była to śmierć natychmiastowa.

Raport sporządzili zgodnie z przekonaniem i sumieniem
doktor medycyny Charles MacLennan
J. D. Gilchrist

* * *

Applecross, 12 sierpnia 1869

Na wniosek wielmożnego szeryfa Williama Shawa i wielmożnego Johna Adama – oskarżyciela publicznego, zbadaliśmy dziś ciało Donalda Mackenziego, syna Lachlana Mackenziego, mieszkańca Culduie w hrabstwie Ross. Wiek denata: 3 lata. Ciało zostało nam udostępnione

w stodole pana Kennetha Murchisona, gdzie zostało przeniesione z miejsca zgonu. Ciało zostało położone na łóżeczku dziecięcym i okryte całunem.

Stwierdziliśmy duży siniec na czaszce, sięgający od przedniej skroni do ucha. Czaszka w tych częściach zapadła się, choć kość nie uległa złamaniu. Skóra wokół sińca została uszkodzona, wytworzył się skrzep.

Na żadnej innej części ciała nie zauważono obrażeń.

Uszkodzenie czaszki powstało najprawdopodobniej wskutek ciosu zadanego ciężkim, tępym przedmiotem zgodnym z pokazanym nam szpadlem, choć uderzenie nie było równie silne jak w przypadku obrażeń Lachlana Mackenziego i Flory Mackenzie. Uszkodzenie mogło być również efektem upadku na twardą powierzchnię. Orzekamy, że obrażenie było przyczyną śmierci, ale nie potrafmy jednoznacznie określić jego pochodzenia.

Raport sporządzili zgodnie z przekonaniem i sumieniem,

doktor medycyny Charles MacLennan

J. D. Gilchrist

Podróże do granic obłędu
spisane przez J. Bruce'a Thomsona

James Bruce Thomson (1810-1873) – chirurg-rezydent w szkockim więzieniu ogólnym w Perth. Na tym stanowisku zbadał około sześć tysięcy więźniów i był autorytetem w powstającej wówczas nowej dyscyplinie: antropologii kryminalnej. W 1870 roku opublikował dwa przełomowe artykuły: Psychologia przestępcy. Studium *oraz* Dziedziczna natura zbrodni *w „Dzienniku Psychiatrii". Jego wspomnienia pod tytułem* Podróże do granic obłędu *zostały opublikowane pośmiertnie w 1874 roku.*

Do Inverness przybyłem 23 sierpnia 1869 roku i spędziłem noc w gospodzie, w której spotkałem się z panem Andrew Sinclairem – adwokatem młodego chłopa oskarżonego o morderstwo trzech swoich sąsiadów. Pan Sinclair napisał do mnie, tytułując mnie najwybitniejszym ekspertem w kraju, i wyraził pragnienie zdobycia mojej opinii w zakresie zdrowia psychicznego swojego klienta. Nikt z nas nie jest całkowicie odporny na tego rodzaju komplementy, a jako że w sprawie występuje kilka interesujących aspektów, w szczególności wysoka inteligencja sprawcy, zgodziłem się i wyjechałem z Perth tak szybko, jak pozwoliły mi na to obowiązki.

Od początku znajdowałem pana Sinclaira jako mężczyznę niezbyt wysokich lotów, czemu nie można się dziwić z uwagi na ograniczone możliwości prowadzenia uczonych dyskursów w zaścianku takim jak Inverness. Był całkowicie nieobeznany z obecnymi odkryciami w dziedzinie antropologii kryminalnej i dużą część wieczora spędziłem na przedstawieniu mu zarysu niektórych najnowszych osiągnięć moich europejskich kolegów w tej dyscyplinie. Oczywiście niepokój narzucał mu chęć rozmowy o jego kliencie, lecz nakazałem mu milczenie, bym mógł dojść do własnych wniosków, nieobciążony sugestiami osób trzecich, nawet tymi najbardziej amatorskimi.

Następnego ranka udałem się z panem Sinclairem do aresztu w Inverness w celu przesłuchania więźnia i znów nakazałem adwokatowi milczenie na temat jego klienta, dopóki nie będę miał możliwości przesłuchania go. Pan Sinclair wszedł do celi pierwszy, by – jak powiedział – upewnić się, czy jego klient zechce mnie przyjąć. Wydało mi się to niezwykle niedorzeczne, gdyż nigdy wcześniej nie słyszałem, by

konsultowano z więźniem, kto może, a kto nie może wejść do jego celi, ale przypisałem to brakowi doświadczenia adwokata w sprawach takiej natury. Pan Sinclair spędził w celi kilka minut, po czym powiadomił strażnika, że zostanę przyjęty. Od pierwszej chwili dostrzegłem, że relacje adwokata i klienta są dość nietypowe. Rozmawiali ze sobą nie jak adwokat i przestępca, ale raczej jak dwóch znajomych, których łączy duża zażyłość. Niemniej ich rozmowa pozwoliła mi na obserwację więźnia przed rozpoczęciem właściwego badania.

Moje pierwsze wrażenie dotyczące R.M. nie było jednoznacznie negatywne. Jego ogólna postura kwalifikowała go do osobników niższej warstwy fizycznej, lecz rysy nie były tak odpychające jak w przypadku większości przestępców, być może dzięki temu, że w odróżnieniu od swych miejskich pobratymców nie wdychał cuchnącego powietrza dzielnic biedoty. Cerę miał bladą, oczy niezwykle czujne, osadzone blisko siebie i podkreślone gęstymi brwiami. Zarost skąpy, choć można to przypisać raczej względnej młodości niż jakiemukolwiek dziedzicznemu niedoborowi. W rozmowie z panem Sinclairem zdawał się mieć dość jasny umysł, ale zauważyłem, że pytania adwokata były często natury sugerującej i wymagały od więźnia jedynie przytaknięcia.

Poprosiłem adwokata, by zostawił nas samych, i w obecności strażnika nakazałem więźniowi rozebrać się. Uczynił to bez sprzeciwu. Stał przede mną, nie okazując wstydu, a ja zacząłem szczegółowe badanie. Mierzył pięć stóp i cztery i pół cala, był budowy wątlejszej niż przeciętna. Jego klatka piersiowa była nieproporcjonalnie wysunięta, co w terminologii laika nazwano by „piersią gołębią". Ramiona dłuższe niż przeciętnie. Barki i przedramiona dobrze rozwinięte, bez wątpienia w efekcie życia upływającego na pracy fizycznej. Dłonie duże i zrogowaciałe. Wyjątkowo długie palce, ale bez śladów błon między nimi czy innych odchyleń. Tors

zarośnięty od sutków do okolic łonowych, ale plecy i ramiona niezbyt owłosione. Penis duży, ale w granicach normy, jądra opadające właściwie. Nogi chude. Gdy poprosiłem więźnia, by przeszedł się na długość celi (co nie było dużą odległością), wydawało się, że lekko kuleje lub jest skrzywiony, co sugerowałoby asymetrię budowy ciała. Mógł to być efekt obrażeń odniesionych w przeszłości, ale gdy o to pytałem, więzień nie potrafił udzielić mi wyjaśnień.

Przeprowadziłem szczegółowe badanie czaszki i fizjonomii. Czoło i brwi były szerokie i masywne, natomiast czaszka na szczycie płaska i znacznie pochylona do tyłu. Cała jej powierzchnia była dość zniekształcona i podobna do wielu tych, które badałem jako chirurg więzienny.

Uszy były znacznie większe niż przeciętne, z dużymi, spłaszczonymi małżowinami[11].

Oblicze: oczy, jak wcześniej wspomniałem, małe i głęboko osadzone, ale czujne i rozbiegane. Nos wydatny, choć nad podziw prosty; wargi wąskie i blade. Kości policzkowe również wysokie i wypukłe, co – jak już niedawno wykazano – często się zdarza w kręgach przestępczych. Zęby dość zdrowe, kły bez znaków ponadnaturalnego rozwoju.

Zatem R.M. posiadał pewną ilość cech wspólnych z więźniami osadzonymi w więzieniu ogólnym (w szczególności zniekształcona czaszka, odrażające rysy twarzy, gołębia klatka piersiowa, wydłużone ramiona i uszy), lecz pod innymi względami był to zdrowy i dobrze rozwinięty przedstawiciel gatunku ludzkiego, a w swoim środowisku naturalnym nie wyróżniałby się jako członek kręgów przestępczych. Pod tym względem stanowił interesujący obiekt i byłem ciekaw wyników kolejnych badań.

Pozwoliłem więźniowi włożyć ubranie i zadałem mu kilka prostych pytań. Nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Chwilami wyglądał, jakby mnie nie słyszał lub udawał, że tak jest. Podejrzewam, że był świadomy tego, o co jest pytany, ale z sobie tylko znanych powodów nie reagował. Taka strategia sugerowała, że więzień nie jest całkowitym imbecylem i potrafi myśleć, acz myśli te mogą być pozbawione logiki. W obliczu upartej postawy nie widziałem sensu zadawania kolejnych pytań, więc strażnik wypuścił mnie z celi.

Pan Sinclair oczekiwał na zewnątrz i kiedy tylko wyszedłem, zaczął mnie niecierpliwie wypytywać. Bardziej niż zawodowego adwokata przypominał rodzica chcącego uzyskać informacje o zdrowiu swojego dziecka. Gdy przemierzaliśmy korytarz, przedstawiłem mu zarys diagnozy.

– Ale jaki jest stan jego umysłu? – spytał.

Byłem świadom, iż adwokat oczekuje ode mnie potwierdzenia swoich sugestii, co umożliwiałoby mu przedstawienie sądowi obrony opartej na chorobie psychicznej i uratowanie swojego klienta od szubienicy oraz – co nie mniej ważne – zdobycie przy okazji sławy. Lecz wówczas odmówiłem wydania tak ryzykownej opinii.

Wyjaśniłem, że jako człowiek nauki nie mogę kierować się podejrzeniami czy domysłami. To, co się liczy, to fakty – fakty i doświadczenie!

– Pański klient wykazuje sporą liczbę cech fizjologicznych klasy przestępczej, z którą dobrze zapoznałem się podczas swojej pracy. Nie można jednak analizować poszczególnych cech bez zaznajomienia się z całością materiału. Nie mogę zaryzykować stwierdzenia, iż nabył te cechy poprzez dziedziczenie. Jeśli woda w czyjejś filiżance jest zanieczyszczona, trzeba najpierw sprawdzić, czy studnia nie jest zatruta. Jeśli odkryjemy, że

studnia rzeczywiście jest skażona, możemy zastanawiać się, czy więzień jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny, czy też nie.

Dotarliśmy do końca cuchnącego korytarza i przerwaliśmy naszą rozmowę na czas otwierania bramy. Pan Sinclair, oszołomiony wyższością mojej wiedzy i intelektu, zaczął odnosić się do mnie z większym szacunkiem. Szliśmy dalej w milczeniu ku bramie głównej, a gdy już nas wypuszczono, głęboko odetchnęliśmy ciepłym letnim powietrzem.

Następnie zaproponowałem, żebyśmy udali się do gospody, gdyż chciałem zadać adwokatowi jeszcze kilka pytań. Gdy usiedliśmy przy stole i zamówiliśmy posiłki, pan Sinclair spytał, co zamierzam zrobić. Odparłem, że następnego dnia znów złożymy wizytę w celi i będziemy kontynuować badania.

– A potem – dodałem – musimy sprawdzić studnię.

Pan Sinclair nie zrozumiał mojej myśli.

– Musimy złożyć wizytę w opuszczonej przez Boga chacie, z której wyskoczył ten łobuz – wyjaśniłem.

– Rozumiem – powiedział adwokat tonem sugerującym, że perspektywa takiej wyprawy niezbyt mu się podobała.

– Co pan wie o pochodzeniu swojego klienta? – spytałem. Pan Sinclair pociągnął długi łyk piwa. Bez wątpienia poczuł zadowolenie, że może udzielić mi jakichś informacji.

– Jego ojciec to chłop dzierżawiący pole, poczciwy człowiek. Matka była poważaną kobietą, zmarła przy połogu rok temu czy jakoś tak. Mój klient ma, a właściwie miał troje rodzeństwa: starszą siostrę i o wiele młodsze bliźnięta.

– Dlaczego *miał?*

– Siostrę znaleziono powieszoną w stodole. Wieczorem w dniu morderstwa.

Na chwilę przerwałem rozmowę.Ta informacja z pewnością była bardzo istotna dla mojego śledztwa.

– A czy siostra przed tym wydarzeniem nie zdradzała oznak chorób psychicznych?

– Nie potrafię tego ocenić – odrzekł. – W zamieszaniu po morderstwach przez jakiś czas nie zauważano jej nieobecności. Gdy rozpoczęto poszukiwania, znaleziono ją, jak wspomniałem, w stodole. Lekarz nie był w stanie ustalić dokładnego czasu zgonu.

Skinąłem głową. Samobójstwo nie świadczyło dobrze o kondycji psychicznej rodziny. Śmierć kobiety w połogu w dzisiejszych czasach również prawdopodobnie stanowi oznakę jakiejś wrodzonej słabości. Wyłaniający się obraz bynajmniej nie przedstawiał krzepkiego i zdrowego rodu.

– A młodsze rodzeństwo?

– Nic o nich nie wiem – odrzekł adwokat, potrząsając głową. – To jeszcze dzieci.

– A na jakiej podstawie określa pan charakter ojca?

– Tylko na podstawie rozmowy z R.

– Widzi pan – odrzekłem – jestem pewien, że zgodzi się pan ze mną, że nie możemy opierać się na słowach podstępnego i brutalnego osobnika, jakim jest pański klient. Musimy spróbować ustalić prawdę o jego pochodzeniu w sposób obiektywny. Fakty i doświadczenie, panie Sinclair! Nimi musimy się zająć.

Zaprotestował, mówiąc, że nie uważa swojego klienta w najmniejszym stopniu za podstępnego, ale nie zareagowałem na jego sprzeciw.

– Pojutrze wyruszymy do Culduie. Sprawy organizacyjne zostawiam panu.

Pan Sinclair spytał, czy może zjeść ze mną dziś wieczorem kolację, ale z uwagi na to, że w najbliższych dniach spędzimy w swoim towarzystwie mnóstwo czasu, odmówiłem. Powiadomiłem więzienie w Perth, że przez kilka dni będę nieobecny, i napisałem do żony, informując ją o tym samym. Następnie przestudiowałem zeznania świadków i raporty medyczne udostępnione mi przez pana Sinclaira i sporządziłem notatki z wydarzeń dnia. Wieczorny posiłek spożyłem w swoim pokoju, nie chcąc obcować z bywalcami okolicznych zajazdów, którzy zbyt żywo przypominali mi więźniów z mojego własnego zakładu. Jadło było godziwe, wypiłem również sporo wina, by zneutralizować udręki niewygodnego materaca i dźwięki libacji w gospodzie pode mną.

Następnego dnia poinstruowałem pana Sinclaira, by zaniósł więźniowi solidny posiłek i butelkę wina z lokalnej gospody. Adwokat odparł, że często proponował swojemu klientowi dodatkowe porcje żywieniowe, lecz jego propozycje zawsze spotykały się z odmową. Wytłumaczyłem mu, że nie działo się tak dlatego, że więzień nie chce posiłku, ale dlatego, że nie chce stać się dłużnikiem swojego adwokata. Akty szczodrej uprzejmości są członkom klasy przestępczej tak obce, że niezmiennie spotykają się z podejrzliwością. Wszak moja propozycja, muszę to przyznać, również nie miała źródła w uprzejmości. Dowiedziono, iż głód może wprowadzić więźnia w stan niepokoju, irytacji, a nawet agresji. Liczyłem na to, że gdy przybędę do celi, zastanę R.M. w stanie rozleniwienia wywołanego obfitym posiłkiem, dzięki czemu jego nastrój będzie sprzyjać przesłuchaniu.

Posiłek miał zostać dostarczony w południe, a z panem Sinclairem umówiłem się w areszcie na godzinę trzynastą, czyli w porze, gdy – jak obliczyłem – wiktuały powinny odnieść pożądany skutek.

Przybyłem do więzienia nieco przed umówionym spotkaniem, gdyż wpierw chciałem zadać kilka pytań strażnikowi. Pragnąłem uczynić to

w pojedynkę, bowiem z mojego bogatego doświadczenia wynika, iż ludzie wykonujący tak niewymagającą pracę mają tendencję do przywiązywania się do pierwszego wykształconego człowieka, jakiego spotykają, podobnie jak osierocone jagnię przywiązuje się do pierwszej ręki, która je karmi.

Strażnik ściśle odpowiadał wzorcowi pracownika fizycznego z nizin społecznych, jaki z reguły znajduje zatrudnienie w więzieniach i przytułkach naszego kraju. Był przeciętnego wzrostu, ale umięśniony, z silnymi barkami i przedramionami. Skórę miał czerwoną i chorobliwą, a czaszkę dziwnie zniekształconą, o wielkich odstających uszach. Ciemne i szorstkie włosy rosły nisko na czole. Gęste bokobrody porastały policzki. Twarz miała wyraz wyjątkowo prostacki i bezduszny, powszechny wśród osobników po przeciwnej stronie drzwi celi, a jej widok tam wcale by mnie nie zdziwił. Odpowiadał *sans doute* swojej roli, ale w obecnej misji nie szukałem u niego błyskotliwości czy intelektu; miał parę oczu w głowie i to z nich chciałem zrobić użytek.

Strażnik nie okazał zdziwienia, gdy powiedziałem, że nie chcę od razu wejść do celi więźnia. Ten typ istot żyje niemal wyłącznie teraźniejszością – przeszłością raczej nie zaprzątają sobie głowy, nie wybiegają również myślami w przyszłość, zatem nic nie jest w stanie ich zaskoczyć. Podobnież nie są one zdolne do odczuwania nudy, zatem posiadają doskonałe przystosowanie do niewymagającej i monotonnej pracy. Zaprowadziłem tego troglodytę na koniec korytarza, abyśmy nie zostali podsłuchani przez obiekt naszej rozmowy. Najpierw spytałem, czy R.M. od swojego przybycia znajduje się pod nadzorem tego strażnika i czy to on jest odpowiedzialny za przynoszenie więźniowi posiłków, usuwanie fekaliów i rutynowe obserwowanie go przez otwór w drzwiach. Strażnik z trudem odpowiadał na moje pytania i niejednokroć musiałem je przeformułować, bym został zrozumiany.

Następnie zadałem serię pytań dotyczących zachowania więźnia i poniżej przytaczam treść odpowiedzi.

Więzień nie sypia zbyt dużo i przez cały czas jest czujny i świadomy tego, co go otacza. Je z apetytem i nie uskarża się na jakość czy ilość posiłków.

Nie wnosił również żadnych uwag dotyczących nadmiernego zimna czy ciepła w swojej celi ani nie prosił o dodatkowe koce lub inne przedmioty. Nigdy nie pyta o zdrowie swojej rodziny i nie przejawia żadnego zainteresowania światem zewnętrznym. Dotychczas między tymi dwoma mężczyznami nie doszło do żadnej znaczącej rozmowy. R.M. przez cały czas, kiedy tylko dzienne światło pozwala, jest pochłonięty zapisywaniem stron przy swoim stole, ale strażnik nie wykazał żadnego zainteresowania ich treścią. Nigdy nie widział, by więzień bredził czy krzyczał, jak zdarza się to podczas halucynacji. W nocy śpi mocno. Nie wykazuje oznak koszmarów nocnych.

Pod koniec naszej rozmowy wcisnąłem szylinga w dłoń strażnika. Wpatrywał się weń bezmyślnie przez kilka chwil, po czym wsunął go bez słowa do kieszeni swojej poplamionej kamizelki. W tym momencie przybył pan Sinclair i wyglądał na dość zdumionego tym, że zastał mnie rozmawiającego z prostackim strażnikiem. Rzecz jasna jemu nie przyszło do głowy, by zrobić użytek z informacji posiadanych przez tego osobnika, wprawdzie ograniczonego intelektualnie, lecz przebywającego w największej bliskości więźnia.

Podobnie jak większość prawniczej braci, bez wątpienia preferował podejrzenia i domysły niż dowody. Nie widziałem potrzeby objaśniania mu swoich działań, a on nie miał śmiałości zapytać.

Gdy weszliśmy do celi, R.M. stał tyłem do ściany naprzeciw drzwi, a ja powziąłem obawę, że pomimo moich środków ostrożności rozmowa

w korytarzu ostrzegła go o naszym przybyciu. Ponieważ pan Sinclair nawiązał więź z osadzonym, dałem mu przy wejściu do celi pierwszeństwo, a podczas gdy on zajmował się jakimiś śmiesznymi uprzejmościami, ja prowadziłem obserwacje. Z miejsca spostrzegłem, iż taca z jedzeniem zamówionym w gospodzie leżała na podłodze obok stołu. Miska, która podobno zawierała jakiś rodzaj bulionu, była pusta, lecz talerz z baraniną i ziemniakami pozostał nietknięty. Butelka wina również nie została napoczęta.

Przyjaźnie zagadnąłem R.M., dlaczego nie dokończył tak wyśmienitego posiłku, a on odrzekł, że nie przywykł do wystawnych dań i że najadł się wystarczająco. Potem dodał, że jeśli jestem głodny, mogę się poczęstować tym, co zostało. Grzecznie odmówiłem. Pan Sinclair wyjaśnił, że chciałbym zadać kilka pytań i że byłoby dla więźnia wielce korzystne, gdyby odpowiedział wyczerpująco i zgodnie z prawdą. R.M. odparł, że nie wie, jaką korzyść mogłoby mu to przynieść, ale jeśli sprawi to panu Sinclairowi przyjemność, odpowie na każde pytanie. Usiadłem na krześle obok stołu i poprosiłem więźnia, by usiadł na łóżku, co uczynił. Pan Sinclair stał plecami do drzwi, z rękami założonymi nad brzuchem.

Zebrany dotychczas przeze mnie materiał dowodowy, czyli wyniki badania oraz informacje uzyskane od strażnika, nie stanowił wystarczających podstaw do wysnucia jakichkolwiek wniosków dotyczących zdrowia psychicznego oskarżonego i jego moralnej odpowiedzialności za popełnione zbrodnie. Pod wieloma względami odpowiadał on ponuremu szeregowi imbecyli, którymi opiekowałem się na co dzień, ale inne aspekty, jak na przykład ogólna czujność czy umiejętność stosowania się do poleceń, wyróżniały go. Ani przez moment nie wątpiłem, że stronice, nad którymi zdawał się tak pilnie pracować, nie zawierają nic prócz bełkotu i bredni, ale fakt, że tak bardzo się do nich przykładał, był

sam w sobie godny odnotowania. W swej wieloletniej pracy z klasą przestępczą nigdy nie spotkałem choćby jednej jednostki zdolnej do jakichkolwiek pobudek estetycznych, a tym bardziej jednostki tworzącej tekst literacki lub wyrażającej się w jakiejkolwiek innej dziedzinie sztuki. Literackie ambicje przeciętnego więźnia nie wykraczają poza skrobanie wulgaryzmów na ścianie celi. Człowiek nauki musi z konieczności być na bieżąco z teoriami i precedensami wybranej przez siebie dziedziny, lecz nie wolno zaślepiać się teoriami i lekceważyć dowodów widzianych na własne oczy ani pomijać tego, co nie zgadza się z oczekiwaniami i wydaje się dziwne lub nieistotne. Niezależnie od tego, jak nietypowy i zaskakujący dowód się pojawia, musi zostać potraktowany poważnie. Jak stwierdził pan Virchow: *Musimy przyjmować rzeczy takimi, jakie są, a nie takimi, jakimi chcielibyśmy, aby były*[12].

Nie miałem wątpliwości, że R.M. nie należy do obłąkanych maniaków, szaleńców w ogólnym rozumieniu tego słowa. Lecz istnieje, opisana przez Pricharda[13], jeszcze inna kategoria obłędu: szaleństwo moralne. Według tej teorii najbardziej obrzydliwe formy naturalnych impulsów, uczuć i nawyków mogą występować pomimo braku zaburzeń intelektu czy zdolności rozumowania. Z pewnością po tym, co dotychczas zaobserwowałem, R.M. prezentował pewien stopień inteligencji – inteligencji, która z całym prawdopodobieństwem mogła zostać wykorzystana do podstępów lub niecnych celów, ale która mimo wszystko odróżniała tego więźnia od zdegenerowanego archetypu. Przeto z zamiarem zbadania skali zdolności rozumowania rozpocząłem przesłuchanie.

Aby umocnić iluzję, że jesteśmy jedynie dwoma mężczyznami rozmawiającymi ze sobą, nie robiłem żadnych notatek, a poniższa relacja opiera się na zapiskach wykonanych przeze mnie po powrocie do gospody.

Zacząłem od powiedzenia R.M., że jestem ciekaw projektu literackiego, nad którym pracuje. Odrzekł, że zapisuje strony na prośbę pana Sinclaira. Ja odparłem, że według mnie to nie jest wystarczające wyjaśnienie determinacji okazywanej przy realizacji tego zadania. Na te słowa więzień ruchem ręki pokazał celę i rzekł:

– Jak pan widzi, proszę pana, nie mam tu zbyt wielu rozrywek.

– Zatem to jest dla ciebie rozrywka? – spytałem.

Nie odpowiedział. Siedział wyprostowany na pryczy, patrząc raczej na ścianę przed sobą niż na swego rozmówcę. Powiedziałem mu wówczas, że chcę mu zadać kilka pytań dotyczących czynów, przez które znalazł się w tym miejscu. Jego małe oczy przeleciały na chwilę w moją stronę, ale poza tym w zachowaniu więźnia nic się nie zmieniło.

– Od pana Sinclaira wiem, że nie wypierasz się odpowiedzialności za te zbrodnie – powiedziałem.

– Nie – odpowiedział. Jego wzrok wciąż pozostawał utkwiony w ścianę przed nim.

– Czy mogę zapytać, co doprowadziło cię do popełnienia takich aktów przemocy?

– Chciałem wybawić ojca od udręk, które ostatnio go spotkały.

– A jakie to były udręki?

Wówczas R.M. opisał kilka trywialnych sporów, do których doszło w ostatnich miesiącach między jego ojcem a nieboszczykiem.

– I w obliczu tych zdarzeń czułeś się usprawiedliwiony do uśmiercenia pana Mackenziego?

– Nie widziałem żadnego innego sposobu zakończenia tej sytuacji – odparł R.M.

– Czy nie mogłeś zwrócić się do jakiegoś autorytetu w waszej społeczności, który mógłby pełnić rolę mediatora?

– Pan Mackenzie był autorytetem w naszej społeczności.

– Wydajesz się inteligentnym młodzieńcem – powiedziałem.

– Nie mogłeś spróbować rozwiązać tych niesnasek poprzez rozmowę z panem Mackenziem?

R.M. uśmiechnął się po tych słowach.

– Czy próbowałeś porozmawiać z panem Mackenziem?

– Nie.

– Dlaczego?

– Gdyby miał pan okazję go poznać, nie zadawałby pan takich pytań.

– Czy zabiłeś pana Mackenziego na polecenie ojca? – spytałem.

R.M. potrząsnął głową znużony.

– Czy omawiałeś z kimś swój plan?

– Nie powiedziałbym, że miałem plan – odpowiedział.

– Ale wszedłeś do domu pana Mackenziego uzbrojony. Z pewnością chciałeś go skrzywdzić.

– Chciałem.

– Zatem można to nazwać planem, czyż nie?

Wypowiedziałem te słowa tonem uprzejmym, jakbyśmy po prostu przyjaźnie gawędzili na temat, który nas obu interesuje. Nie chciałem, by odniósł wrażenie, że moje pytania są podchwytliwe, bowiem to mogłoby zniechęcić go do dalszej rozmowy.

– Poszedłem do domu pana Mackenziego z zamiarem zabicia go, ale nie powiedziałbym, że miałem plan.

Udałem zdziwienie tym szczególnym rozgraniczeniem i spytałem, czy mógłby wyjaśnić, co ma na myśli.

– Po prostu chodzi mi o to, że mając zamiar – na ostatnie słowo położył szczególny nacisk, jakby to raczej on, a nie ja, decydował o toku tej

rozmowy – zrobić mu krzywdę, nie posiadałem planu jako takiego. Poszedłem uzbrojony do domu pana Mackenziego tylko po to, by odkryć, co by się stało, jeśli coś takiego zrobię.

– Zatem sądzisz, że nie jesteś w pełni odpowiedzialny za śmierć pana Mackenziego i że była to, w pewnym sensie, kwestia przypadku.

– Równie dobrze mógłby pan powiedzieć, że wszystko, co się dzieje, jest kwestią przypadku – odparł więzień.

– Ale czy to zbieg okoliczności włożył motykę do twojej ręki i sprawił, że wszedłeś do domu pana Mackenziego?

– Było kwestią przypadku, że miałem ją w ręku, zanim wyruszyłem.

– I tę drugą broń…

– Szpadel – wtrącił pan Sinclair.

– To nie przypadek – kontynuowałem – włożył szpadel do twojej ręki.

R.M. odpowiedział znudzonym głosem:

– Szpadel był oparty o ścianę naszego domu.

– Lecz wziąłeś go – upierałem się. – To nie przypadek włożył go do twojej dłoni.

– Nie.

– Ponieważ planowałeś zabójstwo pana Mackenziego.

– To prawda, że chciałem, by pan Mackenzie zginął z mojej ręki. Jeśli chce pan nazywać to planem, to niech pan to tak nazywa. Ja tylko chciałem dać swojemu przedsięwzięciu jak największe szanse na sukces.

Skinąłem mądrze na tę parodię logiki.

– I byłeś zadowolony z tego sukcesu?

– Nie byłem niezadowolony – odrzekł R.M.

– Ale nie możesz być zadowolony z tego, że jesteś uwięziony w celi.

– To bez znaczenia – oświadczył.

– Czy rozumiesz, że twoje czyny i twoje zeznania prawdopodobnie zaprowadzą cię na szubienicę?

Na te słowa R.M. nie zareagował. Nie potrafię określić, czy jego obojętność była udawana, czy też wywodziła się z błędnie pojętej brawury. Obecnie nie jestem również w stanie stwierdzić, czy rzeczowe odpowiedzi, jakich udzielał, wynikały z naiwności, czy może stanowiły wybieg mający sprawiać wrażenie, że ich autor jest niespełna rozumu. Możliwe, że liczył na to, iż dzięki otwartemu przyznaniu się do tak brutalnych czynów może zostać uznany za człowieka niebędącego w pełni władz umysłowych.

Wówczas zagadnąłem o pozostałe ofiary napaści R.M.

– Zeznałeś, że chciałeś zamordować pana Mackenziego i zakładam, że według ciebie czyn ten był uzasadniony, ale zabicie młodej dziewczyny i dziecka to już całkiem inna sprawa. Czy miałeś jakieś pretensje także do Flory albo Donalda Mackenziech?

– Nie.

– Zatem uśmiercenie ich jest czynem dość potwornym.

– Zrobiłem to wyłącznie z konieczności – odrzekł.

– Z konieczności? – powtórzyłem. – Czy tak silny młodzieniec jak ty nie był w stanie uwięzić młodej dziewczyny i małego chłopca?

– Z perspektywy czasu rzeczywiście takie rozwiązanie wydaje się możliwe. Niewykluczone, że gdybym miał plan, jak to pan nazywa, mógłbym tak postąpić. Ale stało się inaczej.

– Zatem by zrealizować zamiar zabicia pana Mackenziego, chciałeś zamordować dwie istoty, które nawet w twoich oczach były całkowicie niewinne.

– Nie chciałem ich zabić – odparł – ale nie miałem innego wyboru.

– Działałeś wyłącznie z konieczności?

Więzień wzruszył ramionami, jakby ustępowanie mi męczyło go coraz bardziej.

– Jeśli chce pan to tak nazwać, to owszem, zabiłem ich z konieczności.

Wówczas wyjąłem z torby raporty medyczne, dość zgrabnie przygotowane przez miejscowego lekarza, zawierające opis obrażeń odniesionych przez ofiary. Odczytałem więźniowi akapit dotyczący ran Flory Mackenzie, zbyt obscenicznych, by przytaczać go na tych stronicach.

– To, co jest tu opisane, zdaje się bardzo wykraczać poza konieczność – powiedziałem.

R.M. dotychczas wciąż siedział bez ruchu na swoim łóżku, ze wzrokiem utkwionym w ścianę celi. Jednak gdy usłyszał opis obrażeń, których się dopuścił, jego oczy zaczęły rzucać szybkie spojrzenia, a dłonie, spoczywające dotychczas na kolanach, zaczęły pocierać o materiał spodni.

– Czy możesz wyjaśnić, dlaczego czułeś potrzebę zadawania takich ran? – spytałem, podtrzymując spokojny i uprzejmy ton.

Na policzki więźnia wystąpił rumieniec. Często zdarza się, że nawet więźniowie, którzy potrafią panować nad słownymi zeznaniami, nie są w stanie stłumić fizycznego okazywania niepokoju. Wzrok R.M. krążył po celi, jakby szukał odpowiedzi na moje pytanie.

– Nie przypominam sobie, bym zadał takie rany – odrzekł po kilku chwilach cichszym głosem niż uprzednio.

– Ale musiałeś je zadać – powiedziałem.

– Tak, musiałem – odrzekł.

Nie czułem potrzeby większego nacisku na więźnia w tym temacie, skoro już osiągnąłem swój cel i skonfrontowałem go z tymi faktami. Włożyłem dokumenty do torby i wstałem, by dać do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Pan Sinclair odsunął się od ściany, o którą się opierał, i stanął w gotowości. Skinąłem, że jesteśmy gotowi do wyjścia,

a strażnik wypuścił nas z celi. Poleciłem strażnikowi, by odniósł tacę przyniesioną z gospody, i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że bez skrupułów poczęstuje się resztkami.

* * *

Pan Sinclair i ja dotarliśmy do Applecross wieczorem 26 sierpnia po mozolnej podróży. Gospoda, w której mieliśmy zatrzymać się na noc, była niezwykle schludna, z pobielonymi ścianami, prostym umeblowaniem i jasnym ogniem palącym się w kominku. Powitano nas gościnnie, a dziewczę o doskonałych proporcjach przyniosło posiłek z duszonej baraniny. Lokalni mężczyźni byli na ogół smagli i niscy, ale dość krzepcy i nie okazywali żadnych widocznych wad wrodzonych. Porozumiewali się prymitywnym językiem tego regionu, więc nie mogę przytoczyć treści ich rozmów, ale pomimo wielkich ilości wypitego piwa ich zachowanie nie było swawolne; nie spotkaliśmy tu też żadnych prostytutek. Nasza obecność nie wywołała szczególnego poruszenia, a gdy zapytałem o to naszą gospodynię, odrzekła, że ze względu na dużą liczbę ludzi przyjeżdżających do Wielkiego Domu na polowania, nikogo nie dziwi, że obcy mężczyźni zatrzymują się w gospodzie. Przy pierwszej sposobności udałem się na odpoczynek, zostawiając pana Sinclaira wśród biesiadników, i zasnąłem zdrowo.

Nazajutrz wstaliśmy wczesnym rankiem i otrzymaliśmy śniadanie złożone z kaszanki, jajek oraz kufla piwa. Mój towarzysz wypił je z ochotą. Nie było powozu, którym moglibyśmy wydostać się z Applecross, więc podstawiono nam dwa konie i wyruszyliśmy do Culduie. Poranek był jasny, a powietrze rześkie i świeże. Wieś Applecross jest malowniczo usytuowana na brzegu osłoniętej zatoki, a domy, choć prymitywne, są tu solidnie zbudowane. Mimo wczesnej godziny na ławkach przed domami siedziało

wiele starszych kobiet o dobrych proporcjach, znaczna ich część miała już, jak mniemam, ósmy krzyżyk. Niektóre puszczały dym z małych fajek, natomiast inne zajęte były robótkami. Wszystkie śledziły nas z ciekawością, ale żadna nas nie powitała.

Po przebyciu mniej więcej mili przejechaliśmy przez wioskę Camusterrach. Wokół przystani stało kilka ruder. Wieś szczyciła się kościołem o dość prymitywnej konstrukcji, porządną kamienną plebanią oraz szkołą. Jedynie te budynki nadawały miejscu odrobinę klasy. Jednak ani Applecross, ani Camusterrach – zapadłe wsie – nie przygotowywały nas na nędzne zbiorowisko chałup, składające się na rodzinną miejscowość R.M. Na krótkim odcinku między Camusterrach i Culduie rozciągał się, to trzeba przyznać, wspaniały widok na wyspy Raasay i Skye. Cieśnina oddzielająca te wyspy od stałego lądu uroczo mieniła się w słońcu. Kontrast, gdy skręciliśmy na szlak prowadzący do Culduie, nie mógł być większy, i mogę jedynie sobie wyobrazić, jak tutejsi nieszczęśnicy codziennie odwracają wzrok od piękna przed nimi, aby nie przypominało im o nędzy, w jakiej mieszkają. Większość domów, jeśli można je tak nazwać, była żałosna, przypominała raczej obory lub chlewy. Zbudowano je z mieszanki kamieni i torfu i pokryto prymitywną strzechą, która cuchnęła dymem torfowym i zdawało się, że każdy dom odrobinę się tli. Gdy mijaliśmy pole, chłop przerwał pracę i bez krępacji się na nas gapił. Miał skuloną postawę, gęsty zarost i dość odpychające oblicze. Tylko dom na granicy wioski wyróżniał się łupkowym dachem i wyglądał na odpowiedni dla ludzi. To właśnie tam zatrzymaliśmy się, by zapytać o drogę do domu pana M. – ojca oskarżonego. Przy drzwiach powitała nas, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, niezwykle piękna kobieta, która, zanim zdążyliśmy wyjaśnić powód swej wizyty, zaprosiła nas do środka. Przyznaję, że z ciekawością poddałem bezpośredniej obserwacji warunki życia tej

rodziny i byłem mile zaskoczony wewnętrznym wystrojem. Choć podłogę pokrywało jedynie klepisko, izba była świeżo zamieciona i panowały tam dobre warunki higieniczne. Wokół stało kilka prostych, ale schludnych mebli, a nam wskazano dwa fotele ustawione przy kominku. Pan Sinclair zaczął wyjaśniać, że nie chcemy się rozsiadywać, albowiem zapukaliśmy do drzwi wyłącznie w celu spytania o drogę do domu rodziny M., ale szybko uciszyłem go i powiedziałem, że przez kilka minut z przyjemnością skorzystamy z gościnności. Przebyliśmy długą drogę, aby dowiedzieć się czegoś na temat społeczności, w której żył R.M., zatem niemądre byłoby odrzucenie jakiejkolwiek nadarzającej się okazji. Studium przestępców nie powinno skupiać się jedynie na dziedziczności, musi uwzględniać również warunki, w jakich egzystuje zdegenerowana jednostka. Dziedziczność sama w sobie nie może stanowić przyczyny popełnienia zbrodni. Odrażające powietrze ruder, głód i ogólna atmosfera niemoralności także powinny zostać uznane za czynniki prowadzące do przestępstwa. Naukowo dowiedziono, że zdegenerowane pokolenia wyciągnięte z zapyziałych nor swoich rodziców i należycie wychowane mogą prowadzić, w granicach swoich możliwości intelektualnych, całkiem zadowalające życie.

Przeto byłem rad, iż mam szansę dowiedzieć się trochę o „studni", z której wyszedł R.M. Gdy przedstawiliśmy się sobie, pani Murchison zawołała dwie swoje córki, by podały nam herbatę i usiadły z nami przy ogniu. Wyłączając prosty ubiór, nie wstydziłbym się przedstawić pani Murchison w salonie w Perth. Miała piękne rysy i inteligentne brązowe oczy. Zachowywała się dostojnie, co sugerowało, iż rozmowy z wykształconymi ludźmi nie są jej obce. Jej córki, które oceniłbym na około dwanaście -trzynaście lat, poruszały się z podobną gracją i miały przyjemne dla oka proporcje, zarówno ciała, jak i oblicza. Pani Murchison wyjaśniła, że jej męża, kamieniarza, nie ma obecnie w domu. Zapytałem,

jak się poznali, a ona opowiedziała, że stało się to niedaleko, w miasteczku Kyle na półwyspie Lochalsh, gdzie jej ojciec był powszechnie szanowanym kupcem. Ojciec nie hołdował obyczajom wielkich szkockich rodów, które przez nieustanne małżeństwa z bliskimi krewnymi wydają na świat potomków zniekształconych i niedorozwiniętych. Herbatę podano w chińskich filiżankach, razem z bułeczkami posmarowanymi masłem. Pochwaliłem panią Murchison za jej dobrze wychowane dzieci. Ona odparła, że ma jeszcze cztery córki, a ja wyraziłem żal, iż los nie pobłogosławił jej męskim potomkiem.

Potem wyjaśniłem istotę naszej misji w Culduie i spytałem o opinię na temat oskarżonego. Pani Murchison unikała odpowiedzi na moje pytanie, podkreślała natomiast tragiczną naturę niedawnych zbrodni i wpływ, jaki miały one na ich małą społeczność.

Zauważyłem, że użyła słowa *tragiczny* i spytałem, dlaczego określa to zdarzenie w ten sposób.

– Nie wiem, jak inaczej można by je opisać.

– Jestem po prostu ciekaw – odrzekłem – dlaczego określa pani te czyny mianem tragicznych, a nie na przykład złych lub nikczemnych.

Wówczas pani Murchison spojrzała na nas obu, jakby szukała zapewnienia, że może z nami rozmawiać otwarcie.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie, panie Tomson – powiedziała – sądzę, że zdecydowanie za dużo mówi się o nikczemności tych okolic. Z niektórych rozmów można by wywnioskować, że żyjemy tu w stanie nieustannej deprawacji.

– Widzę, że istotnie byłby to mylny pogląd – odparłem, wskazując ręką na pokój. – Lecz należy dążyć do wytłumaczenia czynów pani sąsiada.

Wtedy pani Murchison wyprosiła córki, każąc im zająć się swoimi obowiązkami. Potem powiedziała, że nie do niej należy wyrażanie opinii,

ale może jedynie podejrzewać, że jeśli R.M. popełnił te straszne zbrodnie, nie mógł być zdrowy na umyśle. Po tych słowach przeprosiła nas za wyrażanie swojego poglądu w towarzystwie dwóch dżentelmenów, którzy muszą wiedzieć o wiele więcej o pracy umysłu niż ona.

Zapewniłem ją, że ta opinia jest dla nas istotna, i dodałem, że przeprowadziłem badania na dużej ilości przestępców, lecz jestem człowiekiem nauki i wyżej cenię sobie dowody niż uogólnienia i domysły. Do Culduie przybyłem, ponieważ chciałem poznać opinie znajomych oskarżonego.

– Nie wątpię, że znajdzie pan wielu ludzi, którzy chętnie wydadzą o nim złą opinię – powiedziała – ale ja nigdy nie widziałam, by umyślnie skrzywdził drugą osobę.

– Nie sądziła pani, że byłby zdolny do popełnienia takich zbrodni?

– Panie Tomson, o nikim bym nie pomyślała, że jest zdolny do popełnienia takich zbrodni – odrzekła.

Zapytałem ją wówczas, czy zna jakiekolwiek powody, które mogły skłonić R.M. do jego czynów. Odniosłem wrażenie, że nie chce udzielić odpowiedzi na to pytanie.

– Z pewnością doszło do sporów między panem Mackenziem a panem M. – powiedziała w końcu.

– A kto, według pani, był temu winny?

– Nie sądzę, żebym potrafiła to rozstrzygnąć – odparła.

– A może nie chce pani mówić źle o zmarłym? – spytałem.

Pani Murchison patrzyła na mnie przez chwilę. Naprawdę była wyjątkowo urodziwą istotą.

– Mogę powiedzieć z całą pewnością, że Flora i Donald Mackenzie niczemu nie zawinili – powiedziała w końcu, po czym zaczęła płakać.

Przeprosiłem ją za poruszenie tej bolesnej kwestii. Wyjęła lnianą chusteczkę z rękawa i przetarła oczy delikatnie niczym wytworna dama. Widząc sposób, w jaki chowa chustkę, zrozumiałem, że w ostatnim czasie pani Murchison często zdarzały się takie wybuchy emocji. Gdy się opanowała, spytałem, co mogłaby mi opowiedzieć o charakterze R.M. Znów długo wpatrywała się we mnie swoimi ładnymi brązowymi oczami.

– Ogólnie był dobrym chłopakiem – powiedziała wymijająco.

– Ogólnie?

– Tak.

– Ale nie zawsze? – drążyłem.

– Wszyscy chłopcy w wieku R. czasem psocą, czyż nie?

– Bez wątpienia – przyznałem. – Ale jakiego rodzaju psoty ma pani na myśli?

Pani Murchison nie odpowiedziała, a mnie zaskoczyła dziwna niechęć do mówienia źle o osobie, która popełniła tak potworne czyny. Przeto uznałem, że lepiej będzie, jeśli moje pytania będą bardziej konkretne.

– Czy miał zwyczaj kraść?

Panią Murchison w odpowiedzi tylko się zaśmiała.

– Czy słyszała pani kiedykolwiek, by dręczył zwierzęta lub małe dzieci?

To pytanie pani Murchison nie rozbawiło, ale odpowiedziała przecząco.

– Czy kiedykolwiek widziała pani, żeby mówił do siebie lub działał pod wpływem halucynacji lub fantazji?

– Nie powiedziałabym, że mówił do siebie – odrzekła – ale czasami, gdy szedł przez wioskę albo pracował na polu, chyba mruczał pod nosem.

– A czy wie pani, co mruczał?

Pani Murchison potrząsnęła głową.

– Zaciskał usta – zaciskając wargi, pokazała, co dokładnie ma na myśli – jakby nie chciał być słyszany. Gdy dostrzegał, że ktoś go obserwuje lub gdy ktoś się do niego zbliżał, milknął.

– Zatem musiał być świadomy tego, co robi – powiedziałem bardziej do siebie niż do swych rozmówców. – Czy rozmawiała pani kiedyś z innymi osobami na temat tego zwyczaju R.?

– Mój mąż także to zauważył i powiedział mi o tym.

– Co dokładnie powiedział?

– Nic poza tym, że to zauważył. Nie sądziliśmy, że to może mieć jakieś znaczenie.

– Lecz było to na tyle niezwykłe, że zasługiwało na komentarz?

– W rzeczy samej – przytaknęła pani Murchison. Upiła łyk herbaty z filiżanki trzymanej z gracją na podołku. – Panie Tomson, musi pan zrozumieć, jak wielkie nieszczęście dotknęło R. Od śmierci matki cała jego rodzina pogrążyła się w smutku, na który patrzyliśmy z bólem, i pozostawała obojętna na wsparcie ze strony swoich sąsiadów.

– Zatem sądzi pani, że śmierć pani M. wywołała zmianę charakteru jej syna?

– Całej rodziny – powiedziała.

Skinąłem głową.

– Powinien pan także wiedzieć, że John M. jest surowym mężczyzną, który... – ściszyła głos i przeniosła wzrok na podłogę, jakby wstydziła się tego, co zamierza powiedzieć – …który nie okazywał dzieciom zbyt wiele czułości.

Potem dodała jeszcze, że nie chciała powiedzieć o sąsiedzie nic złego, a ja zapewniłem ją o swej dyskrecji.

– Bardzo nam pani pomogła – powiedziałem. – Jak już wspomniałem, nasze motywy prowadzenia śledztwa są wyłącznie zawodowe – na chwilę

zamilkłem. – Ponieważ bez wątpienia jest pani światłą kobietą, chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie delikatniejszej natury. Czy nie ma pani nic przeciwko temu?

Pani Murchison zgodziła się.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – zacząłem – ale czy słyszała pani kiedykolwiek, by R.M. dopuścił się jakichś czynów nieprzyzwoitych?

Kobieta trochę się zaczerwieniła, co próbowała ukryć, dotykając dłonią twarzy. Podejrzewałem, że powodem tej reakcji nie było zawstydzenie. Raczej dotknąłem wrażliwej kwestii, o której wolałaby nie mówić. Najpierw próbowała uciec od tematu, pytając, jaki rodzaj czynów mam na myśli.

– Oczywistym jest, iż gdyby odpowiedź miała być przecząca, nie pytałaby pani o szczegóły. Proszę pamiętać, że jestem człowiekiem nauki i szczerość jest dla mnie istotniejsza niż pani wrodzona powściągliwość.

Pani Murchison odstawiła filiżankę i rozejrzała się wokół, by upewnić się, że córki jej nie słyszą. Przez całą następującą wypowiedź wbijała wzrok w klepisko pod naszymi nogami.

– Nasze córki, najstarsza ma piętnaście lat, śpią w izbie z tyłu domu – wskazała drzwi, które przypuszczalnie prowadziły do tego pomieszczenia. – Wiele razy mój mąż przyłapał R. pod ich oknem.

– W nocy?

– W nocy lub wczesnym rankiem.

– Czy on obserwował pani córki?

– Tak.

– Proszę wybaczyć mi niedelikatność, ale czy pani mąż przyłapywał chłopca w stanie pobudzenia seksualnego?

Rumieniec na policzkach dobrej damy wykwitł jeszcze żywiej.

– Czy wykonywał czyny onanistyczne?

Pani Murchison skinęła lekko, a potem spojrzała na mnie zawstydzona. Aby rozwiać jej zakłopotanie, spytałem serdecznym tonem, jakie działania podjął jej mąż. Odpowiedziała, że przegonił R. na cztery wiatry, co prawdopodobnie oznaczało solidne manto.

– Czy informowała pani kogoś o tych sytuacjach?

Pani Murchison potrząsnęła głową.

– Poinstruowaliśmy nasze córki, by nie zadawały się z R. i informowały nas, gdyby zachowywał się wobec nich niewłaściwie.

– Czy zachowywał się tak?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy ponawiał te wizyty? – spytałem.

– Przez jakiś czas – powiedziała – ale zdaje się, że przestał kilka miesięcy temu. Przypuszczam, że wyrósł z tych rzeczy.

Wyraziłem swój podziw dla miłosiernego opisu zachowania R.M. i jeszcze raz poprosiłem o wybaczenie poruszania tego tematu. Podziękowaliśmy za gościnę i spytaliśmy o wskazówki, które były pierwotnym celem naszej wizyty.

Zostawiliśmy konie uwiązane przed domem Murchisonów, a pozostałą część wioski przemierzyliśmy pieszo. Gospodarstwo M. z oddali wyglądało na najnędzniejsze w całej wiosce i przypominało raczej parującą stertę nawozu niż dom. Obejście było zaniedbane i zarośnięte. Przez otwarte drzwi zajrzeliśmy do izby. Po lewej stronie znajdowało się coś, co wyglądało jak waląca się obora. Boksy były puste, bez śladu zwierząt, lecz czuliśmy smród tak straszny, że mało kto uznałby to za miejsce, w którym mogliby mieszkać ludzie. W palenisku się nie paliło, a w izbie panował chłód i półmrok.

Pan Sinclair krzyknął kilka słów na powitanie, by poinformować gospodarzy o naszej obecności, ale nikt nie odpowiedział, toteż wszedł do pokoju i powtórzył powitanie w miejscowym dialekcie. Dwie kury wydziobujące jedzenie z błota przemknęły nam pod nogami. Coś poruszyło się po prawej stronie, a nasz wzrok przykuła postać siedząca w fotelu przy niewielkim otworze w ścianie.

– Pan M.? – spytał mój towarzysz.

Postać wstała z pewnym trudem i zrobiła krok lub dwa w naszą stronę, opierając się ciężko na sękatym kiju. Wymówiła kilka słów w języku, w jakim się do niej zwrócono.

Pan Sinclair odpowiedział, a mężczyzna zbliżył się o kolejne kilka kroków. Rzadko widywałem tak ponurych osobników rodzaju ludzkiego. Przygarbiony mierzył nie więcej niż pięć stóp. Brodę i włosy miał gęste i rozczochrane, odziany był w łachmany. Na moją sugestię pan Sinclair zapytał, czy moglibyśmy wyjść na zewnątrz, by przez parę minut porozmawiać. Mały człowieczek spojrzał na nas podejrzliwie i potrząsnął głową. Oświadczył, że jeśli chcemy z nim rozmawiać, możemy usiąść przy stole na środku izby. Usiedliśmy na ławach wokół stołu upstrzonego odchodami. Gdy moje oczy przywykły do mroku, przyjrzałem się bacznie panu M. Miał takie same ciężkie brwi i rozbiegane oczy jak jego syn. Jego dłonie, zajęte nabijaniem małej fajki, były duże, zakończone długimi, szponowatymi palcami, nieco spłaszczonymi na końcach. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że spał, gdy weszliśmy, a teraz próbuje strząsnąć z siebie swoje początkowe zmieszanie. Niemniej wyraz jego twarzy był nieufny, a może wręcz wrogi. Nie zaproponował nam żadnego poczęstunku, ale i tak nie chciałbym w tej brudnej chałupie zjeść choćby okruszka.

Pan Sinclair zapytał, czy możemy przejść na angielski i kontynuowaliśmy rozmowę w tym języku. Wówczas adwokat

w najprostszych słowach wyjaśnił istotę naszej misji. Uderzył mnie fakt, że pan M. w ogóle nie zapytał o zdrowie syna. Pan Sinclair zaczął wypytywać o najmłodszych potomków gospodarza. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że rodzina jego żony zabrała dzieci do Toscaig.

Wtedy pan Sinclair złożył gospodarzowi kondolencje z powodu śmierci córki.

Spojrzenie pana M. zastygło.

– Nie mam córki – odparł.

– Miałem na myśli pańską córkę, Jettę – powiedział pan Sinclair wyjaśniającym tonem.

– Taka osoba nie istnieje – wydusił chłop przez zaciśnięte usta.

Mój współpracownik miał dobre intencje, ale jego uwagi nie przyczyniły się do poprawy atmosfery wokół stołu.

– Zatem mieszka pan sam? – zapytałem.

Pan M. nie odrzekł nic, może całkiem słusznie uważając, że odpowiedź jest oczywista. Zapalił fajkę i rozdmuchał ją, by ogień zaczął się żarzyć, a jego oczy przez cały czas skakały z jednego nieproszonego gościa na drugiego.

– Panie M. – zacząłem – przebyliśmy sporą odległość, by z panem porozmawiać, i mam nadzieję, że będzie pan tak miły, by odpowiedzieć nam na kilka pytań dotyczących pańskiego syna. To ważne, ponieważ próbujemy zrozumieć, jaki był stan jego umysłu, gdy popełniał czyny, o które jest oskarżony.

Wyraz twarzy pana M. nie uległ żadnej zmianie, więc zacząłem zastanawiać się, czy zrozumiał cokolwiek z tego, co powiedziałem. Postanowiłem zadawać pytania w najprostszych możliwych słowach. Nie miałem wielkich nadziei na usłyszenie czegoś ciekawego, ale przynajmniej mogłem zapoznać się z podłymi warunkami życia R.M.

– Jestem pewien, że pamięta pan dzień, w którym zostały popełnione morderstwa? – urwałem, oczekując jakiegoś znaku potwierdzenia, ale nie otrzymawszy go, ciągnąłem dalej: – Czy mógłby pan opisać stan umysłu pańskiego syna tamtego poranka?

Pan M. głośno cmokał cybuch swojej fajki.

– Nie można widzieć, co dzieje się w umyśle drugiego człowieka, tak jak nie można zajrzeć do wnętrza kamienia – odparł w końcu.

Postanowiłem sformułować pytanie w sposób bardziej bezpośredni:

– Czy pański syn miał wesołe usposobienie? – spytałem. – Czy był radosnym chłopcem?

Chłop potrząsnął głową, przez co chciał, jak mniemam, wyrazić raczej brak opinii na ten temat, niż udzielić odpowiedzi przeczącej. Ale stworzyło to przynajmniej iluzję rozmowy i zachęciło mnie do dalszych pytań.

– Czy syn mówił panu o swoim zamiarze zabicia Lachlana Mackenziego? – spytałem.

– Nie.

– Czy podejrzewał pan, że planuje to zrobić?

Potrząsnął głową.

– Czy to prawda, że między panem a panem Mackenziem doszło do jakichś zatargów – nie ustępowałem.

– Nie nazwałbym tego zatargami – odrzekł.

– A jak by pan to nazwał?

Pan M. gapił się ma mnie przez kilka chwil.

– W ogóle bym tego nie nazywał.

– Ale jeśli nie nazwałby pan tego zatargami, musi pan nadać temu inną nazwę – powiedziałem.

– Dlaczego muszę? – spytał.

– Cóż – powiedziałem swoim najuprzejmiejszym tonem – jeśli chce pan o czymś rozmawiać, należy to jakoś nazwać.

– Ale ja nie chcę o tym rozmawiać. To pan chce o tym rozmawiać – odparł.

Po tej odpowiedzi nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Może nie był tak nierozgarnięty, jak początkowo sądziłem.

Wówczas pan Sinclair podjął własną próbę pokonania uporu tego starca.

– Czy miałbym rację, mówiąc, że pan Mackenzie rozpętał przeciw panu nagonkę?

– O to trzeba by zapytać pana Mackenziego – powiedział starzec.

Pan Sinclair spojrzał na mnie zrezygnowany.

Wtedy pan M. nachylił się ku nam nad stołem.

– Cokolwiek zrobił mój syn, nie można tego odwrócić. Nic, co moglibyśmy powiedzieć, nie ma żadnego znaczenia.

– Ależ, panie M., obawiam się, że jest pan w dużym błędzie – powiedział pan Sinclair poważnie. Wyjaśnił, że to, czy jego syn uniknie szubienicy, w bardzo dużym stopniu zależy od określenia stanu jego umysłu w czasie popełnienia zbrodni i właśnie dlatego, a nie z własnej ciekawości, przybyliśmy tu, by zadać mu te pytania.

Chłop wpatrywał się weń przez kilka chwil. Fajka wypaliła się, a on wysypał popiół na stół przed sobą i jął szperać w kapciuchu w poszukiwaniu resztek tytoniu. Wyjąłem swój własny kapciuch i popchnąłem na środek stołu.

– Proszę… – powiedziałem z zapraszającym gestem.

Wzrok pana M. przesunął się ze mnie na kapciuch, a potem znów na mnie. Mężczyzna bez wątpienia rozważał, w jakim stopniu stanie się moim

dłużnikiem, jeśli przyjmie podarek. Potem odłożył fajkę na stół i powiedział:

– Nie sądzę, bym mógł okazać się panom pomocny.

Odrzekłem, że już bardzo nam pomógł i poprosiłem o możliwość zadania kilku pytań dotyczących jego syna. Ponieważ nie zaprotestował, zapytałem, czy jego syn cierpiał na epilepsję, miał skłonności do gwałtownych wybuchów lub majaczenia i halucynacji, czy miał dziwne zwyczaje lub zachowania i czy w rodzinie pojawiały się jakieś choroby psychiczne. Na wszystkie te pytania chłop odpowiedział przecząco. Nie dawałem jednak wiary jego odpowiedziom, gdyż mimo podłych warunków, w jakich żył, prawdopodobnie wstydziłby się przyznać do istnienia takich zjawisk wśród jego krewnych.

Ponieważ nie widziałem sensu przedłużania rozmowy, wstałem i podziękowałem za gościnę. Pan M. również wstał. Opuścił wzrok na mój kapciuch z tytoniem, który pozostał na stole pomiędzy nami. Jego ręka wykonała gwałtowny ruch w jego stronę, po czym woreczek zniknął w kieszeni. Potem spojrzał na nas jak gdyby nigdy nic. Pożegnaliśmy się i z pewną ulgą wyszliśmy na nieskażone wiejskie powietrze.

Do koni wracaliśmy w milczeniu. Byłem świadomy, że trasa, którą przemierzamy, to trasa, którą dwa tygodnie temu podążał również R.M. tuż przed realizacją swych krwawych zamiarów. I zastanawiałem się, czy w słowach chłopa na temat poznania umysłu drugiego człowieka nie skrywała się jakaś niezamierzona mądrość. Oczywiście jeśli człowiek jest w pełni władz umysłowych, wystarczy go po prostu zapytać, i zakładając, że jego odpowiedzi są szczere, po prostu przyjąć do wiadomości to, o czym myśli w danym momencie. Problemy zaczynają się przy kontaktach z tymi, którzy żyją w granicach obłędu, i którzy niejako z definicji nie mają dostępu do swoich własnych umysłów. I właśnie psychiatria jest dyscypliną

powstałą po to, by zajrzeć w umysły tych nieszczęśników. Nie mam wątpliwości, że pan Sinclair chciał wiedzieć, co tkwi w *moim* umyśle, ale nie chcąc wyrażać pochopnych opinii, wciąż trzymam się dotychczasowego planu.

Gdy zbliżaliśmy się do skraju wioski, pomyślałem, że to miejsce byłoby rajem dla ludzi z ubogich dzielnic miejskich. Mogłoby się nim naprawdę stać, gdyby nie gnuśność i ignorancja tutejszych mieszkańców.

Kiedy dotarliśmy do koni, pan Sinclair wyraził pogląd, że mogłoby okazać się przydatne złożenie wizyty w domu pana Mackenziego, stojącym na przeciwnym końcu wioski. Nie widziałem powodu, by wypytywać rodzinę ofiary, ponieważ interesował mnie jedynie sprawca, ale pan Sinclair oznajmił, że zapoznanie się z miejscem zbrodni mogłoby pomóc mu na sali rozpraw.

Dom Mackenziech posiadał solidną konstrukcję i wyglądał na dobrze utrzymany. Tęga kobieta siedziała przed progiem, energicznie wyrabiając masło w wielkiej maślnicy. Gdy się zbliżyliśmy, podniosła wzrok znad swojej pracy. Miała rumianą cerę i gęste brązowe włosy, związane z tyłu głowy w kok. Jej przedramiona były szorstkie i muskularne, a chód i postawa dość męskie. Nie przejawiała jednak żadnych cech złego wychowania i zdawała się być zdrowym, choć nieatrakcyjnym przedstawicielem gatunku ludzkiego.

Pan Sinclair, upewniwszy się, że jest to wdowa po nieboszczyku, złożył kondolencje, a ja skłoniłem głowę na znak, że podzielam te uczucia. Następnie pan Sinclair poinformował ją, że prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa jej męża (rozsądnie uniknął wspominania naszej dokładnej roli) i spytał, czy może wejść na chwilę do środka, by *zaznajomić się z topografią domu.* Kobieta ruchem ręki wskazała, że możemy wejść, ale nie weszła z nami. Po drugiej stronie izby płonął ogień, co sprawiało, że

było dość gorąco. Stałem na progu, a pan Sinclair przeprowadzał pobieżne oględziny izby. Umeblowanie domu nie zdradzało aspiracji estetycznych, ale i tak niezwykle kontrastowało z budą, którą odwiedziliśmy przed chwilą. Pan Sinclair okrążył duży stół, przy którym bez wątpienia rodzina spożywała posiłki i podejrzewam, iż adwokat próbował zrekonstruować w myślach straszliwe wydarzenia, które się tu rozegrały. Dopiero gdy dotarł do odleglejszego końca stołu, jego wzrok przyciągnęła staruszka, która pomimo gorąca była zawinięta w koce i siedziała w fotelu przy ogniu. Adwokat natychmiast przeprosił za najście, ale kobieta nie odpowiedziała. Powtórzył przeprosiny w tutejszym języku, lecz wodniste oczy staruszki wciąż patrzyły przed siebie, a ja wywnioskowałem, iż kobieta była w zaawansowanym stadium demencji.

Wyszedłem na zewnątrz i pozwoliłem mojemu współpracownikowi dokończyć oględziny w samotności. Pani Mackenzie wciąż ubijała masło, jakby w ogóle nie dziwiło jej to, że w tym odciętym od świata miejscu zjawia się dwóch dżentelmenów. Przez parę minut przyglądałem się, jak wykonuje swą mozolną i monotonną pracę, i myślałem, jak niewiele różni ją od owcy na pastwisku. Jest wstydliwą prawdą, że niższe rody naszego kraju nadal żyją na poziomie niewiele wyższym niż zwierzęta, bez woli samodoskonalenia, dzięki której rozwinęły się nasze południowe regiony.

Pan Sinclair wyłonił się z domu z wilgotnym od potu czołem. Podziękował kobiecie, że pozwoliła mu wejść do środka, po czym wyraził podziw dla znoszenia przez nią trudów dnia w świetle wydarzeń, które niedawno miały miejsce. Pani Mackenzie spojrzała nań dość beznamiętnie.

– Wciąż są gęby do wyżywienia i plony do zebrania z pola, proszę pana – powiedziała.

Na tę bezsprzecznie prawdziwą odpowiedź pan Sinclair skinął głową, po czym opuściliśmy zarówno to obejście, jak i Culduie – miejsce, do

którego nigdy nie chciałbym powrócić. Dzień już za bardzo chylił się ku końcowi, by wyruszyć w podróż powrotną do Inverness, więc wróciliśmy do gospody w Applecross. Zaszyłem się w swoim pokoju, by sporządzić notatki i pomyśleć nad wnioskami z naszej wyprawy, podczas gdy mój współpracownik korzystał z gościnności na dole.

---

[11] Jednym z przedmiotów zainteresowania rozwijającej się antropologii kryminalnej była analiza aspektu dowodowego analogicznych cech fizjonomii przestępców, którzy nie mieli kontaktu ze sobą ani nie byli spokrewnieni.

[12] Rudolf Virchov (1821-1902) był niemieckim naukowcem nazywanym ojcem nowoczesnej patologii.

[13] James Cowles Prichard, *Traktat o szaleństwie i innych zaburzeniach umysłu*, 1835.

Rozprawa

Poniższa relacja powstała w oparciu o ówczesne reportaże prasowe oraz wolumin
Kompletne sprawozdanie z rozprawy Rodericka Johna Macrae
opublikowany przez Williama Kaya z Edynburga w październiku 1869 roku.

DZIEŃ PIERWSZY

Rozprawa została otwarta w Sądzie Okręgowym w Inverness w poniedziałek 6 września 1869 roku. O godzinie ósmej Roderick Macrae został przewieziony z więzienia Inverness do celi znajdującej się w piwnicy gmachu sądu. Przetransportowano go wozem bez okien w eskorcie policjantów na koniach, a obecność tego niewielkiego konwoju wywoływała na ulicach nie lada poruszenie. Według Johna Murdocha, relacjonującego sprawę dla „Inverness Courier", niektórzy przechodnie *wykrzykiwali obelżywe słowa, a inni rzucali w kierunku pojazdu tym, co akurat było pod ręką.* Zainteresowanie rozprawą było tak duże, że kilkaset osób zgromadziło się przed sądem, a przedsiębiorczy handlarze rozstawili stoiska, by odpowiednio zaopatrzyć tłum. Gdy nadjechał konwój, podniosła się wielka wrzawa, a członkowie eskorty nie byli w stanie odeprzeć naporu gawiedzi walącej pięściami w przód i boki kabiny. Wóz został zatrzymany, a wiele osób odniosło obrażenia, gdy policja rozganiała tłum pałkami. Pewna starsza kobieta, Mary Patterson, została stratowana i wymagała opieki medycznej. By zapewnić bezpieczny przejazd konwoju w kolejnych dniach, wzniesiono barierki i zwiększono liczbę policjantów.

W sali sądowej stworzono specjalne miejsce dla dużej liczby reporterów pragnących relacjonować rozprawę, a po wcześniejszych ustaleniach zostali oni wprowadzeni bocznym wejściem. Wstęp na galerię dla publiczności był możliwy wyłącznie za okazaniem przepustek, które, jak się później okazało, sprzedawano za znaczne kwoty pieniężne. O wpół do dziesiątej galeria dla publiczności była już wypełniona. Rozprawę prowadził Wysoki Sąd reprezentowany przez wiceprezesa Naczelnego Sądu Karnego – lorda

Ardmillana oraz lorda Jerviswoode'a. Stronę oskarżenia reprezentowali zastępcy prokuratora generalnego Urzędu Korony i Biura Prokuratury: pan Giford i pan William Crichton, a asystował im pan Gordon Frew, asystent Urzędu Korony. Obronę reprezentował Andrew Sinclair wspierany przez swego kolegę, Edwarda Smitha. Rozprawa zaczęła się od surowego ostrzeżenia osób znajdujących się na galerii dla publiczności. Nikt nie zostanie wpuszczony ani wypuszczony z sali sądowej podczas składania zeznań. Każdy, kto będzie zakłócać postępowanie, zostanie bezwarunkowo usunięty z sali, bezpowrotnie tracąc przepustkę.

Następnie wiceprezes Naczelnego Sądu Karnego zwrócił się do adwokata. Poinformował, że jest świadom istnienia „tak zwanego pamiętnika" spisanego przez więźnia. Ponieważ sposób powstania tegoż dokumentu nie spełnia wymogów prawnych i zawiera treści, których użycie przez obronę mogłoby być sprzeczne z wolą więźnia, *ani dokument, ani jakikolwiek jego fragment* nie zostały dopuszczone do przewodu sądowego. Potem wiceprezes surowo odradził obu stronom jakiekolwiek nawiązywanie do dokumentu w trakcie przesłuchań świadków. By zapobiec ewentualnym próbom wpłynięcia na ławę przysięgłych, sędzia oświadczył, iż sprawa zostanie rozstrzygnięta na podstawie dowodów zatwierdzonych przez sąd i tylko takich. Ani zastępca prokuratora generalnego, ani adwokat nie wnieśli wobec postanowienia zastrzeżeń.

Pięć minut po godzinie dziesiątej pośród *wielkiego rwetesu, którego nie zdołały poskromić nawet wielokrotne stuknięcia młotka sędziowskiego,* więzień został wprowadzony na ławę oskarżonych. James Philby, relacjonujący proces dla „Te Times", tak opisał ten moment:

Ci, którzy spodziewali się ujrzeć potwora, byli niezmiernie zawiedzeni. Gdy początkowy zgiełk ucichł, najczęściej powtarzaną uwagą było stwierdzenie, że więzień jest jeszcze chłopcem. I prawdę mówiąc, był to jego

najtrafniejszy opis. Nikt nie mógłby podejrzewać Rodericka Macrae o morderstwa i z pewnością nie wyglądał on na zdolnego do popełnienia okrutnych czynów, o które go oskarżono. Był niski, choć dobrze zbudowany w ramionach i klatce piersiowej. Włosy miał rozczochrane, a cerę bladą, bez wątpienia z powodu wielu tygodni spędzonych w celi. Kiedy wszedł na salę, jego ciemne oczy rozglądały się spod krzaczastych brwi, ale sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego i nie zareagował na wrzawę dochodzącą z galerii dla publiczności. Jego adwokat, pan Andrew Sinclair, stał przy ławie oskarżonych i pouczył go, by zajął miejsce, a oskarżony usłuchał, przyjmując postawę pełną szacunku, z rękami na kolanach i pochyloną głową. Tę pozycję zachował do końca procesu.

Wówczas Sędzia odczytał akt oskarżenia:

Rodricku Johnie Macrae, obecnie lub niedawno rolniku z Culduie w hrabstwie Ross, przebywający teraz w więzieniu Inverness, jesteś podejrzany i oskarżony na wniosek wielmożnego mecenasa Jamesa Moncrieffa, Prokuratora Jej Królewskiej Mości, o to, że pomimo iż w naszym i w każdym innym należycie zarządzanym królestwie morderstwo jest surowo karaną zbrodnią haniebnej natury, ty, wspomniany Rodericku Johnie Macrae, prawdziwie i bez wątpliwości jesteś winny udziału lub współudziału w następujących czynach: rankiem 10 sierpnia 1869 roku w domu należącym do Lachlana Mackenziego w Culduie w hrabstwie Ross w sposób okrutny i zbrodniczy napadłeś wspomnianego Lachlana Mackenziego i zadałeś motyką oraz szpadlem o trzech ostrzach temuż Lachlanowi Mackenziemu kilka ciosów w klatkę piersiową, twarz i głowę, wskutek czego rozłupałeś jego czaszkę. Zadane przez ciebie ciosy były śmiertelne, pokrzywdzony natychmiast zmarł, a ty, wspomniany Rodericku Johnie Macrae, popełniłeś morderstwo.

Sąd odczytał także równie szczegółowy akt oskarżenia dotyczący napaści na Florę i Donalda Mackenziech.

Następnie sędzia nakazał więźniowi wstać i zwrócił się do niego:

– Rodericku Johnie Macrae, jesteś oskarżony o przedstawione ci zbrodnie. Odpowiedz: jesteś winny czy niewinny?

Roddy stał z rękami zwieszonymi po bokach, a po spojrzeniu na swojego adwokata odrzekł wyraźnym, ale cichym głosem:

– Jestem niewinny, wysoki sądzie.

Po tych słowach usiadł, a Andrew Sinclair podniósł się, by złożyć wniosek o uniewinnienie z powodu niepoczytalności. Sekretarz sądu odczytał, co następuje: Wnoszę o uniewinnienie. Swój wniosek uzasadniam niepoczytalnością oskarżonego w chwili popełnienia przestępstw, o które został oskarżony.

Pan Philby napisał: *Jak na młodzieńca, który nigdy przedtem nie miał odwagi oddalić się od swojej wioski na więcej niż kilka mil, oskarżony nie sprawia wrażenia nadmiernie zaniepokojonego grupą uczonych twarzy, bacznie mu się przyglądających. Czy zachowuje się tak wskutek wspomnianego przez obronę szaleństwa, czy może tylko dzięki zimnej krwi – to trudno w tym momencie ocenić.*

Wówczas została powołana ława przysięgłych złożona z piętnastu mężczyzn. Sędzia pouczył przysięgłych, że powinni zapomnieć o wszystkim, co dotychczas przeczytali lub usłyszeli o sprawie, i przypomniał im o obowiązku kierowania się wyłącznie dowodami przedstawionymi na sali sądowej. Następnie zapytał przysięgłych, czy posiadają jakąkolwiek opinię na temat sprawy lub mogą sprzyjać którejś ze stron procesu. Przysięgli odrzekli, że nie, i o wpół do jedenastej rozprawa została rozpoczęta.

Pierwszym wezwanym świadkiem był doktor Charles MacLennan, który wykonał sekcję zwłok ofiar. Doktor ubrany był w tweedowy garnitur i żółtą kamizelkę, a olbrzymie zwisające wąsy dodawały mu stosownej powagi. Nie zdarzało się często, by wiejski lekarz był wzywany do tak poważnych rozpraw, więc świadek czuł podenerwowanie, wchodząc na ławę dla świadków. Gdy zaczął zeznawać, jak napisał pan Murdoch dla „Couriera", *ekscytacja galerii szybko minęła i na sali zapanował nastrój podniosłej powagi.* Pan Giford poprosił doktora MacLennana o szczegółowy opis obrażeń odniesionych przez każdą z trzech ofiar. Wypowiedź świadka trwała około trzydziestu minut. Kiedy zakończył przemowę, pokazano mu dowód nr 1 i nr 2: motykę i szpadel. Widok narzędzi zbrodni wywołał poruszenie na galerii. Ostrza szpadla były wyraźnie skrzywione, co miało świadczyć o *wielkiej sile zadawanych ciosów.*

Wówczas zastępca prokuratora generalnego zapytał świadka:

– Czy kiedykolwiek wcześniej widział pan te przedmioty?

Dr MacLennan: – Tak, sir.

– Czy może nam pan powiedzieć, co to jest?

– To motyka i szpadel.

– A do czego zazwyczaj się ich używa?

– Do użyźniania gruntu lub, inaczej mówiąc, do uprawiania roli.

Pan Giford, mężczyzna wysoki i wytworny, nienagannie odziany w czarny garnitur, zrobił znaczącą pauzę, by swemu kolejnemu pytaniu nadać należytej wagi.

– A czy w pańskiej opinii, przy uwzględnieniu szczegółowych oględzin zwłok wszystkich trzech ofiar, sądzi pan, że śmiertelne ciosy mogły zostać zadane za pomocą tych oto narzędzi?

– Bez najmniejszej wątpliwości – odrzekł doktor. – Pod warunkiem, że użyto ich z wystarczającą siłą.

Pan Giford poważnie skinął głową.

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie – powiedział. – Jak scharakteryzowałby pan rany ofiar, mam na myśli porównanie ich z innymi przypadkami, z którymi miał pan do czynienia w swej karierze zawodowej.

Doktor MacLennan szybko wypuścił powietrze, jakby odpowiedź była oczywista.

– Bez wątpienia były to najbrutalniejsze rany, jakie kiedykolwiek miałem nieszczęście zobaczyć – powiedział.

Wtedy Pan Giford oświadczył, że nie ma do świadka więcej pytań. Jeśli zamiarem pana Giforda było przekonanie przysięgłych o powadze sprawy, z jaką mają do czynienia, udało mu się to doskonale. Jak odnotowano, po tym pierwszym przesłuchaniu kilku z nich wyraźnie pobladło.

Pan Sinclair nie miał pytań do lekarza i świadek został zwolniony. Roddy słuchał zeznań z uwagą, ale nie okazywał żadnych emocji, *jak gdyby* – napisał pan Philby – *był jedynie postronnym widzem.*

Kolejnym świadkiem była Carmina Murchison. Miała na sobie zieloną taftową suknię, w której - jak napisał „Te Scotsman" – *w salonach na George Street nie odstawałaby wyglądem od miejskich dam.* Żadna gazeta nie omieszkała wspomnieć o uderzającej urodzie pani Murchison, a pan Philby stwierdził wręcz, iż żaden przysięgły, któremu krew krążyła w żyłach, nie mógł wątpić w słowa padające z takich ust.

Wprowadzona przez pana Giforda pani Murchison opowiedziała, jak spotkała Rodericka Macrae rankiem 10 sierpnia i zamieniła z nim kilka słów, gdy mijał jej dom. Naszkicowano mapę Culduie i wystawiono ją na

sztalugach w sali rozpraw, a pani Murchison wskazała położenie swojego domu, domu oskarżonego oraz domu Lachlana Mackenziego.

– Czy uznała pani – spytał pan Giford – że oskarżony znajduje się w stanie wzburzenia?

– Nie, sir.

– Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego lub zaniepokojonego?

– Nie.

– Czy uwierzyła mu pani, gdy powiedział, że idzie użyźniać pole w posiadłości pana Mackenziego?

– Nie miałam powodów, by mu nie wierzyć.

– Czy niósł w tym celu jakieś narzędzia?

– Tak.

Wówczas pokazano pani Murchison dowód nr 1 i 2. Na ich widok zakryła oczy i narzędzia zbrodni szybko wyniesiono.

Szarmancki pan Giford przeprosił ją lekkim ukłonem, po czym zapytał:

– Czy to te narzędzia niósł więzień?

Pani Murchison:

– Tak.

– I są to normalne narzędzia do wykonywania wspomnianej pracy?

– Tak.

– Ale nie jest to typowa pora do kopania gruntu, prawda?

– Nie do kopania w celu sadzenia roślin.

– Ale nie podejrzewała pani, że to może nie być prawdziwy cel więźnia?

– Ostatnimi czasy Roddy wykonywał dla Lachlana Beczki różne prace.

Sąd: – Czy Lachlan Beczka to nazwisko, pod którym pan Mackenzie był znany w okolicy?

– Tak, wysoki sądzie.

Pan Giford: – Dlaczego więzień wykonywał pracę dla ofiary?

Pani Murchison: – By spłacić dług, jaki miał ojciec Roddy'ego wobec pana Mackenziego.

– A jakiego rodzaju był ten dług?

– Odszkodowanie za owcę, którą zabił Roddy.

– Owcę należącą do pana Mackenziego?

– Tak.

– Ile wynosił ów dług?

– Trzydzieści pięć szylingów.

– A pan Macrae, ojciec oskarżonego, nie był w stanie spłacić tej kwoty?

– Tak sądzę.

– Zatem zamiast spłaty więzień pracował dla pana Mackenziego?

– Tak.

– I dlatego w treści rozmowy z oskarżonym nie widziała pani nic dziwnego?

– Tak.

– Niczego, co mogłoby ostrzec przed późniejszymi wydarzeniami?

– Dokładnie tak.

Następnie pani Murchison opowiedziała, jak po pewnym czasie – oceniła, że było to pół godziny – ujrzała Rodericka Macrae wracającego przez wioskę, zbroczonego krwią od stóp do głów. Myśląc, że miał jakiś wypadek, pobiegła mu pomóc. Gdy spytała, co się stało, odparł, że zabił Lachlana Mackenziego. Nie wspomniał o innych ofiarach. Pani Murchison opisała również reakcję mieszkańców wioski oraz zamknięcie Rodericka Macrae w stodole Murchisonów.

Pan Giford: – Jak opisałaby pani zachowanie oskarżonego w tamtej chwili, pani Murchison?

– Był dość spokojny.

– Czy usiłował zbiec?

– Nie.

– Czy stawiał opór pani mężowi lub innym mężczyznom, którzy zamykali go w stodole?

– Nie.

– Czy wyraził skruchę za to, co zrobił?

– Nie.

Pan Giford wrócił do kwestii motywu.

– Jak opisałaby pani relacje między panem Mackenziem a oskarżonym?

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– Czy byli przyjaciółmi?

– Tak bym tego nie nazwała.

– To może wrogami?

Pani Murchison nie odpowiedziała na to pytanie.

Pan Giford wyraził pewne zaskoczenie, że w wiosce, w której żyje zaledwie pięćdziesiąt pięć dusz, relacje między dwoma mieszkańcami mogły być nieznane.

Pani Murchison: – Nigdy nie słyszałam, żeby Roddy wyrażał się źle o Lachlanie Beczce.

– Nie była pani świadoma konfliktu między panem Mackenziem a rodziną Macrae?

– Byłam świadoma pewnych zatargów między nimi.

– W czym tkwiła istota tych zatargów?

– W zabiciu owcy.

– W czymś jeszcze?

– Była jeszcze kwestia zmiany przydziału gruntów.

Wtedy pan Giford poprosił panią Murchison, by o tym opowiedziała.

– Jako wioskowy konstabl pan Mackenzie przydzielił część pola pana Macrae jego sąsiadowi, panu Gregorowi.

– Czy mówi pani o Johnie Macrae, ojcu oskarżonego?

– Tak.

– Z jakich powodów został zmieniony dotychczasowy podział gruntów?

– Żona pana Macrae zmarła, a pan Mackenzie uznał, że skoro rodzina się zmniejszyła, potrzebuje mniej ziemi.

– Czy pan Macrae uznał to za niesprawiedliwe?

– Tak.

– Zatem była kwestia zabicia owcy i kwestia przydziału ziemi. Czy coś jeszcze?

– Trudno powiedzieć.

– Trudno powiedzieć, ponieważ pani nie wie, czy dlatego, że nie umie pani tego wyrazić?

Pani Murchison milczała przez dłuższą chwilę, dopóki nie ponaglił jej sędzia.

– Panowała ogólna atmosfera ucisku – powiedziała w końcu. – Pan Mackenzie często zachowywał się despotycznie, szczególnie wobec pana Macrae.

– Rozumiem. Może jeśli ma pani trudności z wyjaśnieniem relacji między panem Mackenziem a oskarżonym, mogłaby nam pani powiedzieć, jaka jest pani opinia na temat ofiary?

– Nie lubiłam go.

– Proszę nam opowiedzieć, dlaczego go pani nie lubiła.

– Był tyranem.

– Tyranem?

– Tak.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Czerpał przyjemność ze sprawowania władzy nad ludźmi, szczególnie nad panem Macrae i jego rodziną.

– Dręczył ich?

– Tak bym to określiła.

Na tym pan Giford zakończył swoje wypytywanie, a pan Sinclair wstał, początkowo sprawiając wrażenie dość speszonego. *Udział w tak głośnej sprawie musi być dla prowincjonalnego adwokata nie lada przeżyciem. A może po prostu olśniła go czarująca kobieta siedząca na ławie dla świadków* – napisał pan Philby. Tak czy inaczej, po kilku grzecznościowych pytaniach o samopoczucie, pan Sinclair rozpoczął przesłuchanie.

– Od jak dawna mieszka pani w Culduie, pani Murchison?

– Od osiemnastu lat. Od zamążpójścia.

– A więc zna pani oskarżonego przez całe jego życie?

– Tak.

– Jak opisałaby pani swoje relacje z nim?

– Były całkowicie normalne.

– Utrzymywaliście przyjazne stosunki?

– Tak.

– Czy zanim doszło do czynów, o które jest obecnie oskarżony, widziała pani kiedykolwiek, by stosował przemoc?

– Nie.

– A czy miała pani dobre relacje z jego rodziną?

– Ogólnie tak.

– Ogólnie?

– Tak.

– Mogłaby pani powiedzieć na ten temat coś więcej?

– Byłam bardzo blisko z Uną Macrae.

– Z matką oskarżonego?

– Tak.

– A z jego ojcem?

– Mniej.

– Czy istniał jakiś powód?

– Nie mieliśmy złych relacji, po prostu nie łączyła nas tak mocna więź.

– Ale nie było ku temu szczególnych powodów?

– Nie.

– Zatem była pani w bliskich stosunkach z matką oskarżonego?

– Tak. Byłyśmy sobie bardzo bliskie.

– Kiedy zmarła?

– Wiosną zeszłego roku.

– To musiało być bardzo trudne przeżycie.

– Było straszne.

– Dla pani?

– Dla mnie i dla jej dzieci.

– Jaki wpływ miała według pani śmierć pani Macrae na jej dzieci?

– Całkowicie się zmieniły.

– Jak to?

– Jetta…

– Siostra oskarżonego?

– Tak. Stała się ponura i zaczęła interesować się czarami i sprawami nie z tego świata.

– Zabobonami?

– Tak.

– A oskarżony?

– Wyglądał, jakby zamykał się w sobie.

– Czy może pani wytłumaczyć, co pani przez to rozumie?

Pani Murchison spojrzała w kierunku sędziego, jakby szukała jakiegoś wsparcia. Sędzia wskazał gestem ręki, by kontynuowała.

– Nie jestem pewna, czy potrafię to odpowiednio wytłumaczyć – powiedziała. – Czasami wydawało mi się, że Roddy sprawiał wrażenie całkowicie odciętego od świata.

– Całkowicie odciętego od świata – powtórzył pan Sinclair wymownie. – I ta zmiana – kontynuował – zaszła po śmierci jego matki?

– Tak sądzę.

– Czy zaobserwowała pani u oskarżonego jakieś oznaki obłędu?

– Nie wiem, czy to oznaka obłędu, ale zdarzało się, że mówił sam do siebie.

– W jakim sensie?

– Jakby rozmawiał ze sobą albo z kimś niewidzialnym.

– Kiedy to pani widziała?

– Często, na przykład gdy pracował na polu albo szedł przez wioskę.

– A jaka była treść tych rozmów?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Gdybym podeszła bliżej, zamilkłby. – Czy kiedykolwiek słyszała pani, żeby bredził lub zachowywał się, jakby miał jakieś urojenia?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek słyszała pani, by stwarzał zagrożenie dla siebie lub innych?

– Nie.

– Nie miała pani wrażenia, że jest niebezpieczny?

– Nie.

– Czy w wiosce był uważany za niebezpiecznego?

– Nie sądzę.

– Zatem dla pani było zaskoczeniem, iż dokonał zbrodni, która sprowadziła nas dzisiaj do tej sali sądowej?

– Mój Boże, oczywiście, to okropny szok – odrzekła pani Murchison.

– Czyli te czyny są do oskarżonego zupełnie niepodobne?

– Tak, właśnie tak bym to ujęła.

Wówczas pan Sinclair podziękował świadkowi i zakończył przesłuchanie. Zanim Carmina Dym zeszła z mównicy, zastępca prokuratora generalnego wstał po raz drugi.

– Chciałbym wyjaśnić jedną rzecz – zaczął. – Czy tego ranka, kiedy doszło do morderstw, widziała pani oskarżonego pogrążonego w rozmowie ze sobą?

– Nie, sir.

– A czy gdy rozmawiała pani z nim, zdawał się być całkowicie przytomny?

– W pełni przytomny, tak.

– Nie wyglądał jakby był, a jest to kwestia najwyższej wagi, pozbawiony zmysłów?

– Nie sądzę.

– Proszę wybaczyć, pani Murchison, ale to nie jest kwestia sądzenia. Albo wyglądał, albo nie wyglądał.

W tym momencie interweniował sąd, oznajmiając, że świadek odpowiada na pytanie w sposób zadowalający i w kompetencjach

oskarżyciela nie leży zmuszanie świadków do udzielania takich odpowiedzi, jakie życzyłby sobie usłyszeć. Pan Giford przeprosił sędziego, a przesłuchanie zostało zakończone. Kroki pani Murchison, jak odnotował pan Philby, śledził baczny wzrok dżentelmenów z ławy przysięgłych.

Następnie wezwano na świadka Kenny'ego Dyma. Przesłuchiwany przez pana Giforda pan Murchison opisał zdarzenia z poranka 10 sierpnia. Potwierdził, że oskarżony zachował wówczas całkowity spokój, otwarcie przyznał się do czynów i nie stawiał oporu ani nie próbował uciekać.

Pan Giford poprosił, aby świadek opisał to, co zastał w domu Lachlana Mackenziego. Wtedy, według relacji pana Murdocha, atmosfera na sali sądowej stała się bardzo posępna: *Pan Murchison, człowiek pełen wigoru i krzepy, musiał się wyraźnie przemagać, by opowiedzieć o koszmarze, który wówczas ujrzał, i należy go pochwalić za rzeczowy opis, który przedstawił sądowi.*

– Ciało Lachlana Mackenziego – zeznał pan Murchison – zastałem na klepisku twarzą do ziemi, trochę na lewo od drzwi. Potylica była całkowicie zmiażdżona, a kawałki czaszki leżały rozrzucone wokół ciała. Mózg wypłynął z boku głowy. Twarz leżała w wielkiej kałuży krwi. Ująłem przegub, by sprawdzić puls, ale nie wyczułem go.

Pan Giford: – Czy ciało było ciepłe?

– Tak, dość ciepłe.

– Co działo się potem?

– Wstałem i wtedy ujrzałem chłopca leżącego na podłodze między drzwiami a oknem. Podszedłem do niego. Nie widziałem żadnych obrażeń, ale był martwy.

– Czy ciało było ciepłe?

– Tak.

– A potem?

– Ujrzałem ciało Flory Mackenzie ułożone na stole.

– Mówi pan *ułożone*. Czy miał pan wrażenie, że zostało tam umieszczone celowo?

– Nie wyglądało, jakby tak upadło.

– Dlaczego pan tak twierdzi?

Tu pan Murchison zawahał się przez chwilę.

– To nie była naturalna pozycja. Stopy nie dotykały ziemi i pomyślałem, że ktoś musiał podnieść ciało i położyć na stole.

– Jeśli jest pan w stanie to zrobić, proszę opisać, co jeszcze pan widział.

– Dużo krwi. Spódnice były podwinięte, a intymne części ciała okaleczone. Sprawdziłem, czy są jakieś oznaki życia, ale nie znalazłem ich. Wtedy zauważyłem, że potylica jest otwarta. Opuściłem spódnice, by zakryć nagość.

– Co zrobił pan potem?

– Podszedłem do drzwi, chcąc zapobiec temu, by zobaczył je ktoś jeszcze.

Następnie pan Murchison opisał, jak przenosił ciała do stodoły oraz jak podczas tych czynności dostrzegł w mroku z tyłu pokoju matkę zmarłego – Catherine Mackenzie. Zabrał ją do swego domu, była *całkowicie nieobecna*. Zaopiekowała się nią żona pana Murchisona.

Wówczas pan Giford przeszedł do motywów zbrodni. Kenneth Murchison opisał spotkanie, podczas którego ustalono odszkodowanie za zabicie owcy Lachlana Mackenziego.

Pan Giford: – Czy to była kwota trzydziestu pięciu szylingów?

Pan Murchison: – Tak.

– Dlaczego ustalono akurat taką kwotę?

– Bo była to cena, za jaką zwierzę zostałoby sprzedane na targu.

– Czy to pan Mackenzie zażądał tej sumy?

– Została ona zaproponowana przez Caluma Finlaysona, który pełnił wówczas funkcję konstabla naszych wiosek.

– Czy pan Mackenzie przystał na tę propozycję?

– Tak.

– Pan Macrae, ojciec oskarżonego, również?

– Tak.

– A czy pan Mackenzie zażądał, aby ta suma została spłacona natychmiast?

– Nie.

– Jak zatem miało zostać spłacone odszkodowanie?

– Ustalono, że kwota zostanie spłacona w ratach wynoszących jednego szylinga tygodniowo.

– Przez wzgląd na trudną sytuację finansową rodziny Macrae?

– Tak.

– A czy pan Macrae wypełniał swoje obowiązki wynikające z ustaleń?

– Myślę, że próbował, ale możliwe, że nie płacił w terminie.

Sąd: – Czy wie pan, czy ta kwota została spłacona?

– Nie wiem, ale wiem, że pan Macrae nie miał wysokich dochodów i że te płatności komplikowały jego sytuację.

Pan Giford kontynuował: – Ale sprawa została rozwiązana polubownie?

– Tak bym tego nie nazwał.

– Ale zeznał pan, że zarówno pan Macrae, jak i pan Mackenzie zaakceptowali propozycję konstabla.

– Zaakceptowali, owszem, ale Lachlan Beczka powiedział otwarcie, że nie jest z tego rozwiązania zadowolony.

– Jak to?

– Uważał, że chłopiec powinien otrzymać jakąś dodatkową karę.

– „Chłopiec" to znaczy oskarżony?

– Tak.

– A czy zaproponował jakiś rodzaj kary?

– Nie pamiętam, ale wiem, że powiedział, że chciałby zobaczyć, jak ktoś wymierza chłopcu porządną karę.

– Nawet mimo tego, że ustalone wynagrodzenie zostało zaakceptowane przez obie strony?

– Tak.

Pan Giford zamilkł i uniósł pytająco brwi, ale świadek nie dodał żadnego wyjaśnienia.

– Czy jest prawdą, że pan Mackenzie i pan Macrae nie byli najlepszymi przyjaciółmi?

– Tak, jest to prawdą.

– A czy wrogość między nimi, jeśli mogę tak to ująć, istniała już przed zdarzeniem z owcą?

– Tak.

– Skąd się wzięła?

Pan Murchison rozłożył ręce.

– Nie wiem – wypuścił powietrze z policzków i wydał *westchnienie zakłopotania*. – Pan Macrae żył na swoim końcu wioski, a pan Mackenzie na swoim.

Pan Giford zdawał się być zadowolony, że świadek nie zamierza się nad tym rozwodzić.

– Lecz osiągnięto porozumienie, na mocy którego pan Macrae miał dług wobec pana Mackenziego? – spytał.

– Tak.

Następnie pan Giford zapytał świadka o sposób wyboru Lachlana Beczki na stanowisko wioskowego konstabla.

Pan Giford: – Czy byłoby prawdą, gdybyśmy powiedzieli, że ta funkcja nie cieszy się w pańskich okolicach szczególną popularnością?

Pan Murchison: – W jakim sensie?

– W takim, że raczej nikt o nią nie zabiega.

– Powiedziałbym, że tak.

– Zatem musiał pan być zadowolony, że pan Mackenzie przyjął to brzemię na siebie?

Pan Murchison nie odpowiedział.

Pan Giford: – Nie był pan zadowolony?

– Nie byłem ani zadowolony, ani niezadowolony.

– Ale czy nie jest prawdą, że wraz z kilkoma mieszkańcami poczynił pan starania, by znaleźć kandydata na przeciwnika pana Mackenziego?

– Pewne starania zostały poczynione.

– Co pana do tego skłoniło?

– Wydawało mi się niewłaściwe, by pan Mackenzie został wybrany bez kontrkandydata.

– Czy to był jedyny powód?

Przez kilka chwil Kenny Dym wahał się, po czym odrzekł:

– Istniało przekonanie, że pan Mackenzie użyje władzy do celów osobistych.

– Ma pan na myśli władzę wioskowego konstabla?

– Tak.

– Czy rzeczywiście tak postąpił?

– Do pewnego stopnia.

– Do jakiego stopnia?

– Czerpał ze swojej władzy przyjemność.

– Czy może pan być bardziej konkretny?

– Sporządził schemat robót, według którego członkowie społeczności byli zobowiązani do pracy przez określoną ilość dni.

– Jakie dokładnie prace zawierał ów schemat?

– Naprawę dróg i drenażu wokół wiosek.

– Czy te schematy, jak to pan ujął, służyły interesom konstabla?

– Niezupełnie.

– Niezupełnie?

Pan Murchison nie odpowiedział.

Pan Giford kontynuował:

– Czy te naprawy miały na celu ogólne dobro społeczności?

– Ogólne dobro, owszem.

– Zatem pan Mackenzie sporządził schemat napraw na rzecz społeczności, a jej członkowie pracowali według tego schematu?

– Tak.

– I opisuje pan to jako realizację własnych interesów pana Mackenziego! – w tym momencie pan Giford skierował się ku przysięgłym z wyrazem zdziwienia. – A teraz, jeśli pan pozwoli – kontynuował – chciałbym wrócić do innego zdarzenia. Czy jest prawdą, że w pańskiej wiosce jest niedobór gruntów uprawnych? – Nie jest ich dużo.

– W jaki sposób są one przydzielane?

– Każda rodzina ma swój pas ziemi.

– Każda rodzina ma swój pas ziemi – powtórzył pan Giford. – Pas będący częścią dostępnych gruntów.

– Tak.

– A czy ta ziemia jest przydzielana na rok, na pięć lat, czy na jak długo?

– W praktyce każda rodzina użytkuje ziemię, która leży między jej domem a drogą do Toscaig.

– I korzysta z niej, jakby była jej własnością?

– Tak.

– Zatem w praktyce każdy pas ziemi należał do budynku, do którego przylegał?

– W praktyce tak.

– Bez względu na liczbę domowników czy strukturę rodziny.

– Ogólnie rzecz biorąc tak.

– Wkrótce po wyborze pana Mackenziego na stanowisko konstabla przydział części ziemi uprawnej w Culduie uległ zmianie, czy to prawda?

– Tak.

– Czy mógłby pan to opisać?

– Część ziemi pana Macrae została przekazana jego sąsiadowi, panu Gregorowi.

– Dlaczego?

– W domu pana Gregora było więcej osób niż w domu pana Macrae, więc stwierdzono, że potrzebują więcej ziemi.

– Rozumiem. A z ilu osób składała się rodzina pana Macrae?

– Z pięciu, w tym z dwójki małych dzieci.

– Czyli z pana Johna Macrae, oskarżonego, jego siostry i dwojga młodszych dzieci w wieku trzech lat?

– Tak.

– A rodzina pana Gregora?

– Z ośmiu.

– A dokładniej?

– Z pana Gregora, jego żony, matki pana Gregora oraz pięciorga dzieci.

– Zatem potrzebowali więcej ziemi niż rodzina Macrae?

– Tak, ale…

– Czy pan Mackenzie osobiście czerpał korzyści z takiego podziału ziemi?

– Nie.

– Czyli zmiana podziału gruntu z uwagi na większe zapotrzebowanie rodziny Gregor była uczciwa?

– Może pan to nazwać uczciwym.

– Pytam, czy pan nazwałby to uczciwym, panie Murchison.

Świadek przeciągnął dłońmi po wąsach i spojrzał na salę rozpraw, po czym odpowiedział:

– To było nie w porządku.

– Ale zeznał pan, że zapotrzebowanie rodziny Gregor na ziemię było większe niż rodziny Macrae.

– Mogło to być uczciwe w świetle prawa – powiedział pan Murchison, coraz bardziej zirytowany – ale to nie wszystko. Pola nie są dzielone w ten sposób. Każda rodzina użytkuje swój kawałek ziemi i on przechodzi z pokolenia na pokolenie.

– Rozumiem. Zatem postępowanie pana Mackenziego było bezprecedensowe?

– Było mściwe.

– Ach! – powiedział pan Giford, jakby w końcu udało mu się dotrzeć do sedna sprawy. – „Mściwość" to mocne słowo, panie Murchison. Zatem pan Mackenzie był postrzegany raczej jako osoba prowadząca pewien rodzaj zemsty na panu Macrae niż osoba używająca swojej władzy dla ogólnego dobra?

– Zgadza się.

Pan Giford obrzucił przysięgłych wymownym spojrzeniem, po czym podziękował świadkowi i zakończył przesłuchanie. „Te Scotsman" odnotował, że pan Murchison *wydał się miłym człowiekiem, ale jego zaskakująca opinia, iż ziemia powinna być przydzielana raczej ze względu na tradycję niż użyteczność, stanowiła jeszcze jeden przykład tego, jak nieustępliwość ludności wyżynnej doprowadza ją do upadku.*

Wówczas wstał pan Sinclair.

– Od jak dawna zna pan oskarżonego?

Pan Murchison: – Od kiedy się urodził.

– A jak scharakteryzowałby pan swoją relację z nim?

– Darzę go dużą sympatią.

– Czy określiłby go pan mianem ograniczonego umysłowo?

– Ograniczonego? Nie.

– Zatem jak by pan go opisał?

Pan Murchison westchnął i spojrzał na Roddy'ego, który odwzajemnił jego spojrzenie z nikłym uśmiechem.

– Cóż, nie ma wątpliwości, że ma głowę na karku. To bystry chłopak, ale…

– Tak, panie Murchison?

Świadek spojrzał na sufit, jakby szukał właściwych słów. Potrząsnął głową, po czym dodał:

– Zwariowany.

– Zwariowany? – powtórzył pan Sinclair. – Czy mógłby pan wyjaśnić, co pan przez to rozumie?

Pan Murchison znów zdawał się mieć trudności z wyrażeniem swoich myśli.

– Czasem jakby żył we własnym świecie. Zawsze był samotnikiem. Nigdy nie widziałem, żeby bawił się z innymi dziećmi. Mógł być wśród ludzi, ale i tak zachowywał się tak, jakby był sam. Nigdy nie było wiadomo, co dzieje się w jego głowie.

– I zawsze taki był?

– Tak sądzę.

Pan Sinclair na chwilę zamilkł, po czym zadał następne pytanie.

– Czy kiedykolwiek zaobserwował pan, by oskarżony rozmawiał sam ze sobą albo wyglądał, jakby rozmawiał z kimś nieobecnym?

Pan Murchison skinął głową.

– Tak, od czasu do czasu widziałem, jak mruczy coś pod nosem.

– Często?

– Nierzadko.

W tym momencie zainterweniował sędzia:

– Nierzadko to znaczy jak często?

– Dość często.

Sędzia: – Codziennie, raz na tydzień czy raz na miesiąc?

– Nie codziennie, ale raz w tygodniu na pewno.

– Zatem takie zachowanie nie było w jego przypadku niczym nietypowym.

– Zgadza się, wysoki sądzie.

Pan Sinclair: – A czy kiedykolwiek słyszał pan, co mówił?

– Nie.

– Dlaczego?

– Milkł, gdy ktoś się do niego zbliżał. I było to raczej mamrotanie niż mówienie na głos.

– Rozumiem. A czy oskarżony od zawsze zachowywał się w ten sposób?

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– Czy rozmawiał ze sobą w ten sposób już w dzieciństwie?

– Nie sądzę.

– Czy pamięta pan, kiedy po raz pierwszy zaobserwował pan u niego takie zachowanie?

Pan Murchison potrząsnął głową, a sędzia nakazał mu udzielić odpowiedzi.

– Nie pamiętam.

– Czy to było dziesięć lat temu, pięć czy rok temu?

– Więcej niż rok temu.

– Ale nie pięć lat?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek widział pan oskarżonego zachowującego się w ten sposób przed śmiercią jego matki?

– Nie potrafię odpowiedzieć z całą pewnością.

– Podsumowując, czy jest prawdą, że nie uważa pan oskarżonego za całkowicie normalnego?

– Tak, jest to prawdą.

Wówczas pan Sinclair zakończył przesłuchanie, a Kenny Dym został zwolniony. Następnie wezwano na świadka Duncana Gregora. Pan Giford zaczął od pytań o poranek, w którym zostały popełnione morderstwa, ale sędzia przerwał, informując, iż z uwagi na to, że te wydarzenia są bezsporne, nie ma potrzeby marnowania czasu na powtarzanie tego, co zostało już ustalone. Pan Sinclair nie wniósł sprzeciwu, a przez resztę dnia proces nabrał większego tempa. W pewnym momencie utrwalił się pewien

schemat. Prokurator próbował ustalić racjonalne motywy zbrodni, natomiast pan Sinclair starał się, z różnym skutkiem, przedstawić oskarżonego jako chorego umysłowo. Co ciekawe, najsilniejsze argumenty zapewniło obrońcy zeznanie Aeneasa Mackenziego. Pan Philby opisał go jako świńskiego faceta, *[który] zdawał się nie pojmować, iż jego obraźliwe uwagi pod adresem oskarżonego są bardziej na rękę obronie niż oskarżeniu.*

Zapytany o zdanie na temat stanu umysłu oskarżonego, świadek odrzekł bez ogródek:

– To wariat.

– Wariat? – powtórzył łagodnie pan Sinclair. – Czy mógłby pan wyjaśnić sądowi, co ma pan na myśli?

– Po prostu. Wszyscy wiedzieli, że ma nierówno pod sufitem.

– Wszyscy, czyli kto?

– Wszyscy w parafii.

– Czy to znaczy, że miał w sobie coś z „wioskowego głupka"?

– Tak jest, i jeszcze więcej.

– Co więcej?

– Zawsze miał na twarzy przygłupi uśmieszek. Chichotał, kiedy nie było z czego się chichotać.

– Rozumiem. Zatem według pana oskarżony nie jest przy zdrowych zmysłach?

– Nie jest, z całkowitą pewnością. Wiele razy miałem chęć wybić mu ten śmiech z głowy i zrobiłbym to nawet teraz, gdybym mógł.

Gdy pan Sinclair zakończył przesłuchanie, pan Mackenzie potrzebował kilku chwil, by pojąć, że ma się oddalić, i opuścił mównicę, *mamrocząc pod nosem w sposób, który sugerował, iż to jego zdrowie psychiczne powinno zostać podane w wątpliwość.*

Ostatnim świadkiem tego dnia był nauczyciel, pan Gillies, którego pan Philby, najwyraźniej dotychczas bawiący się przednio, określił jako *mężczyznę o kobiecych dłoniach i twarzy, którą trudno opisać lub zapamiętać.* Pan Giford otrzymał od nauczyciela płomienne świadectwo inteligencji Roddy'ego. Potem zapytał o wizytę u ojca oskarżonego, mającą na celu kontynuowanie edukacji chłopca.

– I jaki był wynik tej wizyty?

– Niestety Roddy został zmuszony przez swojego ojca do pracy na rodzinnym polu.

– Czy ma pan w zwyczaju składanie tego typu wizyt?

– To była jedyna sytuacja, kiedy to zrobiłem.

– A dlaczego wyróżnił pan oskarżonego w ten sposób?

– Był bez wątpienia najzdolniejszym dzieckiem, jakie uczyłem.

Pan Giford przeszedł wówczas do ogólnego zachowania i postawy Roddy'ego.

– Czy był niezdyscyplinowany?

– Przeciwnie, wyróżniał się skupieniem i dobrym zachowaniem.

– Czy jest pan świadom, panie Gillies, że moi koledzy z obrony wnieśli w tej sprawie podejrzenie niepoczytalności?

– Tak.

– Czy kiedykolwiek zauważył pan u oskarżonego jakiekolwiek oznaki szaleństwa?

Pan Gilies poważnie się zastanowił, po czym odpowiedział przecząco.

– Nigdy nie był pan świadkiem sytuacji, gdy oskarżony bredził lub rozmawiał sam ze sobą?

Pan Gillies potrząsnął głową.

– Nigdy – odparł.

Po krótkiej konsultacji ze swoimi wspólnikami pan Giford oświadczył, że nie ma więcej pytań.

Pan Sinclair wstał.

– Czy oskarżony był lubiany przez swoich kolegów? – spytał.

– Niespecjalnie.

– Co pan rozumie przez słowo *niespecjalnie?*

– Po prostu to, co mówię – powiedział pan Gillies, wyglądając na trochę speszonego.

– Czy bawił się albo kolegował ze swoimi rówieśnikami w normalny sposób?

– Myślę, że był raczej samotnikiem czującym się dobrze we własnym towarzystwie.

– Stroniącym od rówieśników?

– Mógłby pan tak to określić, ale ja nie widziałem w tym nic nienormalnego. Niektóre dzieci są z natury towarzyskie, inne mniej.

Pan Sinclair wyglądał, jakby nie był pewien, czy powinien podążać za swoją linią pytań, a po chwili zdecydował, że niewiele zyska, pozwalając mówić świadkowi tak wysoko oceniającemu jego klienta.

Ponieważ zbliżało się wpół do piątej, proces został przeniesiony na kolejny dzień. Sędzia poinformował przysięgłych, że zostaną zakwaterowani w hotelu i polecił zaniechanie rozmów na temat szczegółów sprawy lub formułowania jakiejkolwiek opinii na ten temat.

Jak napisał pan Philby: *pierwszy dzień rozprawy przyniósł wyborną rozrywkę, a każde słowo było chciwie słuchane przez szczę śliwców, którym udało się dostać na salę sądową. Zaiste, jakby chcąc potwierdzić zeznania Aeneasa Mackenziego, jedyną osobą, która zdawała się nie interesować widowiskiem, był oskarżony.*

* * *

DZIEŃ DRUGI

Rozprawa została wznowiona o wpół do dziesiątej następnego ranka. Roddy został wprowadzony wśród okrzyków i gwizdów z galerii dla publiczności, która, jak napisał pan Murdoch dla „Courier": *najwyraźniej sądziła, iż znajduje się w teatrze, a nie na sali rozpraw, a nieszczęsny oskarżony nie był dla niej niczym więcej niż czarnym charakterem z pantomimy, będącym doskonałym źródłem rozrywki.* Roddy ani razu nie spojrzał na swoich dręczycieli. Gdy siadał na ławie oskarżonych, pan Sinclair powitał go przyjaznym klepnięciem po ramieniu. Sędzia przez kilka minut nie reagował na wrzawę, prawdopodobnie po to, by widzowie pofolgowali sobie nieco, zanim zostaną doprowadzeni do porządku. I rzeczywiście – gdy w końcu uderzył młotkiem, sala szybko ucichła.

Lecz pełna szacunku cisza trwała krótko, bowiem pan Giford powstał, by na pierwszego świadka tego dnia wezwać Johna Macrae. Pan Philby z „Te Times" opisał go jako *drobnego, zgarbionego mężczyznę wyglądającego na dwa razy więcej niż jego czterdzieści cztery lata. Opierał się ciężko na sękatym kiju i rzucał z ławy dla świadków oszołomione spojrzenia swoimi małymi, ciemnymi oczami. Oskarżony w czasie składania zeznań przez ojca miał pochyloną głowę, a świadek nie patrzył na swojego syna.* Sędzia surowo ostrzegł publiczność, by zachowała spokój pod karą grzywny. Uzgodniono, iż z racji tego, że świadek bieglej władał *pradawnym językiem Wyżyn*, przesłuchanie zostanie przeprowadzone w jego dialekcie przy pomocy tłumacza. Pan Giford przez wzgląd na widoczne zniedołężnienie świadka, zaczął przesłuchanie łagodnym tonem.

Najpierw zapytał o relacje świadka z ofiarą. Pan Macrae sprawiał wrażenie zakłopotanego zadawanymi pytaniami, a z galerii dobiegły odgłosy rozbawienia, które zostały szybko stłumione przez sędziego. Wówczas pan Giford przeformułował swoje pytanie, a całe to zamieszanie wraz z tłumaczeniem zajęło dość dużo czasu:

– Czy pan i pan Mackenzie byliście w przyjaznych stosunkach?

Pan Macrae: – Znam wielu Mackenziech.

Pan Giford uśmiechnął się cierpliwie.

– Mam na myśli pańskiego sąsiada, Lachlana Mackenziego, znanego również jako Lachlan Beczka.

– Ach, tego – powiedział pan Macrae. Ta odpowiedź wywołała w galerii kolejny wybuch śmiechu. Sędzia zarządził wówczas, by funkcjonariusze wyrzucili jednego z głośniejszych widzów. Ta decyzja wywołała chwilowy zamęt, ale odniosła pożądany skutek.

Pan Giford powtórzył pytanie.

– Nie powiedziałbym, że byliśmy przyjaciółmi – odrzekł pan Macrae.

– Dlaczego?

– Nie umiem tego wyjaśnić.

– Czy istniał jakiś powód tego, że pan i Lachlan Mackenzie nie byliście przyjaciółmi?

Pan Macrae nie odpowiedział. Wówczas sędzia zapytał za pośrednictwem tłumacza, czy pan Macrae ma trudność ze zrozumieniem pytań adwokata. Otrzymawszy zapewnienie, że nie, przypomniał świadkowi, że jest zobowiązany do udzielania odpowiedzi pod groźbą kary.

Pan Giford poruszył temat zmniejszenia pola. Po mozolnej serii pytań dotyczących tego zdarzenia, spytał:

– Czy czuł się pan pokrzywdzony tą decyzją?

– Nie.

– Nie czuł się pan pokrzywdzony tym, że część ziemi, z której żywił pan rodzinę, została panu odebrana?

– Byli inni, którzy bardziej jej potrzebowali.

– Czy pański syn czuł się pokrzywdzony tą decyzją?

– Musiałby pan zapytać jego.

– Czy okazywał w jakikolwiek sposób, że czuje się pokrzywdzony tą decyzją?

Cisza.

– Czy rozmawiał pan o tym ze swoim synem?

– Nie.

Pan Giford wyglądał na nieco zirytowanego i zwrócił się do sędziego z prośbą o zmuszenie świadka do udzielania bardziej wyczerpujących odpowiedzi. Sędzia odrzekł, że to panowie z ławy przysięgłych decydują, czy odpowiedzi są wystarczające.

Wówczas zastępca prokuratora generalnego przeszedł do incydentu, o którym dotychczas nie mówiono.

– Czy pamięta pan poranek w kwietniu lub w maju tego roku, kiedy zbierał pan wodorosty na wybrzeżu?

– Pamiętam.

– Czy może pan opowiedzieć sądowi, co wydarzyło się tego poranka?

– To, co pan powiedział – odrzekł pan Macrae, wzbudzając zduszony chichot w galerii.

– Zbierał pan wodorosty?

– Tak.

– Z synem.

– Tak.

– W jakim celu zbierał pan te wodorosty?

– Chcieliśmy rozrzucić je na polu.

– Czy tego poranka rozmawiał pan z panem Mackenziem?

– On rozmawiał ze mną.

– Co powiedział?

– Kazał mi zwrócić wodorosty, które wyłowiliśmy na brzeg.

– Czy miał ku temu jakiś powód?

– Nie posiadaliśmy zezwolenia.

– Potrzebuje pan zezwolenia na zbieranie wodorostów z brzegu?

– Wygląda na to, że tak.

– Czyjego zezwolenia pan potrzebował?

– Lorda Middletona, do którego należały wodorosty.

– Lord Middleton jest dziedzicem pańskiego rejonu?

– Tak.

– Czy wcześniej zbierał pan wodorosty z brzegu?

– Tak.

– Jak często?

– Co roku.

– A czy wówczas starał się pan o uzyskanie zezwolenia?

– Nie.

– Lecz w tamtej sytuacji pan Mackenzie poprosił pana o zwrócenie wodorostów, które pan uzbierał?

– Tak.

– Jak pan sądzi, dlaczego tak postąpił?

– Jego rolą było egzekwowanie przepisów.

– I pan to akceptował?

– Tak.

– Nie czuł się pan pokrzywdzony przez pana Mackenziego?

Pan Macrae nie odpowiedział.

– Musiał pan zwrócić dużą ilość wodorostów, zbieranych przez kilka godzin, zgodnie z tradycją, ale nie czuł się pan pokrzywdzony?

Przez kilka chwil chłop patrzył na adwokata, po czym odrzekł:

– Nie byłem tym zachwycony.

W tym momencie pan Giford wydał teatralne westchnienie, po czym został upomniany przez sędziego. Wówczas przeprosił, ale nie był w stanie powstrzymać się od rzucenia wymownego spojrzenia ku ławie przysięgłych.

– A czy to prawda – kontynuował – że następnego dnia cała wioska zbierała wodorosty w celu rozrzucenia ich po polach?

– Nie wiem, w jakim celu.

– Ale zbierano wodorosty?

– Tak.

– A pan nie zbierał?

– Nie.

– Czy może pan powiedzieć, dlaczego im wolno było zbierać wodorosty, a panu nie?

– Oni mieli zezwolenie.

– A pan nie starał się o zezwolenie, by do nich dołączyć?

– Nie chciałem brać tego, co nie należało do mnie.

Z galerii znów dobiegł śmiech. Pan Macrae wbił wzrok w swoją lewą rękę, ściskającą krawędź mównicy dla świadków. Pan Giford przez chwilę milczał, po czym kontynuował.

– Zatem, jeśli mogę podsumować – powiedział – zeznaje pan, iż nie czuł pan żalu do ofiary, człowieka, który zmniejszył pańskie pole, kazał

panu wrzucić wodorosty z powrotem do wody, i któremu z powodu zdarzenia z owcą był pan winien niemałą sumę?

Pan Macrae milczał.

Pan Giford nalegał, by świadek udzielił odpowiedzi.

– Nie do mnie należało kwestionowanie decyzji pana Mackenziego.

Sędzia przypomniał panu Gifordowi, że to nie świadek jest przedmiotem rozprawy, a pytanie, czy czuł żal do zmarłego, jest nieistotne. Było ono jednak ważne dla strategii oskarżyciela. Aby stwierdzić, że oskarżony działał racjonalnie, należało dowieść istnienia żalu odczuwanego wobec ofiary. Przeto rozwścieczony pan Giford zakończył przesłuchanie. Kąśliwa relacja w opublikowanym nazajutrz wydaniu „Inverness Courier" opisywała, jak *najświetniejsze umysły prawnicze oskarżenia zostały pokonane przez prostego chłopa.*

Pan Sinclair powstał i spytał świadka w jego języku, czy czuje się na siłach, by odpowiadać na kolejne pytania.

– Zatem – powiedział – muszę zapytać o pańskiego syna, oskarżonego o najstraszliwsze zbrodnie. Czy przed wydarzeniami, które sprowadziły nas do tej sali sądowej, kiedykolwiek zauważył pan, by pański syn stosował przemoc?

Pan Macrae nie odpowiedział.

– Czy pański syn kiedykolwiek uderzył pana albo groził, że to uczyni?

Pan Macrae nie odpowiedział, a sędzia przypomniał mu jego obowiązki.

– Nie.

– Czy kiedykolwiek uderzył pańską żonę albo któreś z rodzeństwa?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek uderzył któregoś z sąsiadów?

– Nie.

– Zatem nie powiedziałby pan o nim, że jest skłonny do przemocy?

– Nie.

– Czyli jeśli popełnił te straszne czyny, o które jest oskarżony, powiedziałby pan, że to do niego niepodobne?

Pan Macrae zdawał się nie rozumieć pytania.

Pan Sinclair: – Czy opisałby pan swojego syna jako osobę stosującą przemoc?

– Nie miałem nigdy powodu, by go opisywać.

Pan Sinclair uśmiechnął się, *wyraźnie próbując ukryć wzrastającą irytację*, i przeformułował pytanie:

– Czy gdyby poproszono pana o opisanie swojego syna, opisałby go pan jako osobę stosującą przemoc?

– Nie sądzę – odrzekł świadek.

– Czy kiedykolwiek stosował pan przemoc wobec pańskiego syna?

– Nie.

– Nigdy go pan nie bił?

– Biłem go.

– Kiedy go pan bił?

– Kiedy była taka potrzeba.

– Rozumiem. A czy mógłby pan podać przykład, kiedy uważał pan, że zachodzi potrzeba, aby go uderzyć?

– Gdy był nieposłuszny wobec mnie albo gdy sprawiał jakieś problemy.

– Sprawiał problemy… Zatem pański syn czasem sprawiał problemy? Czy mógłby pan opisać sądowi sytuacje, w których pański syn sprawiał problemy i musiał go pan bić?

Pan Macrae nie odpowiedział.

– Słyszeliśmy zeznanie na temat incydentu, kiedy pański syn zabił owcę należącą do pana Mackenziego. Czy w tamtej sytuacji uderzył pan swojego syna?

– Tak.

– Czy może pan opowiedzieć sądowi, dlaczego pan to zrobił?

– Sprawiał problemy.

– Rozumiem. A czy uderzył go pan raz czy wielokrotnie?

– Wielokrotnie.

– A czym go pan uderzył?

– Moim drągiem – odrzekł pan Macrae, przy czym usłużnie uniósł swoją laskę.

– A w jakie części ciała pan uderzał?

– W plecy.

– Wielokrotnie uderzał go pan w plecy drągiem?

– Tak.

– Czy to była jednorazowa sytuacja?

Pan Macrae zdawał się nie rozumieć tego pytania.

– Czy były jeszcze inne sytuacje, kiedy miał pan powody, aby bić swojego syna?

– Kilka.

– I zawsze bił go pan swoim drągiem?

– Nie zawsze.

– Bił go pan pięściami?

– Tak.

– A gdy bił go pan pięściami, w jakie miejsca pan uderzał?

– Po całym ciele.

– W jego głowę i twarz?

– Prawdopodobnie tam też.

– A czy często się to zdarzało?

Sędzia poprosił pana Sinclaira, aby zadawał bardziej konkretne pytania.

– Czy bił pan swojego syna codziennie, co tydzień czy rzadziej?

– Co tydzień.

– I uważał pan, że to konieczne?

– Chłopak potrzebował lania.

– A czy dzięki laniu zachowywał się lepiej?

– Nie.

Wówczas pan Sinclair przejrzał dokumenty leżące przed nim i po krótkiej konsultacji z asystentem zrezygnował z zadawania dalszych pytań.

Wtedy pan Giford poprosił o zmianę ustalonej kolejności przesłuchiwania świadków. Sędzia nie wyraził sprzeciwu i wezwano Allana Cruikshanka.

Pan Giford rozpoczął przesłuchanie.

– Proszę powiedzieć, czym się pan zajmuje, panie Cruikshank.

– Jestem zarządcą lorda Middletona w Applecross.

– Czy wioska Culduie stanowi część posiadłości lorda Middletona?

– Tak.

– Czy na zajmowanym stanowisku jest pan odpowiedzialny za zarządzanie tą wioską?

– Jestem odpowiedzialny za zarządzanie posiadłością. Nie interesują mnie codzienne sprawy w wioskach.

– Tymi sprawami zajmuje się konstabl, czyż nie?

– W istocie.

– Czy w przypadku Culduie konstablem był Lachlan Mackenzie?

– Zgadza się. Pełnił funkcję konstabla Culduie, Camusterrach i Aird-Dubh.

– Czy te wioski sąsiadują ze sobą?

– Tak.

– Czy skoro pan Mackenzie pełnił funkcję konstabla tych miejscowości, miał pan powody, by spotykać się z nim i omawiać poszczególne sprawy?

– Spotykaliśmy się, ale rzadko.

– Czy narzucał mu pan swoje decyzje dotyczące kierowania wioskami?

– Omawialiśmy zarządzanie wioskami ogólnikowo, nie wchodziłem w szczegóły.

– Ogólnikowo, to znaczy jak?

– Mam na myśli ogólne utrzymanie dróg i ścieżek, sprawdzanie, czy dzierżawcy nie zalegają z czynszem i inne podobne kwestie.

– Czy uważał pan, że pan Mackenzie jest kompetentny?

– Pan Mackenzie był niewątpliwie najlepszym konstablem za mojej kadencji.

– Wierzył pan w jego umiejętności?

– Tak, bardzo.

– Czy pamięta pan sytuację ze schyłku lipca tego roku, kiedy to pan John Macrae i jego syn, obecny tu oskarżony, złożyli panu wizytę?

– Pamiętam.

– Czy przed tym spotkaniem znał pan pana Macrae?

– Nie.

– Czy często odwiedzają pana dzierżawcy z posiadłości?

– Nie, jedynie w wyjątkowych sytuacjach.

– Dlaczego?

– Jeśli dzierżawca chce omówić jakąś sprawę związaną z zarządzaniem wioską, powinien udać się do konstabla.

– Zatem w tej sytuacji do pana Mackenziego?

– Zgadza się.

– Czy poinformował pan o tym pana Macrae?

– Poinformowałem.

– I co odpowiedział?

– Powiedział, że to pan Mackenzie jest powodem jego wizyty.

– Czy mógłby pan rozwinąć tę myśl?

– Zdawało się, że między tymi dwoma mężczyznami doszło do jakichś zatargów, a przynajmniej pan Macrae miał wrażenie, że jest źle traktowany przez pana Mackenziego.

– Czy zapytał pan pana Macrae, dlaczego tak sądził?

– Zapytałem. Opowiedział kilka mało istotnych zdarzeń, ale obawiam się, że nie pamiętam szczegółów.

– Niemniej jednak wydało się panu, że, słusznie bądź nie, pan Macrae żywił jakiś żal do pana Mackenziego?

– Takie odniosłem wrażenie.

– Jak zareagował pan na skargę?

– W ogóle nie zareagowałem. Nie dotyczyła mnie.

– Czy poinformował pan wtedy pana Mackenziego o tym zdarzeniu?

– Nie przypominam sobie.

– Czy widział się pan z panem Mackenziem między tym spotkaniem a jego zgonem.

– Tak.

– Kiedy?

– Podczas letniego jarmarku.

– Kiedy dokładnie?

– Sądzę, że trzydziestego pierwszego lipca.

– Czy rozmawiał pan z nim tego dnia?

– Owszem. Piliśmy piwo w gospodzie w Applecross.

– Rozumiem. A czy wtedy wspomniał pan mu o tym incydencie, mam na myśli spotkanie z panem Macrae i jego synem?

– Sądzę, że tak.

– W jakim duchu pan o nim mówił?

– Jak o zabawnym incydencie.

– Czy pan Mackenzie również uznał to za zabawne?

– Zdaje się, że tak.

Po tej odpowiedzi pan Giford zakończył przesłuchanie. Obrona nie miała do świadka pytań.

Wówczas ponownie wezwano pana Macrae i przedstawiono mu zeznanie zarządcy.

– Jeśli, jak pan zeznał, nie czuł pan żalu do ofiary – zaczął pan Giford – to dlaczego czuł pan potrzebę złożenia wizyty zarządcy i przedstawienia mu swych skarg?

W tym momencie publiczność, której część, jak napisał pan Murdoch, *z pewnością boleśnie odczuła upokorzenie rolnika,* ucichła zupełnie. Oczy pana Macrae rzucały szybkie spojrzenia po sali sądowej, jakby szukały czyjegoś wsparcia. Sędzia uznał, że konieczne jest ponaglenie świadka do odpowiedzi.

– Chciałem tylko lepiej poznać przepisy kierujące naszym życiem.

– A czy nie sądził pan, że może pan o nie zapytać pana Mackenziego?

– Nie.

– Dlaczego?

Po kilku chwilach ciszy odrzekł:

– Nie miałem dobrych relacji z panem Mackenziem.

– Czy czuł pan, że mści się on na panu?

Pan Macrae nie odpowiedział.

Pan Giford prawdopodobnie poczuł, że osiągnął swój cel. Kontynuował:

– Czy w poniedziałek dziewiątego sierpnia, w dniu poprzedzającym morderstwa, otrzymał pan pismo?

– Otrzymałem.

– Kto był jego nadawcą?

– Zarządca.

– A co było treścią pisma?

– Nakaz eksmisji.

– Miał pan zostać wyrzucony z domu?

– Tak.

– Jak pan na to zareagował?

Pan Macrae uczynił nieznaczny gest tą ręką, której nie zaciskał na swojej lasce.

Pan Giford przeformułował pytanie.

– Co zamierzał pan uczynić w związku z tym nakazem?

– Nic.

– Czy zamierzał pan zastosować się do niego?

Pan Macrae przez chwilę patrzył na adwokata.

– To, czy zastosuję się do nakazu, nie zależało ode mnie – odrzekł.

– Od kogo to zależało?

– Od tych, którzy nami rządzą.

– Czy omawiał pan ten stan rzeczy ze swoim synem?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek wyraził pan opinię, że byłoby dla pana lepiej, gdyby pan Mackenzie umarł?

– Nie.

– Czy pański syn kiedykolwiek wyraził opinię, że byłoby dla pana lepiej, gdyby pan Mackenzie umarł?

– Nie.

– Czy namawiał pan syna do zabójstwa pana Mackenziego?

– Nie.

– Czy jest panu przykro, że pan Mackenzie nie żyje?

– To nie moja sprawa.

Pod koniec tej wymiany zdań w sali sądowej rozległo się głośne zbiorowe westchnienie. Pan Macrae został po raz drugi wypuszczony z ławy dla świadków i jak zapisano, odmówił zakwaterowania w gospodzie, woląc spędzić noc na dworcu w oczekiwaniu na pociąg, który go zawiezie do domu.

Następnie ponownie wezwano Allana Cruikshanka. Pan Giford poprosił świadka, by przypomniał ławie przysięgłych swoje stanowisko, po czym zadał pierwsze pytanie:

– Słyszeliśmy – zaczął – że spotkał się pan z ofiarą, Lachlanem Mackenziem, w gospodzie w Applecross trzydziestego pierwszego lipca i że w trakcie rozmowy wspomniał pan o wizycie złożonej panu przez Johna Macrae i jego syna, obecnego tutaj oskarżonego.

– Zgadza się.

– Czy później widział się pan jeszcze z ofiarą?

– Owszem.

– W jakich okolicznościach?

– Pan Mackenzie odwiedził mnie w domu wieczorem siódmego sierpnia.

– Na trzy dni przed śmiercią?

– Tak.

– Co było powodem jego wizyty?

– Zwrócił się do mnie z prośbą o eksmisję Johna Macrae z jego pola.

– Na jakiej podstawie?

– Było kilka powodów.

– To znaczy?

– Rodzina Macrae miała duże zaległości w płaceniu czynszu. Ponadto byli zadłużeni z powodu dużej liczby grzywien.

– Czy zostały one wypisane przez pana Mackenziego?

– Tak.

– Czy pamięta pan powód wystawienia tych grzywien?

– Nie. Sądzę, że było ich wiele.

– Czy były inne czynniki?

– Pan Macrae zaniedbywał obowiązek właściwego utrzymania swojego domu oraz pola. Ponadto powstało przekonanie, że obecność państwa Macrae nie sprzyja należytemu zarządzaniu wioską.

– W jaki sposób?

Pan Cruikshank nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Po kilku chwilach wymamrotał:

– Podobno mieli zły wpływ na wioskę.

– Czy podjął pan jakieś kroki, by to zweryfikować?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Miałem pełne zaufanie do osądu pana Mackenziego.

– Czy nie jest tak, że wielu dzierżawców posiadłości zalega z czynszem?

– Niestety tak.

– Zatem dlaczego to akurat pan Macrae został potraktowany w ten sposób?

– Jego długi były tak duże, że stały się niemożliwe do spłacenia. Nie było szansy, by mógł je pokryć.

– Sąd słyszał, że w zeszłym roku zredukowano znaczną część pola pana Macrae. Czy mogło być tak, że gdyby miał więcej ziemi, mógłby sprzedać część swych plonów, by spłacić długi?

Pan Cruikshank odrzekł:

– Nie byłem świadom zmniejszenia jego pola, ale – dodał – musiałby sprzedać wiele ziemniaków lub innych plonów, by uporać się z takimi zaległościami.

– Nie był pan świadomy zmniejszenia pola pana Macrae?

– Nie, sir.

– Czy zatem zostało ono dokonane bez pańskiej zgody?

– Ściślej rzecz ujmując, bez mojej wiedzy. Nie mam wątpliwości, że pan Mackenzie działał w najlepszych intencjach.

– Czy oczekiwałby pan, że skonsultuje się z panem w takiej sprawie?

– Jak powiedziałem, nie wątpię, że pan Mackenzie działał w najlepszych intencjach.

– Nie o to pytam. Pytam, czy oczekiwałby pan konsultacji w takiej sprawie.

– Oczekiwałbym konsultacji, gdyby była to sprawa ogólnego podziału ziemi w wioskach, ale jeśli była to sprawa małego kawałka pojedynczego

pola, jestem pewien, że można było to uzgodnić pomiędzy mieszkańcami wioski. Nie są dziećmi.

– Czy pan Mackenzie poinformował pana o wyławianiu przez pana Macrae wodorostów bez odpowiedniego pozwolenia?

Pan Cruikshank roześmiał się na tę sugestię i odrzekł, że nie.

– Czy był pan świadomy, że pan Macrae posiadał także osobisty dług wynikający z konieczności zapłaty odszkodowania za owcę zabitą przez oskarżonego?

– Nie.

– Czy gdyby był pan świadom tych rzeczy – zasugerował pan Giford – mógłby pan podejrzewać, że w propozycji eksmisji pana Macrae znajduje się ziarno zemsty?

Pan Cruikshank przez kilka chwil ważył swą odpowiedź, po czym odrzekł:

– Mogę jedynie powiedzieć, że według mojej wiedzy pan Mackenzie wykonywał obowiązki konstabla w sposób godny podziwu. Nie miałem powodu, by kwestionować motywy jego działań, a dowody, które przedstawił, potwierdzały słuszność jego propozycji.

– Zatem zgadzał się pan z oceną pana Mackenziego w kwestii eksmisji?

– Nie widziałem żadnej innej możliwości.

– I spisał pan potrzebne dokumenty?

– Tak.

– Natychmiast?

– Z uwagi na szacunek dla Dnia Pańskiego pismo zostało spisane i dostarczone dnia kolejnego, czyli w poniedziałek.

– W poniedziałek dziewiątego sierpnia, w dniu poprzedzającym śmierć pana Mackenziego?

– Zgadza się.

Pan Giford podziękował zarządcy za zeznania, a jako że pan Sinclair nie miał pytań, świadek został zwolniony.

Wówczas wezwano pastora Jamesa Galbraitha. Jak odnotował pan Murdoch, był on *w każdym calu zagorzałym sługą Bożym, pochodzącym z odległych stron naszego kraju i nadzorującym swoje stado z nieugiętą wolą. Był odziany w prosty strój, a z jego surowej twarzy można było wyczytać, że wielkomiejskie uciechy go nie kuszą. Na pana Gifforda spoglądał z pogardą, jaką z pewnością żywił do wszystkich wielkomiejskich dandysów, i nawet słynny prawnik zdawał się nieco drżeć pod jego spojrzeniem.*

Pan Giford: – Czy jest pan pastorem parafii Applecross?

Pan Galbraith tonem nauczyciela poprawiającego opóźnionego w rozwoju ucznia odparł: – Moja parafia obejmuje wioski Camusterrach, Culduie i Aird-Dubh.

– A czy John Macrae i jego rodzina należą do pańskich parafian?

– Tak.

– Zdaje się, że John Macrae asystował chyba panu nawet podczas mszy?

– To prawda.

– Czy prawdą jest również, że pan Macrae posłał po pana wieczorem dziewiątego sierpnia?

– Tak. Posłał córkę z pytaniem, czy mógłbym odwiedzić ich tego wieczora.

– I zrobił pan to?

– Tak.

– A co było powodem tej prośby?

– Nakaz eksmisji od zarządcy.

– A jak zachowywał się pan Macrae?

– Był zrozpaczony.

– Czy prosił pana o pomoc?

– Prosił, bym interweniował w jego imieniu.

– Czy zgodził się pan to uczynić?

– Nie.

Pan Giford wyglądał na zaskoczonego tą odpowiedzią.

– Czy mógłby pan opowiedzieć sądowi, dlaczego się pan nie zgodził?

Pan Galbraith świdrował adwokata miażdżącym spojrzeniem.

– To nie była sprawa, w którą powinienem był się angażować.

– Z pewnością dobrobyt pańskich parafian jest pańską sprawą?

– Moją sprawą jest troska o dobro duchowe moich parafian. Nie jestem od tego, by wtrącać się do zarządzania gruntami.

– Rozumiem. Czy zaoferował pan panu Macrae jakąkolwiek pomoc?

– Przypomniałem mu, że troski tego życia spadają na nas jako zapłata za nasze grzechy i że musi to zaakceptować.

– Ale nie zaoferował mu pan żadnej praktycznej porady, jak ma sobie poradzić z sytuacją, w jakiej się znalazł?

– Poleciłem mu modlitwę. - Te słowa wywołały salwę śmiechu z galerii, która jednak szybko ucichła pod wpływem surowego spojrzenia kaznodziei.

Pan Giford podziękował świadkowi i wrócił na swoje miejsce.

Wówczas wstał pan Sinclair.

– Czy oskarżony Roderick Macrae był obecny podczas pańskiej wizyty?

– Przyszedł do domu, gdy wychodziłem.

– Czy rozmawiał pan z nim?

– Jedynie przelotnie.

– Czy oskarżony uczęszczał do pańskiego kościoła?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek do niego chodził?

– Tylko w dzieciństwie.

– A kiedy przestał?

– Nie potrafię podać dokładnej daty.

– Rok temu czy pięć lat temu?

– Raczej rok lub dwa lata temu.

– Czy stało się to mniej więcej po śmierci jego matki?

– Mniej więcej w tym czasie.

– Skoro zeznał pan, że troszczy się pan o dobro duchowe swoich parafian, to czy możemy usłyszeć, jakie podjął pan kroki, by przekonać oskarżonego do ponownego udziału w nabożeństwach?

– Moją rolą nie jest zmuszanie parafian do odwiedzania świątyni. Nie jestem zaganiaczem[14].

– Zatem nie martwiła pana jego nieobecność na nabożeństwach?

– Pasterz musi zajmować się dobrem swojego stada jako całości. Jeśli stado zawiera czarną owcę, musi ona zostać wydalona.

– A czy Roderick Macrae jest czarną owcą?

– Raczej nie zgromadzilibyśmy się tu, gdyby tak nie było.

Jak zauważył cierpko pan Philby, *te słowa były pierwszą w życiu owego surowego prezbiterianina próbą powiedzenia czegoś zabawnego.*

– W rzeczy samej – odrzekł pan Sinclair. – Ale jeśli pan pozwoli, chciałbym poprosić o szczegółowe opisanie tego, co odznaczało Rodericka od pozostałych parafian.

– Ten chłopak jest bardzo zły.

– To mocne słowo, panie Galbraith.

Pastor nie odpowiedział na tę uwagę. Pan Sinclair spróbował ponownie:

– Jak przejawiało się to zło?

– Już jako dziecko nie miał żadnego szacunku dla Domu Bożego. Był roztargniony, nawet podczas modlitwy brakowało mu skupienia. Raz przyłapałem go na tym, że wypróżnił się na terenie kościoła.

Po tych słowach sędzia stuknął kilka razy młotkiem, by uciszyć śmiech, który rozległ się w galerii.

– Rozumiem – powiedział pan Sinclair. – Czy widział pan u oskarżonego oznaki szaleństwa?

– Widziałem u niego oznaki zła.

– Jakie to były oznaki?

Pan Galbraith widocznie nie uważał, że to pytanie jest warte jakiegokolwiek komentarza, lecz sędzia nakazał mu udzielić odpowiedzi.

– Wystarczy spojrzeć. Jeśli pan tego nie widzi, podejrzewam, że jest pan równie bezbożny jak on, sir – odrzekł z miażdżącą pogardą.

Pan Sinclair uśmiechnął się lekko do świadka.

– Jest pan światłą osobą, dlatego chciałbym po prostu poznać pańskie obserwacje na temat natury oskarżonego – powiedział.

– Moje obserwacje są takie, że chłopak jest zaprzedany diabłu, a jeśli trzeba na to dowodów, wystarczy spojrzeć na czyny, jakich się dopuścił.

Pan Sinclair ze znużeniem skinął głową i świadek został zwolniony.

Kolejny świadek nie mógł chyba stanowić większego kontrastu z pastorem. Pojawienie się w sali sądowej Archibalda Rossa wywołało wielki ubaw na galerii. Chłopak ubrany był w stylu wiejskiego dżentelmena we *frak z żółtego tweedu, bez wątpienia zamówiony specjalnie na tę okazję.* Poza tym miał na sobie dokładnie wypastowane buty z dużymi kwadratowymi klamrami, a na szyi zielony jedwabny krawat. Jak napisał

pan Philby, był *dandysem w każdym calu, a jego wygląd mógł doprowadzić obserwatora do wniosku, że odległa wioska Applecross, z której ów młodzieniec pochodzi, musi być niezwykle* à la mode.

Po kilku wstępnych pytaniach dotyczących miejsca urodzenia Rossa oraz obecnego zajęcia, pan Giford spytał, jak świadek poznał więźnia. Ross opisał wówczas, jak poznał Rodericka na dziedzińcu przed stajnią posiadłości lorda Middletona.

– Jakie zadanie przydzielono oskarżonemu tamtego dnia?

– Miał nieść skrzynię w góry.

– Co znajdowało się w tej skrzyni?

– Poczęstunek dla myśliwych.

– Czy więzień wywiązał się ze swoich obowiązków należycie?

– Z tej części obowiązków tak.

– Czy później spotkał pan jeszcze kiedyś oskarżonego?

– Spotkałem.

– Kiedy?

– Kilka tygodni temu na jarmarku.

– Czy było to trzydziestego pierwszego lipca?

– Skoro pan tak mówi – odrzekł Ross z uśmiechem.

– Proszę opowiedzieć nam, co się wtedy wydarzyło.

Ross odparł, że spotkał oskarżonego przed gospodą w Applecross, weszli do środka i wypili dużą ilość piwa. Potem udali się w okolice Wielkiego Domu, by obejrzeć mecz shinty między wioskami.

– Czy był pan pijany?

– Może w pewnym stopniu.

– Czy oskarżony był pijany?

– Sądzę, że tak.

– Czy oskarżony wyjawił panu jakieś sekrety?

– Powiedział, że chce pojechać do Glasgow, by zbić tam fortunę, ale waha się, bo jest zadurzony w pewnej miejscowej dziewczynie.

– A jak nazywała się ta dziewczyna?

– Flora Mackenzie.

– Ta Flora Mackenzie, która była córką zmarłego Lachlana Mackenziego?

– Tak.

To odkrycie wywołało na galerii wrzawę, którą sąd musiał wielokrotnie uciszać groźbami.

– I która jest jedną z ofiar zbrodni?

– Tak.

– Czy więzień powiedział panu coś więcej na temat swojej relacji ze zmarłą panną Mackenzie?

– Powiedział, że odrzuciła jego zaloty i że między ich rodzinami istnieją jakieś zatargi, a ich rodzice nigdy nie zgodziliby się na taki ślub.

To wywołało kolejne okrzyki z galerii.

– Zatem obejrzeliście mecz shinty?

– Tak.

– A co stało się potem?

– Wypiliśmy trochę whisky i wtedy Roddy dostrzegł tę dziewczynę.

– Florę Mackenzie?

– Tak. Zauważył, że przechadza się z przyjaciółką po terenach Wielkiego Domu.

– I co pan zrobił?

– Wyraziłem opinię, że powinien otwarcie porozmawiać z nią o swoich uczuciach, by wiedział, na czym stoi.

– I zgodził się?

– Niezupełnie, ale nalegałem i w końcu podeszliśmy do dziewcząt i przedstawiliśmy się.

W tym momencie, jak zrelacjonował pan Philby, oskarżony, dotychczas siedzący obojętnie, po tych słowach okazał pewne oznaki poruszenia, kuląc się nisko nad swoimi kolanami, jakby w nadziei, że pod ławą oskarżonych może znaleźć szylinga.

– Co zdarzyło się potem?

– Przeszliśmy się razem trochę.

– Dokąd poszliście?

– W stronę małego mostka wśród drzew.

– W ustronne miejsce?

W tym momencie Archibald Ross mrugnął okiem do adwokata i odpowiedział ku wielkiej uciesze publiki:

– Widzę, że takie przygody nie są panu obce.

Pan Giford zignorował jego uwagę.

– Co się tam wydarzyło?

– Aby Roddy mógł zostać sam z obiektem swoich westchnień, zaprowadziłem towarzyszkę Flory na mostek i skinąłem Roddy'emu, że powinien oddzielić się i ruszyć ze swą wybranką wzdłuż ścieżki.

– A potem?

– Rozmawiałem trochę z tą drugą dziewczyną, a jakiś czas później wróciła Flora Mackenzie.

– Szła czy biegła?

– Biegła.

– Była sama?

– Tak.

– Ile czasu upłynęło od waszego rozstania?

– To była kwestia minut.

– Co zrobiła, gdy przybiegła?

– Wzięła swoją przyjaciółkę pod ramię i poszły sobie.

– Dokąd?

– W stronę Wielkiego Domu.

– Czy sprawiała wrażenie przestraszonej?

– Być może. Trudno to jednoznacznie ocenić.

– Płakała?

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– Czy miała rumieńce?

– Tak, ale z doświadczenia wiem, że rumieńce dziewcząt mogą mieć wiele powodów – powiedział Ross z ironicznym uśmieszkiem.

Sędzia przypomniał świadkowi powagę procesu i zagroził usunięciem, jeśli będzie czynić jeszcze jakieś uwagi tej natury. Skruszony Ross skłonił się nisko sędziemu i przeprosił.

Pan Giford kontynuował przesłuchanie:

– Zatem panna Mackenzie poszła do lasu z oskarżonym. Wróciła, biegnąc, kilka minut później i zabrała swoją przyjaciółkę ze sobą z powrotem w stronę Wielkiego Domu?

– Tak, sir.

– A gdzie w tym czasie był oskarżony?

– Został w lesie.

– Czy po jakimś czasie również powrócił?

– Tak.

– Po ilu minutach?

– Rychło, po minucie lub dwóch.

– W jakim był nastroju?

– Zdawał się być nieco zasmucony.

– Z czego pan to wnioskuje?

– Płakał.

– Czy powiedział panu, co się wydarzyło?

– Tak, sir.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i podzielił się z sądem tym, co pan usłyszał?

– Powiedział tylko, że jego zaloty zostały odrzucone. Miał złamane serce.

– Zaloty? Czy dokładnie tego słowa użył?

– Nie pamiętam.

– Ale wywnioskował pan, że jakoś się *zalecał?*

– Tak.

– A czy więzień okazywał jeszcze inne oznaki smutku?

– Jego twarz była z jednej strony czerwona.

– A co było tego powodem?

– Ta dziewczyna go uderzyła.

– Czy widział pan to zdarzenie?

– Nie.

– Zatem skąd pan o tym wie?

– Roddy mi powiedział.

– Co stało się potem?

– Próbowałem zbagatelizować to, co się wydarzyło, ale widząc, że mój przyjaciel jest naprawdę rozżalony, zaproponowałem szklaneczkę piwa, by podnieść go na duchu.

– Czy zgodził się?

– Tak.

– Wróciliście do gospody?

– Tak.

– I znów piliście tam piwo?

– Tak.

– A jak zachowywał się wtedy pański przyjaciel, to znaczy oskarżony?

– Jego humor znacznie się poprawił.

– Czy tego dnia zdarzyło się jeszcze coś istotnego?

– Gdy delektowaliśmy się piwem, wielki brutalny mężczyzna zaatakował Roddy'ego i sprał go na kwaśne jabłko.

– Dlaczego ten mężczyzna zaatakował pańskiego przyjaciela?

– Nie widziałem żadnego powodu.

– Czy słyszał pan, by o czymś rozmawiali?

– Nie, sir.

– A kto był tym wielkim brutalnym mężczyzną?

– Później dowiedziałem się, że to był Lachlan Mackenzie.

– Zmarły Lachlan Mackenzie?

– Tak.

– Co wydarzyło się potem?

– Zabrałem Roddy'ego na zewnątrz i skierowałem go na drogę powrotną do jego wioski.

Zastępca prokuratora generalnego zakończył przesłuchanie, a pan Sinclair wstał. Wyjaśnił, że chce, aby świadek wrócił do dnia polowania.

– Czy łowy tego dnia się udały?

– Z pewnością nie – odpowiedział Ross ze śmiechem.

– Dlaczego?

Wówczas Archibald Ross opisał, jak Roddy *wyskoczył na jelenie, wymachując ramionami niczym wielki ptak i skrzecząc jak Banshee*[15].

– Aby przepłoszyć jelenie?

– Tak.

– Co pan sądził o tym zachowaniu?

Ku wielkiej uciesze ludzi siedzących na galerii Archibald Ross zrobił śmieszną minę i postukał się palcem w czoło. Został surowo przez sędziego upomniany i pouczony o ograniczeniu się do wypowiedzi werbalnych.

Ross powiedział wówczas:

– Pomyślałem, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Pan Sinclair: – A czy wcześniejsze zachowanie oskarżonego wskazywało, że zamierza się tak zachować?

– Bynajmniej.

– To było całkiem niespodziewane?

– Jak grom z jasnego nieba.

– A jakie wrażenie wywarł na panu oskarżony przed tą sytuacją?

– Nie miałem żadnego zdania na jego temat.

– Czy w jego zachowaniu nie było niczego dziwnego?

– Nie.

– Ani w jego słowach?

– Nie.

– Zachowywał się racjonalnie?

– Tak.

– Aż do momentu, kiedy spłoszył jelenie?

– Dokładnie.

– Zeznał pan panu Gifordowi, że po incydencie w lesie z Florą Mackenzie oskarżony był bardzo przygnębiony?

– Zgadza się.

– Czy płakał?

– Tak.

– A jednak zeznał pan, że krótką chwilę potem… – tutaj pan Sinclair zajrzał do leżących przed nim notatek – …jego humor znacznie się poprawił?

– Tak.

– Co oskarżony robił tuż przed tym, jak został napadnięty przez pana Mackenziego?

– Tańczył przy dźwiękach skrzypiec.

– Tańczył?

– Tak.

– Ile czasu upłynęło między zdarzeniem w lesie, które tak bardzo zasmuciło oskarżonego, a jego tańcem?

Ross zawahał się na kilka chwil.

– Około godziny.

– Więcej niż godzina, czy mniej?

– Mniej niż godzina.

– A czy nie wydało się panu dość dziwne, że oskarżony płacze, a po chwili tańczy?

– Pomyślałem po prostu, że jego duch odżył dzięki szklance piwa.

– Nie pomyślał pan, że wahania nastroju oskarżonego przypominają spacer po górach? Oskarżony w jednej chwili zachowywał się zupełnie racjonalnie, a w następnej robił największe głupstwo, jakie pan kiedykolwiek widział, co świadczy o gwałtownych wahaniach nastroju.

– Nie myślałem o tym – powiedział Ross. I na tym pytaniu pan Sinclair zakończył przesłuchanie, a pan Ross został wypuszczony z mównicy,

jednak przedtem – jak napisał pan Philby – *ostentacyjnie pomachał galerii, zupełnie jakby był aktorem kończącym występ teatralny, i poniekąd rzeczywiście tak właśnie było.*

Następnie oskarżyciel wezwał Ishbel Farquhar, dziewczynę opisaną w „Te Scotsman" jako skromną *różanolicą reprezentantkę najlepszych cnót kobiet z Wyżyn.* Była ubrana w fartuch bez rękawów, a włosy miała schludnie związane w warkocze. Jej widok zdawał się sprawiać Roddy'emu pewne cierpienie. Jego oczy zaczęły rzucać szybkie spojrzenia po sali sądowej, *spoczywając po kolei na wszystkim poza dziewczyną siedzącą na ławie dla świadków.*

Po wstępnych pytaniach pan Giford zapytał:

– Czy może pani opowiedzieć sądowi, jak poznała pani Florę Mackenzie?

– Przyszła do pracy w kuchni Wielkiego Domu.

– Czy pani również tam pracowała?

– Tak, sir.

– I zaprzyjaźniłyście się?

– Tak.

Panna Farquhar mówiła tak cicho, że sędzia poprosił ją, by mówiła głośniej, bo przysięgli nie słyszą jej odpowiedzi.

– Czy była pani z Florą Mackenzie na jarmarku w Applecross po południu dnia trzydziestego pierwszego lipca?

– Tak, sir, byłam.

Po usłyszeniu imienia przyjaciółki panna Farquhar zaczęła płakać, a pan Giford szarmancko wyjął z kieszeni chustkę i podał jej. Gdy dziewczyna się uspokoiła, zastępca prokuratora generalnego przeprosił, że ją zasmucił.

– Toczy się tutaj jednak proces najwyższej wagi – ciągnął – i konieczne jest, aby złożyła pani zeznania, które są dla tej sprawy bardzo istotne.

– Postaram się, sir – odrzekła panna Farquhar.

– Czy Flora kiedykolwiek rozmawiała z panią o oskarżonym?

– Tak, sir, rozmawiała.

– Co mówiła?

– Raz czy dwa była z nim na przechadzce i lubiła go bardzo, ale miewał dziwne pomysły i czasem mówił dziwne rzeczy.

– Jakie dziwne pomysły?

– Nie wiem.

– Nie powiedziała pani?

– Nie.

– Czy może pani powiedzieć nam, co pani robiła tuż przed tym, jak tamtego popołudnia poznała pani oskarżonego i jego przyjaciela Archibalda Rossa.

– Przechadzałyśmy się po terenach Wielkiego Domu.

– I podszedł do was Archibald Ross wraz z oskarżonym?

– Tak.

– W jakim stanie byli?

– Byli pijani.

– Obaj?

– Roddy bardziej.

– Jak bardzo był pijany?

– Miał trudności z mówieniem i zataczał się.

– Lecz pozwoliłyście im sobie towarzyszyć?

– Tak.

– I poszłyście z nimi do lasu w pobliże potoku?

– Tak. Wydawało się, że nie ma w tym nic złego – dziewczyna znów zaczęła płakać.

– Zatem nie uważała pani oskarżonego za osobę niebezpieczną lub za kogoś, kto mógłby skrzywdzić panią albo Florę?

– Nie znałam go.

– Proszę opowiedzieć, co wydarzyło się w lesie.

– Gdy dotarliśmy do potoku, pan Ross wziął mnie pod ramię, powiedział, że chce mi coś pokazać i zaprowadził mnie na mostek.

– A czy oskarżony i Flora Mackenzie towarzyszyli wam na mostku?

– Poszli dalej wzdłuż ścieżki przy potoku.

– Co zdarzyło się później?

– Pan Ross przechylił się przez mostek i zaczął mówić o pstrągach i łososiach w rzece, ale ja nie widziałam żadnych ryb.

– A potem?

– Potem próbował mnie pocałować.

– Gdzie próbował panią pocałować?

Panna Farquhar nie odpowiedziała, ale dotknęła ręką szyi.

– Czy pozwoliła pani pocałować się panu Rossowi?

– Nie pozwoliłam.

– Co pani zrobiła?

– Odsunęłam się od niego, ale przytrzymał mnie za ramię i nie puszczał, a potem…

– Proszę kontynuować, panno Farquhar.

– Potem złożył mi niestosowną propozycję.

– Propozycję natury seksualnej?

– Tak, sir.

– Rozumiem. Jak pani zareagowała?

– Wystraszyłam się, bo ściskał moje ramię. Wtedy Flora wróciła ścieżką wzdłuż potoku, pan Ross puścił mnie i ruszyłyśmy w stronę Wielkiego Domu.

– Szła czy biegła?

– Biegła.

– A czy Flora Mackenzie opowiedziała pani, co wydarzyło się, gdy była sama z oskarżonym?

– Powiedziała, że Roddy zachowywał się grubiańsko i próbował ją dotykać, a ona uderzyła go w twarz.

Pan Giford przeprosił za swą dociekliwość, po czym zapytał:

– Czy wskazała, gdzie oskarżony ją dotykał?

W tym momencie, jak zrelacjonował pan Philby, więzień *wykazał większe wzburzenie niż w jakimkolwiek innym momencie procesu. Jego policzki stały się całkowicie purpurowe, pocierał rękami kolana i wyglądał, jakby kurczył się w sobie. Nie okazywał żadnej skruchy z powodu zamordowania trzech osób, ale zdawał się odczuwać pewien wstyd z powodu zalotów do nieszczęsnej panny Mackenzie.*

Dziewczyna spuściła wzrok i przez kilka chwil nie odpowiadała.

– Panno Farquhar, czy Flora mówiła, że oskarżony próbował dotykać intymnych części jej ciała?

Skinęła głową, a sędzia uznał, że odpowiedź była twierdząca.

– Czy chce pani dodać coś jeszcze?

– Nie, sir.

Wówczas pan Giford podziękował za zeznania i zakończył przesłuchanie. Pan Sinclair nie miał żadnych pytań.

Ostatnim świadkiem wezwanym przez prokuratora był lekarz Hector Munro, *mały i niezgrabny mężczyzna o rumianej cerze i bokobrodach*

przypominających kotlet z baraniny. Wyglądał pod każdym względem – jak napisał filuterny pan Philby – *jakby utrzymywał bliską zażyłość z pewnym wielmożnym panem J. Walkerem.*

Doktor Munro był lekarzem ogólnym i zeznał, iż jest zatrudniony jako lekarz w więzieniu w Inverness.

Pan Giford: – Jaki jest zakres pańskich obowiązków zawodowych?

Doktor Munro: – Zajmuję się ogólnym zdrowiem osadzonych. – Czy do pańskich obowiązków należało również przebadanie obecnego tu oskarżonego, Rodericka Macrae?

– Tak.

– Czy zrobił pan to?

– Tak.

– A czy badał pan oskarżonego jedynie po to, by ocenić jego kondycję fizyczną?

– Nie. Zostałem poproszony przez prokuratora również o ocenę psychicznego stanu oskarżonego.

– Aby ustalić, czy więzień jest zdrowy psychicznie?

– Tak.

– Czy może pan powiedzieć coś o stanie fizycznym więźnia?

– Uważam, że ogólnie jest zdrowy, choć cierpi na lekki szkorbut. Bez wątpienia jest to skutek miernego wiktu.

– Ale poza tym jest zdrowy?

– Tak. A nawet dość energiczny.

– A jeśli chodzi o jego stan psychiczny, czy może pan nam powiedzieć, jakimi metodami próbował pan go określić?

– Przez jakiś czas rozmawiałem z oskarżonym.

– O zbrodniach, których się dopuścił?

– Tak, o zbrodniach oraz ich ogólnych okolicznościach.

– Czy więzień rozmawiał z panem w cywilizowany sposób?

– Jak najbardziej tak.

– Zatem jak ocenia pan stan psychiczny oskarżonego?

– Według mnie jest w pełni władz umysłowych.

– W pełni władz umysłowych – powtórzył pan Giford, wymawiając te słowa niezwykle dobitnie. – A na jakiej podstawie doszedł pan do tego wniosku?

– Więzień był świadomy swojego otoczenia i tego, dlaczego tam się znalazł. Odpowiadał na pytania w sposób jasny i przemyślany, nie okazując żadnych oznak urojeń czy zaburzeń rozumowania. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że jest jednym z najbardziej elokwentnych i inteligentnych więźniów, jakich spotkałem.

– Jednym z najbardziej elokwentnych i inteligentnych więźniów, jakich pan spotkał. To odważne twierdzenie, doktorze Munro.

– Taka jest moja opinia.

– A czy pytał pan więźnia o zbrodnie, o które jest oskarżony?

– Pytałem.

– Jak brzmiała jego odpowiedź?

– Bez wahania przyznał się do ich popełnienia.

– Czy możliwym jest, że powiedział to, bo chciał pana zadowolić lub wierzył, że właśnie to chce pan usłyszeć?

– Nie mogę wypowiadać się w kwestii motywów więźnia, ale o ile dobrze pamiętam, zadałem mu to pytanie w całkowicie neutralny sposób.

– W jaki dokładnie?

– Powiedziałem, że słyszałem o pewnych zbrodniach, które miały miejsce w jego wiosce, i spytałem, czy wie coś na ich temat.

– A jak brzmiała jego odpowiedź?

– Bez wahania odrzekł, że je popełnił.

– A czy pytał go pan, jakie motywy nim kierowały?

– Pytałem. Odparł, że zrobił to, by wybawić swego ojca od udręk przysparzanych mu przez ofiarę.

– Ofiarę, czyli Lachlana Mackenziego?

– Tak.

– Czy dokładnie tak to ujął: wybawić swojego ojca od udręk, jakich mu przysporzono?

– Tak sądzę, mniej więcej.

– Czy pytał go pan o pozostałe ofiary?

– Nie konkretnie.

– A czy uważa pan, że jego odpowiedzi były zgodne z prawdą?

– Nie mam powodu, by mu nie wierzyć.

– Czy zadawał pan oskarżonemu jakieś inne pytania związane ze zbrodniami?

– Zapytałem, czy odczuwa skruchę.

– I co odpowiedział?

– Odpowiedział, że nie.

– Nie czuł skruchy za zamordowanie trzech osób?

– Nie, sir.

– Czy nie uderzyła pana niezwykłość tej sytuacji? Nie widział pan w tym oznak tego, że oskarżony nie jest w pełni władz umysłowych?

– Z doświadczenia wiem, że więźniowie rzadko wyrażają skruchę za swoje czyny. Żal, który mogliby odczuwać, zazwyczaj ogranicza się do ubolewania nad tym, że zostali złapani.

Ta ostatnia uwaga na moment rozluźniła atmosferę na sali, a sędzia zezwolił, by salwa śmiechu ucichła samoistnie.

– Zatem według pańskiej zawodowej opinii brak skruchy nie jest symptomem utraty zmysłów?

– Bynajmniej, sir.

– Czy jest pan świadomy, że oskarżony opiera swą obronę na niepoczytalności i twierdzeniu, że popełniając zbrodnie nie był w pełni władz umysłowych?

– Jestem tego świadomy.

– Czy uważa pan, że oskarżony jest niepoczytalny?

– Nie.

– Czy to możliwe, że gdy dokonywał zbrodni, działał w stanie niepoczytalności?

– Biorąc pod uwagę jego relację z ich popełnienia oraz logiczne łączenie faktów, nie sądzę, by był wówczas niepoczytalny.

Pan Giford podziękował świadkowi i zakończył przesłuchanie. Pan Sinclair wstał.

– Jak długo jest pan zatrudniony na stanowisku lekarza zakładowego w więzieniu Inverness? – spytał.

– Około ośmiu lat.

– Przez ten okres z pewnością przebadał pan dużą liczbę więźniów.

– W istocie.

– Jaki procent przebadanych przez pana więźniów uznałby pan za niepoczytalnych?

– Nie sądzę, bym mógł udzielić dokładnej odpowiedzi.

– Połowę? Więcej niż połowę? Mniej niż połowę?

– O wiele mniej niż połowę.

– Czy mógłby pan być bardziej konkretny?

– Bardzo niewielu.

– Dziesięciu na stu? Pięciu na stu?

– Może jednego na sto.

– Jednego na stu? To rzeczywiście niewielu – wykrzyknął pan Sinclair. – A co sprowadziło do pańskiego więzienia pozostałych dziewięćdziesiąt dziewięć osób?

– Popełnili jakieś zbrodnie lub inne przestępstwa albo zostali o nie oskarżeni.

– A dlaczego te pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć procent popełniło swoje zbrodnie?

Doktor Munro zdawał się nieco speszony zmianą tonu przesłuchania. Popatrzył na sędziego, który jedynie wskazał, że świadek powinien odpowiadać na zadawane mu pytania.

– Gdybym był zmuszony wyrazić swoje zdanie, powiedziałbym, że zrobili to, co zrobili, ponieważ nie byli w stanie kontrolować swoich podłych popędów.

– Popędów, które każą im kraść lub atakować innych ludzi?

– Tak, na przykład.

– Ale czy niezdolność kontrolowania instynktów nie wskazuje według pana na utratę zmysłów?

– Nie, sir.

– Czyli są po prostu złymi ludźmi?

– Jeśli tak to pan nazywa.

– Jakby pan to nazwał?

– Powiedziałbym, że są przestępcami, sir.

Pan Sinclair zrobił dramatyczną przerwę i, patrząc na panów z ławy przysięgłych, zapytał:

– Zatem u dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzi, których przebadał pan na swoim stanowisku lekarza ogólnego w tutejszym więzieniu, nie znalazł pan żadnych oznak niepoczytalności.

– Zgadza się.

– Czy byłoby prawdą stwierdzenie, że podczas badania więźniów w areszcie nie skupia się pan na oznakach niepoczytalności?

– Tak, generalnie moje badania są ograniczone do badań zdrowia fizycznego więźniów.

– Czy uważa pan siebie za eksperta w dziedzinie antropologii kryminalnej?

– Z uwagi na to, że badam więźniów od ośmiu lat, mogę powiedzieć, że posiadam pewne doświadczenie.

– Czy uważa pan siebie za eksperta w dziedzinie psychologii kryminalnej?

– Tak.

– Czy mógłby pan wyjaśnić znaczenie pojęcia *niepoczytalność moralna?*

– Nie jest mi ono znane.

– Czy mógłby pan wyjaśnić znaczenie pojęcia *mania bez delirium?*

Doktor Munro potrząsnął głową.

– To pojęcie także nie jest panu znane. Czy są panu znane badania pana Philippe'a Pinela?[16]

– Nie.

– Czy są panu znane prace doktora Jamesa Cowlesa Prichara?

– Słyszałem o nim.

– Zatem czytał pan jego *Traktat o niepoczytalności i innych zaburzeniach umysłu?*

– Nie przypominam sobie.

– Czy zeznał pan, że nie przypomina pan sobie lektury najważniejszego tekstu z zakresu współczesnej psychologii przestępców, czyli dziedziny, w której czuje się pan specjalistą?

– Moja wiedza specjalistyczna opiera się na moim doświadczeniu w badaniu osobników z kręgów przestępczych.

– Kręgów, które, jak pan sam to ocenił, zawierają zaledwie nieznaczny procent ludzi działających pod wpływem zaburzeń umysłu.

– Tak.

– Czy biorąc pod uwagę, że został pan tu dziś wezwany, by złożyć zeznanie w niezwykle ważnym procesie, sądzi pan, że jako ekspert powinien pan zapoznać się z obecnymi odkryciami w tej dziedzinie?

– Nie sądzę, by jakikolwiek lekarz wezwany do zbadania oskarżonego doszedłby do innego wniosku niż ja.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze Munro, ale nie o to pytałem. Pytanie, jakie panu zadałem, brzmi: czy jako tak zwany ekspert w dziedzinie psychologii kryminalnej, a użycie tego terminu jest w tym przypadku kluczowe, nie powinien pan posiadać pełnej wiedzy w zakresie odkryć tej dziedziny?

Wówczas poczciwy doktor, jak napisał pan Philby, *poczuł się mocno speszony i rozglądał się wokół siebie, jakby wierzył, że znajdzie butelkę whisky ukrytą gdzieś w mównicy.*

Pan Sinclair nie naciskał na odpowiedź, bez wątpienia licząc na to, że milczenie świadka będzie bardziej wymowne niż jakiekolwiek jego słowa. Zamiast tego przybrał bardziej pojednawczy ton:

– Przepraszam, jeśli wymagam za dużo – zaczął. – Może byłoby bardziej pomocne, gdyby powiedział pan ławie przysięgłych, jakie wykształcenie zdobył pan w zakresie psychologii kryminalnej?

Doktor Munro spojrzał błagalnie na sędziego, który gestem ręki nakazał mu odpowiedzieć.

– Nie posiadam takiego wykształcenia.

Pan Sinclair, wyraźnie delektujący się zwrotem procesu, skierował w stronę przysięgłych spojrzenie pełne wielkiego zdziwienia.

– Czy zatem trafniejszym byłoby nazwanie pana samoukiem w tej dziedzinie?

– Tak, to byłoby trafniejsze – odparł lekarz.

– Zatem skoro nie czytał pan ani dzieł doktora Pricharda, ani pana Pinela, może mógłby pan opowiedzieć przysięgłym o innych tekstach, z którymi się pan zapoznał.

Doktor Munro zdawał się namyślać przez jakiś czas, po czym odrzekł, że w tym momencie nie przypomina sobie żadnych konkretnych tytułów.

– Nie pamięta pan ani jednego dzieła, jakie pan przeczytał w dziedzinie, w której rzekomo jest pan ekspertem?

– Nie.

– Czy mamy w takim razie rozumieć, doktorze Munro – tutaj pan Sinclair wykonał zamaszysty gest w stronę przysięgłych – że w najmniejszym stopniu nie jest pan uprawniony do wydawania jakichkolwiek opinii na temat stanu umysłu oskarżonego?

– Sądzę, że jestem.

– Ale nie posiada pan żadnych kwalifikacji!

Świadek zdawał się tracić ochotę na dalszą obronę przed atakami adwokata, a pan Sinclair, wymownie potrząsając głową, zakończył

przesłuchanie.

Doktor Munro, wyraźnie ucieszony, że jego męka dobiegła końca, zbierał się do opuszczenia mównicy, ale został upomniany przez sędziego, że nie wolno mu jeszcze odejść. Wówczas wstał pan Giford, by ponownie przesłuchać świadka. Przeprosił doktora, że jeszcze go zatrzymuje, po czym poprosił, by przypomniał, jak długo pracuje w więzieniu Inverness. Potem zapytał, ilu więźniów przebadał na tym stanowisku.

Doktor Munro, wyraźnie doceniając, że dano mu możliwość odbudowania nadszarpniętej reputacji, odrzekł, iż niemożliwym jest określenie dokładnej liczby, więc musi uciec się do stwierdzenia, że kilkuset.

– Czy na podstawie tego doświadczenia uważa pan, że zaledwie nieznaczna część przebadanych przez pana więźniów mogłaby zostać uznana za niepoczytalnych?

– Tak, taka jest moja opinia.

– Pańska opinia medyczna?

– Tak.

– Czy rozpoznaje pan oznaki lub symptomy niepoczytalności, doktorze Munro?

– Tak.

– Czy mógłby pan nam je wymienić?

– Po pierwsze, więzień może działać pod wpływem jakiegoś urojenia…

Pan Giford przeprosił, że przerywa wypowiedź świadka.

– Czy mógłby pan wyjaśnić, co pan rozumie pod pojęciem *urojenie?*

– Mam na myśli po prostu to, że więzień wierzy w coś nieprawdziwego. Może słyszeć głosy, mieć wizje lub uważać się za kogoś, kim nie jest.

– Dziękuję. Proszę kontynuować.

– Więzień może mieć zaburzenia myślenia, to znaczy mówić w pozornie racjonalny sposób, choć jedna myśl nie podąża za następną. Jego wypowiedzi mogą też po prostu nie mieć żadnego związku z rzeczywistością.

– Coś jeszcze?

– Spotykałem więźniów, którzy bełkotali, a ich mowa nie była niczym więcej niż potokiem niezrozumiałych, niepowiązanych słów, czasem wręcz nieprzypominających normalnego języka[17]. Niektórzy więźniowe nie są w stanie zrozumieć najprostszych pytań, odpowiadają na nie w sposób błędny lub całkowicie z pytaniem niezwiązany. Wówczas mówi się, że są imbecylami, którzy z jakiegoś powodu cierpią na zaburzenia lub opóźnienia rozwoju.

Pan Giford zachęcił doktora, by mówił dalej.

– W rzadkich przypadkach więźniowie w ogóle nie reagują na otoczenie. Siedzą lub leżą w kącie celi, obojętni na bodźce, często mrucząc pod nosem lub powtarzając tę samą czynność *ad nauseam.*

– Wymienił pan wszystkie objawy – powiedział pan Giford. – W jaki sposób zdobył pan wiedzę na temat różnych form niepoczytalności?

– Dzięki kontaktom z więźniami w więzieniu Inverness.

– Ale z pewnością czasem spotyka się pan z przypadkami trudnymi do zdiagnozowania?

– Zgadza się.

– Co pan robi w takiej sytuacji?

– Konsultuję się z kolegą, sprawdzam w podręczniku lub szukam innych źródeł.

– Rozumiem. Czy według pana to konsultacje i pańskie długie doświadczenie w radzeniu sobie z przestępcami uprawniają pana do wypowiadania się na temat zdrowia psychicznego danej osoby?

– Tak.

– Zanim opuści pan mównicę, pozwolę sobie zadać panu jeszcze jedno pytanie. Czy podczas pańskiego badania obecnego tu oskarżonego okazywał on jakiekolwiek oznaki niepoczytalności lub zachowywał się w któryś ze sposobów przed chwilą przez pana opisanych?

– Nie.

– Nie miał urojeń?

– Nie.

– Nie miał zaburzeń myślenia?

– Nie.

– Czy wiedział, gdzie jest, i był świadomy okoliczności, które sprawiły, że się tam znalazł?

– Tak.

– Czy według pańskiej zawodowej opinii może on zostać uznany za niepoczytalnego lub chorego umysłowo?

– Nie.

Po tym słowie pan Giford posłał obrońcy miażdżące spojrzenie i bez dalszych teatralnych gestów zakończył przesłuchanie. Doktor Munro opuścił mównicę i ze spojrzeniem pełnym wdzięczności posłanym w stronę zastępcy prokuratora generalnego, *wydreptał z sali, z pewnością marząc o znalezieniu schronienia w najbliższej oberży.*

Zgodnie ze zwyczajem panującym wówczas w szkockich sądach, po przesłuchaniu ostatniego świadka oskarżenia sędzia odczytał oświadczenie oskarżonego. Było to jedyne prawo głosu, na jakie zezwalano oskarżonemu podczas procesu.

Nazywam się Roderick John Macrae, mam siedemnaście lat. Pochodzę z Culduie w hrabstwie Ross i mieszkam tam w najdalej wysuniętym na

północ domu wraz z moim ojcem, Johnem Macrae, chłopem. W związku z oskarżeniem mnie o spowodowanie śmierci Lachlana Mackenziego, lat trzydzieści osiem, Flory Mackenzie, lat piętnaście oraz Donalda Mackenziego, lat trzy, poprzez zadanie ciosów motyką i szpadlem w ich domu dnia dziesiątego sierpnia bieżącego roku, oświadczam, iż jestem odpowiedzialny za śmierć wyżej wymienionych osób. Tamtego poranka udałem się do domu Lachlana Mackenziego uzbrojony w narzędzia z zamiarem zabicia go. Zabiłem Lachlana Mackenziego w ramach odpłaty za cierpienie, jakiego przysporzył mojemu ojcu i całej mojej rodzinie. Nie miałem zamiaru zabijać Flory Mackenzie ani Donalda Mackenziego. Musiałem to uczynić, gdyż byli obecni w domu i nie chciałem, aby podnieśli alarm. Myślę, że powodzenie mojego przedsięwzięcia powinno zostać przypisane Opatrzności i takoż przyjmę wszystko, co Opatrzność mi ześle. Jestem zdrowy psychicznie i składam to oświadczenie dobrowolnie i bez przymusu. Wszystko, co jest w nim zawarte, jest prawdą.

[Podpis]
Roderick John Macrae

Faza oskarżenia dobiegła końca. Ponieważ zbliżała się godzina szesnasta, sąd rozpoczął naradę na temat odroczenia procesu na kolejny dzień. Pan Sinclair bez wątpienia czuł się zaniepokojony tym, że przysięgłym przez całą noc będą dźwięczeć w uszach słowa oświadczenia Roddy'ego o swojej własnej poczytalności. Opowiadał się za kontynuacją rozprawy. Pan Giford twierdził, że nie ma możliwości zakończenia rozprawy do końca dnia i upierał się, by wznowić proces nazajutrz wczesnym rankiem. Dyskusja, przynajmniej ze strony pana Sinclaira, stała się dość ekspresyjna, ale sędzia po wymianie szeptem kilku zdań z kolegami oświadczył, że proces zostanie wznowiony rankiem dnia następnego. Twarz pana Sinclaira, jak

relacjonował „Te Scotsman", *całkowicie zbrunatniała i słyszano, jak obrońca dość wyraźnie mamrotał o zmowie przeciwko jego klientowi, za co otrzymał surowe upomnienie od sędziego i za co natychmiast przeprosił.*

Bez względu na odczucia pana Sinclaira na temat niewątpliwie rozsądnej decyzji sędziego, taki przejaw rozdrażnienia w obecności przysięgłych z pewnością nie poprawił sytuacji oskarżonego. Sędzia powtórzył przysięgłym pouczenia z dnia poprzedniego, po czym sala opustoszała. Publiczność opuszczała galerię w nastroju *nieco zbliżonym do nastroju uczniów wybierających się na wakacje.*

Wieczorne wydania gazet zawierały barwne relacje z przesłuchań doktora Munro, a „Inverness Courier" donosił, iż *w gospodach i na ulicach miasta nie rozmawiano na żaden inny temat. Szczęśliwcy, którzy śledzili proces z widowni, udzielali audiencji niczym wielcy mędrcy i do późnej nocy dyskutowano, czy ów nieszczęśnik skończy na szubienicy.*

Wśród reporterów zdania również były podzielone. Relacja z „Te Scotsman" na temat drugiego dnia rozprawy zakończyła się słowami: *iskra nadziei, która pojawiła po mistrzowskim obaleniu stanu wiedzy doktora Munro, została natychmiast zgaszona przez oświadczenie z ust samego więźnia o jego pełnej poczytalności. Teraz jedynie zdumiewający zwrot sytuacji mógłby przekonać przysięgłych, że nieszczęsny chłop nie ponosi winy za popełnione zbrodnie.*

Jednak według Johna Murdocha piszącego dla „Courier" sprawa nie była tak oczywista: *Pomimo iż nie można zakwestionować zręczności, z jaką pan Gifford zaprezentował oskarżenie, przysięgli usłyszeli wystarczająco dużo na temat dziwnych zachowań oskarżonego, a to musiało zasiać ziarno wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego.*

W wydaniu „Te Times" z następnego poranka pan Philby napisał: *Jest rzeczą nadzwyczajną, że obrona w takim procesie opiera się tylko na*

jednym świadku, ale trzeba przyznać, że rozprawa Rodericka Macrae nie jest rozprawą zwyczajną. Istotą procesu nie są fakty, tylko stan umysłu sprawcy, którego nie zna nikt lub znać mogą jedynie nieliczni. Oskarżony w trakcie rozprawy zachowuje się w sposób skromny i pełen szacunku, do tego stopnia, że trudno uwierzyć, iż dokonał brutalnych zbrodni będących przedmiotem rozprawy. A jednak popełnił je, a skoro ktoś zdolny do takiego szaleństwa może potem siedzieć przez dwa dni cicho jak mysz pod miotłą, obserwatorzy mogą się jedynie zastanawiać nad istnieniem rodzaju obłędu niewymienionego przez doktora Hectora Munro. A przeto na barkach Jamesa Bruce'a Thomsona spoczywa wielkie brzemię, ponieważ to właśnie on dzierży dalszy los Rodericka Macrae w swoich rękach.

* * *

DZIEŃ TRZECI

Nie tylko pan Philby przywiązywał dużą wagę do zeznań pana Tomsona. Przybycia eksperta do sali sądowej wyczekiwano z większą ekscytacją niż jakiegokolwiek innego punktu procesu od chwili wprowadzenia oskarżonego na salę pierwszego dnia. Pan Tomson w obcisłym garniturze i ze złotym zegarkiem kieszonkowym zwisającym na łańcuszku przecinającym klatkę piersiową, zajął miejsce na ławie świadków z bardzo poważną miną. Jak pisał redaktor „Te Times": *wyniosłym spojrzeniem zmierzył galerię dla publiczności, a następnie jął świdrować wzrokiem sędziów, prokuratora i obrońcę z niemniej arogancką miną. Słynny psychiatra najwyraźniej uważał się za głównego aktora tej odsłony spektaklu.*

Sędzia zaprowadził spokój na sali, a gdy dopełniono wszelkich formalności, pan Sinclair zaczął przesłuchanie, pytając świadka o jego zawód.

Pan Tomson: – Jestem rezydentem w szkockim więzieniu ogólnym w Perth.

– Od jak dawna piastuje pan to stanowisko?

– Od około czternastu lat.

– Ilu więźniów przebadał pan w tym czasie?

– Około sześciu tysięcy.

– Czy badał pan zarówno ich stan fizyczny, jak i psychiczny?

– Tak.

– Czy to prawda, że szczególną uwagę poświęcał pan kondycji psychicznej więźniów będących pod pańską opieką?

– Tak, to prawda.

– Czy powiedziałby pan, że posiada rozległą wiedzę specjalistyczną w badaniu stanu psychicznego przestępców?

– Bez fałszywej skromności powiedziałbym, że tak.

– Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

– Prócz wieloletniego doświadczenia w badaniu więźniów zgłębiłem również dostępną literaturę w tej dziedzinie. Zostałem przyjęty do Towarzystwa Medyczno-Psychologicznego, gdzie poproszono mnie, bym wygłosił wykład na temat wpływu więzienia na psychikę więźniów. Mój artykuł o epilepsji wśród więźniów został opublikowany w „Edinburgh Monthly Journal", a wkrótce opublikuję w „Journal for Mental Science" kolejne prace poświęcone psychologicznym i dziedzicznym aspektom zbrodni.

– Taki dorobek robi wielkie wrażenie, sir – powiedział pan Sinclair. – Czy miałbym słuszność, mówiąc, że przestępcy uznani za niepoczytalnych trafiają do pańskiego zakładu?

– Zgadza się.

– Zatem posiada pan duże doświadczenie zarówno z tak zwanymi ogólnymi kręgami przestępczymi, jak i z przestępcami niepoczytalnymi?

– W istocie.

– A czy mógłby pan nakreślić różnicę między zwykłymi przestępcami a tymi, którzy są uznawani za moralnie niepoczytalnych?

– Podobieństwo spoczywa w tym, że przestępcy obu tych grup posiadają ograniczone poczucie moralności. Lecz tych moralnie niepoczytalnych na drogę zbrodni sprowadza dziedziczność i w większości przypadków jest to nieuleczalne. Obecnie istnieje klasa przestępcza, która zamieszkuje zatłoczone dzielnice biedoty w naszych miastach. Tym ludziom od urodzenia towarzyszy zbrodnia, dorastają w niej i są jej uczeni. Przeto można by się sprzeczać, czy ci przestępcy naprawdę mogą być pociągani do odpowiedzialności za swoje czyny, albowiem urodzili się w określonych warunkach i są bezsilni wobec tyranii otaczających ich realiów.

Jak zauważył pan Murdoch: *w rytmie i intonacji przemowy psychiatry była magia podobna do kazań kaznodziei Kościoła Wolnego.*

– A czy możliwe jest – spytał pan Sinclair – odróżnienie członków tej dziedzicznej klasy przestępczej, o której pan mówi, od pozostałych rzezimieszków?

– Z całą pewnością.

– W jaki sposób?

– Z powodu odrażających warunków, w których te kolonie się rozmnażają, a także wskutek braku poszanowania zasad pokrewieństwa,

pojawiają się wśród nich wynaturzenia takie jak zniekształcenie kręgosłupa, jąkanie, niedorozwinięcie organu mowy, deformacje stóp, rozszczep podniebienia, zajęcze wargi, głuchota, wrodzona ślepota, epilepsja, skrofuloza i tak dalej. Tym schorzeniom towarzyszy zazwyczaj słabość umysłowa lub kretynizm. Osobnicy, którym zbrodnia towarzyszy od urodzenia, są tak różni od uczciwie pracującego człowieka jak czarna owca od rasy szewiotów[18].

– Czy to prawda, że przyjechał pan do Inverness, aby zbadać obecnego tu oskarżonego?

– Owszem, przyjechałem, sir. Na pańską prośbę.

– Czy zbadał pan więźnia?

– Zbadałem.

– Jakie były wyniki tego badania?

– Zauważyłem, że pod względem budowy ciała wykazuje pewne cechy charakterystyczne dla dziedzicznej klasy przestępczej.

– Jakie dokładnie są to cechy?

– Jego wzrost jest niższy niż przeciętny, czaszka jest zniekształcona; uszy anormalnie duże i obwisłe. Oczy są małe i blisko osadzone, a brwi, co każdy może zaobserwować, krzaczaste i sterczące. Skóra jest blada i niezdrowa, choć przypisałbym to raczej nieodpowiedniej diecie niż jakimkolwiek czynnikom dziedzicznym.

– Czy w celu ustalenia obciążeń dziedzicznych podejmował pan jakieś działania poza badaniem ciała?

– Owszem. W pańskim towarzystwie udałem się do miejsca zamieszkania oskarżonego, czyli do wsi Culduie w hrabstwie Ross.

– Dlaczego uznał pan tę podróż za konieczną?

– Uważam, że jeśli ktoś widzi szklankę brudnej wody, musi sprawdzić studnię.

Sędzia poprosił psychiatrę o wyjaśnienie tej figury retorycznej.

– Tego, czy indywidualne cechy wynikają z dziedziczności, nie można ustalić wyłącznie na podstawie badania fizycznego. Należy również sprawdzić źródło, które je wydało – wyjaśnił pan Tompson.

Pan Sinclair: – Co pan odkrył podczas swojej wizyty w Culduie?

– Tamtejszych mieszkańców ogólnie charakteryzuje zła kondycja fizyczna, mała postura i nieatrakcyjny wygląd, co bez wątpienia ma swoje źródło w powszechnym krzyżowaniu się z sąsiadami. Tę teorię potwierdza częstość występowania w okolicy określonych nazwisk. Warunki życia oskarżonego i jego rodziny uznałem za całkowicie urągające ludzkim normom. W ich ruderze, bo nie odważyłbym się nazwać tego domem, brakuje wentylacji i urządzeń sanitarnych, a ponadto rodzina mieszka razem ze zwierzętami. Opóźnienie umysłowe ojca, z którym rozmawiałem przez kilka minut, osiąga w moim przekonaniu poziom kretynizmu. Matka oskarżonego zmarła przy porodzie, co w naszej nowoczesnej epoce jest prawdopodobnie wskaźnikiem wrodzonej słabowitości. Siostra więźnia popełniła samobójstwo, co potwierdza pewną słabość umysłu tego nieszczęsnego klanu. Nie miałem okazji zbadać młodszego rodzeństwa oskarżonego, gdyż zostało ono zabrane i wzięte pod opiekę w inne miejsce. Niemniej powiedziałbym bez wahania, że oskarżony wywodzi się z niższej niż typowa rasy fizycznej.

– Czy twierdzi pan, iż oskarżony należy do dziedzicznej klasy przestępczej, którą przed chwilą tak elokwentnie pan opisał?

– Z uwagi na linię obrony w tym procesie jestem świadom, że oczekuje pan odpowiedzi twierdzącej. Lecz pomimo iż oskarżony przypomina wyglądem miejski pomiot przestępczy i bez wątpienia jest to pochodna jego niskiego pochodzenia, nie zakwalifikowałbym go do klasy przestępczej,

której przedstawiciele rodzą się w zbrodni i na których zbrodnia wywiera silny wpływ.

W tym momencie panu Sinclairowi *grunt wyraźnie usunął się spod nóg.* Niepewnym tonem poprosił pana Tomsona, by rozwinął swoją myśl.

– To całkiem proste, panie Sinclair. Przyczyn zbrodni należy szukać nie tylko w materiale genetycznym przestępcy, ale również w jego środowisku. Podczas gdy ludziom wykształconym, takim jak my, osada wyżynna może wydawać się jedynie skupiskiem ruder, w istocie jest rajem w porównaniu z ubogimi dzielnicami zamieszkałymi przez miejskich łotrów. Powietrze w Culduie jest czyste i łagodne i choć ludzie żyją tam w ubóstwie, większa ich część pracuje uczciwie na roli lub wykonuje jakąś inną pracę fizyczną. Drobne kradzieże i oszustwa są w tamtych stronach praktycznie nieznane. Przeto ci ludzie, bez względu na to, jak niska jest ich fizyczna natura i jak ograniczone są ich zdolności umysłowe, nie rodzą się i nie wychowują w atmosferze przestępczości. Być może obecny tu oskarżony został zrodzony do życia niegodnego cywilizowanego człowieka, ale nie został zrodzony do zbrodni.

Nastała krótka przerwa, podczas której pan Sinclair konsultował się ze swoim asystentem. Według relacji pan Giford *rozsiadł się wygodnie i gdyby nie było to niestosowne, prawdopodobnie położyłby nogi na stole.* Publiczność na galerii, może jeszcze nie w pełni świadoma znaczenia niedawnych słów, szeptała gorączkowo. Sędzia zdawał się być zadowolony z powstałej przerwy. Po chwili odpoczynku zapytał pana Sinclaira, czy zakończył przesłuchanie świadka. Adwokat zaprzeczył i pośpiesznie zadał świadkowi kolejne pytanie:

– Słyszeliśmy zeznanie doktora Hectora Munro, lekarza z miejscowego więzienia, który oświadczył, że oskarżony nie okazuje żadnych

zewnętrznych oznak niepoczytalności lub niedorozwoju umysłowego. Czy zgadza się pan z tą oceną?

– Zgadzam się.

– A czy zgadza się pan również z tym, że jest możliwe, by osoba, która nie okazuje takich oznak, mogła zostać uznana za niepoczytalną?

– Tak, zgadzam się.

– Jak to możliwe?

– Na przestrzeni ostatnich dekad nasze rozumienie funkcji, czy właściwie dysfunkcji umysłu, bardzo się poszerzyło dzięki pracom moich kontynentalnych i angielskich kolegów. W dziedzinie antropologii kryminalnej panuje obecnie powszechna akceptacja stanu moralnej niepoczytalności czy też „manii bez delirium", jak bywa to czasem określane.

– Czy mógłby pan opisać, co ten stan dokładnie oznacza?

– Krótko mówiąc, polega on na chorobliwym wypaczeniu uczuć bez jakiegokolwiek towarzyszącego temu upośledzenia zdolności intelektualnych. W efekcie osobnik może zdawać się w pełni świadom rzeczywistości i zachowywać się całkowicie racjonalnie podczas rozmowy, lecz jednocześnie może być całkowicie pozbawiony poczucia moralności. Przejawia się to w typowej naturze drobnego przestępcy, który nie potrafi powstrzymać się od kradzieży, a także w przypadku poważniejszych przestępców, którzy dopuścili się morderstw, gwałtów lub dzieciobójstwa i nie odczuwają najmniejszej choćby skruchy. Osoby moralnie niepoczytalne są całkowicie niezdolne do stawiania oporu swoim agresywnym czy przestępczym popędom. Tych nieszczęśników cechuje przewaga złych uczuć, często objawiających się przy najbardziej trywialnej prowokacji. Widzą wrogość tam, gdzie jej nie ma, i folgują sobie,

fantazjując na temat zemsty i łobuzerki. Z tych fantazji rodzą się potem czyny, od których nie mogą się powstrzymać.

– Czy zatem poświadcza pan, że takie jednostki nie są odpowiedzialne za czyny, które popełniają?

– Nie mogę wydawać opinii prawnej, ale z punktu widzenia psychologii kryminalnej uważam, że nie powinni być uznawani za winnych w sposób powszechnie przyjęty, gdyż takie jednostki z jakiegoś powodu urodziły się bez poczucia moralności. Nie posiadają typowych mechanizmów kontrolnych i równowagi cywilizowanych mężczyzn i kobiet. Nie mogą zatem zostać uznani za całkowicie odpowiedzialnych za swoje czyny. Są moralnymi kalekami i nie są temu bardziej winni niż osoba niedorozwinięta umysłowo.

Po tych słowach sąd poprosił pana Sinclaira, by przeszedł od tych *niewątpliwie fascynujących* rozważań ogólnych do przedmiotu rozprawy. Pan Sinclair zgodził się, choć wspomniał jeszcze, iż zaznajomienie przysięgłych z najnowszymi odkryciami w dziedzinie psychologii kryminalnej uważa za niezbędne.

– Tu, na tej sali – kontynuował – sędzia odczytał oświadczenie, w którym więzień otwarcie przyznaje, że jest poczytalny. Czy na podstawie pańskiego długiego doświadczenia w radzeniu sobie z kręgami przestępczymi dopuszcza pan możliwowść, iż osoba skladająca takie oświadczenie może w rzeczywistości być niepoczytalna?

– Tak, jak najbardziej jest to możliwe – odrzekł pan Tomson.

– Jak to?

– Jeśli oskarżony działa pod wpływem jakiegoś urojenia, jest ono dlań tak rzeczywiste jak dla nas ta sala rozpraw. Jeśli osoba jest niepoczytalna, jest ona z definicji niezdolna do określenia swojego rzeczywistego stanu.

– Rozumiem – powiedział pan Sinclair i umilkł na chwilę, by pozwolić przysięgłym na przyswojenie tych informacji. – Jak w tym kontekście oceniłby pan deklarację więźnia na temat jego poczytalności?

– Jako absolutnie bezwartościową.

– Jako absolutnie bezwartościową – powtórzył pan Sinclair z wymownym spojrzeniem w stronę przysięgłych.

Do przesłuchania włączył się sędzia:

– Dla jasności, panie Tomson, czy pańskie zeznanie sugeruje, że oskarżony jest niepoczytalny?

– Moje zeznanie oznacza wyłącznie to, że gdyby oskarżony *był* niepoczytalny, nie byłby świadomy tego faktu. Stwierdzenie własnej niepoczytalności stanowi sprzeczność logiczną, albowiem wysnucie takiego wniosku wymaga stopnia samoświadomości całkowicie różnego od tego, jaki występuje u ludzi niebędących w pełni władz umysłowych.

Sędzia naradzał się przez chwilę z panem Jerviswoodem, po czym wskazał, by pan Sinclair kontynuował przesłuchanie. Obrońca podziękował i zadał kolejne pytanie:

– Panie Tomson, zbadał pan oskarżonego, by ustalić jego stan umysłu, prawda?

– Tak.

– A jaką formę miało to badanie?

– Szczegółowo omówiłem z nim jego zbrodnie.

– I co pan odkrył?

– Oskarżony z pewnością jest dość inteligentny i posiada słownictwo bogatsze, niż można by wnioskować po niskim pochodzeniu. Rozmawiał ze mną swobodnie i bez widocznego dyskomfortu. Podobnie jak opisani przeze mnie sprawcy poważnych przestępstw, oskarżony nie okazywał

żadnej skruchy za swoje czyny. W zasadzie powiedziałbym, że z przyznania się do nich czerpał perwersyjną dumę.

– Czy właśnie to charakteryzuje jednostki cierpiące na niepoczytalność moralną?

– Rzeczywiście, takie zachowanie również jest symptomem moralnego imbecylizmu, ale samo w sobie nie oznacza niepoczytalności moralnej.

– W pańskiej odpowiedzi na moje poprzednie pytanie opisał pan osobę moralnie niepoczytalną jako… – pan Sinclair sięgnął po kartkę podaną mu przez asystenta – …osobę, którą cechuje przewaga złych uczuć, często objawiających się przy najbardziej trywialnej prowokacji.

– Zgadza się.

– Słyszeliśmy tu zeznania opisujące prowokacje zmarłego pana Mackenziego w stosunku do oskarżonego i jego rodziny.

– W istocie.

– Komuś mogły się one wydać trywialne, komuś innemu nie, ale czy pan uznałby, że pragnienie zemsty na panu Mackenziem jest oznaką niepoczytalności moralnej?

– Owszem, jeśli zaakceptowalibyśmy wersję wydarzeń oskarżonego, wówczas można by wyciągnąć uzasadniony wniosek, że mamy do czynienia z niepoczytalnością moralną.

Ponieważ był to „punkt najwyższej wagi", sędzia poprosił świadka, by wyjaśnił swoją odpowiedź.

Zwracając się bezpośrednio do sędziego, pan Tomson kontynuował:

– W wielu dyscyplinach, łącznie z moją własną, często zdarza się przyjmowanie jakiejś koncepcji za fakt tylko z tej racji, że jest ona często powtarzana. W naszym przypadku obawiam się, że pewna informacja, mianowicie ta, że więzień popełnił zbrodnię w celu wybawienia swojego ojca od tego, co uważał za akty ciemiężenia ze strony pana Mackenziego,

dzięki ciągłemu powtarzaniu została bezrefleksyjnie przyjęta przez sąd i różnych świadków. Lecz opiera się ona wyłącznie na zeznaniach oskarżonego. Osobiście nie dostrzegam żadnego szczególnego powodu, by dawać wiarę takiej wersji wydarzeń lub by przynajmniej nie poddać jej uprzednio dokładnej analizie.

Sąd: – Czy poddał ją pan takiej analizie?

– Tak.

– Jaka jest pańska opinia?

– Moja opinia jest taka, że nie ma powodu, by wierzyć jednostce, która popełniła najbardziej okrutne czyny i w dodatku się do nich przyznała. Ponadto inne wyjaśnienie zdaje się znacznie bliższe prawdy.

Pan Sinclair nie był w stanie ukryć swojego niepokoju. Wykonał gest, by przerwać przesłuchanie, ale został natychmiast uciszony.

Sędzia: – Czy ma pan takie wyjaśnienie?

– Mam – odrzekł pan Tomson.

– Zatem proszę podzielić się nim z sądem.

– Swój pogląd opieram na rozbieżnościach i przeoczeniach w relacji oskarżonego powtórzonej zarówno panu Sinclairowi, jak i mnie. Chodzi szczególnie o rozbieżności dotyczące obrażeń Flory Mackenzie, które moim zdaniem świadczą o zgoła odmiennym motywie popełnienia zbrodni. Sądzę, że gdy oskarżony podjął swój krwawy zamiar, prawdziwym celem nie była zemsta na panu Mackenziem, ale na córce tego dżentelmena, która, jak słyszeliśmy, odrzuciła jego lubieżne zaloty. W tym świetle Roderick Macrae nie był wiedziony rzekomym szlachetnym pragnieniem chronienia ojca, a jedynie popędem płciowym wobec panny Mackenzie. Przeto twierdzę, że oskarżony wybrał się do domu państwa Mackenziech, wiedząc doskonale, że pana Mackenzie nie ma w domu, i przystąpił do gwałtu jego

córki w najbardziej haniebny sposób. Przeszkodzono mu w tym i wywiązała się bójka, w której śmierć poniósł pan Mackenzie.

Zapanowała chwila ciszy, po czym na galerii wybuchł głośny szept. Sędzia wielokrotnie uderzał młotkiem, by przywrócić ład. Pan Sinclair wyglądał na całkowicie zagubionego.

Sąd: – A dlaczego ta wersja jest według pana bardziej wiarygodna niż poprzednia?

– Oczywiście nie było mnie tam w czasie morderstwa – kontynuował pan Tomson – ale rany zadane pannie Mackenzie są niezgodne z motywem opisanym przez oskarżonego. Co więcej, gdy zapytałem o to oskarżonego w areszcie, samo wspomnienie tych ran sprawiło, że zaczął okazywać oznaki zaniepokojenia. Na wizerunku, który pokazał światu, pojawiła się rysa.

Sędzia spojrzał wówczas na załamanego pana Sinclaira i nakazał mu kontynuować przesłuchanie. Jednak świadomy powagi zeznań świadka, dał obrońcy kilka chwil na zebranie myśli. Po konsultacji ze wspólnikiem pan Sinclair kontynuował.

– Gdybyśmy mieli przyjąć taką wersję wydarzeń, czy nie przemawiałoby to nawet dobitniej za utratą zmysłów niż wersja przedstawiona uprzednio?

Pan Tomson uśmiechnął się lekko do adwokata, świadomy, iż próbuje on uchronić oskarżonego od konsekwencji wydanej przed chwilą opinii.

– W prostym przypadku napaści na tle seksualnym można, lecz nie trzeba uznać, iż przestępca z powodu niezdolności kontrolowania swych niskich popędów nie jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. Lecz ten przypadek różni się nie naturą samej zbrodni, tylko fałszywymi zeznaniami sprawcy. Gdyby przyznał się wprost do motywów swojej napaści, mógłby, jak pan mówi, zostać uznany za niepoczytalnego moralnie, ponieważ nie

wiedziałby, że czyny, które popełnił, są złe. Jednak zmyślając inne wyjaśnienie, mające na celu ukrycie jego prawdziwych pobudek pod pozorami sprawiedliwości, sprawca zdradza świadomość wstydliwej natury swego prawdziwego celu. Ukrycie prawdziwego motywu ujawnia, iż oskarżony wie, że to, co uczynił, było złe. Natomiast nieszczęśnicy działający w stanie niepoczytalności moralnej są całkowicie niezdolni do odróżnienia dobra od zła. Szczerze wierzą, że jakkolwiek odrażające czyny by popełnili, są one usprawiedliwione. Jednak w tym przypadku motyw podany przez oskarżonego świadczy nie tylko o pragnieniu ukrycia prawdziwego celu napaści, ale także o zdolności oszukiwania i udawania, co nie występuje u osobników uznawanych za niepoczytalnych.

– Lecz, czy gdyby – powiedział pan Sinclair, dzielnie próbując ratować swój tok myślenia – wersja wydarzeń podana przez oskarżonego natychmiast po napaści była zgodna z rzeczywistością, osądziłby go pan jako niepoczytalnego?

– Tak.

– A ponieważ ani pan, ani żaden inny świadek nie był obecny przy popełnianiu zbrodni, nie może pan stwierdzić z całkowitą pewnością, że relacja oskarżonego jest mniej prawdziwa, niż ta, którą przedłożył pan.

– Ma pan rację, sir, co do tego, że nie byłem tam obecny. Jednak wersja wydarzeń, jaką zaprezentowałem zgadza się dokładniej z fizycznym dowodem w tej sprawie. Gdyby motywy sprawcy były takie, jak twierdził, nie byłoby żadnego powodu do zadawania tych okropnych ran nieszczęsnej pannie Mackenzie. Nawet gdyby czuł potrzebę obezwładnienia jej przed oczekiwaniem na powrót jej ojca, cios w głowę ogłuszyłby ją i byłby wystarczający. Lecz oskarżony postanowił okrutnie ją zhańbić. Nie widzę żadnego związku między tym czynem a wyznanym przez oskarżonego

pragnieniem wybawienia swego ojca od udręk, których bez wątpienia zaznał za sprawą pana Mackenziego.

– Ale musi pan przyznać, że również pierwotna interpretacja czynów oskarżonego jest możliwa?

– Inne interpretacje są możliwe, ale nie tłumaczą należycie faktów tego przypadku.

W tym momencie pan Sinclair wrócił do swojej ławy, a sędzia musiał zapytać go, czy zakończył przesłuchanie. Strona oskarżenia nie miała do świadka żadnych pytań, więc pan Tomson opuścił mównicę. Proces został odroczony do popołudnia, kiedy przysięgli wysłuchają przemówień końcowych.

Mowa końcowa oskarżyciela nie trwała dłużej niż godzinę i została wygłoszona przez pana Giforda z *miną samozadowolenia, która zirytowała niektórych członków ławy przysięgłych.* Zastępca prokuratora generalnego poprosił, aby przysięgli brali pod uwagę wyłącznie fakty. Roderick Macrae popełnił swoje czyny z premedytacją, o czym świadczy to, iż do domu Mackenziech udał się uzbrojony. W *szaleńczym akcie najwyższej brutalności* zabił tam trzy niewinne istoty.

– Pan Sinclair chce wam zamydlić oczy – powiedział. – Próbuje przedstawić swojego klienta jako imbecyla słyszącego głosy w głowie. – Przypomniał również: – Wprawdzie nie przeczę, iż oskarżony zachowywał się czasem dość ekscentrycznie, lecz żaden świadek poza Aeneasem Mackenziem nie uznał go za szaleńca. Natomiast opinia pana Mackenziego, o ile to ma jakieś znaczenie, prawdopodobnie opiera się wyłącznie na zrozumiałej niechęci do oskarżonego oraz na tym, że czasem ów śmiał się w niewłaściwych sytuacjach. Myślę, panowie, że gdyby na takiej podstawie stawiano diagnozy niepoczytalności, wszyscy znaleźlibyśmy się w zakładzie psychiatrycznym. Sugerowałbym natomiast zwrócenie uwagi

na słowa pani Carminy Murchison, która zeznała, że gdy rozmawiała z Roderickiem Macrae tuż przed popełnieniem zbrodni, był, jak to ujęła, całkowicie spokojny. Słyszeliśmy również – kontynuował – zajmujący dialog między panem Tomsonem a panem Sinclairem na temat motywów zbrodni oraz ich powiązania ze stanem umysłu oskarżonego. Lecz mimo iż ta dyskusja była bez wątpienia fascynująca, sprawiała wrażenie tańca na główce szpilki.

Potem przypomniał różne zdarzenia, do których doszło między panem Mackenziem a ojcem oskarżonego, i których kulminacją była eksmisja rodziny Macrae.

– To zapewniło motyw oskarżonemu. Motyw, ale nie usprawiedliwienie. Słyszeliśmy także, że oskarżony żywił pewne miłosne uczucia do Flory Mackenzie, które wyznał w obrzydliwy sposób, a odrzucenie zalotów mogło przyczynić się do wrogości, jaką czuł wobec rodziny Mackenziech. Być może rzeczywiście nie wiemy, bo nie możemy wiedzieć, jakie były prawdziwe motywy tej zbrodni, ale panowie, to nie ma znaczenia.

Pan Giford umilkł na chwilę przed wygłoszeniem uwag końcowych:

– Chciałbym wam przypomnieć o faktach: celowo uzbrojony Roderick Macrae udał się do domu pana Mackenziego z zamiarem zabicia. I zabił. Oskarżony, jak słyszeliśmy od licznych świadków, nie próbował oczyścić się z zarzutów i wy też nie powinniście tego robić. Jeśli natomiast wątpicie w jego poczytalność, przypomnijcie sobie opinie nie jednego, ale dwóch doświadczonych specjalistów, obu daleko bardziej wykwalifikowanych niż wy i ja, którzy przedstawili nam swój osąd na ten temat. Najpierw wysłuchaliśmy doktora Munro, człowieka o wielkim doświadczeniu w badaniu kręgów przestępczych, posiadającego niewątpliwą wiedzę na temat oznak niepoczytalności. Jego werdykt: Roderick Macrae jest nie tylko w pełni władz umysłowych, ale jest także jednym z najbardziej

elokwentnych i inteligentnych więźniów, jakich świadek przebadał. Mieliśmy także zaszczyt wysłuchania wniosków z ust pana Jamesa Bruce'a Tomsona, o którym należy pamiętać, iż był świadkiem obrony. Wiedza tego specjalisty w dziedzinie psychiatrii kryminalnej jest niepodważalna. A jego wnioski? Roderick Macrae jest w pełni poczytalnym, złym i zakłamanym człowiekiem. Mamy również oświadczenie oskarżonego, spisane bez żadnego przymusu: „Jestem poczytalny". Panowie, jedyna osoba na tej sali, która wierzy, a przynajmniej twierdzi, że wierzy w to, że oskarżony jest niepoczytalny, to mój kolega – pan Sinclair. Ale tę wiarę obalają dowody przedstawione sądowi. Ława przysięgłych – jak podsumował swą mowę pan Giford – nie dopełniłaby swego obowiązku, gdyby wydała werdykt inny niż skazujący oskarżonego za wszystkie trzy zarzuty.

Gdy pan Sinclair wstał, by wygłosić mowę końcową, nie miał miny człowieka pokonanego. Jak napisał pan Philby: *wspaniale otrząsnął się po upokorzeniu doznanym z ręki własnego świadka, a jeśli istnieje nagroda dla adwokatów najgorliwiej broniących z góry przegranych przypadków, powinna ona zostać przyznana temu mężnemu adwokatowi.*

– Szanowni panowie, fakty tej tragicznej sprawy są, jak stwierdził mój uczony kolega, oczywiste – zaczął, kładąc rękę na pulpicie ławy przysięgłych. – Obrona nie kwestionuje, że nieszczęsne ofiary zginęły z ręki oskarżonego. Sporne nie są fakty, tylko zawartość ludzkiego umysłu. Zaręczam, że w tej sprawie są nie trzy ofiary, ale cztery, bowiem czwartą jest ta zabiedzona istota, która przez ostatnie trzy dni siedziała przed wami. A któż to jest? Młodzieniec w wieku zaledwie siedemnastu lat, ciężko pracujący chłop głęboko przywiązany i lojalny wobec rodziny. Słyszeliśmy, jak bardzo zmieniła go tragiczna śmierć ukochanej matki i że od tego czasu jego rodzina żyła pod płaszczem smutku. Od ojca oskarżonego, tego ojca, któremu jest tak oddany, usłyszeliśmy, że regularnie okładał go pięściami.

Od jego sąsiadów: Carminy i Kennetha Murchisonów słyszeliśmy, że miał w zwyczaju prowadzić ożywione rozmowy z samym sobą; rozmowy, które cichły, gdy tylko ktoś się zbliżał. To prawdopodobnie potwierdza, w tamtych chwilach do głosu dochodził zmącony umysł oskarżonego. Pan Murchison zeznał, że oskarżony zdawał się żyć w swoim własnym świecie. Pan Aeneas Mackenzie był bardziej dosadny. Zeznał, iż Roderick Macrae był uważany za wioskowego głupka, za imbecyla, za osobę, której zachowanie często było nie na miejscu. Podejrzewam, że pozostali świadkowie nie chcieli określać oskarżonego mianem szaleńca wyłącznie dlatego, że kierowała nimi tolerancja i dobre imię mieszkańców Culduie. Pan Mackenzie na swój dosadny sposób dał jedynie wyraz temu, co myśleli pozostali. Słyszeliśmy także, iż Roderick Macrae ma skłonności do gwałtownych zmian nastroju i ekscentrycznego zachowania. Z pewnością nie jest zdrowy psychicznie. A gdy Lachlan Mackenzie w nowej roli wioskowego konstabla zaczął nadużywać władzy, by prześladować, nie można użyć innego słowa do opisania jego działań, by *prześladować* rodzinę Rodericka, wypchnęło to tego niezrównoważonego młodzieńca poza granice rozsądku. Będący na skraju wytrzymałości Roderick wyruszył zabić Lachlana Mackenziego, a dokonując tego strasznego zamiaru, pozbawił życia dwie niewinne, postronne osoby. Był to czyn okrutny, to nie podlega dyskusji. Ale to, co stało się później, dobitnie świadczy o stanie umysłu Rodericka Macrae. Czy zachował się tak, jak zachowałbym się ja lub wy? Jak jakakolwiek zdrowa osoba? Czy próbował uciec lub wypierać się odpowiedzialności za popełnione zbrodnie? Nie. Zupełnie spokojnie pozwolił się schwytać i otwarcie przyznał się do swoich czynów. I ani razu nie zachwiał się w tej postawie.

Szanowni panowie, musicie zadać sobie pytanie: Dlaczego tak się zachował? Jedyną odpowiedzią może być to, że oskarżony nie wierzy, *nie*

wierzy, że zrobił coś złego. W umyśle Rodericka Macrae czyny, które popełnił, były jedyną możliwą i nieuniknioną reakcją na prześladowanie jego rodziny. Oczywiście mylił się. Każdy mężczyzna i każda kobieta na tej sali – dostojnym gestem wskazał salę – wie, że to, co uczynił, było złe. Ale Roderick Macrae tego nie wie. I właśnie tu leży sedno sprawy. Roderick Macrae nie odróżnia już dobra od zła. Aby skazać kogoś za popełnienie zbrodni, należy dowieść mu czyn fizyczny, który w tym przypadku nie podlega dyskusji, ale musi też zajść akt psychiczny. Sprawca musi wiedzieć, że jego czyny są złe. A Roderick Macrae tego nie wiedział. Z należytą uwagą wysłuchaliście zeznań uczonego pana Tomsona. Domniemywał, i nie waham się użyć właśnie tego słowa, że prawdziwym celem napaści Rodericka Macrae nie był Lachlan Mackenzie, tylko jego córka Flora. Ale chcę podkreślić, i to podkreślić zdecydowanie, iż opinia pana Tomsona na temat tego szczegółu sprawy jest wyłącznie domniemaniem. Gdybyśmy uwierzyli w słuszność tej tezy, czym by to skutkowało? Musielibyśmy uwierzyć, że tuż po napaści, natychmiast po popełnieniu trzech krwawych zbrodni, Roderick był w stanie zmyślić fałszywe wyjaśnienie swoich czynów. Trudno uwierzyć, by był do tego zdolny nawet całkowicie zdrowy i opanowany człowiek.

Pan Sinclair zamilkł, kładąc palec na ustach i wpatrując się przez chwilę w sufit, jakby przed wypowiedzeniem kolejnych słów chciał je jeszcze rozważyć.

– Można by założyć, iż oskarżony wymyślił całą tę historię przed popełnieniem zbrodni i że udał się do domu pana Mackenziego, by zabić Florę, a później zamierzał twierdzić, że udał się tam, by zabić jej ojca. Ale taka wersja nie jest wiarygodna, bowiem Roderick nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że Lachlan Mackenzie wróci do domu i przeszkodzi mu w jego czynach. Uwierzenie w domysły pana Tomsona wymagałoby niezwykle

pokrętnego myślenia oraz, zapewniam, znieważenia logiki. Natomiast dowody przedstawione podczas rozprawy wskazują, iż oskarżony zamierzał zabić Lachlana Mackenziego. Dokonał aktu, który w jego niezrównoważonym umyśle był słuszny i sprawiedliwy. To, że popełniając ten czyn, odebrał życie również Florze Mackenzie i Donaldowi Mackenziemu, dziecku, przemawia wymownie za utratą zmysłów. Pan Tomson słusznie zwrócił waszą uwagę na straszne rany zadane Florze Mackenzie, ale pytam was, czy to są czyny osoby poczytalnej? Oczywiście, szanowni panowie, że nie są. A jeśli ktoś przyjmuje pogląd, ten pogląd, na który wskazują wszystkie dowody, że Roderick Macrae zabił Lachlana Mackenziego, kierując się nieodpartym pragnieniem zemsty za cierpienia zadane jego rodzinie, musi zgodzić się z panem Tomsonem, iż Roderick Macrae nie był poczytalny, że cierpiał na „manię bez delirium" albo „niepoczytalność moralną", zatem w świetle prawa nie może zostać uznany za winnego. Dlatego proszę was o wydanie w tej sprawie wyroku uniewinniającego. Na waszych barkach spoczywa wielka odpowiedzialność. Ale musicie działać zgodnie z prawem, nie ulegać jakimkolwiek uzasadnionym i ludzkim uczuciom wstrętu wobec tych okropnych czynów. W momencie popełniania zbrodni Roderick Macrae cierpiał na absolutną utratę zmysłów i z tego powodu musi zostać uniewinniony.

Było to, jak napisał pan Philby, *porywające wystąpienie zaprezentowane z niezwykłym opanowaniem. Nikt z obecnych nie mógł wątpić, że oskarżony otrzymał najsolidniejszą i najbardziej przemyślaną obronę i że wspaniały kwiat prawa kwitnie poza granicami centrów szkockich metropolii.* Zająwszy miejsce, pan Sinclair przetarł czoło chustką i został poklepany po ramieniu przez swojego asystenta. Pan Giford

siedzący po drugiej stronie uliczki skłonił się nisko, by wyrazić swoje uznanie.

Sędzia zezwolił na kilka chwil gwaru, po czym przywrócił ład na sali. Zaczął instruować przysięgłych o godzinie trzeciej i mówił przez niemal dwie godziny. *Jego podsumowanie procesu*, napisał pan Philby, *było przykładem bezstronności i zaufania wobec szkockiego systemu prawnego.* Po zwyczajowych uwagach wstępnych i pochwaleniu adwokata i prokuratora za sposób prowadzenia rozprawy objaśnił przysięgłym, że *do wydania w którymkolwiek z trzech zarzutów zawartych w akcie oskarżenia wyroku skazującego, muszą zostać spełnione cztery przesłanki potwierdzone materiałem dowodowym. Po pierwsze – musi zostać dowiedzione, iż ofiara zmarła wskutek opisanych obrażeń. Po drugie – że ciosy zostały zadane w celu pozbawienia życia, po trzecie – że obrażenia zadał oskarżony siedzący w ławie oskarżonych, i po czwarte – że popełniając czyn, oskarżony był w pełni poczytalny. Jeśli w którymś z tych aspektów dowody będą niekompletne, oskarżony zostanie uznany za niewinnego, natomiast jeśli wszystkie cztery powyższe warunki zostaną spełnione, nie pozostanie nic prócz wygłoszenia surowego i bolesnego wyroku skazującego.*

Pierwsze trzy punkty były oczywiście bezsporne, lecz sędzia zgodnie ze swoim prawnym obowiązkiem przypominał przez około godzinę zeznania lekarzy, a następnie mieszkańców wioski, którzy widzieli się lub rozmawiali z oskarżonym po popełnieniu przezeń zbrodni.

Potem sędzia zabrał głos w sprawie uniewinnienia z uwagi na niepoczytalność.

– Musicie pamiętać – powiedział – że osoba może zostać uznana za niepoczytalną, jeśli w czasie dokonywania czynu lub czynów działała w takim zaćmieniu rozumu lub chorobie umysłu, że nie była świadoma natury ani wagi popełnianych czynów albo nie wiedziała, że to, co czyni,

jest złe. Nie do mnie ani nie do was, szanowni panowie, należy kwestionowanie słuszności tych przepisów. Najważniejsze są reguły prawa i wyrok, jaki musicie wydać w tej sprawie[19]. W toku rozprawy wysłuchaliśmy wielu świadków znających oskarżonego przez całe życie, a ich zeznania dotyczące jego charakteru mogą stanowić jedną z podstaw waszego werdyktu. W szczególności poznaliśmy zeznanie pani Carminy Murchison i jej męża, Kennetha Murchisona. Oboje świadków należy pochwalić za rzeczowe i trzeźwe zrelacjonowanie najboleśniejszych aspektów tej sprawy. Oboje mówili o niezwykłym zwyczaju oskarżonego prowadzenia rozmowy ze sobą samym. Jednak nie znamy treści tych rozmów i choć opisane zachowanie może być słusznie uznane za ekscentryczne, nie jest samo w sobie wystarczające, by uznać oskarżonego za pozbawionego zmysłów. Z drugiej strony możecie uznać to zachowanie za fragment, choć nie więcej niż fragment obrazu, który mógłby jako całość stanowić obraz niepoczytalności. Słyszeliśmy także zeznanie krewnego ofiary, pana Aeneasa Mackenziego, który otwarcie stwierdził, że oskarżony nie jest zdrowy psychicznie. Jednak jesteście upoważnieni do zadania sobie pytania, czy jego zeznanie mogło być zabarwione zrozumiałymi uczuciami niechęci, wyraźnie odczuwanej wobec oskarżonego. Musicie również wziąć pod uwagę grubiańską formę tych zeznań oraz zwrócić uwagę na fakt, że pan Mackenzie nie ma żadnych kwalifikacji, by wydawać opinie na temat zdrowia psychicznego. Zatem zeznania pana Mackenziego powinny być traktowane z ostrożnością. Lecz biorąc pod uwagę również zeznania pozostałych mieszkańców Culduie, to wy zdecydujecie, czy i jaką wagę przypisywać słowom tego świadka.

Następnie sędzia kontynuował rozważania na temat zeznań dotyczących nieprzewidywalnych i ekscentrycznych zachowań oskarżonego. Przypomniał zdarzenia, które miały miejsce podczas polowania oraz

podczas jarmarku. Oba uznał za błahe. Pierwsze, jak powiedział, nie może być uznane za nic więcej niż przejaw głupoty ze strony niedojrzałego młodzieńca, wówczas zaledwie piętnastoletniego. Natomiast w drugim przypadku – kontynuował – nie można zapominać o sile młodzieńczego uczucia oraz efektach spożycia alkoholu, do którego oskarżony nie był przyzwyczajony. Ocena wagi tych zdarzeń należała do przysięgłych, lecz sędzia ostrzegł przed nadawaniem im podczas narad przesadnej wagi.

Następnie sędzia wrócił do zeznań ekspertów.

– Obie strony w tej sprawie – zaczął – powołały świadków będących ekspertami w swojej dziedzinie, już to dzięki zdobytemu wykształceniu, już to dzięki wieloletniemu doświadczeniu. Obaj świadkowie wydali osąd w kluczowej kwestii zdrowia psychicznego oskarżonego. Jesteście zobowiązani do traktowania opinii obu ekspertów z należytą powagą, ale nie musicie się z nimi zgadzać. Jeśli postanowicie nie brać pod uwagę zeznania jednego lub drugiego eksperta, powinniście uczynić to wyłącznie po głębokim namyśle i mieć ku temu dobry powód. Doktor Hector Munro, wezwany przez oskarżyciela, jest lekarzem z długim stażem zarówno w praktyce ogólnej, jak i w więzieniu Inverness, gdzie, jak twierdzi, przebadał kilkuset więźniów. Doktor Munro odbył z oskarżonym szczegółową rozmowę i uznał go za jednego z najinteligentniejszych i najbardziej elokwentnych więźniów, jakich badał. Wymienił różne przejawy niepoczytalności i oświadczył, że żadnego z nich nie stwierdził u oskarżonego. Biorąc pod uwagę jego doświadczenie w pracy z kręgami przestępczymi oraz rozległą wiedzę na temat chorób umysłowych, opinia doktora Munro zasługuje na należyte rozważenie.

Następnie sędzia odniósł się do zeznań pana Tomsona:

– Jest to autorytet w dziedzinie psychologii kryminalnej. Według pana Tomsona oskarżony był poczytalny i świadomy złej natury czynów, jakich

się dopuścił. Tej opinii, podobnie jak opinii doktora Munro, należy przypisać najwyższą wagę podczas waszych narad, natomiast moim obowiązkiem jest ocena dowodów prowadzących do wspomnianych wniosków. Ma to szczególne znaczenie, ponieważ opinia pana Tomsona opiera się na interpretacji faktów odmiennej niż ta przedłożona przez oskarżyciela. Pan Tomson utrzymywał, iż oskarżony udał się do domu pana Mackenziego nie w celu zamordowania Lachlana Mackenziego, lecz z zamiarem skrzywdzenia jego córki Flory, darzonej przezeń dużą sympatią. Pan Tomson na poparcie swego poglądu przywołał obrażenia w miejscach intymnych, które jego zdaniem nie zostałyby zadane, gdyby panna Mackenzie była jedynie przypadkową ofiarą w tej zbrodni. O tym, że oskarżony nie działał pod wpływem tak zwanej niepoczytalności moralnej, przekonały pana Tomsona zeznania oskarżonego, utrzymującego, iż jego celem było zabójstwo Lachlana Mackenziego. Ta naiwna postawa, jak twierdził pan Tomson, potwierdzała, że oskarżony wiedział, iż to, co uczynił, było złe, przeto jego czyny nie powinny być rozpatrywane w kontekście niepoczytalności moralnej.

Sędzia na chwilę zamilkł, po czym kontynuował:

– Szanowni panowie, są to złożone kwestie, a wy musicie wyciągnąć własne wnioski. Niemniej muszę poprosić o ostrożność w wydawaniu werdyktu. Opinia pana Tomsona opiera się jedynie na fragmencie zeznania, czyli naturze obrażeń odniesionych przez pannę Mackenzie, oraz na jego własnej interpretacji motywu zadania tychże obrażeń. To nie jest fakt. Pan Tomson nie był świadkiem zbrodni i jesteście upoważnieni do rozważenia innych interpretacji zeznań, które usłyszeliście, w szczególności zeznań sugerujących, iż to czyny pana Mackenziego stanowiły motyw napaści. Jeśli postanowicie nie zgodzić się z interpretacją pana Tomsona, będziecie upoważnieni do rozważenia jego opinii, że jeśli prawdziwym celem napaści

rzeczywiście był pan Mackenzie, oskarżonego można w związku z jego późniejszym zachowaniem uznać za niepoczytalnego.

Sędzia zrobił przerwę, jakby chciał pozwolić przysięgłym na przetrawienie tej złożonej części jego podsumowania.

– Jednakże – podjął – nawet jeśli nie zgodzilibyście się z poglądem pana Tomsona, musicie ustosunkować się do dowodów, które zostały wam przedłożone. Nie wystarczy, że pomyślicie, że nikt nie mógł popełnić tak haniebnych czynów i jednocześnie być uznanym za poczytalnego. Poczytalni ludzie mogą i popełniają takie zbrodnie, a sam fakt ich popełnienia nie wystarcza do uznania sprawcy za niepoczytalnego. Nie kierujcie się uczuciami, albowiem to nie są kryteria sądownicze. Wasz werdykt musi zostać wydany wyłącznie na podstawie wolnej od uczuć oceny dowodów, które zostały przedłożone podczas procesu.

Na koniec sędzia przypomniał przysięgłym powagę ich zadania:

– Zarzuty przedstawione podczas rozprawy są najpoważniejszej natury, a wyrok skazujący oznacza karę śmierci.

Potem podziękował przysięgłym za ich uwagę i poprosił o przekazanie werdyktu wyłącznie po skrupulatnym rozpatrzeniu dowodów.

* * *

WYROK

Ponieważ było po godzinie szesnastej, sędzia pouczył przysięgłych, że jeśli nie osiągną werdyktu do godziny dziewiętnastej, wrócą do gospody na noc i wznowią narady nazajutrz o poranku. Podkreślił, że ograniczenie czasowe

nie może wpływać na ich rozważania i przypomniał jeszcze raz o poważnej naturze zadania, jakie na nich spoczywa.

Roddy został wyprowadzony na dół, a urzędnicy sądowi opuścili salę. Nie chcąc ryzykować utraty kulminacyjnego momentu rozprawy, publiczność na galerii pozostała na swoich miejscach. Z nowo nabytą wiedzą w zakresie prawa karnego sprzeczano się o niuanse rozprawy. Bardziej obyci sprawozdawcy wycofali się *en masse* do mieszczącej się na Gordon Terrace gospody o znamiennej nazwie Pod stryczkiem, uprzednio wcisnąwszy do rąk chłopców oczekujących pod salą szylingi, by ci sprowadzili ich, gdy rozlegnie się dzwonek. Zamówiono wielkie ilości wina oraz piwa i pito pośpiesznie, zakładając, iż przysięgli wkrótce powrócą z werdyktem. Panowała jednomyślna opinia, że pomimo dzielnych wysiłków adwokata, zeznanie pana Tomsona skazało nieszczęsnego więźnia na szubienicę. Jedynie John Murdoch nie zgadzał się z poglądem, że werdykt jest z góry przesądzony. Twierdził, iż jego koledzy z południa kraju nie biorą pod uwagę empatii, jaką przysięgli mogą odczuwać wobec ciemiężonego chłopa. Ludność wyżynna po dziś dzień pamięta stulecia ucisków, a w Rodericku Macrae przysięgli mogą widzieć jednostkę, która zbuntowała się przeciwko mściwości władzy. Pan Philby z zainteresowaniem słuchał opinii człowieka z hrabstwa Nairn, lecz twierdził, że przysięgli nie mogą pozwolić, by na ich decyzje wpływ miały takie uczucia, bez względu na to, jak bardzo byłyby uzasadnione. Pozostali drwili z Murdocha, mówiąc, że jego radykalne poglądy przesłoniły mu materiał dowodowy.

Nastrój jednak zmienił się, gdy wskazówka zegara na ścianie gospody przesunęła się na godzinę osiemnastą trzydzieści. Najwyraźniej przysięgli wciąż o czymś dyskutowali. Później, dziesięć minut przed godziną dziewiętnastą, do gospody wbiegł posłaniec: rozległ się dzwonek.

Dziennikarze ruszyli do drzwi, rzucając w pośpiechu monety na stoły. Gdy zostali dopuszczeni do ławy dla prasy, sędzia posłał im karcące spojrzenie. Sala wrzała niecierpliwym wyczekiwaniem. Po uciszeniu tłumu sędzia ostrzegł w najsurowszych słowach przed jakimkolwiek zakłóceniem dalszej części rozprawy. Wówczas został wprowadzony Roddy, a jego zachowanie, jak napisał pan Philby, *niemal nie uległo zmianie od pierwszego dnia procesu, z tą jedyną różnicą, że być może obecnie głowa ciężej spoczywała na jego barkach.* Następnie wprowadzono przysięgłych, a przewodniczący ławy przysięgłych, czyli garbarz o nazwisku Malcolm Chisholm, powstał.

Sędzia zapytał, czy ława przysięgłych ustaliła werdykt.

– Nie ustaliła – odrzekł pan Chisholm.

Ta wypowiedź została przyjęta z tak wielką wrzawą, jakby zapadł wyrok uniewinniający, co skutkowało usunięciem przez funkcjonariuszy dwóch osób w celu przywrócenia porządku.

Sędzia pochwalił przysięgłych za powagę, z jaką traktują swoje zadanie, i poprosił ich o ponowne pojawienie się w sali sądowej o godzinie dziesiątej dnia następnego, dodając, że do tego czasu powinni powstrzymać się od jakichkolwiek rozmów na temat rozprawy.

Dziennikarze ponownie pomknęli do gospody Pod stryczkiem, gdzie wino płynęło niczym wezbrane wody rzeki Ness. Pan Philby stwierdził, iż *werdykt, który jeszcze przed chwilą uznany zostałby za niezwykle zaskakujący, teraz zdawał się dużo bardziej prawdopodobny.* Jeśli bowiem w głowach przysięgłych zasiano ziarno wątpliwości – rozumował – mogło ono nazajutrz wykiełkować. Dużą część tego wieczoru pan Philby spędził na dyskusji z Johnem Murdochem, który pomimo swoich poprzednich wypowiedzi nie spodziewał się werdyktu uniewinniającego.

– Tu, na północy, jesteśmy zbyt przyzwyczajeni do kulenia się przed władzą, nie umiemy się jej przeciwstawić – powiedział panu Philby. Lecz

nawet gdyby skazaniec miał „umknąć grabarzowi spod łopaty", spędzenie reszty życia w więzieniu centralnym pod okiem pana Tomsona byłoby wątpliwą przyjemnością.

Wieczór przerodził się w hulankę, a pan Philby wyznał, że *z gościnności Wyżyn korzystał z przesadną swobodą.* Yak dużą, że gdy następnego ranka został obudzony przez gospodynię, nie musiał nawet wiązać na nowo butów.

Galeria dla publiczności została otwarta o godzinie dziesiątej. Fakt, że na ten dzień nie przewidziano kolejnych zeznań, nie sprawił, że zmniejszyła się liczba zgromadzonych widzów. Ci, którzy nie zdołali dostać się do środka, pozostali na zewnątrz, pragnąc być wśród pierwszych, którzy usłyszą wieści na temat wyroku. Pan Philby i jego koledzy mitrężyli w korytarzach sądu, lecząc kaca trunkami z piersiówek. Jak się okazało, nie musieli długo czekać. Piętnaście minut po godzinie jedenastej dzwonek rozbrzmiał po raz drugi. Zanim na salę weszli przysięgli, sędzia ostrzegł, że w razie potrzeby nie zawaha się opróżnić sali, a przybyciu Roddy'ego, jakby przez wzgląd na powagę chwili, towarzyszyła upiorna cisza. Był blady, a wokół jego oczu roztaczały się ciemne kręgi. Pan Sinclair, równie blady, uścisnął mu dłoń. Wówczas po kolei weszli przysięgli. Roddy obserwował ich, wreszcie przejawiając zainteresowanie procesem. Wśród mężczyzn panował grobowy nastrój, jakby siadali w ławkach kościelnych podczas pogrzebu. Żaden z nich nie spojrzał na oskarżonego. Sędzia wstał i zapytał, czy werdykt został ustalony. Pan Chisholm udzielił odpowiedzi twierdzącej.

Sędzia zapytał ich:

– Szanowni panowie, czy według was oskarżony jest winny czy niewinny?

Pan Sinclair zwiesił głowę.

Przewodniczący odrzekł:

– Drodzy panowie, w odniesieniu do pierwszego zarzutu uznajemy go za winnego. W odniesieniu do drugiego zarzutu uznajemy go za winnego. W odniesieniu do trzeciego zarzutu również uznajemy go za winnego.

W sali na kilka chwil zapanowała cisza. Potem sędzia zapytał:

– Czy werdykt jest jednogłośny?

– Zapadł większością głosów – odrzekł przewodniczący. – Trzynaście do dwóch.

Pan Sinclair ukrył głowę w dłoniach, po czym odwrócił się, by spojrzeć na swojego klienta. Roddy siedział bez ruchu na ławie oskarżonych. Przez kilka sekund nie działo się nic. Z galerii nie dochodziły żadne odgłosy, jakby widzowie dopiero teraz pojęli, że to, co oglądają, nie jest tylko spektaklem.

Sędzia podziękował przysięgłym za ich pilne skupienie podczas procesu.

– Z powodu wydanego werdyktu nie musicie czuć wyrzutów sumienia, gdyż jest on zgodny z zeznaniami, jakie usłyszeliście. Cała odpowiedzialność spoczywa na oskarżonym, bowiem to jego czyny sprowadziły nas tutaj, a konsekwencje waszego wyroku reguluje prawo i tylko prawo.

Potem werdykty zostały podpisane przez sędziów. Roddy'emu nakazano wstać, a sędzia założył czarny biret.

– Rodericku Johnie Macrae, na mocy werdyktu przysięgłych zostałeś uznany winnym morderstw, o które cię oskarżono. Werdykt został wydany na podstawie zeznań, które żadnemu bezstronnemu obserwatorowi nie pozostawiłyby najmniejszych wątpliwości. Zabiłeś trzy osoby, w tym małe dziecko oraz niewinną dziewczynę w rozkwicie życia, i zadałeś im rany najbardziej odrażającej natury. Wysłuchaliśmy z należytą uwagą obszernej

dyskusji na temat motywów tych okrutnych czynów, ale ponieważ zostałeś uznany za winnego, nie mają one żadnego znaczenia i jest tylko jeden możliwy wyrok. Skazuję cię na najsurowszą karę, jaką przewiduje prawo. Mam nadzieję, że wykorzystasz krótki czas, jaki ci pozostał, na okazanie skruchy za swoje czyny i przyjęcie duchowej posługi, albowiem takie jest twoje prawo, lecz po tym, co usłyszałem podczas tej rozprawy, obawiam się, że tego nie uczynisz.

Następnie sędzia ogłosił, że skazaniec zostanie stracony w zamku Inverness o poranku dwudziestego czwartego września między godziną ósmą a dziesiątą. Potem zdjął czarny biret i dodał:

– Oby Bóg zmiłował się nad twoją duszą.

---

[14] „Zaganiacz" był urzędnikiem, który wizytował obszary wiejskie i sprawdzał, czy dzieci chodzą do szkoły.

[15] Banshee – zgodnie z irlandzką legendą duch kobiety, którego zawodzenie ostrzega przed śmiercią mającą nawiedzić domostwo.

[16] Philippe Pinel (1745-1826) – pionier psychologii kryminalnej. Stworzył termin *mania sans delire* w swojej pracy *Nosographie philosophique ou methode de l'analyse appliquee a la medicine* (1798-1818).

[17] Złośliwy artykuł w „Te Scotsman" sugerował, że więźniowie, o których mówił doktor Munro, mogli po prostu mówić w swoich lokalnych dialektach.

[18] Poglądy wyrażone przez Tomsona zostały szerzej przedstawione w jego artykule *Dziedziczna natura zbrodni*, opublikowanym w „Journal of Mental Science" w 1870 roku. Są one przykładem powszechnej wówczas teorii degeneracjonizmu, czyli swego rodzaju odwróconej ewolucji.

[19] Jest to streszczenie Zasad M'Naghtena, które zostały przyjęte jako kryteria niepoczytalności przypadków przestępczych w sądach zarówno w Anglii, jak i w Szkocji od roku 1843.

Epilog

PROCES RODERICKA MACRAE zakończył się w czwartek dziewiątego września. Następnego ranka pan Sinclair odszukał Johna Murdocha i przekazał mu pamiętnik Roddy'ego. W tamtych czasach w Szkocji nie istniał formalny mechanizm apelacji i adwokat miał nadzieję, że uda mu się pozyskać wsparcie Murdocha w zorganizowaniu kampanii na rzecz złagodzenia kary. Wierzył, że publikacja pamiętnika Roddy'ego wywoła falę ogólnego poparcia dla skazanego[20].

Wprawdzie pan Murdoch nie wierzył w sukces, ale przystał na pomysł adwokata. Zgodził się przeczytać rękopis i przedstawić go wydawcy „Inverness Courier" w celu publikowania serii fragmentów lub specjalnego dodatku. Pan Sinclair pozostawił sprawę w rękach redaktora, a resztę tygodnia poświęcił na sporządzenie petycji do prokuratora generalnego – lorda Moncriefa, największego autorytetu prawnego w kraju.

W swoim liście pan Sinclair nie podważał wyroku ani nie sugerował, że proces przebiegł w niewłaściwy sposób. Jego prośba o ułaskawienie odwoływała się do miłosierdzia. Po pobieżnym przedstawieniu faktów, użył następującego argumentu:

W świetle dowodów przedstawionych w trakcie rozprawy, jak i podług relacji samego skazanego, Rodericka Macrae doprowadziło do czynów, za które został skazany, celowe i bezwzględne prześladowanie ze strony osoby, która stała się jego główną ofiarą. Przedstawiono tak wiele dowodów ekscentrycznego zachowania oraz zaburzeń psychicznych oskarżonego, że

przysięgli musieli odłożyć ogłoszenie werdyktu na kolejny dzień. Ogłoszony werdykt nie był jednogłośny, co potwierdza, że racjonalnie myślący ludzie również uznali, iż mój klient nie był poczytalny. Pozwolę sobie dodać, że za zdrowiem psychicznym skazanego nie przemawiają także jego wielokrotne autodestrukcyjne oświadczenia. Jaki zdrowy na umyśle człowiek dobrowolnie składałby zeznania, które wyślą go wprost na szubienicę? Słuszne wątpliwości przysięgłych co do poczytalności mojego klienta z pewnością pozostają w sprzeczności z najsurowszą zasądzoną karą.

Podczas pobytu w celi skazany pilnie opisał wydarzenia prowadzące do zbrodni (w załączeniu kopia do Pańskiego rozpatrzenia). W tym działaniu wykazał talent i intelekt daleko wykraczający poza to, czego można by oczekiwać po osobie o jego wykształceniu i pozycji społecznej. Pan J. Bruce Thomson, rezydent w więzieniu ogólnym w Perth, zeznał, że w swojej wieloletniej pracy ze skazańcami nie spotkał ani jednego więźnia zdolnego do stworzenia dzieła literackiego. Jest to osąd podkreślający wyjątkową naturę pamiętnika pana Macrae. Skazywanie na śmierć osoby wrażliwej i inteligentnej, która potrafi stworzyć obszerne dzieło literackie, jest, stwierdzam to stanowczo, czynem okrutnym i barbarzyńskim.

W dodatku wiek skazanego – zaledwie siedemnaście lat – i jego poza tym nieposzlakowana opinia powinny być powodem złagodzenia kary. Czyny, za które pan Macrae został skazany, są do niego zupełnie niepodobne. Istnieje wiele powodów, by przypuszczać, że z uwagi na wyjątkowe uzdolnienia mógłby po odbyciu kary więzienia prowadzić uczciwe i owocne życie.

Jeśli oceniamy nasze społeczeństwo przez pryzmat miłosierdzia obejmującego wszystkie jednostki, to okazując je osobom najbardziej go potrzebującym, potwierdzamy wierność najbardziej cywilizowanym

wartościom katolickim. W tym duchu uniżenie proszę, by Pańskie miłosierdzie objęło osobę Rodericka Johna Macrae.

Uprzejmie proszę o wzięcie mej prośby pod przychylną rozwagę, a następnie doradzenie Jej Królewskiej Mości, by skorzystała ze swojego królewskiego przywileju i złagodziła wyrok mojego klienta.

[Podpis]
Mecenas Andrew Sinclair
Adwokat więźnia

Pismo zostało złożone w poniedziałek trzynastego września i tego samego dnia „Inverness Courier" opublikował artykuł Johna Murdocha *Czego dowiedzieliśmy się z tej sprawy.* Murdoch zaczął od spostrzeżeń z sali rozpraw, opisując Roddy'ego jako *smutnego i samotnego człowieka, na którego wystarczyło spojrzeć, by zrozumieć, iż nie interesuje go proces. Czy działo się tak z powodu jego ogólnego zobojętnienia i braku wiary w sukces, czy ze względu na utratę świadomości oraz czy jego stosunek był udawany czy szczery, nie potrafię jednoznacznie stwierdzić. Nie jestem również przekonany, czy powierzenie wydania wyroku piętnastu uczciwym, lecz zupełnie niekompetentnym przysięgłym było najrozsądniejszym sposobem służenia sprawiedliwości.* Dalej Murdoch pisał o pamiętniku Roddy'ego. Tekst był *fragmentami zarówno szokujący, jak i wzruszający, ale z pewnością nie sprawiał wrażenia tekstu napisanego w celu oddalenia zarzutów. Niemniej zdradza elokwencję i błyskotliwość stojącą w rażącym kontraście do końcowych krwawych czynów, a jako całość stanowi najdobitniejszy dowód szaleństwa.* Murdoch nie apelował bezpośrednio o złagodzenie wyroku Roddy'ego. W sposób ogólny podkreślał natomiast, iż ówczesne normy prawne nie były *dostosowane do radzenia sobie z procesami tej natury. Nasze największe umysły prawnicze powinny*

ponownie szczegółowo przemyśleć procedury dotyczące przypadków, których ocena jest całkowicie zależna od poczytalności lub niepoczytalności oskarżonego. Dopóki taka analiza nie zostanie przeprowadzona – napisał – *nie można godzić się na wysyłanie człowieka na szubienicę.*

Tego samego dnia pan Murdoch napisał również do lorda Moncriefa i choć list nie przetrwał do czasów dzisiejszych, należy przypuszczać, że nadawca wyrażał w nim podobne odczucia.

Po otrzymaniu pisma od pana Sinclaira prokurator generalny był zobligowany do skontaktowania się z sędziami prowadzącymi proces oraz z przewodniczącym Szkockiego Rejestru Centralnego – Williamem Pittem Dundasem. Niezależnie od tego, co zawierała ich korespondencja, szybko przejęli oni kontrolę nad dalszymi wydarzeniami.

John Murdoch złożył rękopis Roddy'ego u lokalnego drukarza Alexandra Clarke'a. Nie opublikowano jednak zawierającej około pięćdziesiąt tysięcy słów całości, a jedynie dwudziestoczterostronicową broszurkę obejmującą najdrastyczniejsze i wywołujące największą sensację fragmenty. Po kilku dniach na północy i południu kraju ukazało się wiele innych wersji publikacji, niezwykle zniekształconych. Najgłośniejsza z nich nosiła tytuł *JEGO KRWAWE ZAMIARY: UROJENIA MORDERCY* i została wydana przez Williama Grieve'a z Glasgow. *Jego krwawe zamiary* liczą zaledwie szesnaście stron i zawierają niewiele więcej niż opis morderstw popełnionych przez Roddy'ego, scenę zabicia owcy Lachlana Mackenziego (dopełnioną zdaniem: *To wówczas odkryłem w sobie upodobanie do rozłupywania czaszek i postanowiłem nie czekać zbyt długo na kolejną sposobność*) oraz kilka całkowicie zmyślonych fragmentów, w których Roddy *okrutnie zhańbił* dwunastoletnią Florę Beczkę. Pamflet sprzedał się w nakładzie dziesiątek tysięcy egzemplarzy w ciągu kilku dni. Ukazały się także różne drastyczne komiksy, akwaforty i ballady (na szczególną uwagę

zasługuje przede wszystkim *Tego pięknego poranka, gdy zgładziłem trzy osoby* autorstwa Tomasa Portera), lecz te wydarzenia miast zapewnić sprawie status *cause célèbre,* uczyniły Roddy'ego narodowym straszydłem. To, że we wszystkich tych dziełkach ukazano Rodericka jako szaleńca, było ironią losu całkowicie niezauważoną przez żądną sensacji gawiedź.

Niestety plan pana Sinclaira nie miał szansy na powodzenie. Nie było w nim prawnych argumentów, o które mógłby się oprzeć, nie potrafił również podważyć dowodów. Nadzieja na to, że publikacja pamiętnika Roddy'ego doprowadzi do fali ogólnego poparcia petycji – trzeba to otwarcie powiedzieć – była przejawem bezgranicznej naiwności. Lecz adwokat nie posiadał żadnej innej możliwości działania, a wiara w to, że ludzie poprą jego przekonania, bardzo dobrze o nim świadczy.

W kolejnym tygodniu pan Sinclair otrzymał uprzejmą, acz zdawkową odpowiedź od lorda Moncriefa, który oświadczył, iż *ponieważ nie stwierdzono uchybień w materiale dowodowym ani w przewodzie sądowym*, nie czuje się zobowiązany do rozważenia prośby o ułaskawienie. *Talenty, o których wspomina Pan w kontekście osoby oskarżonego, bez względu na to, czy są prawdziwe, czy nie, w żadnym stopniu nie mają wpływu na analizę prawną.* Tym samym wyrok główny został utrzymany.

Pan Sinclair odwiedzał Roddy'ego codziennie. Zastawał go w stanie ogólnego otępienia, *bez chęci na jedzenie i rozmowę*. Roddy ani razu nie skarżył się na swoją sytuację i nie przejawiał lęku przed czekającym go losem. Nie przyjął też posługi kapelana więziennego, który prosił go, by wykorzystał ostatnie dni życia na pojednanie z Bogiem. Pomimo iż miał wszystko, czego potrzebował do pisania, napisał już jedynie następujący krótki list do swojego ojca:

Drogi Ojcze,

piszę do Ojca w nadziei, że ten list zastanie Ojca w sytuacji lepszej, niż była przed moim odejściem. Mnie pozostało już niewiele czasu i nie pragnę żyć na tym świecie dłużej, niż zostało mi przeznaczone. Ściany mojej celi to ponury widok i chociaż bardzo chciałbym zobaczyć Culduie raz jeszcze, chętnie przyśpieszyłbym swoją egzekucję, gdyby było to możliwe. Mimo to jest mi tu teraz całkiem dobrze i nie musi się Ojciec martwić o moje samopoczucie ani opłakiwać mojej śmierci.

Chciałbym Ojcu powiedzieć, że jest mi przykro z powodu kłopotów, których przysporzyłem, i szczerze żałuję, że nie został Ojciec pobłogosławiony bardziej wartościowym synem.

[Podpis]
Roderick John Macroe

List został doręczony do Culduie po południu dwudziestego drugiego września, ale John Macrae nigdy go nie przeczytał, ponieważ rankiem tego dnia Carmina Dym znalazła go w fotelu martwego. Został pochowany obok swojej żony na cmentarzu w Camusterrach. Jego dom i stodoła popadły w ruinę, a ziemię rozdzielono między pozostałych mieszkańców wioski. Funkcję konstabla objął Peter Mackenzie.

Dwudziestego czwartego września, o poranku w dniu swej egzekucji, Roddy poprosił tylko o przechadzkę po więziennym spacerniaku. Pozwolono mu na to, a według pana Sinclaira pokonywał kolejne okrążenia, jakby był *zupełnie gdzie indziej*. Potem w towarzystwie swojego adwokata, pastora Kościoła Szkocji i dwóch strażników Roddy został wyprowadzony z celi. Gdy zbliżali się do pomieszczenia, w którym miała odbyć się egzekucja, pod Roddym ugięły się kolana i przez następne kilka jardów musiał być wleczony przez strażników. Wszystko było przygotowane, a oprócz kata w sali obecni byli także doktor Hector Munro

i dyrektor więzienia. Gdy zakładano Roddy'emu na głowę kaptur, łzy płynęły z jego oczu. Pan Sinclair ukrył twarz w dłoniach. Zgon Rodericka Macrae stwierdzono o godzinie ósmej dwadzieścia cztery. Egzekucja – jak głosił raport lekarza – przebiegła w sposób przykładny i nie zadano skazańcowi żadnego niepotrzebnego cierpienia.

---

[20] Czterdzieści lat później, chociaż w zupełnie innych okolicznościach, dwadzieścia tysięcy osób podpisało petycję, co przyczyniło się do obalenia wyroku śmierci Oscara Slatera.

Źródła historyczne i podziękowania

Najwięcej informacji i inspiracji zawdzięczam pięciu książkom: *Highland Folk Ways* (Routledge, 1961) autorstwa I.F. Granta, nieodzownego przewodnika po życiu i tradycjach szkockich Wyżyn, *The Making of the Crofting Community* (John Donald, 1976) autorstwa Jamesa Huntera – najlepszej książce na temat historycznego rozwoju Wyżyn, na jaką trafiłem, *Children of the Black House* (Birlinn, 2003) Caluma Fergusona, który przedstawia historię w sposób pełen anegdot, *The Origins of Criminology: A Reader* (Routledge, 2009) pióra Nicoli Rafter, która wprowadziła mnie w prace J. Bruce'a Tomsona i innych pionierów tej dziedziny, a także *I, Pierre Riviere, having slaughtered my mother, my sister and my brother* (Bison Books, 1982), opracowanemu przez Michela Foucaulta.

Jestem także wdzięczny historykowi z Applecross Iainowi MacLennanowi, zarówno za bogactwo informacji zawartych w jego książce A*pplecross and Its Hinterland: A Historical Miscellany* (Applecross Historical Society, 2010), jak i za wyczerpujące i szybkie odpowiedzi na moje e-maile. Gordon Cameron, kustosz Centrum Dziedzictwa w Applecross, był równie hojny w poświęcaniu mi swojego czasu i udostępnił mi tekst piosenki *Coille Muiridh*, skomponowanej w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku przez Donalda MacRae'a. Na język angielski przełożył ją, jak sądzę, Roy Wentworth. Tłumaczenie nazwy *Càrn Nan Uaighean* zasugerowali mi Francis i Kevin MacNeil.

Nie mogę nie wspomnieć również o *Kazaniach* pastora Angusa Galbraitha (1837-1909), które zainspirowały mnie do mowy pogrzebowej

jego imiennika w niniejszej książce. „Zeznanie" Jamesa Galbraitha zawiera także parafrazę słów pastora Johna Mackenziego z parafii Lochcarron, który napisał w swoim *Raporcie Statystycznym* z 1840 roku: *Nie dalej niż w połowie ubiegłego stulecia mieszkańcy tego regionu żyli w stanie skrajnego barbarzyństwa. Notatki probostwa, datowane na rok 1724, zawierają relacje o strasznych i krwawych zbrodniach, pokazujących obraz dzikości, zaciekłości i rażącej rozwiązłości, charakterystycznej dla stanu ogólnej degeneracji.*

James Bruce Tomson (1810-1873) żył naprawdę, a przytoczone artykuły jego autorstwa można odnaleźć w Internecie. Teorie wysuwane przez pana Tomsona w powieści opierają się właśnie na tych artykułach, ale jego osobowość i charakter są wytworami mojej wyobraźni, podobnie jak jego wspomnienia z odwiedzin w Culduie. Postać Johna Murdocha również w sposób luźny oparta jest na postaci radykalnego reformatora (1818-1903) o takim samym nazwisku.

W roku 2013 zdobyłem nagrodę Scottish Book Trust New Writers i jestem niezmiernie wdzięczny tej organizacji za ogromne wsparcie i słowa otuchy podczas pisania niniejszej książki. Chciałbym także podziękować zawsze pomocnemu personelowi biblioteki Mitchell w Glasgow i Szkockiemu Archiwum Narodowemu w Edynburgu.

Pomimo wszelkiej pomocy i rad, jakie otrzymałem, nie uważam się za eksperta ani w zakresie czasów, w których ta książka jest osadzona, ani w sposobie życia mieszkańców Wyżyn. Jest to powieść i z tego powodu pozwoliłem sobie na pewną swobodę w zakresie faktów historycznych, a w niektórych kwestiach puszczałem wodze fantazji, jak często robią to pisarze. Rzecz jasna, za wszelkie niezgodności, zamierzone lub nie, ponoszę wyłączną odpowiedzialność.

Jestem niezmiernie wdzięczny mojemu wydawcy, Sarze Hunt, za jej cudowny entuzjazm, wielkoduszność i wsparcie podczas pisania oraz Craigowi Hillsleyowi za jego dokładną i subtelną redakcję.

Prywatnie muszę przyznać, iż ta książka nie ujrzałaby światła dziennego, gdybym nie odbywał częstych wizyt w hrabstwie Wester, zarówno jako dziecko, jak również jako dorosły człowiek. Za ten dar jestem niezmiernie wdzięczny moim rodzicom, Gilmourowi i Primrose Burnetom. Muszę także podziękować mojej przyjaciółce i doradczyni, Victorii Evans, która zawsze hojnie poświęcała mi swój czas, i której uwagi były zawsze trafne i wnikliwe.

W końcu, dziękuję Ci, Jen: za Twoją cierpliwość, słowa otuchy i za tolerowanie moich humorów. Podobnie jak Una Macrae, jesteś promieniem słońca, który żywi plony.

NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCA SIĘ CZESKA KSIĄŻKA 2015 ROKU!

Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.
Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie

w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

UWAGA: CZYTANIE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Jakie wydarzenie najbardziej zmienia świat dorosłego mężczyzny? Oczywiście narodziny dziecka.

Dziecko w wieku przedszkolnym to zbiór opowieści napisanych przez tatę trzyletniej Wiki. M. M. Cabicar opisuje rodzicielską rzeczywistość bezkompromisowo, czasem dosadnie, ale przede wszystkim z rozbrajającą szczerością i kapitalnym poczuciem humoru. Nie zdejmuje różowych

okularów nawet w najbardziej kłopotliwych sytuacjach, wychowując dzięki temu niezwykle pogodne dziecko!

Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz… demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny

umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!

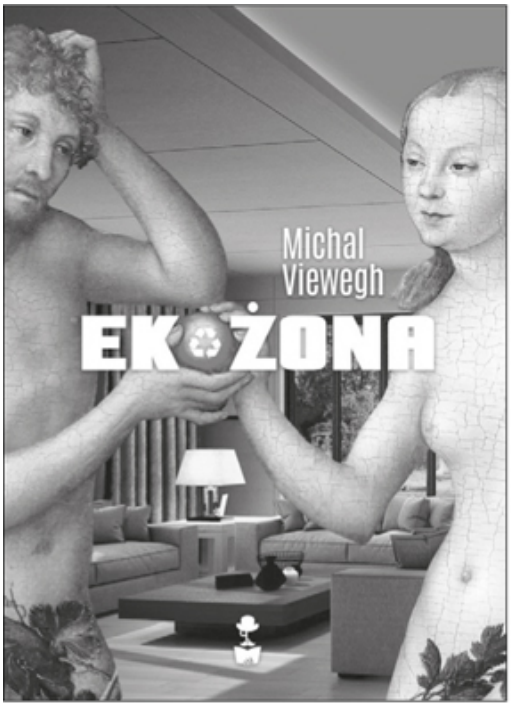

Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.

Kiedy Mojmirowi pęka aorta, jego świat oraz światopogląd ulegają gwałtownym zmianom. Mojmir zmienia się z butnego racjonalisty… no właśnie, w kogo?

W tej brawurowej narracji pełnej ciętych ripost Michal Viewegh z humorem i autoironią opowiada o byciu pacjentem VIP oraz o poszukiwaniu nowej drogi życiowej po osobistym kataklizmie.

Ekomąż to jedna z najważniejszych powieści najpopularniejszego czeskiego pisarza.

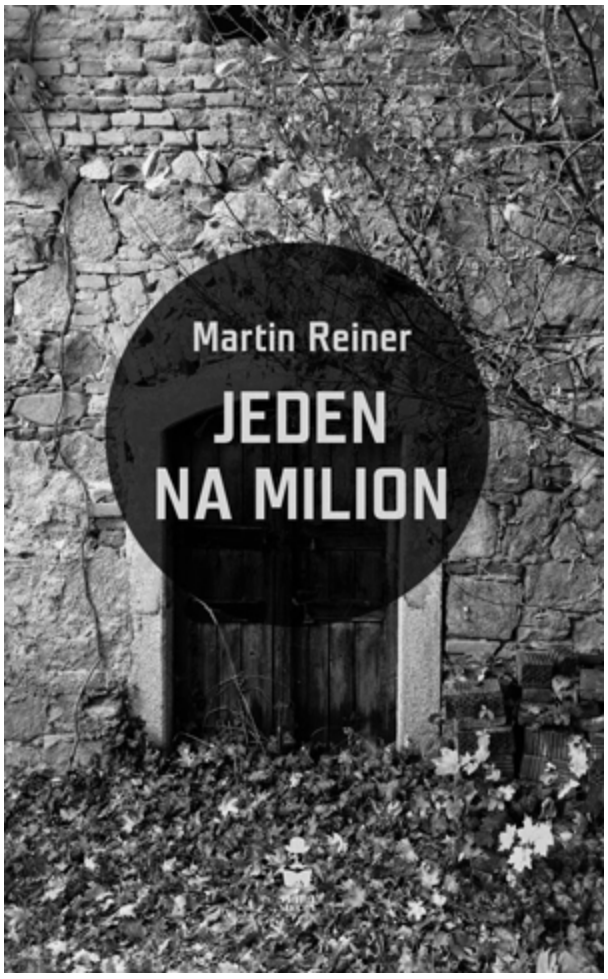

Jeden na milion to zbiór czternastu opowiadań jednego z najpopularniejszych czeskich prozaików. Martin Reiner zabiera nas na łąki pełne hipisów, na próby chóru więziennego, do Ameryki – a szerokiemu wachlarzowi tematów towarzyszą różnorodne formy literackie. Lektura dla smakoszy!

MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?

Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)

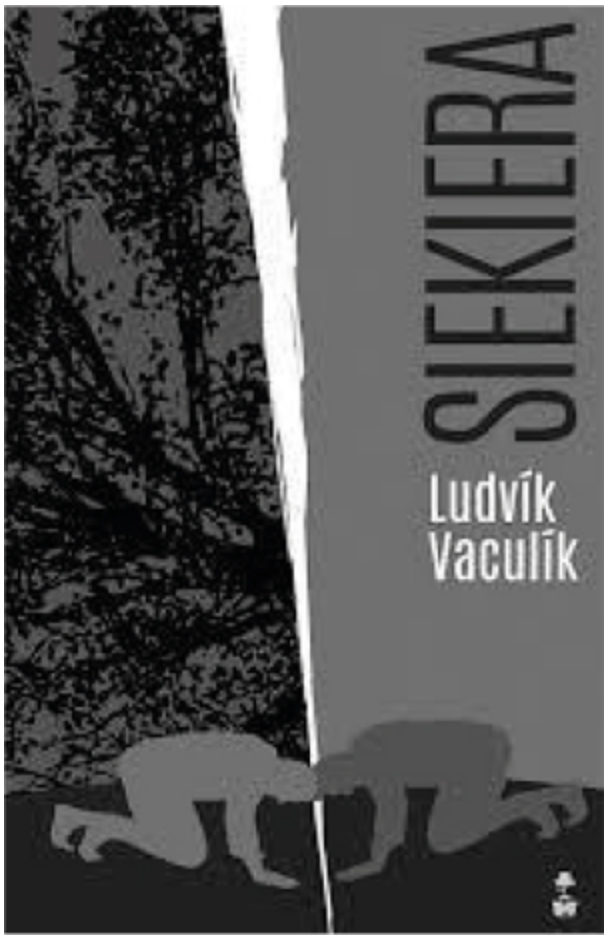

Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.

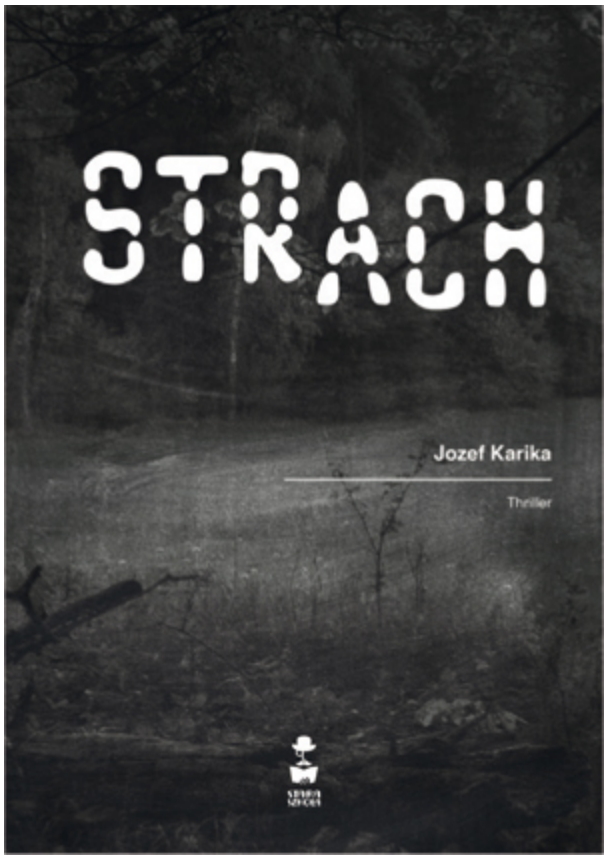

Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jożo Karski powraca do rodzinnego Rużomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.
Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają znikać dzieci.

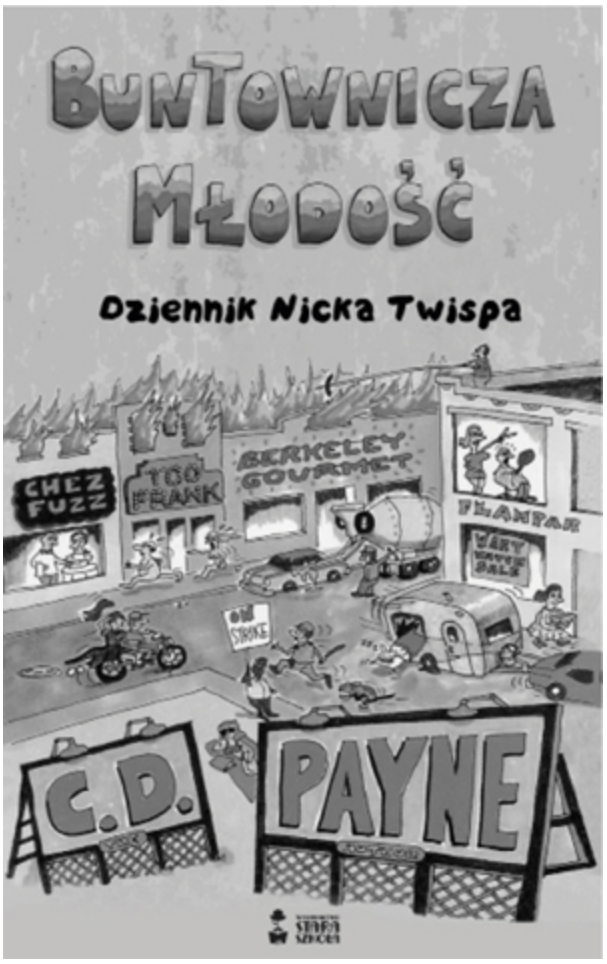

Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.

Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces.

To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłaganie się zatrzyma?

Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.

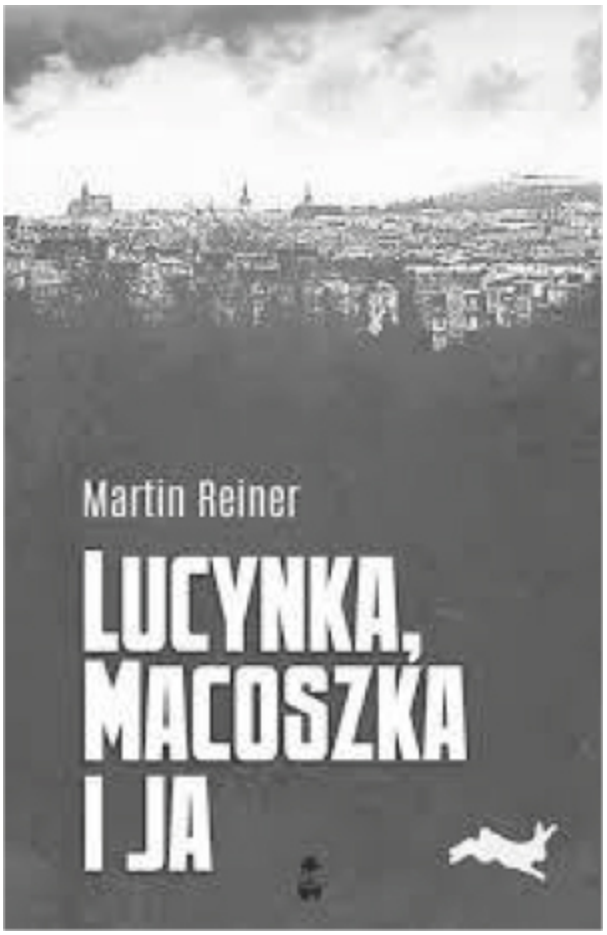

Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)

Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.
Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Przedmowa
Zeznania mieszkańców Culduie i okolic
Realacja Rodericka Macrae
Raporty medyczne
Podróże do granic obłędu spisane przez J. Bruce'a Thomsona
Rozprawa
Epilog
Źródła historyczne i podziękowania
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *His Bloody Project*

Copyright © 2015 by Greame Macrae Burnet
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2018
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski, Monika Rodziewicz
Korekta: Ewa Żak, Dagmara Ślęk-Paw
Projekt okładki: Radosław Bączkowski
Opracowanie typograficzne: Dagmara Ślęk-Paw

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-05-6

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek